

Nigdy nie stawaj pomiędzy
walczącymi braćmi!
Zwłaszcza, gdy jeden z nich
ma na ciebie haka...



odlot

JENNIFER ECHOLS

Autorka bestsellerowego **LOVE STORY**

JENNIFER ECHOLS

Odłot

Przekład: Stanisław Kroszczyński

Leah zawsze marzyła o tym żeby latać. Mieszkając z matką, którą bardziej niż wychowywanie córki interesowali mężczyźni, dziewczyna oszczędzała każdego dolara, by tylko spełnić swoje marzenie. Teraz, w wieku siedemnastu lat, jest już wystarczająco dobra, by pracować dla pana Halla i pilotować niewielkie, ciągnące za sobą bannery, samoloty. Jednak szczęście Leah nie trwa długo.

Pan Hall umiera i zostawia biznes w rękach dwóch synów - powszechnie lubianego Aleca i uzależnionego od adrenaliny Graysona. Dziewczyna nie ma ochoty stać się częścią wojny, którą toczą ze sobą bracia, nie ma jednak wyjścia. Grayson, w którym Leah od lat potajemnie się podkochuje, poznał jej tajemnicę i wykorzystuje ją, by zmusić dziewczynę do współpracy.

*Mojemu Tacie i mojemu Synkowi.
Ich lotnicza pasja zainspirowała mnie do napisania tej książki.*

Wrzesień

W każdym mieście Południowej Karoliny, w którym zdarzyło mi się mieszkać - a było ich trochę - teren zajmowany przez przyczepy mieszkalne znajdował się obok lotniska. Kiedy miałam czternaście lat, po kolejnej przeprowadzce podjęłam pewną decyzję. Skoro los skazał mnie na mieszkanie przez całe życie w przyczepie, mogłabym żalić się na smród paliwa lotniczego jak moja mama, mogłabym jak wszyscy sąsiedzi zalewać się na śmierć (byle zagłuszyć ten potworny hałas) - albo mogłam nauczyć się latać.

Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić. Pierwszy krok polegał na tym, że przeszłam między przyczepami, przelazłam pod płotem otaczającym lotnisko i spytałam, czy nie mają tam dla mnie jakiejś roboty. Poszcęściło mi się. Miasto Heaven Beach zamierzało właśnie zatrudnić kogoś, kto zająłby się pracami biurowymi, a jednocześnie obsługiwałby też pompy z benzyną lotniczą. Miało z tym pewien problem, bo mężczyźni, którzy chętnie podjęliby się pracy na płycie lotniska, nie potrafili obsługiwać komputera. Kobiety, które dawały sobie radę ze stukaniem w klawiaturę, nie zamierzały brudzić sobie rączek paliwem. Czternastolatka o wygłodniałym wyglądzie nadawała się w sam raz.

Odbierałam telefony, wtykałam kliny pod koła odwiedzających lotnisko samolotów, napełniałam baki małych korporacyjnych odrzutowców - krótko mówiąc, robiłam wszystko, co trzeba było zro-

bić, a co nie wymagało jakichś szczególnych umiejętności. Można powiedzieć, że zarządzałam całym lotniskiem. Taki małomiasteczkowy port lotniczy nie potrzebował niczego więcej. Nie było tam żadnych pracowników dyżurujących przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wieża, kontroler lotów? Bez żartów. Nic nie chroniło samolotów przed tym, żeby powpadały na siebie wzajemnie, jeśli nie liczyć umiejętności pilotów.

Recepcja, w której urzędowałam, znajdowała się w przeszklonym pawilonie z widokiem na pas startowy. Całymi dniami przesiadywałam na schodkach przy wejściu, mając ze sobą służbową komórkę (na wypadek, gdyby ktoś przypadkiem jednak zadzwonił) i gapiłam się na startujące oraz lądujące samoloty. Na tyłach biura znajdowały się małe hangary wynajmowane przez indywidualnych właścicieli samolotów. Niektórzy zresztą parkowali swoje maszyny na otwartej przestrzeni przed biurem, bo przecież, o ile były odpowiednio uwiązane, nic za wyjątkiem huraganu albo tornado nie mogło im zaszkodzić. Po mojej lewej stronie, czyli między mną a przyczepami, wznosiły się większe hangary należące do różnych firm. Po mojej prawej stronie sterczał maszt z wiatrowskazem, tam też znajdowały się pompy i stało kilka kolejnych hangarów z przerdzewiałego metalu. Najbliższy hangar pomalowany był na czerwono, widniały na nim białe litery, łuszczące się i spłowiałe, bo przez wiele lat znosiły napór burz przybywających do nas znad oceanu:

FIRMA LOTNICZA HALL

**BANERY LOTNICZE: TWOJA REKLAMA NA PLAŻY! LOTY
WIDOKOWE NAD OCEANEM ROZSYPYWANIE PROCHÓW NAD
ATLANTYKIEM SZKOLENIE PILOTÓW**

Przyglądałam się w sierpniu maleńkim samolocikom Firmy Lotniczej Hall, jak lecą niziutko nad trawą obok pasa startowego i porywają ze sobą banery, które zaraz potem rozwijały się

za nimi. Banery, czyli długie, o wiele dłuższe niż same samoloty transparenty reklamowe. Przysłuchując się rozmowom mężczyzn, którzy pili kawę i gawędzili o niczym z panem Hallem przed wejściem do biura, zorientowałam się, że najstarszy syn właściciela jest jednym z pilotów holujących banery. Poza tym pan Hall miał też dwóch synów w moim wieku, chłopcy pojawiali się w niektóre soboty, żeby pomagać przy sporządzaniu banerów. Nalepiali litery wielorazowego użytku. Alec był zawsze uśmiechnięty, jasnowłosy i sprawiał wrażenie sympatycznego, normalnego chłopaka, a pan Hall chyba za takiego go uważał. Natomiast Grayson zawsze pakował się w jakieś kłopoty. Był odrobinę wyższy, jego włosy zasłaniał słomkowy kowbojski kapelusz, a oczy krył za lustrzanymi lotniczymi okularami. Trudno było stwierdzić, czy gapił się na mnie, kiedy przesiadywałam na moich schodkach i paliłam sobie papierosy, ale wyobrażałam sobie, że mnie obserwuje. A wtedy niespodziewanie robiło mi się gorąco na całym ciele, chociaż siedziałam w cieniu.

Jednak teraz już ich nie było, znajdowali się w drodze do odległego o dwie i pół godziny jazdy Wilmington, gdzie mieszkali z mamusią, a najstarszy syn uczęszczał do collegeu. Turyści też znikli z plaży. Sezon na reklamy lotnicze się skończył. Idealny moment, żeby zagadnąć pana Halla w sprawie lekcji. Broszurki Firmy Lotniczej Hall każdy mógł sobie wziąć ze stojaka, więc szczęśliwie nie musiałam świecić oczami i wypytywać pana Halla o cenę.

Zanim udało mi się odłożyć odpowiednią sumę i zdobyć się na odwagę, minął cały miesiąc. W końcu jednak pomaszerowałam do siedziby Firmy Lotniczej Hall i załomotałam do małych drzwiczek z boku hangaru, na których widniały litery SZKOL. Kiedy pan Hall zawołał ze środka, weszłam, a potem lawirując między samolotami i narzędziami, wkroczyłam do małego biura wydzielonego w rogu. Siadłam na krzeselku przed jego biurkiem i poprosiłam, żeby zabrał mnie w przestworza. Niestety, udzielił najgorszej

z możliwych odpowiedzi: wetknął mi formularz zgody rodziców lub opiekunów, który miała podpisać moja matka.

Gdy tego wieczora wróciłam do naszej przyczepy, matki nie było. Leżałam w łóżku i nie mogłam zasnąć, próbowałam wykombinować, jak by tu jej pokazać ten formularz. Kiedy rankiem następnego dnia wychodziłam do szkoły, wciąż jeszcze nie było jej w domu. Przez wszystkie lekcje zamartwiałam się, nie wiedziałam, co jej powiedzieć. Mogłam oczywiście zasugerować mamie, że latanie może okazać się z czasem całkiem intratnym zawodem. Czasami puszczała teksty w rodzaju, że powinnam wziąć się za siebie i coś zrobić, żeby wyjść na ludzi. Obawiałam się tylko, że natychmiast, kiedy zdradzę, że udało mi się odłożyć jakieś pieniądze i chcę je wydać na takie ekstrawagancje - zamiast oddać mamusi -na żadne poparcie z jej strony nie będę mogła liczyć. Spędziłam już miesiąc w Heaven Beach, ale widok rachitycznego nadmorskiego lasu oglądanego przez szyby szkolnego autobusu wciąż wydawał mi się dziwaczny. Dojeżdżaliśmy już do przyczep; nie wierzyłam w to za bardzo, ale jednak miałam nadzieję, że mama jest w domu i będę miała sprawę z głowy. Nawet jeżeli odmówi, przynajmniej skończą się te męki.

Wsunęłam dłoń do kieszeni dzinsów, żeby dotknąć poskładanej kartki formularza. Za nią tkwiła forsa przeznaczona na lekcję latania. Zawsze istniało ryzyko, że zgubię kasę w szkole, ale bardziej obawiałam się zostawić pieniądze czy formularz w moim pokoju, bo matka mogłaby je znaleźć - czasem na gwałt potrzebowała funduszy i wtedy zaczynała się rewizja.

Gdy poruszyłam ręką, poczułam na sobie spojrzenie Marka Simona - siedział po drugiej stronie przejścia. Skądś wiedział o moich pieniądzach. Pewnie zorientował się po sposobie, w jaki ich dotykałam palcami, a teraz mi je zabierze. To była pierwsza rzecz, jaka przemknęła mi przez myśl. Już nie raz przedtem zdarzało mi się paść ofiarą rabunku w szkolnym autobusie.

Zmusiłam się jednak, żeby odetchnąć głęboko i rozluźnić się, nie poddać się odruchowej reakcji. Mark nie był wcale takim desperatem. Jechał tym autobusem, bo po szkole pracował u swojego wuja na lotnisku, nie mieszkał w przyczepie. Kiedy zerknęłam na niego, pochwyciłam spojrzenie nie tyle złodziejaszka, co zbereźnika. Myślał, że przyłapał mnie na tym, jak się dotykam.

Od jakiegoś czasu spotykałam się z tego rodzaju zainteresowaniem, ale wciąż było to dla mnie nowością. W ostatnim miejscu, gdzie mieszkaliśmy z mamą, czyli nieopodal bazy lotniczej, przemykałam jeszcze poza zasięgiem radaru. Nosiłam takie ciuchy, jakie akurat mi kupiła. Nienawidziłam moich kręconych włosów, niby brązowych, ale tak ciemnych, że nie wydawały się czarne tylko w intensywnym świetle słońca. W dodatku jeszcze matowiały. Kiedyś połamalam na nich grzebień. A potem pewnego pięknego, letniego dnia, obejrzałam w telewizji program, z którego dowiedziałam się, że dziewczyny o kręconych kudłach powinny z owymi kudłami się pogodzić, ostrzyć się porządnie, zastosować takie czy inne kosmetyki i pozwolić im wyschnąć w naturalny sposób. Zrobiłam, co się dało. Pomógł mi w tym tani salon fryzjerski działający w mojej okolicy oraz dyskontowy sklep z chemią gospodarczą. Wynik okazał się całkiem niezły, przez te kilka tygodni dzielących nas od przeprowadzki przeszłam całkowitą przemianę.

Przemianę, która w nowej szkole wywołała pożądany efekt. Już nikt nie współczuł mi dlatego, że matka o mnie nie dba, a ja sama o siebie zadbać nie potrafię. Właśnie że dbałam o siebie i to było widać. Miało to również swoje złe strony, czyli spojrzenia chłopaków takich jak Mark, przez co inne dziewczyny uznały mnie za dziwkę i trzymały się ode mnie z daleka. Ja jednak wiedziałam, co jestem warta i wcale się tego nie wstydziłam. Coś za coś: one mnie nienawidziły, ale za to ja czułam się dobrze z samą sobą.

To znaczy, tak było, dopóki nie wplątałam się w taką czy inną sytuację z jakimś chłopakiem, wówczas już nie byłam tego taka

pewna. Przytrzymując się oparcia siedzenia, kiedy autobus zakręcał, Mark przeszedł na moją stronę przejścia i trącił mnie biodrem, zmuszając, żebym przesunęła się i zrobiła mu miejsce obok siebie. Spojrzał wymownie w stronę mojej dłoni nadal znajdującej się wewnątrz kieszeni.

- Może ci w tym pomóc? - spytał.

Gdyby zaczepił mnie w ten sposób kilka miesięcy wcześniej, może nawet bym się zgodziła. Nie był to jeden z tych postawnych, przystojnych chłopaków ze starszych klas, którzy nabierali właśnie mięśni w proporcji do osiągniętego nieco wcześniej wzrostu. Jednak jak na piętnastolatka prezentował się zupełnie znośnie. Miał takie senne, zaćpane spojrzenie, które bez skrepowania przesunął po mojej postaci, i ciemne włosy zlepione w strąki, tak jakby nie brał codziennie prysznic, bo poprzedniego wieczora chlał do późna i w ogóle ledwo zdążył na poranny autobus szkolny. To był ten typ faceta, z którym zawsze w końcu musiałam się spiknąć, ryzykant uzależniony od adrenaliny, pod którego wpływem robiłam różne rzeczy, na które nie odważyłabym się sama.

Przypominał mi mojego chłopaka z kempingu położonego przy bazie lotniczej. Tamtemu najwyraźniej nie przeszkadzało, że mam matowe włosy - o ile pozwalałam mu pchać łapę do majtek. Przekonał mnie i zrobiliśmy to w lesie rosnącym tuż za końcem pasa startowego, samoloty przelatywały niziutko nad nami i gdyby coś poszło nie tak, spadłyby dokładnie w tym miejscu, gdzie byliśmy. Od tej adrenaliny, seksu i widoku srebrzystych podbrzuszy samolotów coś się ze mną porobiło. Chciałam tego więcej.

Co prawda, kiedy powiedziałam mu, że przeprowadzam się do Heaven Beach, już tego samego dnia umówił się z moją najlepszą przyjaciółką. No, więc przynajmniej na jakiś czas nie miałam ochoty, żeby mi taki czy inny chłopak w czymkolwiek pomagał. Wstałam, z trudem utrzymując równowagę w wąskiej przestrzeni

miedzy oparciem siedzenia z przodu a moim siedzeniem, spojrzałam na Marka i powiedziałam:

- Przepuść mnie. Wysiadam. Wyszczrzył zęby.

- Przecież mówiłem, że mogę ci w tym dopomóc. Ogarnęła mnie złość.

Porządny chłopak z dobrej rodziny,

a może nawet nie tak znów bardzo porządny chłopak, jak Grayson, niesforny synalek pana Halla nie pozwoliłyby sobie na takie podteksty wobec porządnej laski z dobrej rodziny. Gdybym wysiadała ze szkolnego autobusu w bogatej dzielnicy, a nie przy przyczepach, nie musiałabym się pilnować i uważać na każde słowo, bo przecież prawie wszystko może się kojarzyć erotycznie. Rany... Próbowałam precyzyjnie się przed nim.

- Daj spokój, Lea. Dlaczego chcesz tu wysiąść? Nie możesz zostać w autobusie? Przecież i tak jedziesz na lotnisko.

Powiedział to wyzywającym tonem, ale oprócz zaczepki w jego głosie dosłyszałam urazę. Też źle: nie mogłam sobie pozwolić na to, żeby przegiąć i żeby zrozumiał, że chcę go po prostu spławić. Powodowany urażoną dumą, jeżeli tylko zdoła, jeszcze bardziej utrudni mi życie w szkole.

- Matka życzy sobie, żebym zajrzała do domu między szkołą a pracą - skłamałam mu w żywe oczy. Prawdy nie wyjawiałabym za żadne skarby. Zaraz zacząłby kombinować, jak by to wykorzystać. A kiedy raz popełniłam ten błąd, że pojechałam razem z nim aż na lotnisko, polazł za mną do mojego biura i przesiadywał tam, dopytywał się o broszurki, domagał się map. Groził, że podpali poczekalnię swoją zapalniczką, o ile nie będę się nim zajmować. Dopiero po dłuższym czasie dał sobie spokój - kiedy naprawdę już musiał zasuwać do hangaru swojego wuja, bo inaczej to wujaszek dałby mu popalić.

Autobus zatrzymał się z piskiem na krawędzi dwupasmowej szosy i otworzył drzwi przy żwirowanym podejździe prowadzącym

do przyczep. Ben Reynolds oraz Aaron Traynor zbiegli po blaszanych stopniach, łomocąc buciarami. Jeżeli w ciągu następnych kilku sekund nie zdołam dotrzeć do przedniej części pojazdu, przegapię przystanek. A potem będę musiała przejść przez całe lotnisko z Markiem, a potem jeszcze całą drogę z powrotem do przyczepy. Szlag by mnie trafił, gdyby okazało się, że to właśnie z tego powodu minęłyśmy się - ja i matka.

Szturchnęłam znowu Marka i powiedziałam na tyle stanowczo, na ile mogłam to zrobić, nie zwracając na nas uwagi pięciu osób, które siedziały jeszcze w autobusie:

- No, rusz się.

Obrażone spojrzenie spod ciężkich powiek. Przesunął kolana na bok, w stronę przejścia, żebym mogła się precyzyjnie przesuwać. Kiedy biegłam do przodu, zawołał za mną:

- Poznam cię jutro po smrodzie. Kilka dziewczyn zachichotało.

Poczułam, że się czerwienię. Na pewno nie śmierdziałam. Za to on pewnie tak, chociażby sądząc po stanie jego włosów. Ale ludziom wydawało się, że powinnam śmierdzieć. Wystarczyło, że puści taki tekst w szkole, a wszyscy mu uwierzą. Myślami już przebiegałam zawartość mojej szafy, zastanawiając się, co włożę następnego dnia, żeby wyglądać na tyle szykownie, na ile mogłam sobie pozwolić, nie dysponując w tym celu żadnym budżetem.

Ostatni krok i znalazłam się na drodze. Zmrużyłam oczy w jaskrawym słońcu. Autobus odjechał z głośnym rykiem motoru, a Ben zagroził mi drogę prowadzącą w stronę przyczep. Zrobił z palców literę V, przytknął je do ust i wystawił przez nie język w moją stronę. A Aaron stał za nim i się śmiał.

Skierowałam spojrzenie w stronę zbudowanej z betonowych bloków pralni samoobsługowej wzmocnionej na użytek mieszkańców przyczep i ruszyłam przed siebie. W telewizji mówili, że nachalnych chamów należy ignorować, a wtedy przestaną się

człowieka czepiać. W praktyce zasada ta sprawdza się mniej więcej pół na pół. To drugie pół znaczyło, że dwaj dragale by szli za mną aż pod same drzwi przyczepy i szarpali mnie za ubranie, jak jakieś psy. Jednak tego dnia podziałało. Aaron podniósł garść żwiru i cisnął nim w krocze Bena, po czym rzucił się do ucieczki. Ben pobiegł za nim, po chwili obaj znikli między przyczepami.

Odetchnęłam z ulgą, ale zaraz potem znów przypomniałam sobie o formularzu w kieszeni. Żeby tylko była w domu... Teraz, kiedy zbliżała się nieuchronnie chwila konfrontacji z matką, strach skreślił mi żołądek. Nagle już nie spieszyło mi się tak bardzo. Tak czy inaczej - stwierdziłam - jeżeli jest przypadkiem w domu, to już teraz się nie miniemy. Na teren prowadziła tylko jedna droga. Powłócząc nogami, minęłam pralnię od strony, gdzie znajdowały się wmurowane w ścianę skrzynki pocztowe - wmurowane po to, żeby trudniej było się do nich włamać - sprawdziłam naszą, zgrzytając zębami. Odkąd miałam dziesięć lat, to ja odbierałam pocztę, po prostu dlatego, że moja matka nigdy tego nie robiła. Tak więc to ja byłam zwiastunem złych wieści przy okazji trzech ostatnich eksmisji i dlatego w każdej chwili spodziewałam się koperty o oficjalnym i urzędowym wyglądzie. Tego dnia koperty nie było, tylko śmieci, które od razu wrzuciłam do kosza. W porządniejszych dzielnicach Heaven Beach obok koszy na śmieci znajdowały się pojemniki na makulaturę, ale właściciel terenu zajmowanego przez przyczepy nie przejmował się kwestią surowców wtórnych.

Żeby tylko była w domu... Sięgnęłam do torebki po papierosy. Zapaliłam, żeby się odprężyć. Poczułam kopa od nikotyny: pierwszy mach tego dnia. W tym mieście, z którego przyjechałyśmy, mój chłopak kradł dla mnie fajki. Teraz musiałam je kupować, co stanowiło potężną wyrwę w moich dochodach. Próbowałam rzucić, ale jeżeli nie liczyć gapienia się na samoloty, to była jedyna rzecz, która sprawiała mi przyjemność. Żeby tylko była w domu... Wyszłam na otwartą przestrzeń zacienioną rosnącymi wokół drze-

wami. Pod moimi stopami chrzęścił żwir. Z jakiejś przyczepy dobiegały głośne dźwięki muzyki country, chociaż wszystkie okna były zamknięte. Przynajmniej ktoś tam jest - pomyślałam. Gdyby wrócił Ben albo Aaron, mogłam w razie potrzeby wołać o pomoc. Rzecz jasna, moja mama wiele razy wołała o pomoc na różnych takich kempingach i nikt nigdy się nie zjawił. Proszę, żeby tylko była w domu...

Dotarłam do naszej działki, obeszałam krzaczory i stanęłam jak wryta. Przed naszą przyczepą stał samochód starszy ode mnie, w kolorze wyblakłej czerwieni z niebieskimi drzwiami. Moja mama nie miała samochodu. Jakiś facet bez koszuli, z długimi, siwiejącymi włosami spiętymi w kucyk pojawił się w drzwiach, wyszedł na chwiejne cementowe bloki służące za schodki... Trzymał jeden bok telewizora, który pojawił się u nas wkrótce po tym, jak miesiąc temu się wprowadziłyśmy. Czyli znów ktoś nas okradał. Zakręciło mi się w głowie od stresu i nikotyny. Odwróciłam się, żeby pobiec do przyczepy z muzyką country.

W tej samej chwili mężczyzna schodził już tyłem po schodkach, a w drzwiach pojawiła się moja mama, trzymająca drugi bok telewizora. Z początku jej nie poznałam. Kiedy ostatnio ją widziałam, czyli kilka dni wcześniej, była jasną blondynką. Teraz jej włosy przybrały barwę jasnoczerwoną. Po sylwetce zorientowałam się, że to jednak ona.

Wypuściłam chmurę dymu. A więc ten facet to chłopak mojej matki. Mówiła kiedyś, że przeprowadzamy się do Heaven Beach, bo miał załatwić jej pracę w restauracji, w której pracował. Na razie jednak pracy jeszcze nie dostała, a on jak dotąd nie pojawił się w przyczepie, przynajmniej nie wtedy, kiedy ja byłam w domu. Przypuszczałam nawet, że go sobie zmyśliła. Bywało już, że przeprowadzałyśmy się dlatego, że jakiś facet obiecywał jej robotę. Czasami tylko tak mi mówiła, a potem okazywało się, że zwiewałyśmy, bo winna była komuś pieniądze. Jednak wyraźnie tym razem powiedziała prawdę. Telewi-

zor był pierwszą rzeczą, o jaką prosiła swoich facetów, bo wiedziała, że uwielbiam oglądać telewizję. Telewizja dotrzymywała mi towarzystwa. Telewizor był też pierwszą rzeczą, która wędrowała do lombardu, jako przedmiot wart sporo gotówki, a przy tym dość łatwy w transporcie. Na przykład lodówkę zastawiła tylko raz.

- Cześć, kochanie! - zawołała do mnie mama. - Otwórz drzwi samochodu, dobrze?

Otworzyłam więc drzwi od strony kierowcy i pochyliłam do przodu siedzenie, żeby mogli wcisnąć telewizor na tylną kanapę. Kiepsko im szło, więc pofukiwali na siebie wzajemnie. Telewizor był niemal tej samej wielkości co tylna kanapa. Jeden koniec udało im się wetknąć, moja mama trzymała z tamtej strony, a ten facet - Billy - obszedł samochód dookoła. Kiedy stała tak, pochyłona, widać było wyraźnie, że jej szorty są zbyt obcisłe, ale i tak jak na mamę miała całkiem niezłą figurę. Zresztą tak być powinno, miała przecież dopiero trzydzieści lat.

Wreszcie wyprostowała się, zostawiła uchylone drzwi, bo Billy miał zaraz sięść za kierownicą, i odwróciła się do mnie.

- Ślicznie dzisiaj wyglądasz! Daj buziaka.

Wpadłam w jej objęcia i poczułam, że całe moje ciało rozluźnia się, całkiem jak po pierwszym zaciągnięciu się papierosem. Jednocześnie odsunęłam peta, żeby nie podpalić jej włosów. Nie próbowałam kryć się z fajkami. Dawno przestałam się bać, że przyłapie mnie na paleniu. Z początku myślałam, że będzie się wściekać, ale już kilka razy widziała, jak pałę, i nie powiedziała ani słowa.

Wyściskała mnie, a potem puściła.

- Albo to było kłamstwo, albo głupio dałaś się nabrać. Kto by sprzedawał na raty takiego gruchota?

- To tylko na parę tygodni - powiedziała. - Do czasu, aż dostanie pieniądze.

Znow albo kłamstwo, albo naiwność. Lombardy nie działają w ten sposób. Dadzą Billyemu za ten telewizor tak mało i jedno

czesnie prowizja będzie tak wysoka, że nigdy już odbiornika nie zobaczę. A poza tym, skoro teraz brakowało mu pieniędzy na życie, przecież nie zmieni się to po następnej wypłacie. Przerabiałam ten scenariusz z moją mamą i jej chłopakami już dość razy, żeby wiedzieć, co stanie się dalej. Nigdy natomiast nie byłam pewna, czy ona sobie z tego nie zdaje sprawy, czy ma to gdzieś, czy po prostu nie widzi żadnego innego wyjścia.

Skrzywiła się i spojrzała spode łba na niebo: nad nami właśnie z rykiem przeleciał jakiś samolot. Przyczepy znajdowały się od tej strony pasa, gdzie maszyny podchodziły do lądowania. Iglasty las częściowo tłumiał hałas, więc ryk silnika tym bardziej zaskakiwał, kiedy maszyna znalazła się bezpośrednio nad nami. Niewiarygodnym cudem utrzymujące się w powietrzu urządzenie przemieściło się nad naszymi głowami - tak wolno, jakby miało zaraz spaść, na tyle głośno, że zawibrowały przerdzewiałe blachy przyczep. Poczułam dreszcz przechodzący po plecach, jak po porządnym sztachnięciu się, tylko dużo przyjemniejszy.

- Boże, nienawidzę tych pierdolonych samolotów - powiedziała moja matka. - Wkrótce Billy załatwi mi robotę, a wtedy przeniesiemy się w jakieś fajniejsze miejsce, obiecuję.

- W porządku - odpowiedziałam obojętnie. Zawsze to powtarzała. Czasami nawet rzeczywiście dostawała pracę, ale nigdy dłużej niż na miesiąc. Spoglądałam w ślad za samolotem, aż zasłoniły go drzewa. Silnik słyhać było jeszcze przez dłuższą chwilę, więc dalej patrzyłam w kierunku lotniska.

- Zaraz, chwileczkę - odezwała się moja mama. - Przecież ty masz trochę pieniędzy, mogłabyś dać je Billyemu.

Papieros wypalił się już tymczasem do samego filtra. Zaciągnęłam się mimo wszystko i odwróciłam się w jej stronę. Pamiętałam, że za żadne skarby nie wolno mi spojrzeć na kieszeń, w której znajdowały się wszystkie moje pieniądze. Wypuściłam dym i odparłam niedbałym tonem:

- Z lotniska? Co ty, mało mi tam płacą. Wszystko zżerają podatki. A i tak już płacę za prąd i za wodę.

Popołudniowe światło dziwnie pobłyskiwało w ciemnobłękitnym makijażu na jej powiekach.

- Chwilę. Przecież pracujesz tam każdego dnia po szkole i przez całe weekendy.

- Tak naprawdę... - z przerażeniem stwierdziłam, jak gładko to kłamstwo przechodzi mi przez gardło - pracuję tam tylko na pół gwizdka. Nie dają mi tylu godzin, ile bym chciała. Chodzi o to, że tam pracuje mój chłopak, więc to z nim spędzam resztę czasu.

- Poważnie? - zdziwiła się moja mama. Uniosła wyskubane brwi. - A jak się nazywa?

Mark. Oczywiście odpowiedź: Mark. Tylko że to już nie przeszłoby mi przez gardło. Zanim się zorientowałam, palnęłam:

- Grayson Hall. Jego ojciec jest właścicielem tych samolotów, które pokazują reklamy na plaży.

- Nie cierpię tych maszyn - stwierdziła. - Ale taki chłopak, kto wie? Może skończy szkołę i do czegoś w życiu dojdzie?

- Może - potwierdziłam. Rzygać mi się chciało.

- Sheryl - zawołał Billy z samochodu. - Rusz tyłek!

- Na razie, kotku - powiedziała mama. Pocałowała palce i posłała mi całusa, po czym, wzbijając kurz, poczłapała do samochodu, obeszła go i wsiadła z drugiej strony.

Zanim samochód zniknął w lesie, pomachałam jej jeszcze i zdałam sobie sprawę, że trzymam zdechłego peta. Tak normalnie zaniósłabym go do środka, sprawdziłabym, czy na pewno jest zgaszony i wsadziłabym niedopałek do kosza. Jednak tego dnia rzuciłam go na ziemię, żeby dołączył do niezliczonych innych niedopałków ciśniętych przez moją mamę i wszystkich, którzy kiedykolwiek tu mieszkali. Weszłam po cementowych blokach do środka przyczepy.

Ściana po telewizorze wyglądała goła, chociaż wcale nie była goła. Zanim pojawił się odbiornik, mama powiesiła tam oprawio-

ne w ramki moje zdjęcia z pierwszej, drugiej i trzeciej klasy. Kiedy byłam w czwartej, stwierdziła, że szkoła ją kantuje, że te zdjęcia to rozbój w biały dzień. Moje odsłonięte na nowo uśmiechnięte twarze spoglądały na mnie, gdy przechodziłam przez jadalnię z aneksem kuchennym. Uciekłam korytarzykiem do sypialni, gdzie otworzyłam szufladę i wyciągnęłam umowę wynajmu przyczepy. Moja matka takie rzeczy po prostu wyrzucała, dlatego starałam się je jak najprędzej ukryć. Czasem te papierzyska przydawały się na coś, jeżeli właściciel chciał nas z miejsca wywalić na bruk. Tym razem potrzebowałam wzoru jej podpisu.

Wyciągnęłam formularz z kieszeni i rozłożyłam go. Żeby kartkę czymś przycisnąć, sięgnęłam po magazyn leżący na komódce: numer „Piane and Pilot” pożyczony z biura lotniska. Wtedy zgarnęłam go, niewiele o tym myśląc. Lubiłam czytać nocą w łóżku. Artykuły o samolotach dotrzymywały mi towarzystwa. Zresztą przecież zamierzałam go oddać... Ale teraz poczułam się jak złodziejka.

A to był dopiero początek. Przyglądając się podpisowi mamy na umowie, skopiowałam S, pierwszą literę Sheryl. Nie była to doskonała imitacja. Ręka mi się trzęsła. Ale przecież w przeciwieństwie do władz szkolnych pan Hall nie dysponuje wzorem jej podpisu dla porównania. A więc dalej: „heryl”. Dostanie mi się za to. Ten przekręt jeszcze się na mnie zemści, dobrze o tym wiedziałam. Potem J na dobry początek „Jones”. Alternatywa wobec fałszerstwa polegała na tym, że do końca życia pozostanę uziemiona i nigdy nie polecę samolotem. Dokończyłam: „ones”. Jasne, miałam oddać ostatniego dolara mamie, żeby ona i Billy, czy kto tam akurat był jej chłopakiem w danym miesiącu, mogli się zabawić za moją kasę, żeby mógł kupić sobie nową wędkę i strzelbę, które potem i tak zastawiał, żeby mieć na piwo, albo i crack, o ile to był jeden z *tych* narzeczonych i żeby potem za nędzne resztki próbowali się odkuć w kasynie, i żeby przegrali wszystko. Podkreśliłam „Sheryl Jones” tak samo jak ona, czyli tak samo

jak ósmoklasistka, która wciąż zakochana jest w swoim własnym podpisie.

Wcisnęłam formularz do kieszeni. Zamknęłam drzwi na klucz i z magazynem pod pachą ruszyłam do pracy. Przemknęłam tuż poza zasięgiem łańcuchowego pitbula należącego do sąsiada, żeby jeszcze bardziej go rozdrażnić, żeby czekał i rzucał się na mnie jak opętany. Kiedy wychodziłam z lasu na długą, szeroką polanę, silnik samolotu zagłuszył psi jazgot. To był Stearman, dwupłatowiec z czasów drugiej wojny, którego wuj Marka używał jeszcze niedawno do opylania upraw. Schodził do lądowania.

Mark powiedział mi, że jego wujek, pan Simon, kupił ostatnio trzy maszyny Air Tractor - najbrzydsze samoloty, jakie dotąd widziałam na lotnisku, o śmiesznie długich nosach i topornym wyglądzie, pomalowane na jaskrawożółty kolor. Teraz pan Simon używał tych szkaradzieństw do pracy, więc dwupłatowiec przebudował z powrotem na samolot dwumiejscowy, tak że któryś z jego pilotów mógł zabierać turystów na przejażdżki.

To był piękny dwupłatowiec. Potężną bryłę silnika równoważyły skrzydła umiejscowione poniżej i powyżej. Wyglądał, jakby ktoś go zrobił z wehikułu czasu. Patrzyłam, jak szybuje coraz niżej, i wstrzymałam oddech, oczekując, że upadnie - jakoś zawsze mi się wydawało, że samolot powinien się rozbić. Tymczasem nigdy jeszcze nie widziałam, żeby coś takiego się zdarzyło. Dwupłatowiec i tym razem łagodnie siadł na pasie, po czym zwolnił. Potknęłam się - właśnie wyszłam z wysokiej zielonej trawy na asfalt.

W oddali zobaczyłam lotniskowych bywalców byczących się w bujanych fotelach na ganku biura. Pan Hall. Obok niego Admirał, czyli najprawdziwszy emerytowany admirał, chociaż byłoby to ostatnie skojarzenie, gdyby ktoś go zobaczył teraz w szortach cargo i hawajskiej koszuli. Pan Simon, który dla odmiany wyglądał dokładnie jak właściciel firmy specjalizującej się w opylaniu upraw; miał na sobie roboczy kombinezon i bejsbolówkę z logo

producenta samolotów. Również emerytowany oficer marynarki wojennej - sporo z nich osiedliło się w Heaven Beach. Pilot odrzutowców pracujący dla jednej z miejscowych korporacji. Kiedy zbliżyłam się, kilku z nich odwróciło się w moją stronę.

Kiedy znalazłam się w zasięgu głosu, patrzyli się na mnie już wszyscy. Przerwali rozmowę. Byłam pewna, że gapili się na egzemplarz „Piane and Pilot”. Mogłam tylko mieć nadzieję, że łokciem zasłaniałam naklejkę z adresem lotniska. Weszłam pod daszek.

Pan Hall powiedział:

- Cześć, Lea.

- Cześć, Lea. Witaj, Lea. Dzień dobry - rozległy się głosy. Uśmiechnęłam się do nich blado, patrzyłam nad ich głowami w stronę pasa, przemknęłam chyłkiem w stronę oszklonych drzwi.

Pod moją nieobecność miasto powierzało opiekę nad lotniskiem jednemu z technicznych, niejakiemu Leonowi. Sprawdzał się doskonale, jeśli chodziło o umieszczanie klinów pod kołami samolotów, natomiast nie przejawiał szczególnych uzdolnień przy załatwianiu spraw przez telefon, poza tym wymogłam na nim obietnicę, że będzie trzymał się z dala od dokumentów, bo nie byłam na sto procent pewna, czy umie czytać. Odebrałam od niego klucze i lotniskową komórkę. Kiedy sobie poszedł, odsłuchiwałam nagrane podczas jego urzędowania wiadomości. Po tym, jak od-dzwoniłam do pewnego faceta w sprawie wynajmu hangaru i omówiłam z nim szczegóły umowy, nagle zrobiło mi się gorąco. Jeżeli przyłapią mnie na tym, że sfałszowałam podpis matki na formularzu, trudno mi będzie twierdzić, że przecież mam dopiero czternaście lat i nie znam się na tym, co jest legalne, a co nie.

Starłam się o tym nie myśleć. Odegrałam sympatyczną hostesę, witając pewnego milionera, który wpadł do naszego miasteczka z rodziną na weekend. Zadzwoiłam do jedynej w tymże miasteczku firmy oferującej limuzyny, żeby przysłali po niego wóz. Zaparzyłam świeżą kawę w pokoju rekreacyjnym. Wysprzątałam całe

biuro, nawet puste pomieszczenia. Kiedy wszyscy starzy zmyli się z ganku i byłam pewna, że nikt nie widzi, podrzuciłam nieszczęsny magazyn z powrotem na stolik w poczekalni.

Przez ostatnie półtorej godziny, aż do końca urzędowania, bujałam się w fotelu na ganku, grzałam się w popołudniowym słońcu i obserwowałam ruch na lotnisku. Budynek biura był nieco wysunięty przed ustawione w równy szereg hangary, przez co nie zawsze mogłam widzieć, kto przygotowuje maszynę do startu. Uwielbiałam, kiedy nagle silnik ożywał z głośnym rykiem, budząc mnie z zamyślenia, a samolot kołował do początku pasa. Potem zwiększał obroty, z coraz większą prędkością zbliżał się do mnie, a następnie wznosił się w powietrze, czemu nie towarzyszył już żaden dodatkowy odgłos - trochę jak samochód, który wjeżdża pod górę, tylko że samoloty nie miały pod kołami nic oprócz powietrza: pas startowy, potem trawa i wreszcie drzewa znajdowały się o wiele niżej. A potem maszyna zniknęła z mojego pola widzenia i nie wiedziałam, dokąd leci.

Na dwie minuty przed czasem zamknięcia biura zapaliłam papierosa. Półciężarówka pana Halla wciąż stała przed jego hangarem, ale przecież w każdej chwili mógł zamknąć interes i wybrać się do domu. Oznaczałoby to dla mnie kolejną nieprzespaną noc i powtórkę z męki przez cały następny dzień. Mówiłam mu co prawda, że przyjdę z podpisaną przez matkę zgodą, ale może przypuszczał, że nie zdołam jej namówić do złożenia tego podpisu. Jeżeli tak, to cóż, miał rację. *Niech pan jeszcze nie odjeżdża.*

Punktualnie o godzinie zamknięcia biura zgasłam peta w stojącej przy drzwiach urnie z piaskiem i pomaszerowałam do hangaru Firmy Lotniczej Hall. Poprzedniego dnia zostałam pouczona, żeby nie walić do zewnętrznych drzwi, bo to działa panu Hallowi na nerwy. I tak słyszał, że ktoś wchodzi, bo drzwi mocno skrzypiały. Otworzyłam, weszłam. Spomiędzy cieni samolotów zobaczyłam, jak podnosi wzrok znad jakichś papierów wewnątrz szklane-

go akwarium swojego biura w rogu hangaru. Wskazał mi ruchem ręki wolne krzesło.

Sięgnęłam do kieszeni po pieniądze i formularz. Podałam mu jedno i drugie, usiadłam.

Odsunął je na bok, nawet nie spojrzał.

- Wróciłaś.

- Tak, proszę pana.

Dlaczego odsunął to wszystko na bok? Czyżby z góry wiedział, że sfałszuję podpis? Zmusiłam się do zachowania spokoju i skupiłam się na jego twarzy, tak jakbym naprawdę chciała sobie z nim porozmawiać.

Miał sporo po czterdziestce, jak przystało na ojca dwóch czternastolatków. Kiedyś był blondynem i pewnie miał kręcone włosy jak Grayson, ale teraz zaczął już siwieć, więc ścinał je króciutko, wyglądały prawie na proste. I kiedyś też był przystojniakiem, tak samo jak Grayson. W jego ogorzałej twarzy jeszcze można było dostrzec zarys wydatnej szczęki i wyrazistych kości policzkowych, jednak od czasu młodości musiał sporo przytyć, co zniekształciło jego rysy. Zresztą nie tylko twarz, bo miał też dość wyraźny brzuszek.

- Tak myślałem, że wrócisz - powiedział. - Jak ci się podoba praca w biurze lotniska?

Uwielbiałam tę pracę. To była najlepsza rzecz, jaka kiedykolwiek dotąd mi się zdarzyła. Ale wiedziałam, że gdybym to powiedziała tak po prostu, zabrzmiałoby to co najmniej dziwnie. Zbyt dziecinnie. Przecież w gruncie rzeczy głównie siedziałam na tyłku, niewiele poza tym. Odpowiedziałam więc:

- W porządku.

- Pośród stałych bywalców lotniska krąży taki żarcik o tobie... Miał na myśli tych facetów przesiadujących na ganku. Spięłam się, gotowa stawić czoło temu, że nawet tutaj się ze mnie naśmiewają, a przecież dotąd na lotnisku czułam się względnie bezpiecznie.

Dokończył:

- Gdy próbujemy sobie przypomnieć jakieś zdarzenie sprzed dajmy na to piętnastu lat, zawsze ktoś powie: „niech Lea wam powie, jak to było”. Łapiesz? Chodzi o to, że świetnie pracujesz i doskonale orientujesz się we wszystkim, co tu się dzieje. Nigdy przedtem nie mieliśmy tu nikogo takiego, kto by porządnie zajął się biurem.

- Och. Ha, ha. To miło - powiedziałam. Dowcip był mało zabawny, ale wyraźnie pomyślany jako komplement. I to dopiero było śmieszne, bo przecież tę pracę mógł dobrze wykonywać każdy, byleby trochę się postarał. Choć może, jak się nad tym zastanowić, właśnie w tym rzecz, żeby się postarać. Żeby komuś choć trochę zależało.

- Dlaczego chcesz zostać pilotem?

Rozdziawiłam gębę. Wiedziałam, że to sprawdzian i że nie powinnam zwlekać z odpowiedzią. Problem w tym, że nie bardzo rozumiałam pytanie. Przyszłam w sprawie jednej lekcji. Jednej i tyle. Może i fantazjowałam sobie przez miniony miesiąc o tym, że kiedyś złapię robotę jako pilot linii lotniczych, będę nosić granatowy mundur, włosy gładko przyzlane i przyciśnięte czapką z daszkiem. Wyobrażałam sobie, jak to stoję w drzwiach kokpitu i witam pasażerów wsiadających na pokład, jak kolejno mierzą mnie wzrokiem od stóp do głów, spoglądają nieufnie na drobną kobietę, ale jednak decydują się złożyć swój los w moje ręce, a to właśnie dzięki temu uniformowi i dlatego, że ktoś najwyraźniej jednak odważył się powierzyć mi taki drogi i wielki samolot. Przynajmniej w ten sposób wyobrażałam sobie rozpoczęcie lotu pasażerskiego. Nigdy jeszcze nie leciałam samolotem. Widziałam to tylko w telewizji. Może to jakaś głupota, a rzeczywistość wygląda zupełnie inaczej?

Wypaliłam ni z gruszki, ni z pietruszki:

- Lubię samoloty.

Uniósł siwoblond brwi i popatrzył na mnie. Nie zamierzał mi niczego ułatwiać, czekał, co powiem dalej. Przełknęłam ślinę.

- Zawsze mieszkałam w pobliżu lotniska.

- Jak to? - spytał, zmarszczył teraz brwi. Nie wiedział, o co chodzi.

- Nie tego lotniska - wyjaśniłam. - Różnych lotnisk. Wiele razy się przeprowadzałam. Ostatnio mieszkałam przy bazie lotnictwa wojskowego. Bliżej samolotów niż kiedykolwiek dotąd. Nie mogę przestać o nich myśleć.

To rozumiał. Powoli skinął głową.

- Kiedy przeprowadziłam się tutaj, dostałam pracę w biurze.

I teraz nie tylko słyszę samoloty i widzę, jak przelatują mi nad głową, ale też przyglądam się, jak startują i lądują. Ciągle mam wrażenie, że takie urządzenie nie ma prawa latać.

Zaśmiał się. Co prawda opanował się od razu i zacisnął usta, ale widać było, że z trudem powstrzymuje uśmiech.

- Posłuchaj, coś ci powiem - zaczął. - Kilka lat temu aż roiło się tutaj od młodych ludzi, którzy chcieli zostać pilotami. Twoją pracę wykonywało czterech facetów - dwóch siedziało w biurze, dwóch uwijało się na płycie lotniska. Te puste salony, w których urzędujesz, kiedyś wcale nie były puste. Jednak od zamachu na World Trade Center lotniska nie mają dobrej prasy, w dodatku recesja goni recesję. Nie ma już tak wielu chętnych do latania.

Skinęłam głową. Biuro rzeczywiście było ładnie urządzone, niezłe meble i tak dalej. Zresztą nikt na lotnisku nie krył, że czasy świetności to miejsce ma już za sobą.

- My, starzy, nie tylko tutaj, ale w całym kraju, powtarzamy w kółko, że trzeba coś zrobić, żeby młodzi ludzie znów zaczęli się garnąć do latania. Zgadza się co do jednego: większość ludzi słyszy przelatujące samoloty i mówi sobie „to jest samolot”, po czym wracają do swoich zajęć. Tylko niektórzy spoglądają na lecącą ma-

szynę, próbują zorientować się, jaki to typ i patrzą na nią tak długo, aż zniknie za horyzontem, a może nawet dłużej. I właśnie ci młodzi ludzie będą kiedyś pilotami - wskazał na mnie palcem. - Obserwowałem cię. I czekałem, kiedy do mnie przyjdiesz. Sięgnął po formularz.

Właśnie usłyszałam od niego, że jestem jakąś wybranką losu. Tyle, że powiedział to w taki sposób, z takim przekonaniem o własnej nieomyślności, że uznałam to za sygnał ostrzegawczy. Nagle zrozumiałam, dlaczego Grayson odszczeknął mu, kiedy pan Hall go ochrzanił za to, że coś nie tak zrobił z banerami.

Pan Hall spojrzał na mnie znad tego papierka, potem znowu spojrzał na formularz. Zapomniałam, że czuję się niezręcznie, bo w zamian ogarnęła mnie panika. Zrozumiałam, że przygląda się podpisowi.

Odłożył ten papier jak najdalej od siebie i zaraz potem umieścił go na stosie innych dokumentów.

- Dobrze, będzie lekcja, ale pod jednym warunkiem.

Że co, że mam wrócić i uzyskać od matki prawdziwy podpis? Zawsze to lepsze, niż żeby wezwał policję i żeby aresztowali mnie za fałszerstwo - chociaż nie takiej odpowiedzi oczekiwałam. Skręciło mnie w żołądku, kiedy czekałam, aż wreszcie to powie.

- Masz rzucić palenie - zażądał.

Wstrzymałam oddech. Zdumiało mnie, że go obchodzi, czy palę, czy nie. Skąd w ogóle wiedział? Chociaż pewnie waliło ode mnie szlugami. Tak jak od mojej matki, kiedy sobie zapaliła.

Dopiero wtedy z ulgą zdałam sobie sprawę, że ani słowem nie wspomniał o jej podpisie. A jeszcze potem wkurzyłam się, że wtrąca się w moje sprawy.

- Przecież panu płacę - stwierdziłam. - Nie może pan mnie zmusić, żebym przestała palić.

- Nie możesz mnie zmusić, żebym cię zabrał do samolotu. Uśmiechnął się do mnie, ale nie zamierzał ustąpić.

Potem jednak pochylił się w moją stronę, jakby chciał mi powiedzieć coś w tajemnicy.

- Wyświadczam ci przysługę. Ja rzucałem palenie przez trzydzieści lat, zanim mi się udało. Zgadzasz się?

Kiwnęłam głową. Nie miałam wyboru.

- No, to idziemy.

Zerwał się z krzesła, pełen entuzjazmu. Jak dzieciak. Zupełnie, jakby naprawdę nie mógł się doczekać.

Poszłam za nim. Lawirował między samolotami poustawianymi w hangarze, wpasowanymi w ograniczoną przestrzeń niczym kawałki układanki. Zatrzymał się przy białej maszynie, większej od pozostałych - czteromiejscowej. Obeszliśmy ją dookoła. Pan Hall zaczął opowiadać, co może się zdarzyć, jeżeli nie sprawdzi się przed startem różnych rzeczy. Kazał mi wejść po drabince, a następnie wetknąć szklaną pipetę przez otwór w skrzydle, żeby sprawdzić poziom paliwa.

- To raczej prymitywny sposób - zauważyłam. Mój umysł odruchowo wzdragał się przed takimi nudziarstwami. Zdążyłam już nauczyć się w szkole, że różne tego rodzaju rytuały i formalności to zwykłe zawracanie głowy. - Przecież chyba w kokpicie jest wskaźnik paliwa?

- Jasne - odpowiedział. - Właśnie opowiedziałem ci o paru drobiazgach, które mogą zepsuć się w tym samolocie. A nie wydaje ci się, że wskaźnik paliwa też może się zepsuć?

- No, chyba tak.

- Od tego „chyba” zależy twoje życie. Albo śmierć. Rozpoznałam ton, którym rugał Graysona. Wobec mnie mógł sobie darować takie teksty. Wciąż stojąc na drabince, odwróciłam się w jego stronę i spojrzałam z urazą.

Chyba zdał sobie sprawę, że przesadził, więc uniósł obie ręce do góry i wyjaśnił:

- Zastanów się chwilę. Gdyby zepsuł się wskaźnik paliwa w twoim samochodzie i nagle okazałoby się, że nie masz już benzyny - co byś zrobiła?

- Zjechałabym na pobocze.

Tak naprawdę, nie byłam tego pewna. Nie miałam jeszcze piętnastu lat, brakowało mi półtora miesiąca, żeby móc zdawać na prawo jazdy. Poza tym mojej matki przecież nigdy nie było w domu, więc niby jak miałam się nauczyć jeździć? Nie mówiąc o tym, że nie miałyśmy samochodu...

- No, właśnie - powiedział. - A co będzie, kiedy zepsuje się wskaźnik w twoim samolocie i nagle okaże się, że nie masz już paliwa?

- Co? Rozbiję się?

Powiedziałam to z przekąsem, właściwie żartem. Ale kiedy opuścił ramiona, zdałam sobie sprawę, że to właśnie i nic innego musiałoby nastąpić.

Od tej chwili bez słowa sprzeciwu robiłam, co mi kazał. Za dużo tego było na raz. Zasypał mnie wiadomościami - za dużo zwłaszcza dlatego, że nagle zdałam sobie sprawę, iż od tego wszystkiego może zależeć moje życie, a także życie innych ludzi - o ile rzeczywiście zostałabym kiedyś pilotem. Moje mrzonki o witaniu pasażerów na pokładzie okazały się żalostną głupotą. Okej, byle tylko zachować twarz, byle pan Hall się nie zorientował, że nic z tego nie kumam. Przebrnę jakoś przez tę lekcję i na tym koniec z lataniem. Pierwszy i ostatni raz.

Pokazał mi, jak należy otwierać ogromne wrota hangaru. Do wnętrza wdarł się przedwieczorny powiew wiatru. Potem powiedział mi, że mam mu pomóc wypchnąć samolot. Myślałam, że żartuje - jak mamy tylko we dwoje poruszyć taką wielką maszynę? Ale zaraz zdałam sobie sprawę, że przecież już widziałam, jak ludzie robią coś takiego. To znaczy, że samoloty są lżejsze, niż się wydaje. Pchałam z tyłu, pan Hall ciągnął za pomocą urządzenia połączonego z przednim kołem. Samolot jakby sam się wtoczył na pas startowy. Wsiedliśmy do niego. W środku nie było żadnych luksusów, tapicerka jak w tanim samochodzie. Podłączyliśmy wielkie słuchawki, żeby móc się wzajemnie słyszeć.

- Zaczynamy! - Pośród trzasków rozległ się jego głos. Nacisnął jakiś guzik. Śmigło w jednej chwili zaczęło obracać się tak szybko, że stało się niewidoczne. Poczułam potężną wibrację. Pan Hall wyprowadził samolot na pas do kołowania, minął kolejne hangary, potem skręcił maszyną na pas startowy. Przyczepy znalazły się dokładnie za naszym ogonem. Drugi koniec pasa nikł gdzieś w oddali. Serce biło mi jak oszalałe.

- Teraz sprawdzimy kontrolki. - W słuchawkach jego głos brzmiał metalicznie. - Nie chodzi jednak o to, żeby po prostu popatrzeć na wskaźniki. To są rutynowe czynności, ale nie wolno nam popaść w rutynę. Musisz dotknąć każdego wskaźnika i świadomie upewnić się, że działa.

Musiałam więc dotykać kolejnych czarnych kółek na wysoko umieszczonym panelu wznoszącym się krzywizną przed nami. Potem pokazał mi, jak posługiwać się kierownicą - kiedy poruszał nią, kierownica umieszczona przede mną powtarzała jego ruchy - oraz pedałami. Spoglądaliśmy przez okna, żeby upewnić się, że poszczególne części samolotu wykonują jego polecenia. Zrobiło mi się niedobrze, a w słuchawkach rozległ się jakiś dziwny szum. Musiało stać się coś okropnego.

Pan Hall wyciągnął rękę i na pozór niezgrabnymi palcami odgiął mój mikrofon, tak że znalazł się kilka milimetrów dalej od ust. Ten straszny szum, to był odgłos mojego gorączkowego sapania.

- Czytałaś może „S-kadrę”? - spytał. - Albo słyszałaś o Chucku Yeagerze?

- Nie - próbowałam odpowiedzieć niedbałym tonem, ale zabrzmiało to, jakbym właśnie się dusiła.

- Chuck Yeager był pilotem oblatywaczem sił lotniczych. To pierwszy człowiek, który w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku przekroczył barierę dźwięku. Inni piloci nie mogli wyjść z podziwu, bo facet bez problemu gotów był ryzykować życiem - a jeszcze bardziej zdumiewało ich, z jakim spokojem to robił

- przynajmniej takie wrażenie się odnosiło, słuchając go przez radio. Wszyscy piloci mówią teraz głosem Yeagera, zwłaszcza rozmawiając przez interkom i zwracając się do pasażerów. Zrozumiano?

- Zrozumiano - oczywiście nie miałam pojęcia, o czym mówi.

- Głosem Yeagera posługujemy się też przez radio, niezależnie od tego, w jakie kłopoty byśmy się wpakowali. Histeryczne wrzaski, które może usłyszeć ktoś postronny, są niedopuszczalne, bo to źle wpływa na interesy. Powiedz to teraz głosem Yeagera.

Powtórzyłam jego słowa oraz wygłosiłam w przestrzeń informację na temat lotniska oraz naszego samolotu, żeby inni piloci przebywający w okolicy nie zderzyli się z nami podczas startu. W słuchawkach mój głos brzmiał tak, jakbym miała sześć lat. Zaraz ze wszystkich hangarów wybiegnie tłum pilotów i mechaników, wyleją się jak mrówki, żeby wyciągnąć dzieciaka z kokpitu.

- A teraz - odezwał się pan Hall - posłuchaj: mówiłaś mi, że lubisz patrzeć na samoloty i że sprawiają wrażenie, jakby zaraz miały spaść.

- Owszem. I to jeszcze zanim wiedziałam to, co wiem już teraz. Kątem oka dostrzegłam, że poruszył się, że odwraca się

w moją stronę. Odwróciłam się więc także. Odkąd wcisnęliśmy się do kokpitu, pierwszy raz ośmieliłam się choćby drgnąć. Przechylił głowę na bok, przyglądając mi się. Z jego ogorzałej twarzy nie sposób było czegokolwiek wyczytać, jednak jego głos brzmiał łagodnie i dobrotliwie:

- Możesz popełnić mnóstwo błędów. Piloci popełniają te błędy i z powodu tych błędów giną. Ginę także z przyczyn zewnętrznych. Na przykład zjawiska atmosferyczne mogą cię zabić. Teraz jednak pokażę ci, że samolot jest twoim przyjacielem. Bo samolot chce latać.

- O ile ma paliwo - zauważyłam cierpko.

- Paliwo pozwoli silnikowi rozpędzić się do prędkości pięćdziesięciu pięciu węzłów, czyli około stu kilometrów na godzi-

nę - i niczego więcej nam nie trzeba. Kiedy powietrze zacznie przemieszczać się z tą prędkością pod skrzydłem i nad nim, profil skrzydła tworzy siłę nośną. Samolot to zdumiewający wynalazek. Patrz.

Odwrócił się do przodu. Silnik zawył, pędziliśmy przed siebie. Poniewczasie zdałam sobie sprawę, że teraz już nie da się wysiąść.

- Widzisz? Nic nie robię - odezwał się znowu.

Rzeczywiście, nie trzymał dłoni na kierownicy. Uniósł je, rozprostowując palce. Tymczasem minęliśmy właśnie hangar firmy Simon Air Agriculture i unieśliśmy się w powietrze.

- Siła nośna. Siła, która powstaje dzięki genialnej konstrukcji tej maszyny.

Wystrzeliliśmy nad drzewa, pas pod nami skończył się. Nadal się wznosiliśmy. Nie zdawałam sobie dotąd sprawy, jak rozległy jest ten las. Ciągnął się aż po horyzont. Samolot z wolna przechylił się na bok, zaczęliśmy zataczać krąg, zawracaliśmy w stronę lotniska. Nigdy dotąd nie zdałam sobie sprawy, jaki kawał drogi dzieli moje biuro od kempingu z przyczepami. Dotąd sądziłam, że to całkiem niedaleko, bo nie było tam drzew czy budynków, aż do pierwszego hangaru - tymczasem było to mylne wrażenie. Odległość okazała się całkiem spora.

Potem przelecieliśmy lotem koszącym nad przyczepami. Kiedy patrzyłam z góry, drogi wydawały się biec w innych kierunkach, inaczej też przedstawiały się wąskie prześwity między przyczepami. Zdałam sobie sprawę, że to z tej perspektywy widać rzeczywiste proporcje. Mój dotychczasowy punkt widzenia, na poziomie przyczep, prowadził do zniekształcenia perspektywy. Wypatrzyłam moją przyczepę, rozpoznałam ją po położeniu metalowego dachu wobec ciemnej korony palmy rosnącej tuż przy oknie mojego pokoju; była wyższa od innych pobliskich drzew. Za sekundę, kiedy samolot wzniósł się wyżej, zobaczyłam ocean.

- O Jezu!

Mój własny głos zabrzmiał w słuchawkach tak donośnie, że aż zabolaly mnie uszy. Chyba zapomniałam o Chucku Yeagerze, czy jak mu tam, który zawsze zachowywał spokój. Sądziłam, że pan Hall mnie ochrzani, ale tylko zaśmiał się - a ja gapiłam się przez okno.

Cóż, Heaven Beach, jak sama nazwa wskazuje, położone jest nad morzem. Inni mieszkańcy widywali ocean każdego dnia. Ja niby zdawałam sobie sprawę z jego bliskości, natomiast równie dobrze mogłby znajdować się w odległości miliona kilometrów od przyczepy, a nie dwóch. A teraz - proszę, błękitna przestrzeń naznaczona białymi grzywami fal zmierzająca ku horyzontowi.

- Teraz ty przejmiesz wolant - polecił pan Hall.

Wolant. Nie żadna kierownica. Przestałam wyglądać przez boczne okno, oparłam dłonie na uchwytych, zacisnęłam palce. Czułam, że mimo to drżą.

- Nie bój się, nie spadniemy - zapewnił mnie pan Hall. - Jak pamiętasz, stery po mojej stronie dublują twoje stery. Jeżeli popełnisz jakiś błąd, ja go naprawię. Wystarczy, że zrobisz, co ci powiem, a będziesz kierować samolotem. Jednak najpierw istotna formalność: chodzi o to, żeby nie doszło do sytuacji, w której oboje równocześnie próbujemy coś zrobić z tą maszyną. Przekazując ci stery, mówię: „twój samolot”. Ty odpowiadasz: „mój samolot”.

- Mój samolot - wychrypiałam szeptem.

- Naciśnij prawy pedał. Z początku delikatnie, żeby go wyczuć. Wtedy zaczniemy skręcać.

Zrobiłam, jak kazał. Samolot zaczął oddalać się od linii plaży. Pilotowałam go! Wszystko to widziałam po raz pierwszy w życiu i pewnie ostatni. Ten natłok wrażeń był niemal ponad moje siły. Rzuciłam okiem za siebie, przez ramię, żeby jeszcze raz spojrzeć na ocean - zafascynowana tym pięknym skrawkiem planety, którym wszyscy inni mogli się cieszyć, który znajdował się tak blisko miejsca, w którym mieszkałam, a który zarazem pozostawał dotąd całkowicie poza moim zasięgiem.

Lecieliśmy - ba, ja leciałam! - nad budynkiem szkoły, nad tanim supermarketem położonym przy autostradzie. Oba budynki wyglądały w zasadzie tak samo, po prostu płaski, czarny dach, wielki prostokąt i mniejsze kwadraty przytulone do nich - sala gimnastyczna oraz dział ogrodniczy, a na górze srebrzyste kubiki przemysłowych klimatyzatorów. Nie potrafiłabym odróżnić szkoły od marketu, gdyby nie widniejące na frontonach wielkie szyldy, które z góry wydawały się malutkie.

Pan Hall kazał mi kierować się z powrotem w głąb lądu, więc obawiałam się, że to już koniec lekcji. Ale nie, polecił mi znowu skrócić na wschód w stronę oceanu, potem na północ. Lecieliśmy nad wybrzeżem, mogłam zobaczyć nadmorskie miasteczka, w których nigdy nie byłam. Ośrodki cywilizacji przeplatane rezerwatami, szerokie rzeki płynące przez mokradła do morza. Dolecieliśmy aż do przylądka Fear w Północnej Karolinie. Tego dnia po raz pierwszy w życiu przekroczyłam granicę stanu Południowa Karolina. Na horyzoncie pojawiły się przedmieścia Wilmington, kiedy pan Hall odezwał się:

- Moglibyśmy wylądować i spotkać się z moimi chłopakami, ale chyba by się nie ucieszyli. Pora wracać. Ja mogę latać po ciemku, ale ty nie. Na dzisiaj wystarczy tego dobrego.

Zgodnie z jego instrukcjami zawróciłam samolot, pewnie po najszerszym łuku, jaki mogła wykonać tak niewielka maszyna. Kiedy leciałam po prostej, znów wzdłuż wybrzeża i nie zaciskałam już tak kurczowo dłoni na wolancie, spytałam:

- Dlaczego nie widuje się pan częściej z synami?

- E tam, żartowałem - odmruknął. - Alec i Grayson mieszkają z matką, a Jake jest w collegeu.

Pośród ryku silnika wypełniającego kabinę zastanawiałam się, o co właściwie chciałam go zapytać. W końcu powiedziałam:

- Wygląda na to, że starają się wpadać do Heaven Beach przy każdej okazji, żeby z panem polatać.

- To moja wina - uciał pan Hall. - Popełniłem błąd.

Niepotrzebnie go pytałam, bo teraz oboje poczuliśmy się niezręcznie. Usiłowałam na gwałt wymyślić coś, co można by powiedzieć, jakieś pytanie na temat latania albo lotniska, albo na jakikolwiek inny temat, byle nie dotyczący jego synów.

- Tak, naprawdę paskudny błąd - ciągnął. - Próbowałem go naprawić, ale niektórych rzeczy po prostu naprawić się nie da.

Poruszył się w fotelu i wyciągnął przed siebie ramiona, jakby chciał odepchnąć od siebie złe wspomnienia i być może właśnie o to mu chodziło, jednak z mojego punktu widzenia oznaczało to coś całkiem innego: jeżeli w nieodpowiedni sposób poruszę wolantem, mam mniejsze szanse, że nas uratuje, więc pilnowałam się, żeby nie wykonać najmniejszego ruchu.

- Rany! - zawołał. - Jaki piękny dzień, żeby sobie polatać.

Pilotowałam przez całą drogę powrotną do Heaven Beach. Potem kazał mi powiedzieć „twój samolot” i przejął stery. Jednak przez całe lądowanie tłumaczył mi wszystko, każdy swój ruch, co i dlaczego. Samolot dotknął ziemi tak delikatnie, że zorientowałam się, iż jedziemy już po betonie dopiero, gdy do mojej świadomości dotarł nowy odgłos - kół toczących się po pasie. Potem jeszcze pozwolił mi pokierować na ziemi samolotem do hangaru Firmy Lotniczej Hall - chyba dopiero wtedy dowiedziałam się, że to się nazywa „kołowanie” - a na koniec pokazał mi, jak wyłącza się silnik. Znów razem wepchnęliśmy maszynę na jej miejsce w hangarze.

Zamykałam właśnie wielkie metalowe wrota, kiedy usłyszałam jego głos:

- O, cześć!

Przez boczne drzwi weszła kobieta w średnim wieku. Miała na sobie świetnie skrojony żakiet, włosy starannie ułożone w niedbałą fryzurę, była mocno umalowana, pachniała kwiatowymi perfumami - całkiem jakby dopiero co wyszła z pracy. Pocałował ją w policzek i przyprowadził do mnie za rękę.

- To jest Sofie - przedstawił mi ją. - Sofie, poznaj moją nową uczennicę. Nazywa się Lea.

- Witaj. - Sofie wyciągnęła w moją stronę dłoń z lśniąco czerwonymi paznokciami.

Nie bardzo wiedziałam, jak się zachować. Z uprzejmymi dorosłymi miałam do czynienia dopiero od miesiąca, a mianowicie odkąd pracowałam dla nich w biurze - i ci nie podawali mi ręki. Domyśliłam się jednak, że mam uścisnąć jej dłoń, co też uczyniłam.

Uśmiechnęła się do mnie.

- O rany, uśmiech od ucha do ucha! Chyba podobało ci się tam, w górze.

- O, tak...

To śmieszne. Ludzie często mieli coś do powiedzenia na temat mojej twarzy. Podobno byłam całkiem niebrzydka. Potrafiłam też skutecznie i przekonująco przybrać wyraz twarzy pod tytułem „spierdalaj”. Ale jeszcze nikt nigdy nic nie powiedział na temat mojego uśmiechu.

- To co? O tej samej porze za tydzień? - spytał pan Hall. Czułam, jak mój uśmiech się ulatnia.

- Hm.

Pewnie, że strasznie chciałabym polecieć w przyszłym tygodniu. Gdybym mogła, poleciałabym już następnego dnia. Co tam następnego dnia, od razu bym poleciała. Jednak potrzebowałam więcej niż tygodnia, żeby odłożyć na kolejną lekcję.

Niemal natychmiast dodał:

- Już jest po sezonie, a w interesach zastój. Teraz w ramach promocji dwie lekcje za cenę jednej. Czyli w przyszłym tygodniu za darmo.

- Świetnie.

Wiedziałam, że to jałmużna. I przyjęłam ją bez słowa sprzeciwu.

- Idziemy na kolację - powiedział, wskazując kciukiem za ramię. - Wybierzesz się z nami?

Spojrzałam przelotnie na Sofie, która wciąż się do mnie uśmiechała. Nie, wyraźnie nie miała nic przeciwko temu, żeby zabrał mnie na ich randkę. Tylko że ja nie chciałam. Lekcja pochłonęła praktycznie wszystkie moje zasoby, a nie mogłam pozwolić, żeby płacili za moje jedzenie. Jałmużna - tak, ale bez przesady.

- Strasznie dziękuję - odpowiedziałam - ale mama już pewnie czeka na mnie z kolacją.

Omiał się nie roześmiałam, bo to było największe kłamstwo tego dnia - jeszcze odleglejsze od prawdy niż to, że Grayson jest moim chłopakiem, jeszcze bardziej skandaliczne niż fałszerstwo. Ruszyłam pospiesznie ku drzwiom.

Nim ruszyłam w świetle zachodzącego słońca ku domowi, zajrzałam jeszcze po drodze do biura, żeby spod kontuaru recepcji wyciągnąć butelkę wody. Nigdy nie potrafiłam zrozumieć, jak można płacić za wodę niegazowaną tyle samo, co za wodę gazowaną. Albo po co kupować wodę gazowaną? Kupowałam więc jedną butelkę, zabierałam każdego wieczora ze sobą do domu, gdzie myłam ją i napełniałam na nowo. Butelki zmieniałam dopiero wtedy, gdy pojawiała się groźba, że złażąca nalepka zdradzi mój sekret. Ale to nie był ten dzień. Kupiłam sobie jednak paczkę krakersów z automatu stojącego w pokoju wypoczynkowym. Czasem, kiedy matka pojawiała się w przyczepie, zastawiałam potem pełną lodówkę - robiła to z myślą o mnie. Jednak nie tym razem, przecież była bez forsy. Inaczej nie sprzedawałaby telewizora. Zaburczało mi w brzuchu na myśl o porządnej kolacji, jaką mogłam zjeść z panem Hallem.

Przechodząc obok pogrążonego w mroku hangaru Simon Air Agriculture, wetknęłam do ust pierwszego krakersa. Zamiast tego marzył mi się papieros. Ale przecież tego dnia zostałam pilotem, teraz miałam jakiś rzeczywisty cel w życiu.

Trzy lata później
Grudzień

Tego popołudnia w biurze lotniska panował przedziwny spokój. Nic się nie działo. Aż nagle podskoczyłam i czasopismo wyleciało mi z rąk. Aplikacja meteorologiczna na lotniskowej komórce podniosła alarm. Rzuciłam okiem na telefon, potem na niebo za oknem, wyłączyłam sygnał i poprzez „szybkie wybieranie” połączyłam się z Firmą Lotniczą Hall. Odebrał pan Hall.

- Wesołych świąt, Lea.

Zła wiadomość, którą musiałam mu przekazać, uwięzia mi w gardle. Nadal był moim instruktorem pilotażu, a od kwietnia przyszłego roku miał zostać moim szefem. Biznes. Ale na przerwę świąteczną przyjechali do niego Grayson i Alec, przyjechał też na urlop Jake z Afganistanu. Tydzień wcześniej, kiedy weszłam do hangaru jego firmy, roiło się tam od chłopaków, którzy wygłupiali się i popychali. Ciepło, rodzina. I to samo nietypowe ciepło usłyszałam teraz w głosie pana Halla.

Tym trudniej było mi to powiedzieć:

- Właśnie dostałam komunikat od służby meteorologicznej. Nadchodzi burza. Czy Grayson jeszcze jest w powietrzu? Musi pan go jak najprędzej sprowadzić na ziemię.

Usłyszałam sygnał w telefonie. Pan Hall się rozłączył.

Nastawiłam telefon na prognozę pogody. Radar pokazywał rozległy, paskudny sztorm nadciągający w ekspresowym tempie znad Atlantyku.

Odłożyłam telefon, żeby spojrzeć przez wielkie okna wychodzące na pas startowy. Grayson, Alec i ja skończyliśmy osiemnaście lat i w ciągu minionych miesięcy zdobyliśmy wszyscy zawodowe licencje, więc pan Hall wreszcie mógł na czas przerwy wiosennej i w lecie zatrudnić nas zamiast przygodnych pilotów. Przez całe dni lataliśmy na przemian starodawnymi samolotami, a pan Hall uczył nas, jak po wystartowaniu podejmować leżące na ziemi banery, a po przelocie wzdłuż plaży przed lądowaniem upuszczać je nisko nad ziemią. Wykonałam przelot podczas przerwy na lunch, a po mnie do samolotu wszedł Grayson. Z mojego miejsca w recepcji widziałam, jak startował. Nie widziałam, żeby wylądował.

Sądząc po tym, jak gwałtownie pan Hall zakończył rozmowę, nie myliłam się. Grayson wciąż jeszcze był w powietrzu.

Nie było co się obrażać, chociaż nawet nie powiedział „dziękuję”. Pozbierałam rozrzucone strony gazety i powróciłam do lektury; rozkoszny luksus, którym syciłam się codziennie w wolnym czasie między różnymi obowiązkami, o ile pochłonęłam już od deski do deski całą treść wydania „Piane and Pilot” z danego miesiąca. Oprócz kursów pilotażu i licencji, przez te lata wydarzyło się jeszcze jedno - zaprzyjaźniłam się z dziewczyną, która przyszła jako nowa do naszej szkoły. Na imię miała Molly. Wspaniałe było to, że Molly nie wstydziła się pokazywać w moim towarzystwie, więc dzięki niej przestałam być kompletnym wyrzutkiem. Gorzej, że była normalną dziewczyną, miała normalny dom i normalną rodzinę. W porównaniu z nią tym bardziej zdawałam sobie sprawę, jak bardzo odstaję od reszty. Dzięki tej przyjaźni stopniowo uświadamiałam sobie, w jakim stopniu moje życie różni się od jej życia, od życia Graysona i właściwie wszystkich moich rówieśni-

ków. Na przykład moja matka nigdy nie kupowała żadnych magazynów ani gazet. Odwróciłam stronę na nekrologi.

Coś mignęło za oknem. Odetchnęłam z ulgą. Grayson ląduje. Nie słyszałam silnika, ale to mnie nie zdziwiło. Z tej odległości od pasa małych samolotów często nie było słycać.

Kiedy jednak odłożyłam gazetę i podeszłam do okna, żeby upewnić się, że siadł bez problemu, nie zobaczyłam samolotu. To coś, co mi mignęło za oknem, to byli Alec i Jake, którzy przebiegli obok budynku biura, w stronę, gdzie powinien wylądować Grayson. Trochę wolniej biegł za nimi pan Hall.

Nie był to dobry znak. Kiedy któreś z nas zgarniało baner, zawsze ktoś inny pilnował, czy lina i transparent rozwinęły się prawidłowo, czy nic się nie poplątało, czy z samolotu nie odpadła jakaś część. Poza tym zazwyczaj nie obserwowaliśmy swoich startów i lądowań. Skoro teraz nawet pan Hall wybiegł na płytę lotniska, znaczyło to, że Grayson ma poważne kłopoty.

Pstryczkiem na ścianie przełączyłam komunikaty na zewnętrzny głośnik. Kiedy Grayson powie przez radio, że się zbliża, będziemy go słyszeć. Potem zapiełam zamek błyskawiczny mojej cienkiej kurteczki, zresztą jedynej kurteczki, jaką miałam. Zbyt lekkiej, żeby ochroniła mnie przed chłodem tego dnia, ale przecież musiałam zobaczyć, co się dzieje. Wetknęłam do kieszeni służbową komórkę i wyszłam na zewnątrz.

Lodowaty wiatr uderzył mnie w twarz i wepchnął mi kudły do oczu, zupełnie nie przyjmując się tym, że przecież zebrałam je gumką w kucyk. Wciąż jeszcze widać było niebieskie niebo, ale nad drzewami pojawiły się już złowrogie ciemnoszare chmury. Kilka obłoczków przemykało nad moją głową, ich cienie pędziły po ziemi prędzej niż samoloty. Po jednej stronie budynku biurowego stalowa linka pobrzękiwała o maszt flagowy, łomotała, wydając pusty, metaliczny dźwięk, który przywodził na myśl kościelny dzwon. Powinam opuścić flagę, zanim nadejdzie burza, przemknęło mi

przez myśl. Pomarańczowy rękaw wiatrowskazu wyprostował się całkowicie, w dodatku prostopadle do kierunku pasa startowego. Silny wiatr z boku. Niedobrze.

Kilka metrów dalej stali wszyscy trzej, każdy z nich patrzył w niebo, każdy w innym kierunku. Wypatrywali Graysona. Przez kilka ostatnich dni często widywałam zarówno Aleca, jak i Jakea, ale nigdy razem. Teraz uderzyło mnie, jak bardzo są do siebie podobni - chociaż Jake był o pięć lat starszy. Muskularni, te same jasno blond włosy - chociaż Jake obcięty był na jeża, bo przecież był w wojsku. Te same otwarte, przyjazne twarze i swobodna postawa. Takie same stare džinsy i bluzy, tego samego kroju kurtki. Ręce na biodrach, przystojni jak modele z żurnala, w naturalny sposób, zupełnie tego nieświadomi. Wyglądali jak na zdjęciu zrobionym przez ich matkę - fotografię pokazał mi kiedyś pan Hall.

Czułam się tak niezręcznie, że o mało się nie zaczerwieniłam. Podeszłam i stanęłam obok pana Halla. Alec był w moim wieku i pewnie naturalną kolejną rzeczą powinnam stanąć przy nim, a nie przy jego ojcu, który był już panem w średnim wieku. Rzecz w tym, że po tych trzech latach spędzonych na lotnisku, wciąż nie znałam zbyt dobrze Aleca, Jakea czy Graysona. Przyjeżdżali do Heaven Beach tylko na lato, na święta i czasem na weekendy. Znałam ich w sumie o tyle, że przyglądałam im się, siedząc na ganku przed biurem, a oni kręcili się wokół hangarów Firmy Lotniczej Hall. Przekomarzali się, kłócili się, wyzywali się od najgorszych. Czasami kłócili się na dobre, wtedy zdarzało się, że jeden drugiemu przyłożył, zanim trzeci z braci nie rozdzielił walczących i nie zawołał ojca. Przyglądałam im się z zawiścią i długo potem wspominałam, co się między nimi działo. Dałabym wszystko, żeby móc do nich dołączyć, żeby móc poczuć się częścią tej hałaśliwej, szorstkiej w obejściu rodzinki. Ale to jasne, że trzymali ze sobą i nie potrzebowali nikogo więcej. Miałabym się z pyszna.

A potem, mniej więcej rok przed tą burzą, zaraz przedtem, jak Jake został wysłany do Afganistanu, pan Hall powiedział mi, żebym przysłała jak zwykle na lekcję pilotażu. Przeszłam przez asfalt, podeszłam do hangaru i przez boczne drzwi usłyszałam głosy chłopaków. Nie chciałam im przerywać ani przeszkadzać, ale wydawało mi się, że najlepiej będzie, jeżeli tam wejść bez żadnych ceregieli. Tak jak zawsze. Więc nie zapukałam, pchnęłam drzwi.

Zobaczyłam ich wszystkich i usłyszałam głos Aleca:

- Myślicie, że ją posuwa?

- Jezu Chryste, pewnie, że nie - oburzył się Jake.

- Jasne, że ją posuwa - stwierdził Grayson. - Jak myślisz, z jakiej racji ten skąpy dziad dawałby jej lekcje za darmo?

Drzwi wysliznęły mi się z dłoni i walnęły o metalową ścianę z hukiem. Jakby ktoś strzelił z armaty. Wszyscy trzej drgnęli nerwowo i odwrócili się w moją stronę. Alec siedział rozwalony na leżaku, Jake opierał się o nos czerwonego pipera, Grayson dłubał w silniku. Przez chwilę stałam, przetrawiałam zasłyszane słowa, próbowałam nie wyciągać z nich wniosków. Może wcale nie o to im chodziło. Nie o to, o czym myślałam. Może wcale nie mieli na myśli pana Halla. I nie mnie.

W następnej chwili zdałam sobie sprawę, że z całą pewnością właśnie o to im chodziło. Jake wbił wzrok w cementową podłogę i potrząsnął głową, jakby chciał powiedzieć, że głupio wyszło, że nie powinnam tego słyszeć, ale w sumie, co go to obchodzi. Alec zaczął dźwigać się z leżaka, a Grayson gapił się na mnie znad silnika samolotu. Spoglądał chłodno i miało to znaczyć: „A co, może nie? Zaprzeczysz?”

Czemu niby miałam zaprzeczyć? Odwróciłam się na pięcie i nie spojrzałam za siebie ani razu, nawet jak doszłam już do biura. Powiedziałam tylko Leonowi, że może wracać do swojej roboty, bo jednak tego dnia nie będę miała lekcji pilotażu.

Przez cały rok od tego dnia nie opuściłam ani jednej lekcji. Latanie było dla mnie zbyt ważne. Natomiast synów pana Halla unikałam, jak tylko mogłam. Zresztą, oni też nie szukali mojego towarzystwa. Jake był w Afganistanie. Alec i Grayson rzucali mi grzeczne „cześć”, kiedy nie mieli innego wyjścia, a nawet otwierali przede mną drzwi biura, kiedy dźwigałam pudło pełne dokumentów, prawdziwi dżentelmeni z południa, a może chłopcy z południa, którym ojciec pogroził palcem i zapowiedział, że źle z nimi będzie, jeżeli nie będą zachowywać się jak dżentelmeni. Może nawet chcieli przeprosić, ale nie trafiła się odpowiednia chwila, a teraz wiedzieli, że lepiej już zostawić wszystko, jak jest, niż odgrzebywać tę historię. A poza tym to i tak bez znaczenia, bo przecież nic dla siebie wzajemnie nie znaczyliśmy.

Tymczasem dla mnie miało to znaczenie. Zdałam sobie z tego sprawę, kiedy patrzyłam, jak Jake i Alec wpatrują się w niebo. Dla nich byłam obca, a ja patrzyłam na nich jak na jakichś bohaterów z durnego serialu w telewizji, takiego serialu, na którego kolejny odcinek czeka się przez cały tydzień. No, czekało się, dopóki moja mama nie zaniósła telewizora do lombardu. W każdym razie, dość jednostronna relacja.

Wszystko jedno. Serce waliło mi jak oszałałe na myśl, że jednego z nich czeka paskudnie ciężkie lądowanie.

- Cholera. Nie do wiary - rzekł sam do siebie pan Hall.

- Wiem... - powiedziałam.

- Sprawdziałem prognozę przez cały dzień. Przecież nie pozwoliłbym mu wystartować. Ta burza wzięła się znikąd.

- Wszystko przez to, że jest zima i jesteśmy tak blisko oceanu - pozwoliłam sobie na truizm. - Burze pojawiają się nagle i niespodziewanie.

Cokolwiek stanie się z Graysonem - a niepokoiłam się bardzo -nie chciałam, żeby pan Hall przypisywał sobie winę. Ale przecież i tak będzie to robił.

- Zgadza się - przytaknął pan Hall. - Masz rację. Musisz być lepsza ode mnie.

To był jeden z jego ulubionych tekstów, przy tym najczęściej powtarzany przez jego synów. „Musisz być lepszy ode mnie, musisz być lepszy ode mnie...!” - powtarzali, przedrzeźniając ojca za jego plecami. Miałam nadzieję, że Grayson naprawdę jest lepszy od pana Halla, a przynajmniej ode mnie, bo szczerze wątpiłam, czy wylądowałabym przy takim wietrze.

W głośnikach rozległy się trzaski, potem spokojny, beznamiętny głos Graysona, opanowanego niczym Chuck Yeager. Oznajmił, że zamierza upuścić baner.

Pan Hall musiał być w tamtej chwili bardzo z niego dumny, ale nie pokazał tego po sobie. Skrzyżował tylko ramiona na piersi i dalej patrzył w niebo.

- Jest tam. - Alec pokazał palcem. Widzieliśmy już samolot, małą kropkę nad drzewami i słyszeliśmy go, odległe brzęczenie silnika przebijające się przez szum wiatru.

Teraz zatrzeszczało radio, które pan Hall miał zawieszzone u paska. Znowu usłyszeliśmy niewzruszony głos Graysona:

- Co z wiatrem? Nadal niekorzystny?

Powiedział to nie na częstotliwości należącej do lotniska, tylko na tej, której Firma Lotnicza Hall używała do komunikacji ze swoimi pilotami, ale nadal wypowiadał się publicznie, więc musiał zachowywać spokój. W zwykłych okolicznościach wcale nie przypominał Aleca czy Jakea, wcale nie był spokojny. Już sobie wyobrażałam, jak lecą wszystkie możliwe przekleństwa, kiedy tylko wyłączy radio.

Chyba że kręci go niebezpieczeństwo, adrenalina - pomyślałam. Akurat jeżeli chodziło o Graysona, to całkiem prawdopodobne.

Pan Hall rzucił okiem na wiatrowskaz, po czym uniósł radio do ust.

- Zgadza się, niekorzystny.

Mijały długie minuty, patrzyliśmy, jak kropka zbliża się do pasa, widać było już baner - nitkę ciągnącą się za kropką. Znalazł się nad pasem i zaanonsował się pogodnym tonem przez głośnik, potem zawrócił, żeby dokonać finalnego podejścia i znów się zaanonsował, dokładnie tak, jak nauczył nas wszystkich pan Hall. Samolot schodził coraz niżej, ryk silnika rozlegał się coraz donioślej.

Po trzech latach przyglądania się, jak piloci zrzucają i podejmują baner, ten widok wciąż robił na mnie wrażenie: jak maleńki był samolot, jak długi ciągnął transparent, jak wysokie i jaskrawe były czerwone litery. Baner, który ciągnął tym razem, a właściwie ciągnęliśmy wszyscy troje z Alekiem - na zmianę i przez cały tydzień - został z lata i głosił: PO ZACHODZIE SŁOŃCA 2 W CENIE 1. RESTAURACJA BEACHCOMBERS. Zastanawiałam się czasami, czy właściciel knajpy nie będzie miał nam za złe, jeżeli pojawią się klienci żądający dwóch drinków w cenie jednego i okaże się, że lokal nieczynny jest już od września. Ale przecież w grudniu nie było żadnych klientów, a w każdym razie żaden z amatorów promocji raczej nie wybrał się na bezludną plażę w pochmurny dzień.

Napis PO ZACHODZIE SŁOŃCA 2 W CENIE 1. RESTAURACJA BEACHCOMBERS zbliżał się do nas coraz bardziej, a samolot wydawał się tym bardziej mikroskopijny. Przed lądowaniem Grayson musiał zejść jak najniżej, na tyle, żeby bezpiecznie zrzucić baner, jednak tym razem było to wyjątkowo trudne. Nos maszyny kierował się ukośnie w naszą stronę, nie wzdłuż pasa. Chodziło o to, żeby przeciwstawić się sile wiatru. Nagle stracił kontrolę, przechylił się gwałtownie, lewym skrzydłem do góry. Wszyscy czworo wydaliśmy stłumiony okrzyk.

Wyprostował zaraz maszynę, akurat na naszej wysokości. Był tak blisko, że widziałam nawet ten słomkowy kowbojski kapelusz, który zawsze nosił, ale poza tym w oknach odbijały się chmury, więc nie dostrzegłam niczego więcej.

- Rzucaj, rzucaj, rzucaj! - wrzasnął pan Hall, nie do radia, tylko w powietrze.

Niczym na jego komendę uwolniony od ciężaru samolot wystrzelił w górę, by znaleźć się na bezpieczniejszej wysokości. Baner przez ułamek sekundy zwisał w powietrzu, po czym zaczął z wolna dryfować ku ziemi. Przynajmniej tak z początku to wyglądało. Cała nasza czwórka zdała sobie sprawę, że leci prosto na nas w tej samej chwili, kiedy Grayson odezwał się w radiu pana Halla:

- Może lepiej, żebyście poszli sobie gdzie indziej.

Alec i Jake rzucili się do ucieczki po jednej stronie budynku, ja i pan Hall po drugiej. Ponad dwumetrowej szerokości baner pędził ku nam, wijąc się jak wąż, niewiarygodnie prędko jak na taką wielkość. Trzask! Metalowy pręt wyrznął w oszklone drzwi.

Skrzywiłam się, ale kiedy poszłam z powrotem przed budynek, ku mojemu zdziwieniu okazało się, że szyba wytrzymała. Teraz pręt miotał się tam i z powrotem po betonie, szarpała nim wstęga transparentu szalejącego na wietrze. Alec i Jake rolowali ją od drugiego końca, który zawinął się po przeciwnej stronie budynku.

- Nieźle dmucha - zawołał Jake.

Wiedziałam, że Grayson ma kłopoty, kiedy tylko zobaczyłam, jak biegną jego bracia i ojciec. Jednak gdybym miała jeszcze jakieś wątpliwości, teraz wszystko stało się aż nazbyt jasne: pilot myśliwca, który spędził rok na wypełnianiu niebezpiecznych zadań w Afganistanie, był wyraźnie zaniepokojony.

- Może niech ląduje na innym lotnisku - zawołał Alec do ojca.

- Oglądałam tę burzę na radarze - powiedziałam do pana Halla. - To jakiś potwór. Monstrum. Grayson nie da rady się przez nią przebić. Przydałoby się lotnisko z inaczej ukierunkowanym pasem.

Chodziło o to, żeby mógł lądować pod wiatr, bo wiatr boczny najbardziej utrudnia utrzymanie kursu. Dokonałam w myślach błyskawicznego przeglądu okolicznych lotnisk - na wybrzeżu,

na północ i południe od nas. Na większości z nich ćwiczyłam lądowania i starty.

- Florence - wypowiedzieliśmy tę nazwę jednocześnie, ja i pan Hall. Podniósł znów radio do ust.

- We Florence jest kilka pasów biegnących w kilku różnych kierunkach. Proponuję, żebyś tam lądował. Pojedziemy po ciebie, a jutro wrócimy po samolot.

- Stąd do Florence jest ponad sto kilometrów - usłyszałam głos Graysona. - Nie dolecę. Zabraknie mi paliwa.

- Zrozumiałem - rzekł pan Hall do radia. Znów spojrzął na wiatrowskaz. Alec i Jake zdołali zwinąć oporny baner w wielką, pękatą belę, a następnie upchnąć go na ganku pod ścianą, za fotelem, żeby go stamtąd nie wywiało. Wszyscy wyszliśmy z powrotem na płytę lotniska, żeby spoglądać, jak samolot leci wzdłuż pasa, potem zawraca. Grayson musiał powtórzyć te same czynności, co podczas pierwszego podejścia, tylko tym razem powinien wylądować.

No właśnie: powinien.

To niesprawiedliwe, że musiał zmagać się z tym samotnie. Nic nas nie łączyło, ale gdyby moja kolej nie wypadła wcześniej, to ja siedziałabym teraz za sterami tego samolotu. Podnosząc głos, żeby przekrzyczeć wiatr, powiedziałam do pana Halla:

- Może przydałaby mu się jakaś rada od pana? Potrząsnął głową.

- Uczyłem was, jak należy postępować. Pytanie, czy wy się tego nauczyliście. Nie wiem. Ten dzieciak nigdy nie miał za grosz instynktu samozachowawczego. Teraz też pewnie uważa, że to świetna zabawa.

Rzeczywiście, Grayson był czarną owcą w rodzinie i jechał cały czas na adrenalinie, popisując się i pakując się w kłopoty. Obrywało mu się za palenie, picie, trawę, przekraczanie dozwolonej prędkości, wagary... Pan Hall opowiedział mi o tym wszystkim podczas naszych lotów. Zamartwiał się, czy jego była żona poradzi

-

sobie z samotnym wychowywaniem Graysona. Za to Alec narażał się najwyżej tym, że nie zgadzał się kablować na Graysona. Mimo wszystko wątpiłam jednak, by nawet Grayson uważał lądowanie przy takiej pogodzie za dobrą zabawę.

Niepokoiliam się, ale przecież dla Aleca musiało to być dziesięć razy cięższe przeżycie. Nie byli do siebie podobni pod żadnym względem, nie sprawiali wrażenia, jakby byli szczególnie zżyci. Alec trzymał się raczej Jakea, w zasadzie wręcz był w niego zapatrzony, a Grayson chadzał własnymi drogami i jak mówiłam, pakował się w kłopoty. Jednak mimo wszystko byli braćmi, do tego bliźniakami. Nie zdziwiłam się więc, kiedy Alec zasłonił dłonią usta, spoglądając na oddalający się samolocik.

Zaskoczyło mnie natomiast, że Jake objął Aleca ramieniem.

Przez głośnik rozległ się spokojny głos Graysona. Czerwony samolocik podchodził do lądowania, znajdował się siedem metrów, dziesięć metrów nad ziemią...

Mrużyłam oczy, broniłam się przed uderzeniami lodowatego wichru, który niósł też ze sobą wciąż zbliżający się ku nam nikły odgłos silnika. Nagle maszyną szarpnęło na lewo, motor zawył. Grayson posługiwał się orczykiem i pedałami sterowania, walcząc z wiatrem. Ja też walczyłam, wczuwałam się w jego sytuację, zacisnęłam dłonie w pięści, czułam napięcie w ramionach, w stopach. Wstrzymywałam oddech.

Samolotem szarpnęło jeszcze kilka razy to w jedną, to w drugą stronę, przechylał się i znów wyrównywał. Aż w końcu znalazł się już kilkadziesiąt centymetrów nad pasem, kilka centymetrów, dotknął go kołami. Samolot wylądował tak równo i gładko, jakby wcale nie było wiatru.

- Doskonale - mruknął pan Hall.

Samolot wciąż jeszcze szybko kołował, kiedy wiatr nagle go przechylił na bok, jednym skrzydłem w niebo, drugie szorowało o asfalt.

- Szlag... - warknął pan Hall. Ja też wydałam jakiś dźwięk, coś między zachłyśnięciem się a okrzykiem. Jake przytrzymał drugą ręką Aleca, przyłożył dłoń do jego piersi, żeby chłopak nie ruszył natychmiast biegiem przez płytę lotniska. Nie mogliśmy już nic dla Graysona zrobić, zresztą i on już niczego zrobić nie mógł. Byliśmy zupełnie bezsilni. Ktoś jęknął:

- Nie, nie, nie, nie, nie...

Skrzydło powędrowało jeszcze wyżej, tak wysoko, jak tylko było to możliwe. Jeszcze chwila, a samolot przewróciłby się na wznak. Jednak w następnej chwili jakby zaczęło opadać, jakby wiatr na chwilę osłabł.

A potem potężny powiew chwycił za ogon maszyny, uniósł go i obrócił samolotem, tak że piper wykonał fikołka - a właśnie tego najbardziej się obawialiśmy i właśnie dlatego większość ludzi nie chce już latać tymi staromodnymi samolocikami. Wicher przeturlał maszynę tak, że znów poruszała się do przodu, po czym cisnął ją na drzewa.

Teraz biegliśmy wszyscy. Jake i Alec wyprzedzili mnie w mgnieniu oka. Mogłam tylko mieć nadzieję, że będą potrafili udzielić pomocy Graysonowi, kiedy się przy nim znajdą. Na razie widziałam jedynie jaskrawoczerwony samolot ustawiony pod dziwnym kątem na tle ciemnej plamy lasu. Skupiłam się na powierzchni pod moimi stopami, potem na nierównym gruncie - trawę ostatnio tu koszone w październiku - potem biegłam już pasem startowym, a przez całą drogę moja nieodłączna butelka wody tłukła się niemiłosiernie w kieszeni kurtki. Kiedy byłam już blisko, przypomniałam sobie, że w drugiej kieszeni mam telefon komórkowy. Wyciągnęłam go i wystukałam 9 1 1.

Jednak w tej samej chwili wszyscy trzej wychynęli spod skrzydła: najpierw Jake, potem Alec, wreszcie Grayson. Śmiali się jak szaleni.

Zatrzymałam się na asfalcie. Płuca paliły mnie boleśnie, marzyłam o tym, żeby pochylić się i oprzeć dłonie o kolana, nie zamierzałam jednak zrobić czegoś takiego na oczach chłopaków.

Odwróciłam się i zawołałam do pana Halla, że Graysonowi nic się nie stało. On zresztą też ich zobaczył, nie biegł już, tylko szedł. Przyciskał dłoń do serca.

Szłam jeszcze po trawiastym stoku, na którym znalazł się samolot, kiedy usłyszałam głos Jakea:

- Szkoda, że Admirał tego nie widział. Miałbyś jak w banku list polecający od niego i mógłbyś startować na pilota marynarki wojennej. Wiesz, chodzi mi o lądowanie na lotniskowcach.

Jake darzył Admirała bezgranicznym podziwem ze względu na jego wyczyny wojenne.

Grayson oczywiście wiedział, że to wyjątkowy komplement. Po jego uśmiechu widać było, jaki jest zadowolony.

- E tam. Nic takiego.

Nawet jego oczy się śmiały, co robiło dziwne wrażenie. Rzadko zdarzało mi się widywać Graysona bez ciemnych awiatorów i słomkowego kowbojskiego kapelusza. Pewnie zapodziały się gdzieś w kokpicie.

- Szkoda, że tego nie sfilmowaliśmy - odezwał się Alec. - Powinieneś się zobaczyć, Grayson. Naprawdę kilka razy wyglądało, że już po tobie. Chyba ze trzy albo i cztery razy, nie?

- Raczej sześć albo siedem - poprawił go Jake.

- Nie muszę tego oglądać, siedziałem w środku - odparł Grayson. - A zresztą, jeżeli uda nam się skombinować traktor, żeby zaciągnąć samolot z powrotem na pas i uda się maszynę odpalić, mogę zrobić dubla dla kamery.

Jake i Alec ryknęli śmiechem. Alec powiedział:

- Tak właśnie myślałem: „Grayson pewnie świetnie się bawi”.

- Ojciec też tak sądził - dodał Jake. Zaczął przedrzeźniać pana Halla, w czym zresztą wszyscy jego synowie byli świetni: - „Ten

chłopak pewnie uważa, że to świetna zabawa. Nigdy nie miał za grosz instynktu samozachowawczego".

Ich śmiech umilkł, kiedy zbliżył się do nas pan Hall. Grayson dalej się uśmiechał, ale w jego oczach już śmiechu nie było. Czekał na werdykt ojca.

Drugi raz tego popołudnia wstrzymałam oddech. Kiedy coś nie grało w Firmie Lotniczej Hall, zazwyczaj była to wina Graysona - bo zapomniał o czymś albo coś spieprzył. Tyle, że pan Hall przejawiał skłonność przypisywania mu winy nawet wtedy, kiedy problem spowodował Alec albo Jake, albo sam pan Hall we własnej osobie, albo po prostu była to niczyja wina. Już kilka razy miałam zamiar powiedzieć o tym panu Hallowi, ale w końcu przecież to nie była moja sprawa.

Pan Hall klepnął Graysona w ramię, potem przesunął dłoń na jego kark.
- To, co zrobiłeś, synu, nazywa się „pętla naziemna”. Znowu wszyscy wybuchnęli śmiechem. Pan Hall także. Grayson odpowiedział z przekąsem:

- Dzięki, tato. Zapamiętam to sobie.

- A teraz sprawdźmy, jaką krzywdę zrobiłeś mojemu samolocikowi.

Pan Hall obszedł czubek skrzydła pogrążony w trawie, zmierzając ku nosowi maszyny. Alec i Jake poszli za nim, natomiast Grayson został na miejscu. Teraz, kiedy już na niego nie patrzyli, jego jasne brwi ściągnęły się. Spojrzał na samolot, na niebo. Przygryzł wargę.

- Na pewno wszystko w porządku? - spytałam szeptem. Popatrzył na mnie tymi swoimi szarymi oczami, jakby dopiero

teraz zauważył, że tu jestem. Odpowiedział, też szeptem:

- Tak naprawdę, to chyba zaraz się porzygam.

- Będę cię osłaniać.

Patrzył na mnie jeszcze przez krótką chwilę, jakby mi nie ufał. Potem odwrócił się na pięcie i pobiegł między drzewa.

Podeszłam do pana Halla i chłopaków stojących za skrzydłem. Zajrzałam im przez ramię, gdy sprawdzali śmigło, obracając je ostrożnie rękami. Sprawiało wrażenie nieuszkodzonego. Czekałam, aż zauważą, że nie ma Graysona.

- Grayson? Gdzie on jest? - zawołał pan Hall. Popatrzyłam na skrzydło za siebie.

- O, cholera. Chyba paliwo wycieka.

- Co? - wrzasnął pan Hall.

Zostawili w spokoju śmigło i stłoczyli się teraz przy skrzydle. Pokazałam zadrapanie, tak jakbym sądziła, że może ono wskazywać na uszkodzenie baku. Zaczęli stukać w skrzydło, przesuwając rękami wzdłuż niego, obmacywać palcami łączenia. Po kilku długich minutach pan Hall popatrzył na mnie, jakbym straciła rozum.

Wyczułam za sobą obecność Graysona.

- Aha, czyli wszystko w porządku. To dobrze - powiedziałam.

Wyprostowali się, a następnie dokonali krótkiego podsumowania. Grayson stał pośród nich, ale nie komentował, zachowywał się natomiast, jakby przez cały czas im towarzyszył. Konkluzja sprowadzała się do tego, że samolot właściwie wcale nie jest uszkodzony, natomiast zanim zacznie padać, należy go zaciągnąć do hangaru i tam dokonać dokładniejszych oględzin. Nie patrząc na Graysona, podałam mu moją butelkę z wodą. Upił łyk, po czym wypluł wodę na trawę.

Potem wszyscy ruszyli w stronę hangaru. Zimny wiatr znów niósł ku mnie ich śmiech. Nie, to nie było tak, że o mnie zapomnieli, bo przecież wcale nie należałam do ich rodziny. Dlaczego niby mieliby pamiętać? Chociaż trzeba przyznać, że pan Hall w ogóle nie zwracał na mnie uwagi, tak jakbym nie stała ramię w ramię z nim, gdy obserwowaliśmy lądowanie.

No i dobrze. Chociaż raz wszyscy trzej synowie byli razem z nim. Właściwie nie zdarzyło się to już nigdy więcej. A było Boże Narodzenie. I Graysonowi nic się nie stało.

Nie zwalniając, Grayson rzucił przez ramię w moją stronę bezgłośnie: „dzięki”. A potem odwrócił się, nie czekając na moją odpowiedź.

Miesiąc później, po powrocie do Afganistanu, Jake zginął w katastrofie lotniczej. Serce pana Halla tego nie wytrzymało. Minał następny miesiąc i pan Hall poszedł za synem do grobu. A więc dobrze się złożyło, że przynajmniej tego jednego dnia byli razem, a ja nie pałętałam się po hangarze firmy, i nie psułam im tego.

W kieszeni zadzwonił telefon. Wciąż jeszcze patrząc na odchodzących w swoją stronę pana Halla i jego synów, podniosłam komórkę do ucha.

- Tu lotnisko w Heaven Beach - zorientowałam się, że mój głos drży. Wyciągnęłam telefon na długość ramienia i odetchnęłam głęboko. Zaczęłam od nowa, tym razem zabrzmiało to już normalnie, spokojnie i profesjonalnie: - Mówi Lea. Czym mogę służyć?

Kwiecień

Spokojny, niemal bezduszny głos Admirała odezwał się przez głośnik. Oznajmiał innym pilotom znajdującym się w okolicy, że zbliża się do lotniska. Wiatr niósł już odgłos jego silnika, ale maszyna była jeszcze zbyt daleko, żeby można ją było zobaczyć. Siedziałam na jednym z bujanych foteli na ganku biura, gotowa pobiec na płytę, kiedy Admirał wylądował, i umieścić kliny pod kołami jego samolotu. Głównie jednak zajmowałam się spoglądaniem znad gazety, poprzez pompy paliwowe i maszt flagowy, w stronę hangaru Firmy Lotniczej Hall. Pierwszy raz od śmierci pana Halla zobaczyłam półciężarówkę Graysona i samochód Aleca. Normalka, zaczął się tydzień ferii. Ja też miałam wolne w szkole. Pomyślałam, że z pewnością poświęcę ten tydzień, żeby uporządkować rzeczy pozostawione przez pana Halla, papiery, gadżety, sprzęt, narzędzia, wyposażenie... Krótko mówiąc, przygotować wszystko do sprzedania, łącznie z czterema samolotami. Mówiąc jeszcze krócej - zgarnąć forszę. Już nie musieli dla niego pracować, żeby mieć kasę na opłacenie studiów.

To było paskudne z mojej strony, że tak myślałam. Naprawdę musiało im być ciężko, taka konfrontacja z rzeczami pozostałymi po ojcu to nic fajnego. Pewnie nawet samo przebywanie w hangarze bez ojca i bez Jakea było bolesne. Zresztą nie raz i nie dwa w ciągu tej długiej soboty spędzonej w pracy myślałam sobie, żeby zajrzeć do nich i spytać, czy mogę w czymś pomóc.

Powstrzymało mnie wspomnienie pogrzebu pana Halla. Do domu pogrzebowego zabrali mnie Admirał z żoną. To pewnie ona podsunęła Admirałowi, żeby spytał, czy mnie nie podrzucić. Jasne, że nie cierpię, kiedy ktoś mi robi łaskę, ale gdyby mnie nie podwieźli, po prostu nie mogłabym tam pójść. Akurat były walentynki i Molly była umówiona z facetem. Przecież nie mogłam jej poprosić, żeby zrezygnowała z randki dlatego, że jest pogrzeb.

W kaplicy domu pogrzebowego, a potem na cmentarzu, stałam przy żonie Admirała, jakbym należała do jej rodziny. Admirał siedział na przodzie, bo był bardzo bliskim przyjacielem pana Halla, zresztą to on go znalazł w jego mieszkaniu. Siedział więc obok Aleca i Graysona, a żaden z chłopaków nawet nie spojrzał w moją stronę.

A powinni. Przede wszystkim powinni od razu do mnie przyjść i spytać, czy orientuję się w systemie porządkowania dokumentów stosowanym przez pana Halla. Był to system dość szczególny, więc mogłam im oszczędzić długich godzin mozolenia się nad papierzyskami. Nie zapytali jednak, a ja nie zamierzałam się napraszać. Owszem, przez kilka sekund między mną a Graysonem nawiązała się jakby swoista komitywa - cztery miesiące wcześniej, kiedy rozbił się piperem - ale teraz te parę sekund już się nie liczyło. Nie mogłam za to zapomnieć tego, co powiedział rok wcześniej: „Z jakiej racji ten skąpy dziad dawałby jej lekcje za darmo?”. Gdybym choćby wściubiła nos do hangaru, zaraz by sobie pomyśleli, że czegoś od nich chcę.

Gapiałam się więc na lotnisko. W pewnej chwili Grayson otworzył boczne drzwi hangaru. Chociaż on i Alec byli bliźniakami, nie istniała obawa, żeby ktoś mógł ich ze sobą pomylić. Alec - przystojny, zawsze uśmiechnięty, sympatyczny. Grayson - wysoki, muskularny, wyglądał niechlujnie, taka osiemnastoletnia wersja pana Halla.

W chwili śmierci pan Hall miał dwadzieścia pięć kilo nadwagi, włosy niemal zupełnie posiwiałe, jak Admirał, a na twarzy miał wyżłobiony zmarszczkami wyraz przygnębienia. Jednak przez te trzy i pół roku mojej pracy na lotnisku prawie codziennie widywałam przyszpilone w prawym dolnym rogu korkowej tablicy wiszącej nad biurkiem pana Halla jego zdjęcie jako smukłego pilota myśliwca. Ręce trzymał w kieszeniach kombinezonu. Na twarzy malował się trochę krzywy, łobuzerski uśmiech. Pochylał się, jakby zaraz miał stracić cierpliwość i zabrać fotografowi aparat.

Tego ciepłego wiosennego dnia Grayson miał na sobie T-shirt, szorty cargo, klapki oraz jak zawsze słomkowy kowbojski kapelusz i przeciwsłoneczne okulary-lustrzanki. Emanowało od niego to samo zniecierpliwienie, co od ojca. Frustrację dało się wyczuć przez pół lotniska, chociaż otworzył tylko z hukiem drzwi i sięgnął po coś do ciężarówki. A może po prostu znudziło mu się ślęczenie nad dokumentami i zamierzał już odjechać. Potem Alec będzie narzekał, że to on zasuwał cały dzień, a Grayson po prostu się zerwał. Spór może przerodzić się w kłótnię, którą będę obserwować z ganku. Ba, przynajmniej wtedy w ich rodzinie wydarzy się coś takiego jak dawniej.

Mylłam się. Grayson minął ciężarówkę, szedł dalej w moją stronę. Raczej nie tyle w moją stronę, co w stronę budynku, przed którym akurat siedziałam, bo tak się złożyło. Uznałam, że pewnie chce wziąć z biura dokumenty dotyczące najmu hangaru albo planu lotów. Żeby dostać się do środka, będzie musiał przejść obok mnie. Wypadałoby więc, żeby powiedział „cześć” albo po prostu udał, że mnie tam nie ma. Jedno albo drugie. W każdym razie zapowiadało się nasze pierwsze spotkanie od śmierci pana Halla. Palce aż zaboląły mnie od zaciskania ich na krawędzi strony gazety, dopiero w tej chwili zdałam sobie sprawę, jaki gniew mnie ogarnął.

Grayson i Alec nie dotrzykali towarzystwa swojemu ojcu. Nie byli dla niego rodziną przez te ostatnie trzy i pół roku, nie pomogli

mu jakoś uporać się ze śmiercią Jakea. Ja ich zastępowałam. Znalazłam się u boku pana Halla, bo oni tego nie zrobili. I nie, jasne, że nie zostałam kochanką pana Halla, ale może w jakiś sposób zastępowałam mu córkę i może w zamian za to pozwalał mi latać swoimi samolotami. Odkąd zmarł, skończyły się darmowe przejażdżki. Koszt wynajęcia jakiegoś innego samolotu wynosiłby tyle, co wynagrodzenie za dwadzieścia godzin mojej pracy na lotnisku. Przez dwa miesiące od jego śmierci byłam uziemiona, jakby nic się nie zmieniło od dnia, kiedy mama przywlekła mnie tutaj i zamieszkałyśmy w Heaven Beach. A teraz Grayson i Alec sprzedadzą samoloty pana Halla.

Na tę myśl zrobiło mi się przykro, tak przykro, że aż coś się we mnie ścisnęło. Nie wiedziałam do końca, co powodowało panem Hallem, ale lubiłam go, bo był dla mnie miły, miał poczucie humoru... Wcale nie za to, że dawał mi coś, czego chciałam. Poczułam się winna, że żał po jego śmierci i żał za utraconym lataniem pojawiły się w tej samej ponurej myśli. Przez to poczucie winy łzy napłynęły mi do oczu.

W tej samej chwili przestraszyłam się, że Grayson, którego dzieliło ode mnie już co najwyżej dwadzieścia kroków, uzna te łzy za udawaną żalobę po jego ojcu. Ostrożnie dotknęłam czubkami palców wewnętrznych kącików oczu, aby usunąć kompromitujące ślady wilgoci.

Niepotrzebnie się niepokoiłam tym, co Grayson mógłby zobaczyć, spoglądając w moją stronę. Mój fotel znajdował się w odległości około metra od drzwi biura, ale on nawet nie spojrzał w tym kierunku. Wszedł przez rozsuwane drzwi, jak zwykle w pośpiechu. Nie odezwał się ani słowem. Nie niósł żadnych dokumentów. Drzwi automatycznie zamknęły się za nim. Przez chwilę rozlegał się tylko szum ciepłego wiatru wiejącego znad Atlantyku i poruszającego wysokie trawy rosnące wzdłuż pasa startowego oraz tłuczenie się stalowej linki o maszt flagowy.

Chyba jednak czegoś od niego chciałam. Właściwie nawet wy-
czekiwałam tej konfrontacji. Tymczasem on zignorował mnie całkowicie,
co oznaczało wyrok bez odwołania. Całkiem jak niespodziewana śmierć
pana Halla.

Wypadł z powrotem na zewnątrz. Przestraszył mnie, aż rozdarłam
stronę gazety. Miałam nadzieję, że tego nie zauważył.

A zresztą, nawet jeżeli zauważył, kogo to obchodzi? Pójdzie przez
lotnisko do swojego hangaru i nawet się nie obejrzy. I wszystko jedno,
czy będę na niego patrzeć, czy nie.

Jednak zaskoczył mnie znowu, bo usiadł na bujanym fotelu obok mnie,
po czym podał mi butelkę wody kupioną w dystrybutorze stojącym w
pokoju wypoczynkowym. Przestraszyłam się, że zauważył nieco już
zużytą moją butelkę stojącą na kontuarze i chciał mi dać w ten sposób do
zrozumienia, że potrzebuję nowej, ale przy całej paranoi, jaką nabyłam z
powodu nędzy, przynajmniej potrafiłam zdać sobie sprawę, kiedy obsesja
ubóstwa pada mi na mózg. Raczej po prostu chciał się odwdzińczyć za
tamtą butelkę, którą dałam mu, kiedy się rozbił. A może po prostu to tylko
taki miły gest z jego strony.

Rozparł się w fotelu i założył jedną długą nogę na drugą, opierając
kostkę o kolano, kłapek zwisał z jego stopy. Z rękami założonymi za
głowę wyglądał niczym Admirał i inni piloci, którzy przesiadywali tu
popołudniami i patrzyli, jak startują i lądują samoloty, opowiadając sobie
przy tym świńskie kawały... Urywali w pół zdania, kiedy się pojawiałam.
Ciekawa byłam, czy Grayson specjalnie ich naśladuje.

W głośniku znów rozległ się głos Admirała, który podchodził do
lądowania.

Odruchowo spojrzeliśmy, Grayson i ja, ponad dwumiejscowy-mi i
czteromiejscowymi samolotami zaparkowanymi na płycie lotniska,
ponad powierzchnią trawy marszczącej się na wietrze, w stronę końca
pasa startowego. Samolot admirała był już widoczny, szybko zniżał się
nad przyczepami.

Grayson odezwał się:

- I co tam, Lea?

Starannie złożyłam gazetę. Grayson nie mógł się domyślać, że miałam z tego powodu poczucie winy. Znowu paranoja. Wetknęłam ją pod udo i odpowiedziałam:

- I co tam, Grayson?

- Wiem, że ojciec obiecał zatrudnić cię od przyszłego tygodnia - odpowiedział. - Po jego śmierci nic się nie zmieniło.

Oparłam głowę o fotel i spojrzałam na niego, starając się przybrać jak najbardziej znudzony wygląd za moimi własnymi lotniczymi okularami. Próbowałam zrozumieć, co chciał przez to powiedzieć. Przecież śmierć pana Halla zmieniła wszystko.

W następnej chwili oświeciło mnie i już wiedziałam, o co Graysonowi chodzi. Pochyliłam się, oparłam łokcie o kolana i spytałam:

- Chcesz spróbować poprowadzić dalej ten biznes? I chcesz, żebym latała w twojej firmie?

- Nie zamierzam niczego próbować - zaprzeczył przeciągle Grayson. - Zamierzam poprowadzić ten biznes dalej. To po pierwsze. A po drugie, tak. Zawarłaś umowę z Firmą Lotniczą Hall. Spodziewam się, że jej dotrzymasz.

Ubódł mnie tym do żywego. Co to za teksty o dotrzymywaniu umowy? Czyżby chciał przez to powiedzieć, że nie można mi zaufać, czy co?

Ale chyba nie, w jego postawie nie wyczuwałam agresji. Patrzył na mnie - przynajmniej tak sądziłam, nie mogłam być pewna, bo przecież dzieliły nas dwie pary lustrzanych okularów przeciwsłonecznych. Kołysał się powoli w fotelu i patrzył, jak na niego patrzę. Chyba. Nie widząc oczu, nie potrafiłam z jego twarzy niczego wyczytać. Wydatna szczeka pokryta kilkudniowym blond zarostem, prosty nos i słomkowy kowbojski kapelusz, bez którego rzadko się pokazywał, nie mówiły mi nic. Odnosiłam wrażenie, że postępuje dokładnie tak samo jak ja. Że jak przystało na profe-

sjonalnego pilota, działa spokojnie, czeka teraz na mój ruch i zależnie od tego, co powiem, podejmie dalsze działania.

W każdym razie z jakiegoś powodu naprawdę chciał, żebym latała w jego firmie.

Spojrzałam w stronę pasa, na którym właśnie lądował Admirał. Akurat w porę, żebym mogła wykręcić się od tej krepującej rozmowy. Kiedy biały Beachcraft siadł na asfalcie i pędził w naszą stronę, rozgrzane słońcem powietrze falowało, zniekształcając obraz maszyny. Rzuciłam do Graysona:

- Ja już mam robotę. Nie na ten tydzień, ale od początku lata.

- Nie - zaprzeczył Grayson. - Masz pracować dla mnie w tym tygodniu i przez całe lato.

Podniósł głos, bo samolot Admirała był już coraz bliżej.

- Miałam pracować dla twojego taty - skorygowałam. - Nie miałam pojęcia, że zechcesz otworzyć firmę na nowo. Nie odzywałeś się aż do dzisiaj. Co niby miałam robić? Czekać z założonymi rękami, tak na wypadek, gdybyś przypadkiem się zdecydował?

- Mogłaś znaleźć mój numer i zadzwonić do mnie - zawołał, przekrzykując ryk silnika.

- Nawet gdybyś dał mi tę robotę, to nie znaczy, że coś by z tego wynikło - odpowiedziałam, także krzycząc na całe gardło. - Polatasz przez tydzień, potem ci się odmieni i rzucisz wszystko. Zawsze tak było.

W tej chwili Admirał wyłączył silnik. „Zawsze tak było” wy-wrzeszczałam już w ciszy, moje niezbyt miłe słowa rozbrzmiały głośnym echem. Skrzywiłam się na ten dźwięk.

Na szczęście miałam świetny pretekst, żeby zwać. Podartą gazetę zostawiłam na fotelu, całkiem jakbym w ogóle o nią nie dbała i nie zamierzała jej gwizdnąć pod koniec dnia, zabrać ze sobą do domu, po czym ruszyłam w stronę samolotu Admirała. Zgarnęłam ciężkie kliny ze stojaka umiejscowionego tuż przy ganku.

- Tym razem będzie inaczej - zawołał za mną Grayson.

W lewej ręce mogłam utrzymać jeden zestaw klinów, ale prawą zgarnęłam aż dwa, żeby nie musieć wracać i dalej użerać się z Graysonem. Ciężar wyrywał mi rękę ze stawu. Miałam nadzieję, że do czasu, gdy umocuję i zabezpieczę samolot Admirala, facet wybije sobie z głowy ten wariacki pomysł. Zdawałam sobie sprawę, że Graysonowi jest ciężko, i nie chciałam mu sprawiać przykrości, ale z drugiej strony w żaden sposób nie mogłam sobie pozwolić na rzucenie obiecanej mi pracy na lato dla jakiejś mrzonki, którą sobie wydumał.

O mało nie stęknęłam z ulgą, kiedy rzuciłam pierwsze kliny pod przednie koło samolotu i nogą wepchnęłam je pod oponę. Wciąż jeszcze słuchać było wizg żyroskopów, które dopiero zwalniały, gdy Admirał otworzył drzwiczki.

- Jak tam lot? - spytałam, przywołując mój zawodowy lotniskowy głos.

- Wyśmienicie. - Admirał zeskoczył na ziemię i wyręczając mnie, wyciągnął rękę po drugi klin. - Doskonale. Ani jednej chmurki. Piękny dzień, w sam raz, żeby sobie polatać.

Poczułam ukłucie zazdrości. Mógł sobie latać, kiedy chciał, a ja byłam uziemiona już od dwóch miesięcy, a w dodatku zaraz sobie przypomniałam, jak często pan Hall mawiał „Piękny dzień, żeby sobie polatać”. Ale jak gdyby nigdy nic ciągnęłam uprzejmą rozmowę:

- Dokąd pan się wybrał?

- Zajrzałem do Darlington, a potem jeszcze do Orangeburga.

Skinęłam głową. Wsunęłam kliny pod trzecie koło i umocowałam liną samolot do haka umieszczonego w asfalcie. Kiedy wyprostowałam się, Admirał patrzył w stronę Graysona, który nadal kołysał się na fotelu przed biurkiem.

- Co tu robi Grayson? - spytał mnie półgłosem.

- Twierdzi, że chce dalej prowadzić firmę ojca.

- Poważnie?

Co dziwne, wcale nie powiedział tego z niedowierzaniem. W jego głosie usłyszałam raczej... Czy ja wiem, podziw? Ruszył w stronę biura, przeszedł parę kroków, zanim odwrócił się i rzucił do mnie:

- Dzięki, Lea.

Pomachałam mu w odpowiedzi, następnie obeszałam samolot i pochyliłam się, żeby umocować samolot z drugiego boku. Przy okazji słuchałam rozmowy Admirala z Graysonem i spoglądałam na nich przez włosy spadające mi na oczy. Spodziewałam się, że Grayson nie wstanie z fotela, dalej będzie się bujał, a Admirał pochyli się nad nim, by rzec kilka słów zachęty i pociechy, na tyle cicho, że ich nie usłyszę. Tymczasem Grayson wstał i wyciągnął dłoń do Admirala - chociaż Admirał miał jeszcze kilka kroków do przejścia.

Admirał uściskał dłoń Graysona i jednocześnie poklepał go po ramieniu.

- Miło znowu cię widzieć.

- Dziękuję panu - odparł Grayson. Kto wie, może nawet spoglądał Admiralowi prosto w oczy. Zupełnie jak właściciel firmy, nie jak syn właściciela.

Admirał dopiero teraz zniżył głos, żeby powiedzieć coś bardziej od siebie. Trochę wstydziłam się, że usłyszałam koniec zdania: „... najlepszych ludzi, jakich kiedykolwiek znałem”.

- Dziękuję panu - powiedział znowu Grayson.

- Daj znać, jeżeli będę mógł ci w czymś pomóc.

Admirał zniknął za oszklonymi drzwiami biura. Wiedziałam, że skorzysta z łazienki, kupi sobie paczkę M&M-sów (zakazanych w jego domu, bo żona Admirala zawzięcie walczyła z nadwagą małżonka), potem wsiądzie do swojego Infinity zaparkowanego po drugiej stronie budynku, od ulicy. Odjedzie do swojego apartamentowca i jeszcze przed kolacją pójdzie z żoną na spacer wzdłuż wybrzeża Atlantyku. Kompletna abstrakcja. Nie potrafiłam sobie

wyobrazić życia na emeryturze. Ani tego, że można mieć tyle pieniędzy, żeby móc robić, na co ma się ochotę.

Grayson znowu powoli kołysał się w fotelu na biegunach, czekał, aż uporam się z uwiązywaniem samolotu.

Przecież nie mogłam w nieskończoność guzdrać się z liną i metalowym hakiem przymocowanym do pierścienia sterczącego z asfaltu. Poczłapałam więc w stronę Graysona. Miałam co prawda zamiar przejść obok niego bez słowa i nie kontynuować rozmowy, ale nic z tego:

- U kogo masz tę drugą robotę? - spytał, zastępując mi drogę. Niby nie jego sprawa, ale trochę głupio mi było z powodu tego,

że powiedziałam mu przedtem: „zawsze tak było”. Zwłaszcza, że Admirał był dla Graysona taki miły. Zamierzałam się wykręcić z całej tej historii, ale jak najuprzejmiej. Nie zatrzymałam się, ominęłam go i otworzyłam drzwi.

- Dostałam robotę przy opylaniu u pana Simona - rzuciłam przez ramię, wchodząc do biura. Miałam nadzieję, że ta odpowiedź zadowoli Graysona i że nie polezie za mną do środka.

Stanął jednak tuż za mną.

- Lea...

Przeszedł za mną przez całą poczekalnię, potem krótki korytarz aż do przejścia prowadzącego za recepcyjny kontuar.

Odwróciłam się w tym wejściu, zdjęłam okulary i rzuciłam je na kontuar, po czym odwróciłam się i popatrzyłam na niego surowo. Chyba dotarło do niego, że przestrzeń za drzwiami uważam za moje prywatne terytorium. Wyszedł z powrotem na korytarz i do poczekalni.

Jednak nie poszedł sobie, tylko oparł się łokciami o kontuar, jakby przygotowywał się do długiej dyskusji.

- Lea - odezwał się ugodowym tonem - po co ci taka robota? Za każdym razem, kiedy zjesz owoc z ekologicznej uprawy, będą ci się przypominać setki tysięcy owoców, które posypałaś tym chemicznym świństwem.

O ile wiem, nigdy w życiu nie jadłam żadnego owocu z ekologicznej uprawy, chyba że nieświadomie, w kafejce rodziców Molly Nawet byłam ciekawa, czy smakują jakoś inaczej i czy potrafię zauważyć taką różnicę w smaku. Z całą pewnością nigdy i ani jednego takiego owocu nie kupiłam. Moją matkę szlag by trafił, gdybym zapłaciła takie pieniądze za zwykłego banana. Cóż, Grayson i ja wywodziliśmy się z dwóch różnych światów.

- Przez cały dzień będziesz wdychać to gówno - ciągnął. - Nie boisz się o swoje zdrowie?

Zaśmiałam się.

- A jakże, boję się. Właśnie dlatego wolę spędzić letnie miesiące za sterami samolotu wybudowanego w tym stuleciu.

Spojrzał na mnie z przyganą.

- Wiesz, że dbamy o nasze samoloty. Zresztą, musimy dbać. Według standardów FAA każdy samolot dopuszczony do ruchu musi funkcjonować równie sprawnie jak w dniu, kiedy został wyprodukowany.

- Te twoje zostały zbudowane w latach pięćdziesiątych.

- To był bardzo dobry czas dla samolotów. Zresztą dotąd jakoś ci to nie przeszkadzało. Poza tym masz za sobą kompletne szkolenie w holowaniu banerów. Nie zapłaciłaś za nie ani grosza. Czy nie będziesz musiała zapłacić Simonowi za szkolenie? Większość tych bałwanów zajmujących się opylaniem pobiera opłaty za to, że cię uczą, jak to robić. Obiecują, że potem dostaniesz pracę, a ty wyrzucasz tysiące dolarów na trening, po czym nagle się okazuje, że pracy jednak nie ma.

Patrzyłam na niego jak na jakąś formę życia przybyłą z kosmosu. No, bo na jakiej to planecie osiemnastolatka mieszkająca w przyczepie ma tysiące dolarów, które może na cokolwiek wyrzucić, a zwłaszcza na trening w opylaniu upraw z samolotu. Odpowiedziałam:

- Nie, nie płacę za szkolenie.

Jedna z brwi Graysona uniosła się za jego lustrzanymi okularami.

- Ciekawe, jakim cudem zgodził się na taki układ. Wydawało mi się już, że słyszę w jego głosie coś paskudnego,

ale nie chciałam go sprawdzać, dopóki nie byłam pewna. Spytałam więc niewinnym tonem:

- O co ci chodzi? Nie ma w tym nic dziwnego. Płaciłam twojemu ojcu za lekcje pilotażu i wynajmowałam jego samolot. Przez całkiem długi czas - oczywiście, że uczył mnie za pół ceny i wynajmował maszynę po obniżonej stawce, ale jednak płaciłam. Pan Hall przypuszczalnie wiedział, że w przeciwnym razie nic by z tego nie wyszło. A pozwolił mi pilotować swój samolot za darmo dopiero wtedy, kiedy zgodziłam się latać dla niego z banerami. Poza tym lotnicy czasem sobie pomagają, prawda?

- Nie. To mój ojciec pomógł tobie - skorygował Grayson.

W gruncie rzeczy wiedziałam, że ma rację. Jego ojciec był dla mnie dobry, bo tęsknił za trzema synami, którzy od długich lat z nim nie mieszkali na cały etat. Gdyby zaszła potrzeba, gotowa byłam wytoczyć ten argument. Jednak tylko w ostateczności, gdyby Grayson nie chciał zostawić mnie w spokoju. Nie chciałam tego robić, bo zbyt szanowałam jego ojca. Jednak z drugiej strony nie mogłam pozwolić Graysonowi, żeby wzbudzając we mnie poczucie winy, zmusił mnie do podjęcia tej pracy. Bo kiedy zwinie interes, zostałabym na lodzie. I wtedy mogło być już zbyt późno, żebym zdołała znaleźć na lato jakąś inną robotę związaną z lataniem.

Zaczynał mi działać na nerwy.

- Dlaczego tak się upierasz, żeby zatrudnić akurat mnie? Na początku lata znajdziesz dziesięciu studentów, którzy będą błagać, żebyś dał im robotę.

- Nie mogę czekać tak długo - odpowiedział Grayson. - Mamy podpisane umowy. Ojciec przyjął zamówienia na banery w tym tygodniu, bo wiedział, że ty, Alec i ja mamy wiosenne ferie. Potrzebuję cię od jutra.

Oparłam dłonie o biodra.

- Nie zostawiasz mi zbyt wiele czasu do namysłu.

Rozłożył ręce. Dopiero teraz wyglądał jak ten Grayson, którego znałam z oddali od trzech i pół roku; Grayson, który próbował wykręcić się sianem, kiedy znalazł się w tarapatach.

- Dopiero parę dni temu postanowiliśmy prowadzić dalej nasz biznes.

- Właśnie - powiedziałam. - Startujesz z firmą, bo masz taki kaprys. Potem kaprys minie i będzie po wszystkim. Nie mogę pracować dla czyjegoś kaprysu. Może dla ciebie to nie do pojęcia, ale ja potrzebuję prawdziwej pracy.

- W porządku.

Skrzyżował ramiona na spłowiałej koszulce z wizerunkiem jakiejś rockowej kapeli. Był wysoki i szczupły, więc dopiero w takich chwilach zwracałam uwagę, jaki jest umięśniony. Bicepsy napięły się pod rękawkami koszulki. Nie była to jednak odpowiednia chwila, żeby podziwiać jego ciało. Dotarło do mnie, że właśnie powraca Grayson, którego dobrze znałam. Czuł się osaczony, jak w momentach, kiedy ojciec krzyczał na niego. Teraz nadeszła pora kontraktaku.

- No, dobrze. W takim razie powiedz mi coś więcej o tej twojej „prawdziwej” pracy - odezwał się. - Rozmawiałaś z panem Simonem, tak?

- Nie, z Markiem - odpowiedziałam.

Wyglądało to podejrzanie, bo Grayson wyraźnie do czegoś zmierzał. Oczywiście, że Mark nie decydował o zatrudnieniu w Simon Air Agriculture, ale przecież nie wciskałby mi aż takiego kitu. Nie powiedziałby, że może znaleźć się dla mnie praca na lato, gdyby nie uzgodnił tego z wujem czy jakoś inaczej nie potwierdził, no nie?

Grayson skinął głową.

- Mark powiedział mi dzisiaj rano, że wzięłaś go do siebie na chatę.

Podniosłam dłoń do góry, jakbym chciała jednocześnie uciszyć go palcem i zasłonić własne usta. Zgroza.

Zaszumiała spłuczka w toalecie, potem zaszumiała jeszcze głośniejsze, bo Admirał otworzył drzwi łazienki. Stałam z ręką przy ustach, Grayson wypełniał przestrzeń przede mną, miał zacięty wyraz twarzy. Miałam nadzieję, że Admirał nie usłyszał, co przed chwilą powiedział Grayson. Nie przyjaźniłam się jakoś szczególnie z Admiralem, ale zakładałam, że uważa mnie za porządną dziewczynę. Grayson, najwyraźniej, wręcz przeciwnie. Nasłuchiwałam poruszeń Admirala i rozmyślałam gorączkowo: Mark był teraz z przyjaciółmi na plaży, ale rano pracował przy opylaniu. (Kroki Admirala idącego z łazienki do pokoju wypoczynkowego.) Półciężarówka Graysona stała pod hangarem Firmy Lotniczej Hall także od rana. (Admirał wrzucił monety do dystrybutora.) Ten sam mechanik pracował dla Firmy Lotniczej Hall i dla pana Simona. (Stuk: paczka M&M-sów wypadła z maszyny.) Niewykluczone, że Grayson i Mark wpadli na siebie oraz zamienili kilka słów.

- Do jutra, Lea - zawołał do mnie Admirał. Zawołał normalnym głosem, nie głosem kogoś, kto właśnie niechcący podsłuchał wypowiedziane do mnie słowa Graysona.

- Do jutra, panie Admirale! - zawołałam w odpowiedzi.

Drzwi frontowe rozsunęły się i zamknęły z powrotem. Patrzyłam dalej na Graysona i zastanawiałam się. To jednak mało prawdopodobne, żeby Mark natknął się na Graysona i od razu pochwalił się, że mieszkamy razem.

- On to naprawdę powiedział? - spytałam.

- Owszem.

- I właśnie tymi słowami?

Jednak ochłonęłam już z szoku, zdążyłam pogodzić się z tym, że Grayson wie o mnie więcej, niż bym sobie życzyła, więc zdałam sobie sprawę, że niepotrzebnie pytałam. Jasne, Mark użył właśnie

takich słów, bowiem już od jakiegoś czasu z każdą chwilą przekonywałam się coraz bardziej, że Mark to zwykły dupek.

Miałam natomiast nadzieję, że Grayson nie wie nic więcej, bo historia wcale na tym się nie kończyła. Całymi latami trzymałam się zasady, żeby nie zadawać się z Markiem i chłopakami podobnymi do niego. Stało się to prostsze, odkąd Mark skończył szesnaście lat i przestał jeździć autobusem, a potem jeszcze łatwiejsze, kiedy w grudniu poprzedniego roku (z półrocznym opóźnieniem) skończył liceum. Pracował codziennie na lotnisku, ale zazwyczaj rano i wczesnymi popołudniami, kiedy jeszcze byłam w szkole. Czasem słyszałam, jak zgłasza się na częstotliwości lotniska i patrzyłam, jak ląduje jednym z tych brzydkich air tractorów, jednak poza tym nasze drogi rzadko się krzyżowały.

Wszystko zmieniło się niecały tydzień wcześniej. Przyszedł do biura po jakieś papiery dla swojego wuja, a ja powiedziałam mu, że moja praca dla pana Halla jest już nieaktualna i spytałam, czy przypadkiem pan Simon nie potrzebuje pilotów do opryskiwania. Nie miałam ochoty mieć na co dzień do czynienia z Markiem, ale gotowa byłam to ścierpieć, byle dostać pracę za sterami. Ku mojemu zaskoczeniu usłyszałam odpowiedź twierdzącą. Byłam szczęśliwa i zachwycona, a w każdym razie odetchnęłam z ulgą.

A potem chciał się ze mną umówić. Z początku wykręcałam się, ale po kilku minutach flirtowania zgodziłam się też i na to. Miałam tylko jednego chłopaka, w dodatku w wieku czternastu lat, a na prawdziwej randce nigdy jeszcze nie byłam. Moja przyjaźń z panem Hallem nie miała w sobie nic romansowego, jednak jego śmierć pozostawiła pustkę w moim sercu - pustkę, którą pragnęłam zapełnić. Co więcej, Mark z dość obleśnego piętnastolatka wyrósł na zdecydowanie seksownego postrzelonego dziewiętnastolatka.

Kiedy po kolacji odwiózł mnie do domu, okazało się, że w przyczepie jest mama. Zazwyczaj bardzo się cieszyłam na jej widok -przynajmniej dopóki nie wyniosła telewizora albo jakichś ciuchów,

albo po prostu nie opróżniła lodówki, by potem zniknąć, zupełnie jakby przyczepa służyła jej wyłącznie za składzik... Jednak tym razem trzęsłam się ze strachu, bo przecież Mark w każdej chwili mógł wypaść, że pilotuję samoloty, albo że kiedy jestem na lotnisku, pracuję przez cały czas, wcale nie włączę się nigdzie z moim rzekomym narzeczonym, niejakim Graysonem Hallem. A nie miałam do Marka na tyle zaufania, żeby go poprosić o dyskrecję.

Odetchnęłam więc z ulgą po raz drugi tego dnia, gdy rozmowa potoczyła się w zupełnie innym kierunku. Mark zwierzył się mojej mamie, że jego matka właśnie wywaliła go z domu. Mnie o tym przedtem nie powiadomił. Moja mama odpowiedziała, że może się u nas zatrzymać - to znaczy zamieszkać u mnie - przez kilka dni, zanim znajdzie sobie jakieś inne miejsce, oczywiście, o ile pomoże jej w spłacaniu czynszu. Pomagałam już ja, nie mówiąc o tym, że płaciłam za prąd i wodę. W zasadzie chodziło o to, żeby przejąć od niej wynajem. Nie wiadomo, czy by się na to zgodził, gdyby wiedział, że tej nocy wyniesie się razem z telewizorem. Powiedziała, że zastawia go, bo potrzebuje gotówki, chce bowiem wybrać się do indiańskiego kasyna w Karolinie Północnej. I od tego czasu nie dała znaku życia.

Tak więc teoretycznie rzeczywiście przyjął Marka „na chatę”. Jednak to sformułowanie sugerowało, że robimy coś ze sobą - a nie robiliśmy. Co prawda, z początku strasznie miałam na niego ochotę. Przez tyle lat trzymałam się z dala od chłopaków, teraz nagle spojrzałam na niego w zupełnie inny sposób, a to było bardzo podniecające. Jednak tej nocy, kiedy mama wyjechała, a Mark wniósł swoje rzeczy do przyczepy, przywiózł też ze sobą piwo. Wypił za dużo, więc nic z tego nie wyszło. A potem każdego wieczora był albo zbyt narąbany, albo za długo włączył się z przyjaciółmi. Po tygodniu mieszkania z nim troszkę już mnie mdliło na jego widok.

Ale tego wszystkiego Grayson nie musiał wiedzieć.

Nadal trudno mi było cokolwiek odczytać z jego twarzy, bo nie zdjął okularów po wejściu do budynku biura. Jednak kiedy spyta-

łam go, jakimi słowami Mark określił nasze pożycie, Grayson znowu uniósł jedną brew.

- Nie wiem, do czego zmierzasz - powiedziałam. - Nie, nie rozmawiałam o pracy z panem Simonem, bo to do Marka należy latanie ze mną stearmanem przez cały ten tydzień, codziennie. Chodzi o to, żeby pokazać mi, jak to się robi i żebym zorientowała się, co będę robić w lecie. Poprosiłam już o urlop z pracy i tak dalej.

- Stearmanem? - Brew Graysona znów się uniosła.

- Tak - odpowiedziałam. - Nie możemy latać którymś z air tractorów, bo są jednomiejscowe.

- Sam słyszałem, jak pan Simon mówił do mojego ojca, że nigdy nie pozwoli Markowi zabierać kogokolwiek na pokład stearmana.

Wydało mi się to całkiem prawdopodobne, bo Mark był świrem. Odpowiedziałam jednak ostrożnie:

- Podśłuchałeś tę sensację na ganku biura? Przecież ci faceci gadają, co im ślina na język przyniesie.

Faktycznie, na przykład na tym samym ganku pan Hall nieraz mówił o swoim synu rzeczy, których Grayson raczej wolałby nie usłyszeć.

Grayson chyba zrozumiał, co mam na myśli. Brew opadła. A potem spytał:

- Mark lata z tobą każdego dnia w tym tygodniu? Ale dzisiaj nie?

- Nie - odparłam niecierpliwie. - Zaczynamy jutro.

- Jutro? O której godzinie? - naciskał. - Ustaliliście już jakąś porę?

Nie, niczego nie ustaliliśmy i szczerze mówiąc, zaczynałam już się niepokoić. Kiedy o tym rozmawialiśmy, Mark obiecywał, że zaczniemy wspólnie latać w poniedziałek rano, tymczasem była niedziela po południu i nie wspomniał już o tym ani razu, tylko upijał się na plaży. A ja bałam się spytać - lękałam się, że jeżeli powiem coś nie tak, praca przepadnie.

Cóż, Grayson mniej więcej to właśnie próbował mi przekazać. Mark okłamał mnie, żeby się do mnie przeprowadzić.

Bałam się jak cholera. Nie mogłam jednak pokazać tego po sobie wobec Graysona, więc zamiast tego wpadłam w złość.

- Nie przyszło ci na myśl, że to może być zupełnie rzetelna transakcja między pilotami? Dlaczego wszędzie dopatrujesz się jakiegoś świństwa?

- Sama sobie odpowiedz na to pytanie - odparł cierpko Grayson. Już nie opierał się łokciami o kontuar, wyprostował się na całą wysokość. - Przecież ty właśnie tak funkcjonujesz. Kiedyś zazdrościłem tym nielicznym, do których uśmiechałaś się, kiedy nalewałaś im paliwa. Jakby zrobili coś niezwykłego i zasłużyli na nagrodę. Ale teraz już rozumiem, że uśmiechałaś się do nich, bo mogli ci dać coś, czego ty chciałaś. Duży napiwek. Godziny w powietrzu. Nie uśmiechnęłabyś się do kogoś, jeżeli nie miałabyś w tym interesu.

Nigdy nie zwróciłam uwagi, na to, czy uśmiechałam się do niego, czy nie.

Hm, ciekawe. Coś jakby iskierka, cień możliwości. Zawsze był w moich oczach synem pana Halla, czarną owcą w rodzinie, niewiarygodnie przystojnym i fajnym facetem, o wiele za fajnym dla mnie. Podobał mi się, odkąd mieliśmy po czternaście lat, a teraz jakby dawał mi do zrozumienia, że nie bez wzajemności.

Nie. Mark pewnie rzeczywiście mnie oszukał. Ale nie pozwolę, żeby teraz z kolei Grayson mnie zrobił w konia. Płonęły mi policzki, kiedy oświadczyłam:

- Posłuchaj, coś ci powiem. Kiedy sprawy idą nie po twojej myśli, tracisz panowanie nad sobą i zaczynasz gadać, co ci ślina na język przyniesie. Zawsze uchodziło ci to na sucho i może nadal tak będzie, ale to kiepski sposób na rekrutację pracowników. Jeżeli istniała kiedykolwiek jakaś odrobina szansy, że będę dla ciebie latać, to spieprzyłeś ją w chwili, kiedy twoje myśli sięgnęły rysztoła.

Mój gniew wyparował. Palce bolały mnie od zaciskania ich na krawędzi kontuaru. Lustrzanki Graysona gapiły się na mnie jakby niczego za nimi nie było.

Potem przygryzł wargę.

- Potrzebuję cię - powiedział to najmiłszym jak dotąd tonem.

- Trudno.

Opuścił pięść na kontuar. Nie, nie uderzył w blat. Tylko ją opuścił. Zacisnął mocniej i otworzył dłoń.

Wziął długi, głęboki wdech. Jego szerokie ramiona uniosły się przy tym, a potem opadły. Bez słowa odwrócił się i wyszedł z biura. Przeszedł przez ganek, a następnie ruszył w stronę hangaru Firmy Lotniczej Hall. Po chwili znikł mi z oczu, już nie widziałam go przez okna poczekalni.

Razem z nim znikło całe napięcie. A kiedy tej energii zabrakło, już nic nie trzymało mnie w pionie. Opadłam ciężko na krzesło i kilka razy odetchnęłam głęboko. Czułam, że zaraz się rozkleję, ale przecież gdzieś w pobliżu mógł kręcić się Grayson. Albo Alec. Albo pan Simon. Nie mogłam rozkleić się na lotnisku. Najpierw do domu.

Pozamykałam wszystko, wyłączyłam głośnik transmitujący komunikację radiową na zewnątrz, włożyłam lotniskową komórkę do szuflady. Kiedy zaczęłam pracować, zdarzało mi się zostawać aż do ósmej, bo lepiej mi było samej tam niż w domu. Jednak urzędnik z ratusza, któremu podlegałam, ukrócił te niecne praktyki, ponieważ zużywałam zbyt dużo prądu, paląc światło. Nie wiedział, że nie mam gdzie się podziać, a ja nie zamierzałam mu o tym powiedzieć.

Kiedy zamykałam od zewnątrz drzwi biura, nie mogłam się powstrzymać i jeszcze raz rzuciłam okiem w stronę hangaru Firmy Lotniczej Hall. Półciężarówka Graysona oraz samochód Aleca wciąż jeszcze tam stały. Wrota hangaru były otwarte, tak jakby zamierzali wyprowadzić któryś z samolotów. Nie obchodziło mnie to. Powiedziałam sobie, że prędzej padnę trupem, nim zacznę latać dla Graysona Halla.

Odwróciłam się plecami do hangaru pana Halla i ruszyłam w drogę z butelką wody w jednej ręce, gazetą w drugiej. Z tym skarbem przeszłam wzdłuż prawie całego lotniska aż do trawiastej połaci, gdzie kończył się asfaltowany pas. W rogu ogrodzenia należało podnieść siatkę z jednej strony, pochylić się i przejść, by znaleźć się na ścieżce prowadzącej między drzewami.

W większości dzielnic o tej porze panowałby ruch, bo właśnie o tej porze rodzice z dziećmi wracają do domu. „Dzielnica przyczep” ożywiała się nieco później, kiedy zaczynały się imprezy. Na razie panował tam spokój. Zresztą mało kto z tutejszych prowadził uregulowany tryb życia. Niektórzy jeszcze odsypiali sobotnie szaleństwa. Akurat tego dnia zapragnęłam też zalać się w trupa.

Przeszłam tuż poza zasięgiem oszalałego pitbula. Balansując na cementowych blokach, otworzyłam aluminiowe drzwiczki, które odkąd tu zamieszkałyśmy, zostały wyważone już cztery razy -trzy razy przez złodziei, raz przez byłego chłopaka mamy, Billy'ego. Zamknęłam za sobą drzwi na zamek, przeszłam przez skrzypiący korytarzyk, zniżając wciąż lot, jakbym zamierzała wylądować, aż wreszcie zwałam się do łóżka.

Jeden z piperów pana Halla przeleciał z rykiem nad moją głową. Przez te lata pokochałam odgłos samolotów podchodzących do lądowania tuż nad naszą przyczepą. Chlubiłam się tym, że kiedy posłuchałam uważnie, potrafiłam po samym dźwięku rozpoznać, jaki

to samolot. Ale tego dnia czułam się jak moja matka, wściekałam się i przeklinałam hałas, aż schowałam głowę pod poduszki.

Gdy zwinęłam się w kłębek i objęłam ramionami kolana, usłyszałam szelest gazety pode mną. Może Grayson rzeczywiście miał rację, nie mam co liczyć na pracę u pana Simona - pomyślałam. Kiedy Mark powiedział mi, że mogę dostać robotę u jego wuja, poczułam, jakby ktoś zdjął mi z piersi ciężki kamień. Pan Simon mógłby nauczyć mnie, jak się przeprowadza opryski z powietrza. Nie zamierzałam opylać pól przez całe życie, natomiast mogłabym całkiem nieźle się urządzić, gdybym podczas studiów w college'u dorabiała przez wakacje w ten właśnie sposób, a przy okazji wylatałabym znaczną część godzin wymaganych do kolejnego certyfikatu. Dopóki Grayson nie zwrócił mi na to uwagi, nawet nie pomyślałam, że Mark może mnie okłamywać.

Ależ oczywiście, że łągał jak pies. Dopiero wtedy tak naprawdę do mnie to dotarło. Dźwignęłam się z łóżka i powlokłam do pomieszczenia służącego za kuchenkę a zarazem salonik. Skłębiony koc leżał pośrodku sofy, na której Mark spał zeszłej nocy. Cały jego dobytek piętrzył się w rogu, gdzie go rzucił, gdy mama powiedziała, że może zostać. Szmaciane worki pełne ubrań, kilka strzelb i lampa do naświetlania marihuany. Nie powiedział mi co prawda, że hoduje marihuanę, ale chłopaki w jego wieku raczej nie urządzają domowych plantacji pomidorów. Mark po prostu wyczuł, co chcę usłyszeć, i powiedział mi to, licząc w zamian na seks i darmowe lokum. Nie wysupłał ani dolara, żeby dorzucić się do czynszu, teraz wątpiłam, czy kiedykolwiek miał taki zamiar.

Przyciskałam obie dłonie do ust i starałam się z całych sił, żeby nie wpaść w panikę. Znałam to lotnisko od deski do deski, na wylot i na wskroś - nie było tam dla mnie żadnej innej roboty.

Jasna strona mojego życia przedstawiała się tak, że według wszelkiego prawdopodobieństwa miałam za półtora miesiąca skończyć średnią szkołę. Czyli krok do przodu wobec mojej mamy.

No i nie byłam w ciąży. Dwa kroki do przodu. Poza tym miałam zawodową licencje pilota.

Tylko co z tego, skoro nie miałam wylatanych godzin jako komercyjny pilot. W dodatku jedyny człowiek, który mógłby mi napisać list polecający, nie żył już od dwóch miesięcy.

Zatęskniłam za Molly. Ale nawet gdybym miała telefon, i tak bym do niej nie zadzwoniła. Nie pasowała mi rola przyjaciółki w potrzebie. Chociaż byłam w potrzebie, natomiast na pewno nie zamierzałam skamleć i użalać się nad sobą, bo to by tylko pogorszyło sprawę. Od czasu do czasu Molly wpadała po mnie, żeby zabrać mnie na przejażdżkę. Słuchałam wtedy, jak opowiada o swoich kłopotach, więc po jakimś czasie, kiedy już nikt nie mógłby mi zarzucić, że chcę czegoś dla siebie, nic nie dając w zamian, zdarzało mi się czasem wspomnieć o którymś z moich problemów. Niekiedy, ale nie tego dnia. Molly razem ze swoimi bogatymi przyjaciółmi wybrali się na koncert z okazji rozpoczęcia ferii wiosennych. Nawet gdyby było mnie stać na kupno biletu, nie wybrałabym się z nimi. Jej przyjaciele raczej za mną nie przepadali.

Molly czy nie Molly, nie ma się co mazgać - pomyślałam. U mojej mamy zawsze najbardziej wkurzało mnie to, że kiedy coś szło nie tak, próbowała stosować te same rozwiązania i oczekiwała, że ni stąd, ni zowąd pojawią się inne rezultaty. Nie miałam zamiaru powtarzać tych samych błędów. Myśleć. Myśleć!

Ale pomysłów mi brakowało, miałam pustą głowę. I pusty żołądek, aż niemal mnie mdliło. Na śniadanie zjadłam ciasteczko z dystrybutora ustawionego w pokoju wypoczynkowym. Na obiad - paczkę krakersów. Nie wiadomo dlaczego, ale spodziewałam się, że kiedy przyjdę do domu, Mark wróci z plaży. Ale teraz, gdyby się pojawił, nie poprosiłabym go, żeby zawiózł mnie do sklepu. Nie po tym, co powiedział mi Grayson. A w dodatku najbliższy sklep spożywczy znajdował się w odległości trzech kilometrów

z hakiem, czyli nie tak znowu daleko, ale w ten wieczór to był dystans nie do pokonania, zupełnie jak wędrówka pieszo do Chin.

Zajrzałam do wszystkich szafek w kuchni, znalazłam sól, paprykę cayenne i pasek suszonej wołowiny - przeterminowany o dwa lata. Na pewno przywiozłyśmy go ze sobą, kiedy się tu wprowadzałyśmy. Przeterminowana *beef jerky* to nie byle co, bo pakują tam tyle konserwantów, że nie psuje się przez dziesięciolecia. W lodówce był keczup, majonez i jedna nietknięta zgrzewka piwa, którą Mark przywiózł poprzedniego dnia, a właściwie późną nocą.

Wybrałam piwo. Rozsiadłam się na kanapie, w zagłębieniu wygniencionym przez jednego z masywniej szych chłopaków mojej mamy. Gapiałam się na ścianę, gdzie jeszcze tydzień wcześniej stał super hiper telewizor HD. Moje zdjęcia z pierwszej, drugiej i trzeciej klasy gapiły się na mnie.

Piwo cuchnęło jak ocet i smakowało jak pomyje. Poczułam się po nim dużo lepiej, więc sięgnęłam po drugie.

Popijałam właśnie trzecie i czułam się już naprawdę całkiem znośnie, kiedy półciężarówka Marka zjechała z szosy na żwirowany podjazd prowadzący do przyczep. Nie, nie jestem obdarzona nadludzkim słuchem. Ściany przyczepy były cienkie i wszystko było przez nie słyhać. Wiedziałam, że to on, bo rozpoznałam dźwięki jego ulubionej kapeli country, muzyka waliła przez otwarte okna. Moje spojrzenie powędrowało od szkolnych zdjęć na ścianie ku podłodze, gdzie piętrzył się stos gratów Marka.

Nagle popatrzyłam na to wszystko oczami Graysona albo oczami Molly. Nie bez powodu nigdy nie wpuściłam Molly do przyczepy.

I nie życzyłam sobie już towarzystwa Marka. Tyle, że on tu właśnie mieszkał. Poczułam, że ściany saloniku-kuchenki zbliżają się ku mnie, jakby chciały mnie zadusić, jakby ktoś owijał mnie folią -taką, jakiej pan Hall używał do pakowania części czy narzędzi.

Zerwałam się z miejsca i otworzyłam drzwi na oścież. Słońce znajdowało się nisko nad szczytami drzew, ale niebo było jeszcze

jasne, gdy tymczasem w przyczepie panował już mrok. Wyjęłam okulary zawieszane dotąd na kołnierzu T-shirtu i włożyłam je, po czym zesłam po schodkach.

Nigdy dużo nie piłam. Nie chciałam wypłynąć na te same mętne i zatłoczone wody, co wszyscy wokół mnie, a potem utonąć. Dwa i pół piwa to jak na mnie sporo - a nawet za dużo, bo inaczej nie zapomniałabym, że trzymam puszkę w ręce - i poczułam się trochę niepewnie na chwiejnych cementowych blokach. Zrobiło mi się gorąco na twarzy, gdy pomyślałam, co powiedziałyby Grayson, widząc takie eleganckie schodki prowadzące do przyczepy mieszkalnej.

Potem rozzłościło mnie, że obsesyjnie wracam myślą do Graysona. Mark mógł zauważyć, że spiekłam raka i pomyśleć sobie, że jestem bardziej nawalona niż w rzeczywistości, i jeszcze próbować to wykorzystać. Dobrze, że przynajmniej miałam te ciemne okulary, więc nie mógł widzieć moich oczu.

Muzyka zbliżała się i rozbrzmiewała coraz głośniejsze, doprowadzając pitbula do szału, aż wreszcie wielki pickup Marka, półcię-żarówka z orurowaniem i światłami przeciwmgielnymi wtoczyła się po zwirowanej drodze, by zatrzymać się dokładnie przede mną. Kilku siedzących na skrzyni gości z gołymi klatami (znajomi ze szkoły) pomachało do mnie na powitanie. Bez przekonania pozdrowiłam ich ruchem ręki.

Mark siedział za kierownicą; otworzył drzwiczki i wysiadł. Na fotelu pasażera siedział jego przyjaciel, Patrick. Patrick jakoś nie pasował do tych kolesi. Choćby przez to, że miał na sobie koszulę, mało tego - koszula miała oba rękawy. Czasami zastanawiałam się, dlaczego zadaje się z Markiem. Albo po co. Przypuszczałam, że chodzi o blanty.

Między nimi siedziała jakaś dziewczyna o platynowoblond włosach z czarnymi odrostami. Nie każdej lasce pasuje blond. Przerobiłam tę lekcję, obserwując moją matkę. Dziewczyna miała na sobie

jedną z koszul Marka w kratę, przewiazaną pod wielkimi cyckami w taki sposób, że tworzyła skąpy top. Sądząc po tym, co widziałam w szkole, zanim Mark ją ukończył, towar był dokładnie w jego typie. Czego nie należy uważać za komplement. I co o mnie też nie najlepiej świadczy.

- Lea! - zawołał jeszcze zza samochodu, trochę się zataczał. Niepotrzebnie się obawiałam, nie miał szans zauważyć, że jestem odrobinę nietrzeźwa. W każdym razie, był dużo bardziej pijany ode mnie. Wybełkotał: - Co ty robisz w domu?

Aż coś się we mnie skurczyło. W domu? I co za pytanie, cholera.

- Zawsze tutaj przychodzę po pracy - wyjaśniłam. Wiedziałyby, gdyby nie imprezowa! codziennie do późnej nocy. Popatrzyłam za niego, na dziewczynę siedzącą z przodu wozu.

Teraz miała trochę więcej miejsca, więc odsunęła się od Patricka. Co znaczyło, że nie była z Patrickiem. I Mark nie chciał, żebym ją zobaczyła. Myślał, że nie będzie mnie w domu.

Szok: wcale mnie to nie obeszło. Między mną a Markiem nie układało się najlepiej, ale jednak sama się zdziwiłam, z jaką ulgą przyjął fakt, że laska miała na sobie jego koszulę. Sporo dziewczyn w szkole zorientowało się już, że Mark mieszka u mnie. Mówiły, że straszna ze mnie szczęściara, bo mama pozwoliła mojemu chłopakowi zamieszkać u nas. Nie miały pojęcia, jak to jest.

Mieszkać z Markiem wcale nie było fajnie. Czułam się osaczona. Nie chciało mi się po pracy wracać do domu. Tego dnia chciałam, żeby zawiózł mnie gdzieś na kolację, bo byłam głodna, ale też po to, żeby nie siedzieć z nim sam na sam, żeby nie spoufalił się za bardzo przez długi wieczór. A on szłał się gdzieś i imprezował, ale, niestety, zawsze wracał. A gdyby tak wyniósł się raz na zawsze...

Co najdziwniejsze, zdałam sobie w tamtej chwili z czegoś sprawę. Otóż choć Grayson nie poszedł za mną i nie przeszedł przez dziurę w płocie, i przypuszczalnie nigdy tej drogi nie przebedzie,

jego spojrzenie podążało za mną. To znaczy, towarzyszyło mi. Wszystko widziałam teraz jego oczami. Nie miałam szans u faceta takiego jak Grayson, ale przez niego Mark kompletnie mi obrzydł.

Tymczasem Mark gapił się na puszkę, którą trzymałam w ręce.

- Nie dobrałaś się chyba do mojego piwa? Kupiłem je wczoraj wieczorem. Przyjechaliśmy tu właśnie, żeby je zabrać.

Nie nastawiło mnie to życzliwiej do niego, może z tego powodu, że w lodówce niczego poza tym piwem nie było.

- Kiedy wprowadziłeś się, powiedziałaś mamie, że dorzucisz się do czynszu. Gównu się dorzuciłeś, więc wzięłam sobie trzy browary. Rachunki możemy uznać za wyrównane - moje gniewne słowa wprawiły mnie w jeszcze większy gniew i dodały mi odwagi, żeby rzucić: - Chcę, żebyś się wyniósł.

- Co? - Mark spojrzał przez ramię na dziewczynę siedzącą w samochodzie, potem znów odwrócił się do mnie. - Dlaczego? - Był naprawdę bardzo pijany. Już nie miał pretensji, od razu spuścił z tonu. - Oj tam, Lea, chodź. - Objął mnie ramionami i przyciągnął do siebie.

Przez chwilę ogarnęła mnie błogość, kiedy dotykałam policzkiem jego gorącego, opalonego ramienia. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak strasznie mi brakowało tego, żeby ktoś mnie uściskał.

Trajkotanie tej laski przebiło się przez dźwięki muzyki i odgłos silnika pracującego na wolnych obrotach. Wyswobodziłam się.

- Chcę, żebyś się wyniósł - powtórzyłam.

- Twoja mama powiedziała, że mogę u was zamieszkać!

- Mojej mamy nie ma w domu. Westchnął ciężko.

- Chodzi ci o latanie? Myślisz, że cię okłamałem, bo więcej o tym nie mówiliśmy? Polecimy, spokojna głowa.

Ciekawe, czy pozwoliłabym mu zostać, gdyby obiecał, że nic się nie zmieniło w sprawie roboty z opylaniem, że mogę na nią liczyć? Nie jestem pewna i nie byłam pewna.

- Kiedy? - przycisnęłam go. Zmarszczył brwi.

- Kiedy co?

- Kiedy polecimy? W zeszłym tygodniu mówiłeś, że zaczniemy od poniedziałku. Od jutra.

Potrząsnął głową, potem zamrugał kilka razy, jak gdyby od tego ruchu stracił poczucie rzeczywistości.

- Nie, jutro nie da rady.

- No, to we wtorek - nalegałam.

- We wtorek też nie da rady. Jakoś w drugiej połowie tygodnia. - Położył dłoń na moim ramieniu. - Widzę, że jesteś wkurzona i w dodatku dałaś sobie trochę w palnik. - Znów rzucił okiem na moją puszkę piwa. - Spędzę tę noc z Patrickiem - przez co chciał powiedzieć, że spędzi ją ze swoją nową dziewczyną - a jutro sobie wszystko obgadamy.

- Nie - zaprotestowałam. - Nie będziemy o niczym jutro rozmawiać. Nie możesz zadawać się z tą zdziwą, a jednocześnie tutaj sobie mieszkać. Koniec, kropka.

Popatrzył na mnie szeroko rozwartymi oczami, obrażony.

- Mieszkam tu od tygodnia, Lea, a ty ani razu mi nie dałaś. Większość dziewczyn kuma, że jeżeli nie dają facetowi, nie ma problemu, ale facet znajdzie gdzie indziej to, czego mu trzeba.

Ujęłam podbródek dłonią i popatrzyłam na niego jak na jakiegoś dziwnego, egzotycznego stwora i jakbym ja była biologiem, naprawdę zdumionym jego dzikim zachowaniem.

- Nie - mruknęłam. - Ja tego nie rozumiem. Sorry.

- Mówię ci - wskazał kciukiem za siebie, w stronę wozu - ona nic nie znaczy. To tylko na dzisiejszą noc.

- I co z tego? Co mnie to obchodzi?

Nie wiem, dlaczego zadałam to pytanie. Chociaż dla niektórych kobiet myśl, że chodzi o jednorazowy skok w bok, a nie trwały romans, to istotna różnica. Na przykład dla mojej matki.

- Lea, proszę cię. - Podszedł bliżej. Niepotrzebnie spojrzałam w jego ciemne oczy. No, ale zrobiłam to. Omal nie wymiękłam. Powiew gorącego wiatru poruszał kędziorem jego ciemnych włosów po opalonym czole. Powiedział: - Od tak dawna chciałem z tobą być. Jeszcze jak byliśmy dziećmi i jeździliśmy razem autobusem, to marzyłem o tobie. A ty nawet nie chciałaś na mnie spojrzeć. Strasznie mi zależy, żebyśmy byli razem. Nie chcę cię stracić z powodu takiej głupoty. - Dotknął mojej ręki. - Okej?

Miał długie rzęsy. Ciepło w oczach. Kiedy tak brał mnie pod włos, wyglądał słodko. Tak łatwo byłoby mu powiedzieć, że może zostać. A on pojedzie się bawić z kumplami (i z tą dziewczyną), ale potem da sobie z nimi spokój i wróci do mnie, do domu.

Wypisz, wymaluj rozumowanie w stylu mojej matki. Jej chłopak na pewno nie miał złych zamiarów, kiedy posuwał inną laskę. A poza tym to już się nigdy nie powtórzy. No, jasne.

- Nie - powiedziałam. - Wynoś się!

Teraz już krzyczałam, a wrzask to też zachowanie żywcem wzięte z biografii mojej matki. Awantura na cały głos z facetem, przed przyczepą, a w tle warkot włączonego silnika półciężarówki. Pomyślałam, że nie ma dla mnie ucieczki, że jestem skazana, by podążyć jej śladem. Cokolwiek zrobię. Teraz naprawdę zakręciło mi się w głowie od alkoholu. Niebo między palmami przybrało dziwną barwę.

- Kochanie - mruknął przymilnie Mark i objął mnie ramieniem. Strząsnęłam je z siebie.

- Jak mówię „nie”, to znaczy „nie”! Czy tak trudno to zrozumieć? Zbieraj swoje kłopoty i zjeżdżaj stąd. Cokolwiek zostawisz, wyląduje na śmietniku.

Tego, rzecz jasna, na pewno bym nie zrobiła. To wbrew prawu. Zbyt wiele eksmisji przeżyłyśmy z moją mamą, żeby nie znać prawa.

Mark też pewnie wiedział, że nie wolno mi tego zrobić, ale widać było, że coś kombinuje. Nawet gdybym nie wyrzuciła jego gratów, skoro tak się rozzłościłam, mogłabym je przegrzebać, a tam było coś trefnego i nie chciał, żebym to coś znalazła. Trawa albo i coś gorszego.

- W porządku.

Ruszył przez dziedziniec w stronę przyczepy. Jego stopy wzbijały tuman kurzu. Wspiął się po betonowych blokach, przeskakując po dwa naraz. Obłok pyłu zbliżył się ku mnie, aż odwróciłam się, żeby go nie wdychać.

- Lea - zawołał Patrick, przekrzykując muzykę, warkot silnika i jazgot pitbula. Skinął na mnie palcem. Podeszłam i oparłam się o drzwi po stronie pasażera, zerkając przy okazji bez większego zainteresowania na tę dziewczynę. Stwierdziłam, że zanim poszła na plażę, musiała sobie nakleić nad lewą piersią nalepkę, teraz widniał tam odcinający się od opalenizny biały króliczek Playboya. -Co to za akcja? - spytał Patrick.

- Wyrzucam Marka na pysk.

Patrick uniósł obie brwi. Nie jedną, tak jak Grayson, kiedy chciał wyrazić niedowierzanie. Obie brwi.

- Ale za co?

Już wcześniej przełączyłam się na głos osiedla przyczep. Miły głos rodem z lotniska poszedł w niepamięć. Admirał by mnie nie rozpoznał.

- Mark sprowadził tutaj swoją kurwę i myślał, że się nie zorientuję, jak ją przeleci. Nie może tu zostać. Przyczepa jest zaprogramowana na samozniszczenie, kiedy wyczuwa taki niski iloraz inteligencji.

Nie była to prawda, jeśli wziąć pod uwagę niektórych chłopaków mojej mamy.

Dziewczyna pochyliła się w stronę okna.

- Coś ty powiedziała?

Już miałam jej wyjaśnić ze szczegółami, o co mi chodzi, kiedy wtrącił się Patrick:

- Dziewczyny, dajcie spokój.

Zazwyczaj faceci tacy jak Patrick lubią popatrzeć, jak dziewczyny się tłuką, ale akurat siedział pomiędzy nami i pewnie się bał, że też oberwie. Żeby zmienić temat, spytał:

- Gdzie jest piwo? - Teraz on zerknął na puszkę, którą wciąż trzymałam w ręce. - Wypiłaś całą skrzynkę?

Zsunęłam okulary na czoło i popatrzyłam mu w oczy.

- Wiesz co? Jeżeli jeszcze raz wspomnisz mi o tym piwie, powiem ci dokładnie, gdzie je możesz sobie wsadzić.

Mark otworzył drzwi przyczepy kopniakiem, tak mocno, że trzasnęły o metalową ścianę. Schodził po cementowych blokach ze zgrzewką piwa na ramieniu, plastikowymi torbami na śmieci pełnymi jego rzeczy w drugiej ręce, strzelby niósł pod pachą.

Patrick pochylił się bliżej, jakby chciał mi zdradzić jakąś tajemnicę. Pochyliłam się więc, żeby ów sekret usłyszeć, tak blisko, że moje włosy powiewające na wietrze musnęły jego policzek.

- Markowi naprawdę na tobie zależy - usłyszałam konspiracyjny szept.

- Tylko w bardzo dziwny sposób to okazuje - odparłam kpiąco, również szeptem.

- Chodzi mi o to - ciągnął Patrick - że nie tak łatwo będzie się go pozbyć.

- Nawet z nią nie gadaj.

Mark podał zgrzewkę piwa jednemu z chłopaków na skrzyni, potem rzucił plastikowe torby, nie ostrzegając drugiego koleśka, żeby się odsunął.

- Hej - zaprotestował tamten. Zsunął się ze swojej ławki na koło zapasowe.

Mark wyciągnął palec w moją stronę.

- Możesz się pożegnać z tą pracą u mojego wuja.

Wzruszyłam ramionami. Teraz byłam już przekonana, że Grayson miał rację. Pewnie nigdy nie było żadnej pracy dla mnie. A nawet jeżeli było wolne miejsce, Mark nie mógł nim dysponować -ani załatwić roboty, ani jej odebrać. Matka wywaliła go z domu, a wuj nie przyjął do siebie. Oto, jakie stosunki panowały między Markiem a jego rodziną. To śmieszne, jak zdołałam sobie wmówić, że w lecie czeka na mnie praca. Tak strasznie chciałam w to uwierzyć, że aż uwierzyłam.

Obszedł wóz z drugiej strony, a kiedy siadł za kierownicą, dziewczyna zawołała do mnie, wychylając się zza Patricka:

- Dobrze ci tak! Musisz się nauczyć, jak dogodzić facetowi.

- Jak cię jeszcze raz tu zobaczę - powiedziałam jej - zabiję jak psa.

Nie jestem jakąś supertwardą zawodniczką i nie przejawiam większych skłonności do przemocy niż przeciętny obywatel. Rzecz w tym, że czasem ostre teksty odnoszą taki sam skutek jak uderzenie w twarz. Nauczyłam się tego w szkole metodą prób i błędów. I chyba poskutkowało, bo przez ułamek chwili dostrzegłam w jej oczach strach - zanim sobie przypomniała, że powinna przybrać naburmuszony wyraz twarzy.

Natomiast Patrick tylko puścił do mnie oko. Potem ryknął silnik, muzyka zadudniła przeraźliwie głośno, nawet jak na to miejsce. Wóz dał susa do przodu, potem cofnął się, potem znów pojechał do przodu, znów się cofnął - ktoś po pijaku usiłował zawrócić i nie szło mu to najlepiej. Tuman kurzu wzniósł się wysoko, nim maszyna wreszcie zaczęła oddalać się pędem po wąskiej drodze między drzewami. Pitbul zdzierał gardło na najwyższych obrotach.

Przeszłam kilka kroków i opadłam na plastikowe krzesło w pobliżu okna mojej sypialni, pod najwyższą palmą. Stały tam dwa krzesła. Między nimi pniak, który służył za stolik. Ozdobę tego

eleganckiego ogrodowego mebla stanowiło pudełko po margarynie pełne petów i deszczówki. Niedopałki musiała zostawić moja matka albo Mark. Gdybym wiedziała, dawno bym je sprzątnęła. Tyle, że rzadko kręciłam się po podwórzu, a to z powodu pitbula.

Teraz jednak specjalnie mi nie przeszkadzały. Rozluźniłam szyję i ramiona, upiłam spory łyk tego wybornego taniego piwka. Rozsiadłam się wygodnie w plastikowym krześle. Popatrzyłam na mój dom z zardzewiałego metalu. Stał już od tak dawna w tym miejscu, że wyrastały spod niego pędy młodych palm, pokryty był cienką zieloną warstwą mchu czy pleśni, czy czegoś jeszcze innego w tym rodzaju. Cokolwiek to było, znacznie lepiej sobie rosło na ścianach przyczepy niż na ziemi wokół. Nasłuchiwałam zawodzenia pitbula. Odstawiłam piwo na pniak, założyłam nogę na nogę, jakbym uczestniczyła w proszonej herbatce i zaczęłam zastanawiać się nad tym, że wszyscy chłopcy, których znałam, mają wszystko, a ja nie mam nic.

Nad moją głową usłyszałam ryk samolotu, to był jeden z piperów pana Halla. Spojrzałam do góry, akurat w samą porę, żeby zobaczyć żółtą maszynę przemierzającą płamę błękitu między drzewami. Grayson albo Alec, albo jakiś nowy koleś, którego zatrudnili zamiast mnie. Daleko za samolotem ciągnął się baner reklamowy, jednak z tego miejsca nie byłam w stanie odczytać, co jest na nim napisane.

Gdy odgłos silnika ucichł, znów rozległo się szczekanie psa. Ktoś łomotał do drzwi przyczepy jego właściciela. A potem usłyszałam głos Graysona, który przekrzykując ujadanie, pytał faceta, gdzie mieszka Lea Jones.

Odczekałam, aż zejdzie ze mnie pierwsza fala adrenaliny, którą organizm wydziela w zwierzęcym odruchu: walczyć albo uciekać. Nie, lepiej siedzieć i nie ruszać się. Mogłabym schować się do przyczepy, ale to nie miało sensu. Wystarczyłoby, że się odwróci i zobaczy mnie przez palmowe liście. Takim gwałtownym ruchem

tylko zdradzę swoją obecność. A zresztą, nawet gdybym dotarła niepostrzeżenie do drzwiczek, i tak w końcu mnie znajdzie. I kiedy otworzę mu drzwi, zobaczy, jak wygląda wewnątrz przyczepy. Tymczasem już na zewnątrz było wystarczająco obleśnie.

Zsunęłam więc okulary, żeby znów zasłoniły moje oczy, wstrzymałam oddech i nagle uświadomiłam sobie, że gdyby pojawił się kilka minut wcześniej, spotkałby się z Markiem i jego załogą. Grayson jeszcze mnie nie namierzył, ale wzdrygnęłam się na myśl, co będzie, kiedy w końcu mnie odszuka.

A może jednak mnie nie znajdzie? - pomyślałam. Nabrałam nadziei, kiedy dał sobie spokój z właścicielem pitbula i zastukał do drzwiczek innej przyczepy. Ha, powodzenia. Mieszkańcy przyczep raczej rzadko urządzali wspólne grillowania czy pikniki. Mieszkałyśmy tam z matką już od trzech i pół roku, najdłużej ze wszystkich, ale wątpiłam, żeby ktokolwiek wiedział, jak mam na imię - poza chłopakami, których poznałam w autobusie, a znajomość ta polegała wyłącznie na tym, że starałam się uniknąć ich końskich zalotów. Jednak teraz były ferie i wszyscy z pewnością wybrali się na plażę. Więc może, jeśli będę siedzieć cicho, Grayson zapuka jeszcze do kilku drzwi, a potem zrezygnuje i pójdzie sobie.

Ale z przeprowadzonej kilka godzin wcześniej rozmowy wynikało, że z niewiadomych przyczyn Grayson koniecznie chce mnie zatrudnić. Nie wiedziałam dlaczego, ale strasznie mu na tym zależało. Nie odpuścił, dopóki naprawdę skutecznie go nie zniechęciłam. Rok wcześniej miałam taką akcję z Benem Reynoldsem, który wysiadł za mną z autobusu, lał za mną aż do domu i w żaden sposób nie mogłam się go pozbyć. Do środka oczywiście go nie wpuściłam, więc znalazł w lesie jakiś ciężki kij, po czym zaczął chodzić wokół przyczepy i walić w nią tym kijem. Chodził i chodził w kółko, aż myślałam, że oszaleję. Nie miałam jak wezwać pomocy. Mama już tyle razy nie zapłaciła rachunków, że telefonu nie miałyśmy od niepamiętnych czasów.

- Lea Jones. - Grayson zwrócił się do jakiegoś faceta na drodze.

- Jej matka ma na imię Patsy? - spytał mężczyzna.

- Nie - zaprzeczył Grayson. - Jej matka to Sheryl.

To, że Grayson wiedział, jak ma na imię moja matka, uruchomiło na cały gaz sygnał alarmowy w mojej głowie. Nie miałam pojęcia, o co chodzi. Słuchałam tylko, jak Grayson wypytuje kolejnych sąsiadów. Nikt mnie nie kojarzył. Dopiero za czwartym czy piątym razem poszedł po rozum do głowy i odtąd już nie byłam Leą Jones, tylko Leą Jones, która codziennie chodzi tą drogą na lotnisko, drobna, osiemnastoletnia, i „takie ma ciemne włosy”? Wyobrażałam sobie, że pokazuje na migi, jak kręca mi się włosy.

- A, jasne. Znam ją - odezwał się głos jakiejś kobiety. - Tam mieszka.

Przez trzydzieści sekund czekałam, aż Grayson zjawi się na moim podwórzu, wyłoni się z plątaniny palmowych liści. A mimo to i tak podskoczyłam nerwowo, kiedy wreszcie się pojawił - bo tak zupełnie nie pasował do tego miejsca. Podeszedł do mojego krzesła, prawie nie wzbijając kurzu klapkami. Stał przede mną.

Spojrzałam na niego. Był znacznie wyższy, niż pamiętałam.

Spoglądał na mnie z góry jak surowy policjant, z nieprzeniknionym wyrazem twarzy i oczami ukrytymi za okularami. Słomkowy kowbojski kapelusz przyciskał do jego głowy pasma jasnych włosów, strużka potu ściekała od włosów w dół po jego policzku.

- Możemy porozmawiać?

Skinęłam grzecznie głową i ruchem ręki wskazałam drugie plastikowe krzesło. Kątem oka zauważyłam tę zaimprovizowaną popielniczkę i zamarzył mi się papieros, żeby móc czymś zająć ręce.

Usiadł i zatłukł komara, który siadł mu na ramieniu.

- Czy twoja mama wie, że latasz?

Wyglądało to na niewinne pytanie, przyjacielskie zagajenie rozmowy. Nie łudziłam się. Grayson nie po to przez trzy i pół roku

udawał, że nie istnieje, żeby teraz szukać mnie w tym slumsie dla samej przyjemności ucięcia sobie ze mną pogawędki.

- Oczywiście - skłamałam, a potem patrzyłam, jak sięga do kieszeni po arkusz papieru, rozprostowuje go na udzie. Schludny i wyraźny podpis mojej matki, wraz z podkreśleniem, widniał u dołu formularza, tego samego, który musiałam przynieść panu Hallowi, zanim zaczął dawać mi lekcje pilotażu.

Szeroki palec Graysona stukał w papier tam, gdzie znajdował się ów nieszczęsny podpis, który z każdym stuknięciem tego palca wydawał się coraz bardziej bezbronny, jakby walił w niego młot. Na tyle dobitnie, że w końcu oświeciło mnie, o co chodzi. Skądś wiedział, że wtedy, dawno temu, podrobiłam podpis mojej matki.

Sięgnęłam po papier.

Nie zdołałam go nawet dotknąć, pochwycił świstek i uniósł wysoko nad głowę.

- Mam kopię tego dokumentu - powiedział. - Jedną zresztą wysłałem pocztą do domu, do Wilmington, więc szkoda fatygi.

Z wolna usiadłam znowu na moim plastikowym krzesełku. Starłam się zetrzeć z twarzy oznaki jakichkolwiek emocji, nie bardzo zresztą wiedziałam jakich - zaskoczenia, strachu, zgrozy, ślepej paniki.

Też się rozluźnił. Położył z powrotem dokument na udzie i wygładził dłonią pognieciony papier, jakby to był oryginał Deklaracji Niepodległości.

- Nie wątpię, że ten podpis wygląda dokładnie tak, jak podpis twojej matki. Zrobiłaś to bardzo porządnie. Mam spore doświadczenie, sam nieraz podrabiałem podpis mojej matki na raportach szkolnych, a nawet ja niczego bym nie zauważył, gdyby mój ojciec nie zaznaczył go. - Kciukiem i środkowym palcem delikatnie ujął żółty kwadracik przyklejony z boku dokumentu. Narysowana na nim strzałka wskazywała na fałszerstwo. - Tak jakby podejrzewał, że coś jest nie tak, a potem uznał, że odpuści.

- W żaden sposób nie uda ci się tego dowieść - powiedziałam szybko. -
Musiałbyś sporo zapłacić jakiemuś grafologowi czy komuś takiemu, a w
FAA* nikogo to nie obchodzi. Nikomu aż tak bardzo na mnie nie zależy.
- Ależ mnie na tobie zależy - zapewnił. Mógł sobie darować tę ironię. -
Ale na szczęście nie muszę wynajmować grafologa ani donosić na ciebie
do FAA. Wystarczy, że pokażę ten papierek twojej matce.

***FAA - Federal Aviation Administration, Federalna Administracja
Lotnictwa, agencja rządowa sprawująca nadzór nad lotnictwem
cywilnym w USA.**

Aż się zachłysnęłam. W następnej chwili zdałam sobie sprawę, że w ten sposób właśnie zdradziłam Graysonowi, że ma stuprocentową rację i że za żadną cenę nie chcę, żeby pakował w to moją matkę.

- Nie ma jej w mieście - powiedziałam tak spokojnie, jak tylko potrafiłam. - Możesz jej sobie szukać.

- Wróci - stwierdził. - A jeżeli nie... Wiesz, właśnie umarł mój ojciec. Póki co, mam kasy jak lodu. Wynajdę prywatnego detektywa, który ją znajdzie.

Zamrugałam oczami. Grayson był tak przystojny, siedział tak blisko na tym swoim krzeselku, że serce aż zaczęło bić mi mocniej. Znowu zamrugałam i oto objawił mi się szatan, który przyszedł tutaj, żeby odnaleźć ostatnie skrawki nadziei, jakie były we mnie, i je zmiażdżyć. Żeby wywołać z zakamarków wszystkie moje lęki i żeby je urzeczywistnić. Nigdy nie udało mi się znaleźć mojej matki, kiedy nie było jej w domu, ale też nigdy specjalnie się nie starałam. Przypuszczałam, że dla zawodowca to nic trudnego. Przecież prywatny detektyw ma kumpli w policji, a faceci mojej matki najczęściej byli na zwolnieniu warunkowym.

- Jak myślisz, co zrobi, kiedy dowie się, że podrobiłaś jej podpis, żeby jako niepełnoletnia móc zacząć lekcje pilotażu? - spytał Grayson.

Za fałszerstwo wywaliliby mnie z przyczepy... Chociaż nie, ważniejsze dla niej było to, że okłamałam ją co do moich pieniędzy.

Mniejsza o przyczepę, ale do końca szkoły zostało mi półtora miesiąca, a nie miałam gdzie się podziać. Molly pewnie zaproponowałyby, żebym się zatrzymała u niej. Ale jej rodzice tego nie rozumieją. Bogaci rodzice nie wywalają swoich dzieci na bruk. Rodzina Molly na pewno dojdzie do wniosku, że zrobiłam coś strasznego, a więc będę miała zły wpływ na córeczkę. Już oni dopilnują, żeby Molly trzymała się ode mnie z daleka. A więc koniec przyjaźni. A potem...

- Myślisz, że urządziłaby scenę w biurze lotniska? - podsunął Grayson. - Mój ojciec nie żyje. Nie ma kogo podać do sądu. Ciekawe, czy zdaje sobie z tego sprawę. Założę się, że będzie usiłowała zwinąć na kogoś winę. Wciągnie w to wszystkich na lotnisku, to znaczy wszystkich pozostałych przy życiu, którzy mogliby ewentualnie w ciągu najbliższych miesięcy napisać ci rekomendację do pracy, szkół lotniczych i na studia. Bo przecież chyba zamierzasz kiedyś pójść na studia, nie? Zresztą musisz, jeśli chcesz kiedyś zostać pilotem rejsowym.

I tu mnie miał. Póki co, o studiach nie mogło być mowy. Każde dziesięć centów, których nie oddałam mamie, wydawałam na lekcje latania. Liczyłam na to, że będę latać dla pana Simona i odłożę pieniądze na pierwszy rok. Po kilku semestrach mogłabym wykorzystać moją niezłą średnią ocen i entuzjastyczne rekomendacje od pana Simona oraz Admirala, i wszystkich innych, których tutaj znałam, żeby uzyskać stypendium w jakimś przyzwoitym collegeu, w którym dają dyplom z lotnictwa. Natomiast jeżeli Grayson obróci wniwecz wszystkie te ewentualne rekomendacje...

- Wiesz, co jeszcze jest wymagane, żebyś mogła zostać pilotem rejsowym? - spytał Grayson i odpowiedział sam sobie - Nieposzlakowana opinia.

Jak przystało na porządnego szantażystę, odrobił pracę domową. Cytował właśnie wymagania FAA stawiane kandydatom do licencji na pilota rejsowego. Nigdy nie wiedziałam, co ma znaczyć ta

„nieposzlakowana opinia”, domyślałam się jednak, że nie zgadzało się to do końca ze sfalszowaniem podpisu matki na dokumencie dotyczącym lekcji pilotażu.

- W porządku - powiedziała przez palce, bo w którymś momencie, kiedy mówił, zasłoniłam usta dłonią.

- Co w porządku? - spytał.

- W porządku, będę dla ciebie pracować.

- No i świetnie - powiedział spokojnie, jakby wcale nie uważał, że to wspaniała wiadomość. A potem najzwyczajniej w świecie poskładał całą moją przyszłość, razem z żółtą karteczką i wszystkim, a następnie schował ją z powrotem do kieszeni.

- Jak długo? - spytałam słabym głosem.

Wzruszył ramionami, jakby jeszcze się nad tym nie zastanawiał. Jednak z jego słów wynikało, że przeciwnie, wszystko dokładnie przemyślał.

- Na pewno cały ten tydzień, przez całe ferie wiosenne. Potem przez większość weekendów, bo Alec i ja będziemy tu przyjeżdżać z Wilmington, też będziemy latać. Natomiast nie w następny weekend po zakończeniu ferii. Wtedy mamy w szkole bal na zakończenie roku. Ojciec nie zaplanował wtedy żadnych lotów reklamowych, bo przypuszczał, że Alec i ja będziemy chcieli pójść na imprezę.

Odwrócił głowę w stronę drogi, jakby nasłuchiwał jakiegoś dźwięku, ale nawet pitbul przestał czekać. Mówił dalej:

- A przed letnimi wakacjami zastanowimy się, co dalej. Upiłam łyk piwa. Zastanawiałam się. Wiedziałałam, że Grayson

doprowadzi biznes do ruiny, jeszcze zanim skończy się szkoła. Przez ten tydzień mogę dla niego polatać. Potem wróci do Wilmington, a na następny weekend ma już wykręt zapewniony przez ojca, przecież jest bal, więc może sobie odpuścić. Potem pojawią się następne preteksty. Grayson i Alec nie wrócą już do Heaven

Beach, przynajmniej nie po to, żeby latać. Zostaną w Wilmington, a potem całkiem o mnie zapomną i wszystko będzie tak, jakby nic się nie zdarzyło.

Tymczasem mogę poszukać jakiejś innej pracy za sterami. Z początku przecież wcale nie oczekiwałam, że dostanie mi się ta praca z opylaniem upraw. Ta fikcyjna praca... Może więc jednak wpadnie jakaś prawdziwa robota. Perspektywy na przyszłość prezentowały się lepiej niż godzinę wcześniej, kiedy zakryłam głowę poduszką. Bardzo nie chciałam latać dla Graysona, ale z drugiej strony jednak podniosła mnie na duchu myśl, że wreszcie znów wzniosę się w powietrze. A może to tylko piwo. Upiłam kolejny długi łyk i odstawiłam puszkę na pniak.

- Chcę dostawać wynagrodzenie pod koniec każdego dnia pracy - oznajmiłam.

Brwi Graysona za okularami tym razem powędrowały w dół.

- Dlaczego?

- To jest akcja z dnia na dzień. Nie chcę zostać na lodzie. W przeciwnym razie może się zdarzyć, że któregoś dnia przyjdę do roboty i okaże się, że zwinąłeś cały majdan i zwiąłeś do Wilmington, a ja zostanę bez kasy.

- Nic takiego się nie wydarzy - zapewnił Grayson tak stanowczym tonem, że omal mu uwierzyłam. - Ale spokojnie, jeżeli tego sobie życzysz, będę ci wypłacał forszę każdego dnia. I jeszcze jedno. - Zacisnął pięść, a potem rozprostował palce. - Zależy mi, żebyś umówiła się w tym tygodniu z Alekiem.

Zaśmiałam się krótko. Alkohol uderzał mi do głowy i rozgrzewał skórę w ten ciepły wieczór. Nie mogłam dopatrzeć się sensu w tym, co Grayson mówił.

- Że co mam zrobić?

- Masz umówić się z Alekiem.

Umówić się z Alekiem? Przez cały dzień walczyłam z własną słabością do Graysona. Pomysł, żeby umawiać się z Alekiem,

facetem tak skrajnie różnym od niego, to był zbyt gwałtowny zwrot. O całe sto osiemdziesiąt stopni. Aż zakreśliło mi się w głowie.

- Przecież nie widziałam go ani razu od pogrzez... - Chociaż pijana, zdołałam się powstrzymać. No, prawie.

- Przyjdź jutro rano do pracy - polecił Grayson, jakbym w ogóle nic nie powiedziała. - Flirtuj z Alekiem. A on cię zaprosi na randkę. Jesteś stąd, są ferie, więc na pewno dasz radę coś wymyślić, żeby się dobrze bawił.

- Grayson, to jakiś obłąd! - wykrzyczałam to, a pitbul zawtórował mi wściekłym jazgotem. Zniżyłam głos. - Ale dlaczego tak się upierasz, żebym umówiła się z twoim bratem?

- Tego ci nie mogę powiedzieć - odparł po prostu Grayson.

- W takim razie nic z tego - odparowałam natychmiast.

- W takim razie wynajmę kogoś, kto dostarczy tę podróbę twojej matce. Tak, żeby dostała ten świstek, kiedy nie będzie cię w domu i nie zdołasz temu przeszkodzić.

Pochylił się, jakby miał zamiar wstać.

- Nie! - zawołałam. - Siadaj.

Chyba przyglądał mi się zza ciemnych szkieł, kiedy rozsiadł się znowu.

- Dobra, zrobię to - powiedziałam - ale musisz mi powiedzieć, o co chodzi.

- Nie.

- Grayson! - Jego imię znów wywołało furie pitbula. Dokończyłam szeptem: - Chodzi o coś nielegalnego?

- Nie.

- Albo o coś innego, przez co stracę licencję?

- Nic podobnego - zapewnił mnie. - Dzięki temu pozbędziesz się kłopotu, bo oddam ci ten formularz i wszystkie kopie, jakie zrobiłem.

A ja je spalę.

- Ale dlaczego sądzisz, że Alec będzie chciał się ze mną umówić? Nie wystarczy, że z nim będę flirtować, przecież on mnie prawie nie zna.

- Ale ja znam jego - rzekł Grayson. Potrząsnęłam głową.

- Alec nie umówi się ze mną.

Może i nigdy nie widział mojej przyczepy, ale przecież wiedział. Wszyscy na lotnisku wiedzieli.

- Umówi się, umówi - stwierdził Grayson. - Widziałem cię w akcji. Te zagrywki w stylu „och, jaki jesteś mądry i silny”. Potrafisz to zrobić, więc to zrób.

Trochę miałam już dosyć tego, że Grayson uporczywie daje mi do zrozumienia, że jestem dziwką.

- Słuchaj, dlaczego ciągle mi wmawiasz, że muszę komuś dać dupy, żeby dostać robotę? To jakieś chore mrzonki czternastolatka o tym, jak funkcjonuje świat biznesu. Człowieku, dorośnij.

Chociaż nie widziałam jego oczu, wyczułam, że tym razem moje słowa zrobiły na nim wrażenie. Drgnął, jakbym go spoliczkowała.

Dopiero potem zdałam sobie sprawę, skąd mi się wzięło to „dorośnij”. Tak mawiał pan Hall. Był to wręcz jego ulubiony tekst w stosunku do Graysona, kiedy ten zapominał zamknąć drzwi hangaru albo zostawił baner na deszczu. Wówczas pan Hall bez najmniejszego skrepowania krzyczał na cały głos, tak że słyszeli to Admirał, inni piloci oraz ja: „dorośnij, synu”.

- Mówiłem, że masz się z nim umówić, a nie, że masz z nim iść do łóżka - odparował ostrym głosem Grayson. - Ale jeżeli ty uważasz, że nie ma randki bez rżnięcia, to już twój problem.

Palma, pod którą siedzieliśmy, zakołysała się gwałtownie na wietrze, poczułam napięcie w nogach. Co ma jedno do drugiego, te dwie rzeczy nie powinny zdarzyć się równocześnie... Zdałam sobie sprawę, że napinam mięśnie stóp obutych w klapki, jakbym naciskała pedały w samolocie, starając się go ustabilizować na wietrze.

- A poza tym - teraz mówił miękkim głosem - jesteś piękną dziewczyną. Jeżeli okażesz Alecowi choć trochę zainteresowania, damę głowę, że będzie chciał się z tobą umówić. Wiem na pewno.

Poczułam, że robi mi się gęsia skórka i mimo upału kwietniowego wieczoru przeszedł mnie dreszczyk. Moja świadomość zdawała sobie sprawę, że nie podobam się Graysonowi tak, jak to sobie wyobrażałam, kiedy wściekł się na mnie tego samego dnia w biurze lotniska. Przecież gdyby choć trochę się mną interesował, nie domagałby się, żebym chodziła na randki z jego bratem. Jednak moje ciało nie przyjmowało tego do wiadomości, a może wcale go to nie obchodziło.

- Powiedz mi, dlaczego tego chcesz - spytałam, tym razem cichym głosem.

- To dla jego dobra.

Zaśmiałam się, bo to było śmieszne, że Grayson mówi coś takiego. Grayson i Alec byli bliźniakami, byli w dokładnie tym samym wieku, a jednak Grayson zachowywał się jak ich ojciec.

Grayson nie roześmiał się. Patrzyłam na niego, a on nerwowo przygryzł wargę, zacisnął i otworzył pięść... Widać było, że ledwo nad sobą panuje. Wyraźnie zależało mu, żeby zmusić mnie do randki z Alekiem. Bardzo mu zależało. Tak jakby rzeczywiście usiłował coś zrobić dla Aleca. Jakby starał się wskoczyć w buty swojego ojca, teraz, kiedy go nie było i nie było też ich starszego brata.

Już rozumiałam, dlaczego to Grayson zgłosił się do mnie w sprawie zatrudnienia, a nie posłał układnego i sympatycznego Aleca, oraz dlaczego to ten nieodpowiedzialny i szalony Grayson wyraźnie kierował interesem. Otóż z jakiejś przyczyny, związanej z biznesem i śmiercią ojca, Grayson manipulował Alekiem.

Jeżeli zorientuję się, o co chodzi - pomyślałam - może uda mi się odpowiedzieć szantażem na szantaż Graysona.

Przełknęłam ślinę.

- Więc... Chcesz powiedzieć, że mam to zrobić dla dobra Aleca?

Grayson zmierzył mnie spojrzeniem od stóp do głów. Dzięki szerokiemu rondu kowbojskiego kapelusza ruch głowy był na tyle wyraźny, że nie mógł mi umknąć jego wyzywający wydzźwięk.

- Śmiesznie to zabrzmiało, ale tak, rzeczywiście. Zaufaj mi, mam po temu wystarczające powody. Przecież ufasz mi, prawda?

- Chyba wyraźnie dałam ci do zrozumienia, że nie.

- Jeszcze jedno: Alec nie może dowiedzieć się, że to na moje polecenie. Jeżeli się dowie, utrudnię ci życie, jak tylko potrafię.

Chyba, że wcześniej ja utrudnię życie Graysonowi. Westchnęłam, zdesperowana.

- To za to, że nie zgodziłam się od razu na robotę u ciebie?

- Nie. Od początku miałem cię o to prosić. Ale kiedy odmówiłaś, wkurzyłem się i zacząłem szukać na ciebie jakiegoś haka. No i znalazłem. Teraz nie proszę cię, tylko mówię, co masz zrobić.

Zdjął kapelusz. Pokazywał włosy tak rzadko, że zawsze ten widok mnie zaskakiwał: były tak jasne, prawie tak jasne jak włosy Aleca, a przy tym falujące, gdy tymczasem Alec miał włosy zupełnie proste. Włosy Graysona przypomniały mi, jak jeszcze jest młody, chociaż zachowywał się jak szef, jak władca. Jak bóg.

Przesunął wierzchem dłoni po spoconym czole, po czym znów nałożył kapelusz.

- Wykopałaś stąd Marka, zgadza się? Zmarszczyłam brwi.

- Co? Skąd...?

- Stąd, że siedzisz tu sama i pijesz piwo. Domyśliłem się, że spytałaś Marka o robotę przy opylaniu i zorientowałaś się, że to wszystko ścierna, tak jak mówiłem. Więc zerwałaś z nim. Zgadza się?

Zacisnęłam zęby i powieki, żeby nie poryczeć się przy Graysonie.

- Słuchaj, Lea. Mówię teraz poważnie. - Głos jego brzmiał łagodnie i słodko jak powiew wiosennego wiatru. - Nie odgrażał się, że coś ci zrobi albo coś w tym rodzaju, prawda?

Uniosłam dłoń do skroni, bo zaczęła boleć mnie głowa.

- Nie, ale dzięki, że pytasz. Grayson skinął głową.

- Dziś rano przez chwilę gadałem z nim o tobie. Jestem pewien, że cię okłamał, jeżeli chodzi o pracę, ale chyba nie potrafiłby udawać tego, co do ciebie czuje.

Złapałam przynętę.

- A co on do mnie czuje?

- Cokolwiek to jest, to bardzo silne uczucie. Pociągnęłam pogardliwie nosem.

- Myślę, że potrafiłby udawać cokolwiek - mruknęłam. -I oszukiwał mnie, i zdradzał.

- U takiego faceta jak Mark to normalne - stwierdził Grayson. -Za to mama ostrzegała mnie przed dziewczynami takimi jak ty.

Westchnęłam głęboko.

- To znaczy jakimi?

- Przed dziewczynami, które mają zaburzonych chłopaków. Zawsze mówiła, że takie dziewczyny to same kłopoty. A ja muszę wiedzieć, czy tak jest rzeczywiście, bo chcę, żeby mój brat się w tobie zakochał, ale nie chcę, żeby ktoś go z tego powodu zabił.

Poczułam zimny dreszcz na karku, chociaż pitbul tym razem nie wyczuł niebezpieczeństwa, bo nawet nie warknął. Już drugi raz tego dnia ktoś ostrzegał mnie przed Markiem. Prawdę mówiąc, nie znałam go za dobrze. Kiedy się wynosił, ani się nie odgrażał, ani nie próbował rękoczynów. Z drugiej jednak strony wiedziałam, że ostatni semestr szkoły średniej powtarzał, ponieważ kilka razy został zawieszony za udział w bójkach.

- W zeszłym roku graliśmy sobie w kosza w hangarze - powiedział Grayson - i ja wygrałem. A później, po południu tego

samego dnia, obaj lądowaliśmy jednocześnie, a on wpakował się przede mnie.

- W powietrzu? - spytałam z niedowierzaniem.

- Owszem. Nie odezwał się przez radio, tylko wypadł tuż pode mną, przed samym lądowaniem. To się mogło źle skończyć. Pewnie powinienem naskarżyć ojcu, ale on i tak zwałiby wszystko na mnie i powiedział, żebym dorósł. - Zacisnął pięść i stuknął nią w kolano. - Chciałem, Lea, żebyś dla mnie pracowała, ale chciałem też, żebyś miała robotę, w której nie będziesz miała do czynienia z tym kolesiem.

- Przecież mówiłeś, że nie ma żadnej roboty.

- Bo nie ma - przytaknął Grayson. - Spytaj przy okazji pana Simona, to się zdziwisz. W każdym razie, teraz już masz pracę. - Znów stanął nade mną. - Jutro rano o siódmej.

Mój żołądek się skręcał. Sięgnęłam po piwo. Pochwycił je, nim zdążyłam złapać puszkę, i wylał resztkę na uschłe liście palmowe za moim krzesłem.

- Hej! - zaprotestowałam.

Zgniół puszkę w dłoni. Potem przeszedł przez podwórze, wbiegł po betonowych blokach i otworzył na oścież aluminiowe drzwiczki.

- Grayson! - wrzasnęłam.

Wrzasnęłam, ale nie pobiegłam za nim do przyczepy. Patrząc, jak myszkuje po tej norze, to byłoby jeszcze gorsze niż fakt, że w niej się znalazł. Nie życzyłam sobie oglądać wyrazu politowania na jego twarzy. Gapiłam się na drzwi i czekałam, i strasznie mi się chciało tego piwa, którego już nie było.

Wychylił się przez drzwi.

- Gdzie reszta browaru?

- Nie ma - odpowiedziałam.

Piwo wybrało się na plażę. Na imprezę. Do domu brata Patricka, gdzie Mark i ta dziewczyna gzili się teraz w piwnicy i na pewno bawili się lepiej ode mnie.

Grayson zbiegł po schodkach i znalazł się znowu przede mną, z rękami na biodrach.

- Koniec chłania na dzisiaj.

Rozłożyłam dłonie, żeby pokazać, że nic w nich nie mam.

- Mówię poważnie. Żadnego kaca rano. To samo mówiłem Alecowi. W tym tygodniu nie przewidujemy żadnych katastrof lotniczych. - Przykucnął przed moim krzesłem, tak że znaleźliśmy się twarzą w twarz. - To ja już będę spadał. Jak tam, dasz radę?

Nie wiedziałam, co mam powiedzieć. Właściwie przestałam już ogarniać. Mój umysł miał za dużo Graysona naraz. Facet najpierw zachowywał się po swojemu, jak to on, tylko milion razy gorzej, bo tym razem wplątywał także mnie w swoje kiepskie kombinacje, a potem nagle objawił się jako Grayson ojcowski i opiekuńczy. Nadmiar szczęścia.

Nic nie odpowiedziałam, więc wyciągnął ręce i dotknął dłonią mojego kolana.

Prąd przeszedł przez moje udo, serce zabiło mi boleśnie.

Może Grayson też coś poczuł, bo zabrał rękę. Widziałam odbicie moich własnych okularów w jego ciemnych okularach, moje ciemne włosy powiewające na wietrze, grymas na mojej twarzy.

Wreszcie skumałam:

- Że co? Tak, spoko. Dam radę. Wstał, usatysfakcjonowany.

- No, to do zobaczenia o świcie - zawołał. Po chwili jego kroki zachrzęściły na wysypanej żwiru drodze, a zaraz potem zniknął mi z oczu. Tylko pitbul szalał jeszcze przez dłuższą chwilę.

Nie siedziałam zbyt długo. A zresztą, może i siedziałam długo, nawet bardzo długo. Nie wiem, byłam pijana. Zaczął zapadać zmrok. Ale serce wciąż mi waliło, nie mogło się uspokoić. Chociaż Grayson poszedł sobie, jego spojrzenie zostało. Teraz widziałam wszystko jego oczami. Widziałam siebie, jak siedzę samotna w ciemnościach, z podkurczonymi kolanami, na tym plastikowym

krzeselku, jak patrzę na ciemniejące niebo, aż w końcu robi się noc. Patrzyłam jego oczami, jak słucham pitbula szarpiącego się na łańcuchu.

Powlokłam się w końcu do przyczepy, zamknęłam za sobą drzwi, co stłumiło, lecz nie całkiem wyciszyło zawzięte ujadanie.

Sięgnęłam po gazetę i rozsiadłam się na zapadniętej sofie, naprzeciwko ściany, gdzie jeszcze całkiem niedawno znajdował się telewizor. Miałam nadzieję, że zdołam się jakoś zatracić, żeby ten dzień się wreszcie skończył, żeby przetrwać jakoś do siódmej rano, nie roztrząsając tego, co zdarzy się następnego dnia z Alekiem i Graysonem. Tylko że tu i teraz burczało mi w brzuchu. Odległość do sklepu nie wydawała mi się już tak wielka, ale nie miałam odwagi pójść tam sama w nocy. Heaven Beach ma dwa końce, jeden z nich to luksusowy kurort, a drugi to slumsy. Przyczepy mieściły się na samym końcu slumsów. Gdy kiedykolwiek zdarzyło mi się iść po zmroku wzdłuż szosy, zatrzymywały się ciężarówki, a kierowcy pytali, czy jestem w pracy. Ponieważ tamtego dnia mężczyźni najwyraźniej nie przyjmowali do wiadomości odmowy, postanowiłam nie ryzykować. Mój żołądek zaburczał znów głośno w proteście przeciwko temu postanowieniu.

Po dłuższej chwili aż podskoczyłam i gazeta wypadła mi z ręki, bo ktoś niezwykle głośno zastukał w aluminiowe drzwiczki.

- Kto tam? - zawołałam.

- Dostawa.

Tego już za wiele. Ja zdycham z głodu, a tu zamówione przez kogoś żarcie przychodzi omyłkowo do mnie. Podeszłam do drzwi i pchnęłam je.

Wystraszony Chińczyk cofnął się o jeden cementowy blok w dół, o mało nie spadł z tych schodów, ale zaraz wszedł z powrotem. Przed sobą trzymał jak tarczę dużą białą torbę z czerwonymi chińskimi literami.

- Dostawa - powtórzył.

Wciągnęłam nosem błogi aromat chińskich przypraw i dopiero potem powiedziałam:

- Niczego nie zamawiałam. - I zaczęłam zamykać drzwi.

- Opłacone z góry. Z pozdrowieniami od Firmy Lotniczej Hall - Wetknął mi tę torbę i zeskoczył na dół. - Proszę nie zapomnieć, jutro punktualnie o siódmej rano!

Patrzyłam, jak jego samochód odjeżdża zwirowanym podjazdem. Potem jeszcze gapiłam się na chmurę kurzu, którą pozostawił, w stronę budy powarkującego pitbula, na ścieżkę prowadzącą między drzewami na lotnisko. Kiedy mówiłam różne nefajne rzeczy Graysonowi, kiedy wywaląłam Marka z przyczepy i mówiłam Patrickowi, że może sobie wszystkie puszki piwa wsadzić w dupę, zapomniałam o czymś. Otóż kiedy byłam małą dziewczynką, mama zawsze powtarzała, że muszę być dla każdego miła, nieważne, jak wygląda ani jak się wobec mnie zachowuje, bo nigdy nie wiadomo, kto może okazać się przebranym aniołem zesłanym przez Boga na ziemię.

Chociaż Molly mieszkała w eleganckiej części miasta, to jednak się ze mną przyjaźniła. Nie przeszkadzało jej, że mieszkam w przyczepie. Odnosiłam jednak wrażenie, że nie uważa tego miejsca za prawdziwy dom i nie przyjmuje do wiadomości, że normalni ludzie mogą tam mieszkać. Około jedenastej rozpoznałam rytm jej ulubionej rockowej piosenki dobywający się z jej elektrycznego samochodu.

Ściślej mówiąc, Molly nie przeszkadzało, że mieszkam w przyczepie, ale nie żeby jej to nie obchodziło. Gotowa była nawet wpaść po mnie od czasu do czasu, żeby mnie stamtąd zabrać. Jej rodzice prowadzili studio architektoniczne i designerskie w Atlancie. Następnie wycofali się z biznesu (wycofali się, bo mogli, byli oczywiście o wiele za młodzi na emeryturę, mieli po czterdzieści kilka lat, jak rodzice wszystkich znajomych, nie licząc mojej zawstydzająco młodej matki), zamieszkali przy plaży i otworzyli kafejkę wybudo-

waną tak, żeby sprawiała wrażenie wysmaganej przez wiatry portowej tawerny, co miało ściągnąć wczasowiczów przybywających do bogatej części miasta. Od pacyfistycznych nalepek na szybach aż po organiczne menu, lokal ten wręcz do bólu emanował postępowym światopoglądem. To nauczyło Molly innego pojmowania wartości oraz dystansu w osądzaniu innych ludzi.

Molly okazała się pod tym względem pilną uczennicą. Kiedy tylko wprowadziła się do naszego miasteczka, czyli dwa lata wcześniej, z miejsca stała się szkolną aktywistką. Przewodziła krucjatom na rzecz wprowadzenia wegetariańskiej opcji w stołówce i organizowała wolontariuszy do sprzątania cywilizacyjnych odpadów na okolicznych terenach zamieszkałych przez ptaki. A przy tym nie dawała się wodzić za nos. Kiedy wydawało jej się, że próbuję poderwać jej chłopaka, dopadła mnie na korytarzu między lekcjami i przy wszystkich na cały głos wyraziła swoje zdanie o szkolnej dziwce.

Natomiast kiedy zorientowała się, że inne dziewczyny chętnie się do niej przyłączają, żeby mnie zgnoić - wtedy, o dziwo, zawarła ze mną przyjaźń. W pewien sposób wykorzystywała mnie. Ja byłam tą „inną” przyjaciółką. Przyznawała sobie punkty za to, że się ze mną włóczy. Tyle, że nie zdawała sobie z tego sprawy. A ja jej nie powiedziałam, bo to byłoby tak, jakby kopnąć małego szczeniaczka. Cieszyłam się, że wybrała mnie do swojego cross-kulturowego eksperymentu - mnie, a nie kogoś innego z kempingu, jak na przykład Aarona Traynora, który w końcu namówiłby ją, żeby spróbowała mety, „tylko raz”. Albo Bena Reynoldsa, który po prostu by ją wyruchał - i dosłownie, i na pieniądze.

Narzuciłam coś na siebie, biorąc pod uwagę chłodną wiosenną noc, zamknęłam drzwi za sobą i pobiegłam do Molly. Byłam tak uszczęśliwiona jej widokiem, że miałam ochotę ją wyściskać w samochodzie, ale nie zamierzałam przecież obrócić w gruzy naszej przyjaźni, okazując tak otwarcie swoją radość i przywiązanie. Łączyło nas to, że szanowałyśmy wzajemnie swoją inność, prócz tego

łączyło nas poczucie humoru i całkowity brak sentymentalizmu. I tak też miało zostać. Powiedziałam:

- Cześć, suko.

- Rany boskie. Rzygać mi się chce. Wyglądasz, jakbyś wstała prosto z łóżka, a przysięgam, że przy tym wyglądasz o wiele lepiej ode mnie, chociaż nieźle się wypindrzyłam.

Przesunęła dłoń wzdłuż swojego boku i na zewnątrz, demonstrując część stroju - może chodziło jej o wcięty top, a może mini spódniczkę, albo buty na platformach. Nie była ani ładniejsza, ani mniej ładna niż każda inna bogata dziewczyna w naszej szkole.

- Myślę, że to przez moje włosy - odpowiedziałam.

- Ty zawsze myślisz, że to przez twoje włosy.

Spojrzała przez ramię, żeby wykręcić tyłem na moim podwórku. Nawet nie drgnęła jej powieka, kiedy walnęła zderzakiem w jedno z plastikowych krzeseł. Zaraz potem ruszyła do przodu, a w następnej chwili pędziłyśmy już z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, zostawiając za sobą kemping i przyczepy.

- Fajny koncert? - spytałam.

- Proszę cię. Nie mogłam się doczekać, kiedy spławię te wszystkie głupie laski, z którymi byłam. I żeby wreszcie ci to powiedzieć. Posłuchaj, przy śniadaniu w knajpce wreszcie udało mi się nawiązać kontakt z najfajniejszym kolesiem na świecie!

- A skoro taki fajny, to co tu robisz ze mną, zamiast być z nim?

- Ale wykombinowałam! Przecież miałam iść na koncert. Wiesz, że jak się z kimś umówię, to nie odwołuję. Poza tym on pracuje jutro od samego rana. - Wreszcie zwolniła, depnęła na hamulec, bo miałyśmy właśnie wyjechać na szosę. Spojrzała w lewo i w prawo. - Ale najpierw ty opowiadaj.

- Nie, najpierw ty.

Dała gazu, wóz pomknął z maksymalną prędkością, czyli na szczęście nie bardzo prędko, bo w przeciwnym wypadku obie

już byśmy nie żyły zaraz po tym, jak dostała prawo jazdy. Potem zerknęła na mnie z ukosa.

- Nie, najpierw ty. Zdarzyło się coś ważnego. Wyglądasz, jakbyś miała zemdleć.

Opowiedziałam jej wszystko, co zdarzyło się z Graysonem, potem z Markiem, a potem znowu z Graysonem, tylko nie wspomniałam nic o chińskim żarciu, bo by wyglądało na to, że jestem jakąś żebraczką. Molly nie miała prawa wstępu do przyczepy, więc tym bardziej nigdy w życiu nie zajrzała do mojej wiecznie pustej lodówki.

Wtrącała ciągle mnóstwo tekstów w rodzaju: „Zaraz, zaraz. Mówisz o synach twojego przyjaciela, pana Halla? Bliźniaki są sexy!” oraz: „Tak powiedział? Naprawdę?” tudzież: „To skurwysyn!” odnoszących się zarówno do Marka, jak i do Graysona. Właściwie powinnam już być przyzwyczajona, ale zawsze mnie trochę szokował zestaw słów dobywających się z jej usteczek. Wyglądała tak promiennie i niewinnie - właściwie przypominała pod tym względem Aleca - a w dodatku na koncert ostro się wymalowała. Pewnie myślała, że sprawia w ten sposób wrażenie starszej, ale w rzeczywistości z tymi wielkimi oczami jak jakaś postać z kreskówki miała aparycję dwunastolatki.

- Wiem - powiedziałam. - Nie rozumiem, jak Grayson do tego doprowadził. Kiedy zaczynaliśmy rozmowę, uważałam się za pilota. A w końcu wyszłam na lotniskową kurwę.

Molly tak się uchachała, że o mało nie wypadłyśmy z drogi -tylko dlatego, że powiedziałam „kurwa”. Bluzgi zawsze ją bawiły. Dlatego też było ich pełno w naszych rozmowach. Lubiłam słyszeć jej śmiech.

Kiedy wreszcie przestała chichotać, powiedziałam:

- A przecież wiesz, że nie jestem kurwą.

Tak naprawdę, chciałam to sprawdzić. W szkole miałam kiepską reputację, ale to dlatego, że nowa w szkole zawsze

ma kiepsko. A tutaj nawet po trzech latach z hakiem uważali mnie za nową. Molly mieszkała w miasteczku krócej, ale szybko uznali ją za swoją. Za to nowa, która mieszka w przyczepie, to zbyt łatwy cel, żeby go sobie odpuścić. Molly zerknęła w moją stronę.

- Wiem, że nie jesteś. Nie o to chodzi. Ale co z tym Markiem Simonem, który z tobą mieszkał? Niby tylko tydzień, ale jednak dobrze, że go splawiłaś.

- Też się cieszę - powiedziałam.

- Zrobiliście to w końcu?

- Nie.

- Uf! - zawołała Molly. - Co za ulga. Próbowałam być zadowolona, że w końcu z kimś ci się ułożyło, ale Mark Simon to nie ten typ świra, którego bym dla ciebie wybrała. Dziewczyny strasznie dużo o tobie gadały. To znaczy, dużo więcej niż zwykle. No bo wiesz, zamieszkałaś z facetem, chociaż masz dopiero osiemnaście lat i nawet jeszcze nie skończyłaś szkoły.

„To nie tak” - chciałam powiedzieć. Ale przecież już powtarzałam to jej przez cały tydzień: „To nie tak”. Brzmiało to zupełnie w taki sam sposób, jak kiedy moja matka usiłowała mi wytłumaczyć, dlaczego zadaje się z tym czy innym facetem w mundurze. Dlaczego go nie rzucisz, przecież on cię bije. Mamo? „Nic nie rozumiesz. To nie tak”.

- Myślisz, że Mark źle mnie zrozumiał? - zastanowiłam się. - Nie zamierzałam dać się przelecieć w zamian za to, że załatwi mi robotę. A czy sądzisz, że Grayson ma rację, to znaczy, że tylko spojrzę na Aleca, a on zaraz upadnie mi do stóp?

Tak naprawdę chciałam się od kogoś dowiedzieć, czy pan Hall darzył mnie sympatią z powodów, których nie chciałam znać. O to jednak nie zapytałam. No, bo chyba nie chciałam usłyszeć odpowiedzi.

Molly tymczasem zastanowiła się głęboko.

- Uważam, że kiedy czegoś potrzebujesz od faceta, potrafisz być strasznie seksowna, ale może nie zdajesz sobie z tego sprawy. Nie, na pewno nie zdajesz sobie sprawy, inaczej byś mnie nie pytała.

- Daj mi jakiś przykład.

- Ryan.

Ryan to ten chłopak, o którego pokłóciłyśmy się na samym początku naszej znajomości.

Nie cierpiałam, kiedy mi o nim przypominała. Nie znała zresztą całej prawdy o tym, co się w rzeczywistości zdarzyło. Nawet po roku było mi paskudnie głupio, że to przed nią zataiłam. Tylko że dzięki temu łgarstwu zyskałam taką świetną przyjaciółkę. Opłaciło się. Grałam więc dalej twardzielkę, przecież strasznie to lubiła. Rzuciłam niedbale:

- E tam. Przecież wiedziałam, co robię, jak podrywałam Ryana. Zaśmiała się, to był nasz najstarszy i ulubiony wspólny żarcik.

- Dobra, inny przykład. W szkole wdawałaś się w tysiące bójek i tysiące razy szłaś na dywanik do dyrektora, ale ani razu nie byłaś zawieszona.

- To dlatego, że nie ja zaczynam te rozróby - odparłam, zgodnie zresztą z prawdą.

- Może i nie - przyznała Molly - ale przecież tamte dziewczyny i ich przyjaciółki mówią dyrektorowi to samo, jednak to one dostają kary, a ty nie.

- Więc jednak myślisz, że jestem kurwą - rzekłam ponuro.

- Nie. Przecież nie oddajesz się dyrektorowi. Te plotki, które krążą o tobie, są fałszywe. Ale jednak nie wzięły się znikąd. Przemyśl to. I zastanów się, czy masz chociaż jeden T-shirt z normalnym kołnierzykiem, a nie z takim głębokim dekoltem?

Odruchowo zasłoniłam dłońmi dolną część dekoltu wyciętego w kształt litery V.

- No i tak, jeszcze ten Mark, który z tobą mieszkał - dodała. -Nie, nie jesteś kurwą, ale jesteś dziewczyną, która niekoniecznie

miała w życiu wszystko, czego jej było trzeba, więc nauczyłaś się wykorzystywać to, co masz. Nie robisz tego z rozmysłem. To po prostu odruch. Zgrywasz bezradną dziewczynkę, a faceci to łykają. Odkaszlnęłam nerwowo.

- Słuchaj, Lea. Znowu wyglądasz, jakbyś miała zemdleć. Chyba ta rozmowa nie robi ci za dobrze.

- Ależ skąd - zaprzeczyłam najpogodniejszym tonem, na jaki było mnie stać. - Jesteś moim światełkiem w tunelu.

Myślałam, że to ją rozbawi, ale gapiała się tylko przed siebie i postukiwała nerwowo palcem w kierownicę.

- Dobra, opowiedz coś o tych chłopakach. Kochasz się w Alecu?

- Co? Skąd!

Kiedy to mówiłam, akurat mijałyśmy sklep. Zawsze zdumiewało mnie, jak mało czasu trzeba, żeby do niego dojechać samochodem, tymczasem na piechotę trwało to całe wieki.

- A czy kochasz się w tym, który traktuje cię jak kurwę? - spytała. Rozśmieszyło mnie, jak to sformułowała. Zaraz potem zdałam sobie sprawę, że nie ma się z czego cieszyć, bo rzecz ujęła całkiem trafnie.

- W Graysonie? Nie.

Ale poczułam mrowienie na skórze, gdy wymówiłam jego imię. Co za głupota.

- To już nie wiem, w kim, ale w kimś na pewno się kochasz. Sięgnęłam do jej torebki leżącej u moich stóp, znalazłam goździkowego papierosa i zapaliłam go.

- Wiesz, znam się z nimi od dłuższego czasu. Przyglądałam się im. I bliźniakom, i ich ojcu, który zmarł, i ich starszemu bratu, który też zmarł. Chyba kocham się po trochu w każdym z nich.

Po pierwszym machu od razu zrobiło mi się niedobrze. Pan Hall w zaświatach groził mi palcem i mówił, żebym wyrzuciła to świństwo. Natychmiast. Zgasiłam ostrożnie peta w pustym papierowym kubku, który tkwił w uchwycie.

- A więc to nostalgia za minionym szczęściem rodzinnym -tamtej rodziny - a ty po prostu koleśowi współczujesz. Tłumaczysz go przed samą sobą z tego, że facet nie umie się zachować normalnie. Nie zapominaj jednak, że uciekł się do szantażu, żeby zmusić cię do randkowania z jego bratem. Gorzej, szantażuje cię i zmusza do wykonywania tak niebezpiecznej pracy, jaką jest latanie.

- No, nie wiem. Jakiej tam niebezpiecznej? Zresztą zanim pan Hall zmarł, naprawdę chciałam tę pracę dostać.

- Owszem, kiedy pan Hall prowadził biznes. Ale teraz już go nie prowadzi. Zamiast niego pojawił się niedoświadczony osiem-nastolatek, więc teraz to tym bardziej przypomina samobójstwo.

- Daj spokój, nie nazwałabym tego samobójstwem.

- Lea, przecież opowiadałaś mi, jak to się robi. Lecisz maleńką blaszanką, samolocikiem, który nigdy do tego nie był przeznaczony i ciągniesz długi, ciężki baner. Cały czas męczysz się ze sterami, żeby utrzymać samolot w równowadze, cały czas istnieje obawa, że stracisz sterowność, runiesz na ziemię i zginiesz.

- Teoretycznie to wszystko prawda, ale żaden pilot tak by tego nie ujął. Gdyby rzeczywiście było tak niebezpiecznie, krótko bylibyśmy pilotami. W twoim wydaniu to brzmi jak jakiś kompletny obłąd.

- A nie jest? Sama opowiadałaś, że usunięto z tych samolocików wszystkie przyrządy po to, żeby dały radę uciągnąć transparenty reklamowe. No więc, latasz bez przyrządów i to ma nie być niebezpieczne?

- Nie usuwa się przecież wszystkich przyrządów. Te, które usunięto, są w zasadzie niepotrzebne, chyba że podczas dużego zachmurzenia albo w ciemnościach. To znaczy, owszem, fajnie byłoby je mieć, ale nie są tak naprawdę niezbędne.

Molly tylko na mnie popatrzyła. Uświadomiłam sobie, że w samej rzeczy, moje słowa nie zabrzmiały przekonująco.

- Owszem, słyszę, co mówię - zapewniłam. - Bo chyba takie mało być następne pytanie. A więc, tak.

- Cóż - odpowiedziała - skoro tak kochasz tych gości i przysięgasz na wszystko, że ta praca nie jest „aż taka samobójcza” -oderwała dłonie od kierownicy, żeby palcami pokazać cudzysłów -nie widzę problemu. Rozumiem, o co chodzi z tą nieposzlakowaną opinią i co będzie, kiedy twoja matka zorientuje się, że sfałszowałaś jej podpis. Po prostu musisz uważać, żeby się nie wychylać, przynajmniej dopóki nie zdołasz się wyrwać z Heaven Beach.

- Otóż to.

Minęłyśmy kolejny sklep. I do tego miejsca dochodziłam czasem na piechotę, a potem cholernie ciężkie torby mało mi rąk nie urwały, zupełnie jak te kliny na lotnisku. Co innego, gdyby można było podjechać samochodem. Wrzucasz toboły do bagażnika i zapominasz o nich, aż dojedziesz do domu. Tak jest, zachwyciłam się cudownym wynalazkiem zwanym samochodem. Prawie podczas każdej przejażdżki, na którą zabierała mnie Molly, brała mnie pokusa, żeby ją poprosić: „Zatrzymajmy się, kupię sobie coś do żarcia”. Ale nigdy nie poprosiłam, a jej samej nie przyszło to do głowy.

- Poza tym niewykluczone, że masz pewien problem z podporządkowaniem się... - dodała Molly.

- Kto, ja?

- Ty. I dlatego wnerwią cię, kiedy Grayson rozkazuje ci, co masz mówić, zwłaszcza, kiedy dotyczy to kurwienia się na rozkaz.

- Zgadza się.

- Ale jeżeli ten biznes nie ma szans na przetrwanie - jak twierdzisz - to wystarczy, że położysz uszy po sobie, trochę się pomęczysz, a potem wrócisz do swojej roboty w biurze lotniska. Nie wiem, czemu tak tobą wstrząsnęło, że nie dostałaś u tego gnojka roboty przy opylaniu. Sporo już latałaś, ale nigdy nie zarabkowałaś w ten sposób. Co cię napadło, że nagle tak ci zależy?

- Chodzi o to, że dla uzyskania każdego rodzaju licencji pilo-

ta wymagany jest określony wiek plus wylatanie konkretnej liczby godzin.

- I jeszcze ten cholerny wymóg dobrej opinii.

- To tylko do licencji pilota linii pasażerskich. Ale zgadza się, bo to jest następny etap, do którego zamierzam dążyć. Żeby dostać normalną zawodową licencję, musiałam skończyć osiemnaście lat i wylatać dwieście pięćdziesiąt godzin. Z początku musiałam wynajmować samolot od pana Halla, żeby te godziny wylatać. A wynajęcie samolotu nie jest tanie. Gdyby nie to, że w końcu pozwolił mi używać maszyny za darmo, nie miałabym jeszcze licencji.

- Rozumiem.

Mijałyśmy bibliotekę. Ja zawsze brałam jedną czy dwie książki na raz, żeby nie mieć za wiele do dźwigania w drodze powrotnej do domu. W ten sposób zawsze miałam w pokoju cały stos nie-oddanych książek. A tymczasem Molly zwracała po kilkanaście książek. Od razu. I pożyczala potem całą stertę, po czym pakowała je do samochodu.

- Żeby dostać licencję pilota liniowego - mówiłam dalej - muszę mieć dwadzieścia trzy lata oraz wylatane tysiąc pięćset godzin. Teraz, kiedy odszedł pan Hall, zostało mi jeszcze tysiąc dwieście pięćdziesiąt godzin do wylatania. Za pieniądze! W dodatku, żeby dostać robotę w jakiejś linii lotniczej, muszę skończyć studia. I niby z czego mam za to wszystko płacić przez następne pięć lat?

- Cholera, nie wiem.

- Po to mi właśnie potrzebna praca za sterami. Po pierwsze, latam za darmo. Zaliczę w ten sposób mnóstwo godzin i jeszcze będą mi za to płacić, w dodatku całkiem nieźle.

- Ale jeżeli nie uda ci się dostać pracy związanej z lataniem -zauważyła - zawsze możesz dalej pracować w biurze lotniska i odkładać pieniądze na latanie czy studia. Pójdzie wolniej, ale przecież z drugiej strony nie musisz koniecznie zdobyć tej licencji akurat w dniu dwudziestych trzecich urodzin.

- Też prawda.

Tyle, że jeżeli nie zdobędę jej w wieku dwudziestu trzech lat, nie zdobędę jej nigdy. Życie jest zbyt ciężkie, ile można żyć przyszłością, myśleć tylko o tym, co może kiedyś się stanie, odkładać wszystkie pieniądze na praktycznie nieosiągalny cel? Minie trzydzieści lat, a ja dalej będę zasuwać w biurze na lotnisku i dostawać minimalną pensję. Będą krążyły plotki, że ja też kiedyś byłam pilotem, ale większość ludzi w to nie uwierzy. Wystarczy, że na mnie popatrzą.

- No tak. Teraz rozumiem - powiedziała Molly. Ciekawe, czy naprawdę rozumiała.

- A może firma Aleca i Graysona nie padnie tak od razu, jak to radośnie przepowiadasz i uda ci się popracować dla nich dłużej?

- Pełniąc zarazem funkcję lotniskowej kurwy.

- Cóż, ktoś musi.

Zaczynały się już motele. Ponieważ nadal znajdowałyśmy się w slumsowej części Heaven Beach, wszędzie połyskiwały neony zachwalające wyjątkowo niskie ceny za pokoje, tu i ówdzie migały baseny, ale małe, obskurne, a woda w nich była zielona.

Odezwałam się:

- A teraz opowiedz mi swoją historię, która podobno ma być dużo mniej ciekawa niż moja. Pogadałaś w końcu z jakimś bardzo fajnym kolesiem, ale musiał wcześniej iść spać. Ból.

- Ból.

Wykrzywiła usta w podkówkę.

- Jeszcze kiedyś się z nim spotkasz?

Powoli zaczerpnęła powietrza i wypuściła je, jak gdyby zastanawiała się nad odpowiedzią. Zupełnie nie w jej stylu.

- Chyba w tym tygodniu będzie miał bardzo dużo pracy.

- Zaraz, przecież dopiero co strasznie byłaś nim podjarana. Zajechałaś pod moją rezydencję o jedenastej wieczorem, żeby mi o nim opowiedzieć.

Gdy to mówiłam, zdałam sobie sprawę, że to pewnie nieprawda. Może ten chłopak w ogóle nie istniał. Molly zawsze miała jakiś powód tego rodzaju. Po prostu musiała natychmiast się ze mną zobaczyć i opowiedzieć o jakimś superfacecie, albo o jakimś wybryku swojej mamy, albo o czymś, co zobaczyła w telewizji... Ale tak naprawdę najczęściej wpadała, żeby sprawdzić, co się ze mną dzieje, czy wyciągnąć mnie na trochę z mojej przyczepy. Albo, żeby przy okazji zawieźć mnie do kafejki i nakarmić, a ja zachowywałam się, jakbym nie wiedziała, co się święci. Grałam w tę grę.

- Może i byłam podjarana - przyznała - ale przy twojej historii z kurwieniem to pikuś.

- Pikuś. To wiesz, może się zamienimy?

No, pięknie. Palnęłam głupotę, bez zastanowienia. Niewdzięczna, zawistna i rozgoryczona suka. Pewnie, że byłam rozgoryczona, tylko nikt nie chciał wysłuchiwać moich narzekań. Już otwierałam usta, żeby ją przeprosić, z serca i rzetelnie.

Tymczasem ona otworzyła znajdujący się pomiędzy nami schowek, wyciągnęła białą papierową torbę i położyła mi ją na kolanach.

- Ciepłe croissanty z czekoladą.

- Ach! - Mój okrzyk ekstazy na widok wypieków był tak szczery i spontaniczny, że aż sama się roześmiałam.

Zerknęła na mnie z uniesionymi brwiami, jak na wariatkę.

- Nic nie mów!

Odlamałam spory kawał kruchutkiego rogalika wypełnionego cudownym czekoladowym kremem i wepchnęłam w jej usta, z rozmysłem rozmazałam czekoladę po jej policzku.

- Mmmm - powiedziała tylko tyle.

Miała pełne usta, a croissanty z czekoladą, dzieło jej taty, były naprawdę wyborne.

Najpierw ona uciszyła mnie żarciem, potem ja ją uciszyłam. I dobrze zrobiliśmy. Po co się przepraszać? Tak było lepiej. Przeprosiny oznaczałyby, że któraś z nas nie miała racji i że coś sobie

jesteśmy winne. Bez sensu, właśnie w ten sposób zaczynają się problemy między ludźmi.

- O, popatrz. Prawdziwe kurwy.

Wskazała je ruchem głowy, zobaczyłam dwie kilkunastoletnie dziewczyny przechodzące przed nami przez ulicę. Obie miały włosy kiepsko ufarbowane na blond, obie w T-shirtach z wielkim dekoltem, z prawdziwymi albo fałszywymi tatuażami na piersi. Jedna z nich miała tandetne szpile, druga szła boso.

- Jak to się dzieje, że człowiek tak kończy? - spytała Molly. Mnie spytała, nie tamte laski.

Właściwie nie wiedziałam, czy to prawdziwe kurwy. Owszem, akurat w tej części miasta było ich mnóstwo. Ale snuło się tam też mnóstwo dziewczyn ze slumsów i przyczep, które przyjechały tutaj na wakacje, nad morze. Te laski i kurwy wyglądały mniej więcej tak samo. Te konkretne okazy wyglądały mi raczej na wczasowiczki, bo sprawiały wrażenie zadowolonych z życia i wyluzowanych. Przynajmniej tak mi się wydawało.

Tak mi się tylko wydawało, bo kiedy Molly przejechała przez skrzyżowanie, zobaczyłam, że dziewczyny stanęły na rogu i zaczęły machać na samochody.

Łatwo powiedzieć „zamieńmy się”. Gdybym była na miejscu tych lasek, nie byłoby nawet mowy o żadnym zamienianiu się. Kwestia jednego, niewielkiego kroku w życiu. Człowiek kończy tak jak one, kiedy wychowuje się tak jak ja. Tyle, że zaczyna zadawać się z niewłaściwymi ludźmi. No i nie robi tego jednego kroku - nie przełazi przez ogrodzenie lotniska.

Co prawda, akurat w tamtej chwili niewiele mi to dawało. Broniałam się rękami i nogami przed pracą dla Graysona. I ten cholerny szantaż... Nie miałam najmniejszej ochoty rzucać się w ramiona Aleca. A w końcu przecież na wszystko się zgodziłam, tak czy nie? Czym niby się różniłam od tych dwóch panien z ulicy?

Ale jednak, jednak. Myśl o tym, że następnego dnia rankiem

mam się zgłosić do Firmy Lotniczej Hall, przyprawiała mnie o lekki dreszczyk. Znowu będę latać, po całych dwóch miesiącach przerwy. Ale odlot! Dobrze powiedziane. Miałam się wpakować w jakąś dziwną rozgrywkę z Graysonem i Alekiem. Zupełnie jakbym zaczęła występować w jakimś telewizyjnym reality show, co pewnie musiało skończyć się jakimś haniebnym upokorzeniem na oczach wszystkich - ale z drugiej strony, lepsze to, niż oglądanie takiego durnego programu w telewizji, zwłaszcza że telewizora i tak już nie miałam.

No i znowu zobaczę Graysona. Graysona, który z jakichś powodów i do czegoś mnie potrzebował. Owszem, wykorzystywał mnie. Nie podobałam mu się, a tymczasem ciągle czułam na kolanie dotyk jego dłoni. Otóż to, spoglądałam sobie na tamte dziwki w bocznym lusterku, kiedy Molly znów dała gazu, położyłam rękę na kolanie i potarłam je kciukiem, w tę i z powrotem. I znowu poczułam ten prąd.

Skupiłam się na tym odczuciu, licząc, że na nim jakoś pojedę, że poprowadzi mnie ono krok po kroku drogą przez kemping na rozświetloną pomarańczowym porannym słońcem otwartą przestrzeń, przez wysoką, wilgotną trawę, której czarne nasiona przyklejały się do moich kostek. Miałam zobaczyć Graysona. Miałam polecieć samolotem. I dlatego szłam, nie zatrzymywałam się, zmierzałam wytrwale do Firmy Lotniczej Hall i do początku tej dziwnej szarady z Alekiem.

Tego ranka kombinowałam, co na siebie włożyć. Coś niewinnego, żeby spodobać się Alecowi? Wyglądał na takiego, co umawia się z ubranymi na różowo cheerleaderkami, które śpią przytulone do misia. A może ubrać się na maksa wyzywająco, po kurewsku, żeby dać Graysonowi do zrozumienia, co o tym wszystkim myślę? Przez piętnaście minut przymierzałam różne ciuchy, potem stawałam na kiblu i wychylałam się, żeby zobaczyć mój tors w lustrze nad zlewem, aż w końcu uznałam, że nie warto ryzykować, nie ma co wkurzać Graysona, bo może rzeczywiście wszystko wysypać mojej mamie. Postanowiłam więc ubrać się normalnie, tak jak gdyby nic się nie stało, jak gdyby wszyscy jeszcze żyli, a ja pracowałabym dla pana Halla, nie dla jego syna. Co prawda, hm, trochę po kurewsku jednak wyszło: króciutkie szorty i seksowny T-shirt, rozcięty, żeby był luźniejszy, bo zamierzałam go zdjąć w samolocie i zostać w samym topie bikini. W tych maszynach nie było klima-

tyzacji, więc w słońcu wewnątrz kokpitu nagrzewało się do temperatury rzędu czterdziestu stopni.

Kiedy zaczął się asfalt, weszłam na niego, żeby uniknąć dalszego kontaktu z zimną trawą. Po mojej lewej stronie wznosiły się hangary, między innymi hangar pana Simona. Przeszłam obok ostrożnie, spoglądałam uważnie w wielkie wrota, starając się jednocześnie sprawiać wrażenie, że wcale nie patrzę. Tego ranka nie miałam ochoty na kolejną konfrontację z Markiem, zresztą w ogóle nie miałam ochoty go widzieć, już nigdy. Kręciło się w środku kilka osób, ale Marka wśród nich nie wypatrzyłam. Poznałabym go po tym jego nerwowym sposobie poruszania się. Zresztą nic dziwnego, jeżeli poprzedniego wieczoru dalej tak imprezował, to raczej mało prawdopodobne, żeby zerwał się ze snu o świcie.

Wspominając ten gówniany tydzień, który z nim przeszłam, nie do końca dla mnie jasny układ polegający na możliwości latania (rzekomej) w zamian za seks, doszłam do wniosku, że nie mam ochoty powtarzać tego wszystkiego z Graysonem i Alekiem. A jednak szłam dalej, moje klapki wzbijały kropelki rosy osiadłe na asfalcie przetykanym białymi muszelkami. Pomyślałam, że fajnie byłoby rozgrzać stopy, zanim dojdę do hangaru Firmy Lotniczej Hall. Nie miałam ochoty flirtować z Alekiem. Był wściekle przystojny, ale nigdy nie pociągał mnie tak jak Grayson. Skręcało mnie w żołądku na myśl, że mam go podrywać. Musiałam sobie przypomnieć, że od dwóch miesięcy nie siedziałam za sterami i że chodzi tu o całą moją przyszłość jako pilota.

Mijając budynek biura lotniska, przyspieszyłam kroku. Żółty piper stał już na asfalcie przed hangarem. Wrota frontowe jak i boczne drzwiczki były otwarte, z wnętrza dobywały się dźwięki muzyki, jakiejś alternatywnej kapeli rockowej. Zawsze, kiedy zaglądałam do hangaru i chłopcy tam byli, zwracałam uwagę na to, jakiej muzy słuchają, poza tym nosili T-shirty wykonawców, o których nigdy

przedtem nie słyszałam, i czytali książki, które krążyły w ich szkole, a do Heaven Beach nigdy nie docierały. Trochę mi było głupio, że traktuję ich jako wzorzec, bo byli przecież z Wilmington, a nie z Nowego Jorku. Ja za to wywodziłam się spod pachy amerykańskiego przemysłu turystycznego i tyle. Nowinki czerpałam także od Molly, bo zawsze była na bieżąco dzięki temu, że utrzymywała kontakty ze swoimi dawnymi przyjaciółmi z Atlanty. Była na topie, ale nie tak na topie jak chłopaki.

Mocno spięta weszłam przez boczne drzwiczki. Ale spinałam się niepotrzebnie, bo obaj bracia siedzieli na ogrodowych krzeselkach przed czerwonym piperem, pochyleni nad pudełkami z jedzeniem. Poczułam ukłucie zazdrości i jednocześnie ssanie w żołądku. Rzecz zupełnie zrozumiała, kiedy nie jadło się śniadania. Mając w perspektywie ewentualną randkę z Alekiem, ale nie mając żadnej gwarancji, że ktoś zaprosi mnie na kolację albo zawiezie do miasta, zachowałam z tą myślą resztki chińszczyzny. Wolałam ich nie marnować na śniadanie.

- Heeeeeeej! - zawołałam, dość niezdarnie udając dziewczynę, której wcale nikt nie szantażuje, która jest z natury fajna i miła, a poza tym ogólnie lubi ludzi. Podeszłam do Aleca z rozpostartymi ramionami. Zdziwił się, odstawił śniadanie na bok, na ławeczkę z narzędziami, po czym wstał, żeby mnie uściskać. Był dokładnie tak przystojny, jak pamiętałam, jasnowłosy, o otwartej, przyjaznej twarzy. Może nie rozpromienił się na mój widok, ale ponieważ jego odruchową reakcją na cokolwiek był zawsze półuśmiech, zostałam więc takowym obdarowana.

- Hej, Lea! - zawołał, obejmując mnie ramionami na króciutką chwilę. - Kopę lat!

Następnie odwróciłam się w stronę Graysona, który miał na sobie lustrzane okulary i słomkowy kowbojski kapelusz. Jak zawsze. Nie chciałam go ścisnąć ani w ogóle go dotykać. Wściekła byłam na niego za szantaż i manipulację. Tylko że dziwnie by wygląda-

ło, gdybym wyściskała Aleca, a jego nie, a przy tym Alec musiał wiedzieć, że niedawno ze sobą rozmawialiśmy, Grayson i ja. No, bo jak inaczej Grayson mógłby mnie zatrudnić? Zawołałam więc też do Graysona:

- Heeeeeeeej!

Popatrzył na mnie, nie poruszając głową. Przez ułamek sekundy spotkałam jego spojrzeniem znad okularów. Potem on też odstawił śniadanie i wstał.

- Heeeeeeeej! - odpowiedział bez entuzjazmu, więcej w tym było rezygnacji niż ironii. Potem objął mnie jedną ręką w talii, dotykając dłonią gołej skóry.

Od jego dłoni bił żar i zdawało mi się, że trwa to całą wieczność, chociaż tak naprawdę trwało tylko tyle, ile zajęło mu przysunięcie mnie do siebie. Jego drugie ramię sięgnęło za moje plecy, po czym na ułamek sekundy przycisnął mnie mocno, a potem puścił. Wrócił na krzesło i zajął się śniadaniem.

Potem przypomniał sobie, sięgnął na stół po jeszcze jedno pudełko, podał mi je i ruchem ręki zaprosił, żebym usiadła na pustej sofie.

A ja stałam jak ogłupiała i zastanawiałam się, na czym polega różnica między uściskiem Graysona i uściskiem Aleca, i walczyłam z pociąganiem do chłopaka, który był moim śmiertelnym wrogiem.

Bardzo ostrożnie usiadłam na sofie. Dobrze pamiętałam, że trzeba na nią uważać, bo kiedy dotknęło się tego mebla zbyt gwałtownie, unosiły się kłęby kurzu. Chłopcy i pan Hall nigdy nie zwracali na to uwagi, pewnie dlatego, że piętnaście lat wcześniej, długo jeszcze przed rozwodem, kiedy wszyscy mieszkali razem w Heaven Beach, sofa stała u nich w domu. Dopiero kiedy usiadłam, zauważyłam logo na pudełku.

- O! To z knajpy rodziców mojej przyjaciółki. Nazywa się Molly, znacie ją?

Grayson, nie patrząc na mnie, potrząsnął głową.

- Naprawdę? Wysoka, kasztanowe włosy. Niewykluczony makijaż, także o siódmej rano.

Alec potrząsnął głową, nie patrząc na mnie.

Dałam więc sobie spokój i otworzyłam pudełko. Och, ach! Bułeczka z szynką i jajkiem sadzonym, zimny sok owocowy i gorący croissant z czekoladą. Chwilę wcześniej, kiedy szłam przez lotnisko, czułam się taka głodna i osamotniona, w tej sytuacji zostać poczęstowaną gorącym croissantem tatusia Molly, nie takim gorącym, jak ten, który dostałam od Molly w jej samochodzie poprzedniej nocy, ale i tak mięciutkim, rozkosznym... To było coś tak cudownego, że od razu wiedziałam: zaraz coś się musi stać.

Spojrzałam w stronę Graysona, próbowałam napotkać jego wzrok, żeby podziękować za jedzenie, ale siedział na swoim krzeselku i zbyt był zaabsorbowany własnym croissantem.

Zabrałam się do jedzenia, ile można z nabożnym podziwem przyglądać się żarciu?

- Strasznie się cieszę, że będę latać! - rzuciłam między jednym kęsem a drugim. - Miałam sporą przerwę.

Obaj chłopcy przestali rzuć i popatrzyli na mnie. No, tak. Nie powiedziałam ani słowa o śmierci pana Halla. Nie musiałam. Przez minione dwa miesiące przywykłam do tego, że poruszam się w swoim własnym świecie, gdzie byłam jedyną osobą, która знаła pana Halla i tęskniła za nim. Tymczasem odkąd weszłam do tego hangaru, znalazłam się w alternatywnym wszechświecie, w którym żyli ludzie myślący na pewnym odcinku dokładnie tak samo jak ja. Jeżeli miałam namówić Aleca, żeby zaprosił mnie na randkę, potrzebowałam jakiegoś wsparcia w tej niezręcznej sytuacji. Myślałam, że Grayson mi pomoże - chociażby coś powie, cokolwiek. Ale nie, wstał bez słowa i poszedł do kanciapy pana Halla znajdującej się w kącie hangaru.

Alec za to pogryzł, przełknął i odezwał się:

- No, ja też nie latałem od jakiegoś czasu. Wczoraj wieczorem wyprowadziłem jeden z piperów i wykonałem kilka rundek z podejściami do pobierania banerów. Po prostu musiałem się upewnić, że jeszcze potrafię to robić.

- Słyszałam cię - powiedziałam i od razu pożałowałam tego, bo w ten sposób przypomniałam mu, że mieszkam na kempingu, w przyczepie.

Tym razem Grayson mnie wyratował. Przyszedł z kanciapy i podał mi plik dokumentów, po czym zasiadł z powrotem w swoim krześle i z zamkniętymi oczami upił długi łyk kawy z dużego papierowego kubka.

Zerknęłam na papiery.

- Odliczasz podatek? - Nie potrafiłam ukryć zaniepokojenia w głosie. Jako pilot miałam zarabiać za godzinę trzy razy więcej niż na etacie lotniskowego popychadła. W myślach już upychałam tę forszę w skarpety, wcale nie biorąc pod uwagę, że jedna czwarta pójdzie na podatek.

- Rozumiem, że to cię dziwi, ale w tym kraju obowiązuje takie prawo - wyjaśnił Grayson i sięgnął po swoje pudełko z jedzeniem.

- Wiem - odpowiedziałam - ja tylko...

- Ty tylko nie myślałaś, że potrafię obliczyć podatek, co?

Nie do wiary, chciał, żebym umawiała się z jego bratem, a jednocześnie od razu szukał zwady. Gotowy do kłótni, wpatrywał się we mnie, a w jego szarych oczach dostrzegłam gniewne oskarżenie.

Wymamrotałam:

- Nie sądziłam, że będzie ci się chciało.

Odlamałam spory kawałek czekoladowego croissanta i wepchnęłam go sobie do ust, prawie już się bałam, że zabierze mi śniadanie. Tym razem to Alec podjął próbę rozładowania napięcia.

- Grayson obkuł się podatków. Kupił sobie taką książkę o prawie biznesowym dla idiotów. Bardzo mu z nią do twarzy. - Klepnął Graysona w plecy.

Grayson skrzywił się. W pierwszym momencie wydawało mi się, że Alec po prostu za mocno go uderzył, tak że zabolalo, ale przecież nawet gdyby tak się stało, Grayson nie pokazałby nic po sobie. Na tym polegają gierki między facetami.

Dopiero w następnej chwili zdałam sobie sprawę, że Graysona rzeczywiście zabolalo, ale nie klepnięcie w plecy, tylko słowa Aleca. Alec dał po prostu do zrozumienia, że Grayson jest nieodpowiedzialnym idiotą. Pięć miesięcy wcześniej Grayson nie miałby nic przeciwko temu, zwłaszcza gdyby to mu pozwoliło wykręcić się od jakiejś czarnej roboty. A teraz go to ubodło.

Grayson nie zaśmiał się, nie odpowiedział klepnięciem na klepnięcie, więc Alec pochylił się i zajrzał mu w twarz, żeby popatrzeć w oczy, ale nagle zrezygnował.

- Spytam Zeke, czy nie potrzeba mu pomocy z banerami, a potem w drogę. - Wstał z krzesła, na jego twarzy malował się dyżurny uśmiech. - Do zobaczenia w czasie przerwy.

Akurat miałam pełne usta. Przełknęłam pospiesznie.

- Na razie, Alec! - zawołałam pogodnym głosem, ale on już wyszedł wielkimi wrotami prowadzącymi na pas startowy. Odezwałam się do Graysona: - Nie poszło najlepiej - rzekłam półgłosem. - A ty mi nie pomagasz.

Spojrzał na mnie spode łba.

- A co mam zrobić? Załatwić ci wolny pokój?

Naprawdę miałam ochotę wstać, wrzucić do śmieci moje na wpół zjedzone śniadanie i zatrzaskać za sobą drzwi hangaru. I do diabła z Graysonem, Alekiem i moją karierą pilota, a także jedzeniem. Mogę znieść niejedno, ale nie obelgi rzucone prosto w twarz. Tymczasem na coś takiego się zanosilo, więc należało natychmiast zareagować.

Widząc, jaką mam minę, otworzył szeroko te swoje szare oczy.

- Przepraszam. Niepotrzebnie to powiedziałem. Trochę jestem niewyspany.

- No, to powinieneś się wysypiać - odparłam. - A póki co, przestań mnie obrażać tylko dlatego, że robię coś, do czego mnie zmuszasz.

- Masz rację - mruknął. - Chodziło mi tylko o to, że raczej nie rzuci ci się w ramiona pierwszego dnia. To może potrwać kilka dni. A co najmniej kilka godzin. Może w jakiejś bardziej romantycznej scenerii, w każdym razie raczej w miejscu, gdzie nie będzie tak waliło smarem. - Odgryzł następny kęs, dając w ten sposób dowód, że warsztatowe zapachy nie przeszkadzały mu bardziej niż mnie, po czym ruchem głowy wskazał moje śniadanie. - Kiedy skończysz, weź pomarańczowego pipera. Polataj nim ze dwie godziny, a potem wróć na przerwę.

- Nie muszę robić przerwy po tak krótkim czasie - zaprotestowałam. Nie wypijałam hektolitrów kawy tak jak Grayson, a w dodatku przywykłam do tego, żeby wytrzymywać w samolocie długie godziny bez sikania.

- Nie, nie. Zrób przerwę. - Grayson podniósł głos, jakby złościł się, że w ogóle śmiem mu odpowiadać.

Przełknęłam urazę tudzież kęs bułki. No, niby pan Hall, gdybym dla niego pracowała, też pilnowałby każdego mojego kroku. Tylko że Grayson nie był swoim ojcem. Grayson wcale nie znał się na tej robocie lepiej ode mnie.

- Pamiętaj - perorował tymczasem - w razie czego, zrzucić baner w jakimś miejscu, gdzie nie ma ludzi. Kolejność priorytetów jest następująca - uniósł kciuk - inni ludzie, potem ty - wyprostował palec wskazujący.

- ...Potem samolot, potem baner - dokończyłam za niego. - Grayson, ja to znam na pamięć. Ty i ja uczyliśmy się w tym samym czasie. Nie musisz mi tego powtarzać.

Zacisnął dłonie na podłokietnikach swojego krzesła, tak że pobieleły mu knykie.

- A kto powtórzy, jeżeli ja tego nie zrobię?

Hangar nie był pusty. Przeciwnie, stały tam krzesła ogrodowe, sofa, mnóstwo szafek z dokumentami, były tam stoły do pracy, narzędzia i wyposażenie oraz czerwony piper, pomarańczowy piper i czteromiejscowa cessna. Jednak hangar zdawał się wielki i pusty, gdy głos Graysona odbijał się echem o metalowe ściany. W dowolnym momencie podczas minionych trzech i pół roku wiedziałabym, że przedrzeźnia pana Halla. A teraz wiedziałam, że wcale tego nie robi. Jednak przeszedł mnie dreszcz i zastanowiłam się, czy on sam też to słyszy, że jego głos brzmi zupełnie tak samo jak głos zmarłego ojca.

Tuż przy hangarze ryknął silnik. To Alec odpalił żółtego pi-pera i zaczął kołowanie. Głośny warkot zniwelował efekt echa, za to Grayson zaczął wrzeszczeć, żeby go przekrzyczeć.

- Przez ten tydzień nikt nie ma prawa się rozbić, rozumiesz? Jeżeli cokolwiek się stanie, wszystko to na nic. Możesz sobie narzekać, ale póki co, ja tu rządę, a nie ty i to ja szantażuję ciebie, więc siedź cicho.

Jego szare oczy zwężyły się, zacisnął szczęki. Po pierwszym chamskim tekście, tym o wolnym pokoju, położył uszy po sobie i przeprosił. Tym razem wyraźnie nie miał tego zamiaru.

Wstał.

- Gotowa?

Nie pytał mnie, czy jestem gotowa. Po prostu oznajmił mi, że jestem. Włożyłam do ust ostatni kawałek bułki, wyrzuciłam śmieci do kosza i poszłam za nim do pomarańczowego pipera. Odruchowo zajęłam miejsce za skrzydłem, jak tyle razy przedtem, gdy wyprowadzałam maszynę razem z panem Hallem. Kiedy zorientowałam się, że Grayson ma pod kontrolą tylne koło, pchnęłam. Wytoczenie samolotu z hangaru nie wymagało wielkiego wysiłku, podobnie zresztą jak wyprowadzenie go na pas startowy.

W oddali Alec właśnie oderwał się od ziemi. Samotna postać na polaci trawy obok pasa startowego zmagająca się z hakiem na li-

nie rozciągniętej między dwoma pionowymi prętami. Za tą postacią na porannym wietrze powiewał długi baner. Alec powiedział, że to Zeke; nie znałam człowieka. Nie chciałam wypytywać o niego Graysona, kiedy oboje byliśmy w takim parszywym nastroju, ale przecież miałam prawo wiedzieć, kto przygotowuje banery, skoro miałam ryzykować życiem i zgarniać je pilotowanym przez siebie samolotem.

- Kto to jest Zeke?

- Taki tam koleś przysłany z urzędu pracy - zawołał Grayson od strony ogona. W jego głosie nie było słychać już ani cienia emocji, jakie jeszcze przed kilkoma chwilami aż wrzały. - Nie spodziewam się po nim zbyt wiele.

- Kiepsko to brzmi - powiedziałam. - Ale szacun, skoro udało ci się dogadać z urzędem. Widać, że naprawdę poważnie traktujesz ten biznes.

Grayson zrobił ruch, jakby chciał się odwrócić w moją stronę. Zapewne miało to być ostrzeżenie, bo nie był pewien, czy się z niego nie naśmiewam. Ja też zresztą nie byłam tego pewna.

- Wystarczyło zadzwonić - mruknął. Potem poklepał pieszczotliwie ogon samolotu. - Sprawdź go naprawdę porządnie, zanim wystartujesz. Tego jeszcze nie ruszaliśmy, więc nie latał, odkąd... zmarł mój ojciec.

Tylko krótkie wahanie dało mi poznać, że za tymi słowami kryje się ból. Mnie także zabolęło, wolałabym, żeby nie dokończył tego zdania. Jednak zaimponowało mi, że to z siebie wykrztusił.

Wycofał się do hangaru.

Westchnęłam i zajęłam się samolotem. Humor natychmiast mi się poprawił, przecież zaraz miałam latać, po tak długiej przerwie!

Najpierw jednak musiałam sprawdzić mnóstwo rzeczy. Obeszłam maszynę dookoła, przesuwając dłonią po kadłubie i sprawdzając, czy nie ma jakichś ubytków albo pęknięć. Sprawdziłam olej. Wyciągnęłam dyszel holowniczy z tyłu samolotu, sprawdziłam

liny i haki do łapania banerów, po czym haki zabrałam do kokpitu, żeby we właściwym momencie móc je potem wyrzucić przez okno. Wróciłam do hangaru. Minęła chwila, nim po jaskrawym słońcu poranka przywykłam do ciemności, jeszcze po omacku sięgnęłam do skrzynki z narzędziami po bagnet do mierzenia poziomu paliwa. Grayson w przeciwległym rogu hangaru uwijał się wokół czerwonego pipera i nic nie powiedział. Wróciłam na zewnątrz, sprawdziłam paliwo. Potem wskoczyłam na fotel i odpaliłam silnik - mój puls przyspieszył wraz z jego obrotami! - a następnie zakołowałam do pomp.

Stał tam już jeden z air tractorów pana Simona. Miałam nadzieję, że nie siedzi w nim Mark. Ale oczywiście, znając moje szczęście, mogłam być pewna, że nie będzie to nikt inny. Kiedy podjechałam bliżej, moje przypuszczenia, niestety, okazały się słuszne. Mark właśnie gramolił się bardzo powoli z kokpitu, jakby na ciężkim kacu. Cóż, nic w tym dziwnego.

Spojrzał na mój samolot. Jechałam pod słońce, więc miałam nadzieję, że światło odbite od szyby oślepi go i Mark mnie nie zobaczy. Pewnie nie wiedział, że latam dla Graysona. Mogłabym skulić się za deską rozdzielczą i odczekać, aż nabierze paliwa i wyniesie się, wysiąść dopiero potem i w ten sposób uniknąć chociaż tej jednej pyskówki. Nastawiłam się więc na czekanie, zdjęłam koszulkę i otworzyłam okienko, żeby przewietrzyć mocno już rozgrzany kokpit.

Co prawda była dopiero połowa kwietnia, ale rozpoczęło się już lato. Drzewa wokół lotniska pokryte były liśćmi. Trawa, tam gdzie niejaki Zeke męczył się z banerem, rosła wysoka i zielona, kołysała się na wietrze, jakby przytupywała nogą, czekała, aż ktoś się zbudzi z długiego snu zimowego i wreszcie ją przytnie. Tak naprawdę lato trwało w tym miasteczku od kwietnia do co najmniej października. Co dziwne, pierwsi wczasowicze pojawiali się już w marcu, kiedy pogoda była bardzo niestabilna - to ciepło, to znowu wra-

cała zima. Natomiast znikali już we wrześniu, podczas gdy jeszcze w październiku było ciepło, szare fale rozbijały się o żółtą plażę pod błękitnym niebem, wcale się nie przejmując tym, że pijani studenci, spalone słońcem bobasy i brzuchaci wytatuowani ekshibicjoniści opuścili plażę. Lato w Heaven Beach nie dawało za wygraną, niezależnie od tego, czy ludzie zwracali na to uwagę.

Otworzyłam drugie okienko. Razem z ciepłym powietrzem do środka wpadł ciężki zapach kapryfolium i warkot silnika samolotu pilotowanego przez Aleca. Maszyna opadała właśnie ku płycie lotniska, by zaraz polecieć niziutko nad trawą i zgarnąć baner umocowany między prętami. Wygląda to dość upiornie. Odnosi się wrażenie, że samolot leci zbyt wolno, że zaraz spadnie na ziemię. Wiedziałam jednak z doświadczenia, że to tylko pozory, natomiast oko ludzkie nie jest w stanie się do tego przyzwyczaić. Silnik zawył. Samolot zwolnił jeszcze bardziej, na granicy utraty siły nośnej, jakby zaraz miał runąć w dół jak kamień. Prawie niewidoczny dotąd baner, który drzemał sobie w trawie, wcale nie miał ochoty na podniebną wędrówkę. Wił się, obijał o ziemię, aż wreszcie, kiedy nie mógł już dłużej się opierać, rozwinął się na całą długość za wciąż pnącym się do góry samolotem Aleca: KOKTAJLE PO 4\$ WYSTEMPY NA RZYWO RESTAŁRACJA U FRANKA.

Ale czad. Zeke miał zero pojęcia o ortografii. I jeżeli nerwowa scenka w hangarze miała być zapowiedzią tego, w jaki sposób Grayson będzie się zachowywał przez resztę tygodnia - czyli pod wieloma względami podobnie do swojego ojca - należało się spodziewać, że wpadnie w niezły szal.

Spojrzałam znowu w stronę Marka, który stukał głową w pompę, raz po raz. Coś było nie w porządku - i to coś więcej niż tylko Mark. Wystarczająco dużo paliwa wlałam do różnych samolotów, żeby o tym wiedzieć. W następnej chwili zdałam sobie sprawę, o co chodzi. Wyskoczyłam z kokpitu.

- Mark, przestań, przestań natychmiast! Co ty robisz?

Dalej opierał się czołem o żelastwo, tylko odwrócił głowę w moją stronę.

- A, jesteś? Wiedziałem, że zmienisz zdanie.

Wyłączyłam pompę, ostrożnie odebrałam Markowi ciężką końcówkę węża i wyjęłam ją z otworu wlewu paliwa, nacisnęłam guzik silnika elektrycznego, żeby wąż zwinąć. Szybko sprawdziłam, czy gdzieś w okolicy nic się nie tli, nie iskrzy, nie dzieje się coś niezwykłego. Mark tymczasem przyglądał mi się bez słowa. Rozwinęłam przewód uziemienia, przeciągnęłam go przez asfalt i przymocowałam do rury wydechowej air tractora.

- Czy wujek cię nie nauczył, że nigdy nie nalewa się paliwa, jeśli wcześniej nie uziemisz samolotu? Wystarczy jedna iskra, a wszystko wyleci w powietrze.

- To się jeszcze nigdy nie zdarzyło.

Owszem. Nie zdarzyło się. Dlatego, że wszyscy inni uziemiają samoloty przed tankowaniem, tylko on jeden nie.

- Czy ty rozumiesz, co do ciebie mówię? - Nie dawałam za wygraną. - Gdyby od takiej iskry zapalił się podziemny zbiornik z paliwem, połowa lotniska wyleciałaby w kosmos.

Uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Niezły koniec. Bum! Przynajmniej by nie bolało. - Przechylił głowę na bok, ale zaraz zamknął oczy, jak gdyby ten ruch sprawił mu ból. Wyprostował głowę. - Co ty robisz w samolocie nieboszczyka?

A więc tej rozmowy jednak nie udało się uniknąć. Miejmy to z głowy, przynajmniej nikt inny nie usłyszy.

- Pracuję dla Firmy Lotniczej Hall.

- Nie! - wrzasnął.

Aż się skurczyłam od tego, jak gwałtownie zareagował. W następnej sekundzie wściekłość znikła bez śladu, a Mark obdarzył mnie czarującym uśmiechem.

- Lepiej pracuj dla mojego wuja. Pokażę ci, polecimy razem...

- Kiedy? - przycisnęłam go.

- Niedługo. Dziś wieczorem jest impreza u Patricka. Chodź ze mną, to omówimy sprawę.

- Weź ze sobą swoją „blondynkę”. - Zrobiłam palcami cudzysłów w nawiązaniu do jej platynowych włosów z czarnymi odrostami. - Muszę brać się do roboty.

Chyba oberwał niezły ochrzan od wuja, pewnie bardzo się spóźnił, bo kiedy skończył tankować, już tylko kilka razy zmierzył mnie znacząco spojrzeniem od stóp do głów i odkołował z powrotem do hangaru pana Simona.

Stałam w drzwiach kokpitu i przytrzymałam obiema rękami ciężki wąż, lejąc paliwo do otworu znajdującego się z wierzchu skrzydła. Zatankowałam w ten sposób na rachunek Firmy Lotniczej Hall, po czym ostrożnie zwinęłam wąż oraz przewód uziemiający. Serce biło mi coraz prędeziej, kiedy znów włączyłam silnik, nałożyłam słuchawki i pokołowałam do początku pasa.

Tam zatrzymałam się, żeby przejść spokojnie listę kontrolną pana Halla. Przyrządy ręczne i pedały poruszały klapami i sterem, tak jak trzeba. Dotknęłam palcem każdego wskaźnika na desce rozdzielczej, sprawdzając, czy wszystkie działają. Wskaźnik poziomu paliwa potwierdzał, że mam pełny bak. Wysokościomierz działał. Na koniec przy włączonych silnikach sprawdziłam iskrowniki. Samolot wibrował, jakby miał się rozpaść na kawałki, ale wszystkie trzy pipery tak się zachowywały. Nic więcej do sprawdzenia mi już nie zostało. Jeżeli coś poza tym funkcjonuje nieprawidłowo, okaże się to już w powietrzu, czy też raczej na ziemi, kiedy na nią spadnę.

Uruchomiłam przyciskiem radio i oznajmiłam do znajdującego się przy moich ustach mikrofonu, że zamierzam startować. Jak zawsze zaskoczył mnie mój własny dziecinny głosik rozbrzmiewający w słuchawkach. Nie był to budzący zaufanie głos pilota-profesjonalisty.

Pamiętając, co Grayson opowiadał mi o agresywnym lądowaniu Marka po ich meczu koszykówki, rozejrzałam się. Air tractor stał zaparkowany przed hangarem pana Simona. Poza tym na lotnisku było pusto. Niebo czyste. Rozejrzałam się raz jeszcze, bo przed zderzeniem z innym samolotem uratować mnie mógł jedynie pilot tamtej maszyny i ja - samą siebie.

Wjechałam z drogi kołowania na pas startowy po raz pierwszy, odkąd zmarł pan Hall. Łagodny wietrzyk. Start nie będzie trudny. Robiłam to już tysiąc razy. Czułam motylki w brzuchu, ale nie ze strachu. Z wyczekiwania.

Poczułam też gęsią skórę na rękach. Zacisnęłam dłonie na wolancie, żeby się wziąć w garść, żeby nie zdrzeć od pragnienia. Normalni ludzie mają takie dreszcze, kiedy rzucają palenie. Zresztą, kiedy ja rzucałam, też to czułam.

Natomiast normalni ludzie nie mają takiego odczucia w zetknięciu z niebezpieczeństwem.

A więc, naprzód. Samolot z coraz większą prędkością mknął po pasie. Musiałam tylko pilnować, żeby nie zwolnił i nie zboczył z prostej. Kształt skrzydeł i prawa fizyki załatwiają resztę. Samolot chce latać.

I nagle oderwał się od ziemi. Widok w przedniej szybie zmieniał się stopniowo, więc trudno było powiedzieć, jak wysoko już jestem. Kiedy patrzyło się na start z zewnątrz, widać było, jak samolot rozstaje się ze swoim cieniem na asfalcie niczym syjamski bliźniak rozdzielony od swojego brata. Przez boczne okno widać było, że ziemia oddala się ode mnie, a drzewa, tak wyniosłe i o tak bogatych kształtach, wyglądają teraz - od strony czubków - jak zielona łąka porośnięta trawą. Gdy wykonałam skręt, odległy o cztery kilometry ocean załśnił na horyzoncie. Tym razem nie zdołałam powstrzymać dreszczu rozkoszy.

Odezwałam się do mikrofonu, zapowiadając, że będę podnosić baner. Skrzywiłam się na dźwięk mojego dziecięcego popiskiwa-

nia. Nic dziwnego, że chłopcy się ze mnie naśmiewali, a Mark nie traktował mnie poważnie. Też bym nie zatrudniła pilota z takim głosem. Z tego rozgniewania poleciałam trochę za wysoko, teraz obniżyłam lot, żeby znaleźć się tuż nad trawiastym pasem biegnącym wzdłuż pasa startowego. Wycelowałam w drążki, przy których czekał mój baner i pędziłam teraz nad samą ziemią, samolot prawie już spotykał na nowo swój bliźniaczy cień.

Przy hangarze Firmy Lotniczej Hall stał Grayson ze skrzyżowanymi ramionami i patrzył na mnie.

Przy hangarze Simon Air Agriculture obok swojego samolotu stał Mark z rękami opartymi o biodra i czekał, kiedy się rozwalę.

Wyrzuciłam za okno pierwszy hak.

Utrzymać wysokość.

Starłam się zaufać swoim odruchom i wyczuciu samolotu, jak uczył mnie pan Hall. Nie kombinować za dużo. Wczuć się.

Pręty mignęły pode mną. Nie miałam jak sprawdzić, czy hak zwisający z mojej maszyny zaczepił się o poprzeczkę banera. Jeszcze nie. Czekałam, aż to poczuję, nie zamierzałam dać się wyprowadzić z równowagi tym, że obserwuje mnie dwóch facetów, z których żaden we mnie nigdy nie wierzył.

Kiedy samolot sporo już się oddalił od słupów - aż za daleko, jak mi się wydawało - poczułam. Silnik zawył, pojawił się wyraźny opór, jakby samolot umocowany był na gumie, która zaczynała go ciągnąć z powrotem. Dodałam gazu przepustnicą, żeby dać mu więcej mocy, żeby zdołał uciągnąć dodatkowy ciężar. Skierowałam nos maszyny prosto w niebo, tak stromo, że niemal na granicy przeciągnięcia. Baner ciągnął mnie do ziemi całym ciężarem. Samolot wzdrygnął się, jakby miał się rozerwać.

Silnik wył jękliwie, ale samolot wciąż się wznosił. Coraz dalej i dalej od swojego cienia na trawie. Niewidzialna ręka dodała mi prędkości, kiedy koniec banera oderwał się od ziemi, tak jakby trzeba było tylko zerwać te ostatnie więzy łączące samolot z ziemią, żeby mógł ruszyć przed siebie i w górę. Spojrzałam w stronę Graysona, teraz malutkiej figurki na ziemi.

Już nie stał z założonymi rękami. Złapał się nimi za głowę, jakby coś poszło nie tak. Opuścił jedną z nich i podniósł do swoich ust jakiś ciemny kształt - radio pana Halla. Na częstotliwości używanej przez firmę rozległ się jego głos:

- Lea, Zeke narobił błędów ortograficznych.
- Zgadza się - rzuciłam do mikrofonu. - Na banerze Aleca też narobił.
- No żesz kurw... - Grayson prawie zdążył wyłączyć radio, nim jego bluzgi rozległy się na publicznie dostępnych falach. Natomiast nawet z tej odległości widać było, że dalej mówi do siebie, ostro gestykulując. W pewnym momencie nawet zamachnął się, jak gdyby chciał rzucić radiem o asfalt. Nie rób tego, Grayson.

Byłam już tak daleko, że straciłam go z oczu, kiedy znów pojawił się na naszej częstotliwości.

- Lea i Alec, oboje. Zawracajcie i zrzućcie banery, żebyśmy mogli je poprawić. I uważajcie na siebie wzajemnie.

Zawróciłam, znów zobaczyłam Graysona, który spoglądał przez asfalt w stronę Marka. Mark krzyczał coś do niego z dłońmi przy ustach.

Skupiłam się na pilotowaniu. Każdy lot może być ostatnim lotem, zwłaszcza w sytuacji, kiedy cała firma i moja praca w niej wisiały na włosku. Okrążyłam lotnisko, zrzuciłam baner i dalej krążyłam, wypatrując Aleca, żeby się z nim nie zderzyć. Na sygnał od Graysona, znów dałam nura po prawidłowo tym razem wypisany transparent, dokładnie sprawdzony przez Graysona. Ruszyłam w kierunku oceanu.

Choć w promieniach bezlitosnego słońca w kokpicie panował skwar, nie mówiąc już o tym, że w powietrzu wisiał intensywny zapach mojego kremu do opalania, to i tak widząc Atlantyck, odetchnęłam swobodniej. Atlantyck, który obmywał swoimi falami ziemię w pobliżu mojej przyczepy. Czułam jego obecność, czułam, jak faluje i pulsuje te trzy czy cztery kilometry ode mnie. Jednak ostatnio, odkąd przestałam latać, rzadko go widywałam. Czasem migał mi gdzieś między domami, jeżeli Molly wzięła mnie na przejażdżkę i znalazłyśmy się gdzieś blisko wybrzeża, pod warunkiem, że działo się to w dzień. I tyle. A teraz rozciągał się przede mną w całej okazałości w trzy strony aż po horyzont, po samo niebo. Nie potrafiłabym nawet powiedzieć, jaki jest jego kolor, bo w falach połyskiwało słońce, jakby pode mną falowało płynne złoto.

Kiedy znalazłam się w bezpiecznej odległości od brzegu, skręciłam maszynę, żeby lecieć równoległe do plaży. Na taką odległość nie zapaści się żaden pływak, więc gdybym zgubiła baner albo wpadła z całym samolotem do wody, nikogo nie zabiję. Jednocześnie leciałam wystarczająco blisko plaży, żeby wczasowicze mogli przeczytać treść baneru.

Najpierw leciałam wzdłuż plaży należącej do bardziej slumsowej części miasta. Roilo się tam od hoteli pomalowanych na jaskra-

we kolory. Prawdziwe slumsy rozpoczynały się po drugiej stronie szosy wiodącej wzdłuż brzegu, więc od strony morza nie było ich widać. Oczywiście nie mogłam dostrzec ze szczegółami pojedynczych ludzi, ale wiedziałam z doświadczenia, że na piasku w słońcu rezydują kurwy oraz dziewczyny mieszkające w przyczepach w głębi kraju, które bardzo łatwo wziąć za kurwy; wytatuowani ekshibicjoniści, żołnierze na urloпах z licznymi i młodymi rodzinami - zbyt licznymi jak na to, żeby szeregowiec zdołał utrzymać je ze swojego niskiego żołdu. W powietrzu unosi się kwaśny zapach piwa oraz dymu papierosowego, a czasami też marihuany, nawet tam, gdzie bawią się dzieci, nawet o ósmej rano. Impreza zaczyna się tu wcześniej i trwa przez cały dzień, bo ci ludzie mogą sobie pozwolić tylko na jedną czy dwie noce w hotelu, potem muszą wracać. Kilka razy zdarzyło mi się bywać przy różnych okazjach na plaży, właśnie w tej okolicy.

W miarę, jak zbliżałam się do elegantszej części miasta, na plaży było coraz mniej ludzi. Tandetne, jaskrawe hotele ustąpiły miejsca mniejszym, ceglanym, stojącym w większej odległości od siebie, a potem w ogóle hoteli już nie było, tylko apartamentowce z basenami dla mieszkańców, a jeszcze dalej indywidualne rezydencje - tam każda rodzina miała własny basen. Ta część plaży ciągnęła się najdłużej. Tutaj na metr kwadratowy plaży przypadało może i sto razy mniej wczasowiczów. Nie zlewali się w ludzką masę, widziałam poszczególne postacie. Szły wzdłuż plaży w znacznej odległości od siebie. Albo rodzice wychodzili z dziećmi na plażę, bardzo wcześnie, żeby nie poparzyły się od słońca, i pilnowali ich, żeby nic złego im się nie stało. W przeciwieństwie do dzieci ze slumsowej dzielnicy, te nie musiały same dbać o siebie.

Jednocześnie wypatrywałam innych pojazdów latających. Nad morzem czasem pojawiały się helikoptery Chinook z bazy wojskowej, które straszyły turystów. Z bazy lotniczej startowały FI6. Czasami przemknął też samolot albo helikopter Straży Przy-

brzeżnej, zmierzając komuś na ratunek, czy po prostu patrolując i przemieszczając się wzdłuż plaży tak jak ja.

A poza tym byli też Alec i Grayson, którzy lecieli według tego samego schematu co ja. Słyszałam, jak Alec oznajmia przez radio, że zrzuca baner, potem krążył i w końcu podjął baner zgodny już z zasadami ortografii. Potem wystartował Mark, wyruszając na opylanie. Nawet trochę się zdziwiłam, bo wszystko zrobił według protokołu, a nadal miałam w pamięci to, co Grayson mówił mi o Marku, że posługuje się samolotem jak bronią. Potem wystartował Grayson i pobrał swój baner.

Grayson, Alec i ja znaleźliśmy kolejność czynności na pamięć, ponieważ pan Hall wbił ją nam do głów. A więc najpierw wylecieć nad ocean i dokonać zwrotu o dużym promieniu w bezpiecznej odległości od brzegu, zawsze mając na uwadze innych ludzi. Zaczynaliśmy od dzielnicy biedoty, potem lecieliśmy w stronę oazy bogaczy. Kiedy gęstość zaludnienia malała do tego stopnia, że było już więcej ptaków niż plażowiczów i właściwie nie było komu oglądać reklam, wtedy dokonywaliśmy kolejnego zwrotu, też o bardzo dużym promieniu i bardzo ostrożnie, zawsze mając na względzie ciężki baner, do którego holowania samoloty nie były tak naprawdę przystosowane. Potem lecieliśmy z powrotem wzdłuż plaży, jeszcze dalej od brzegu, żeby uniknąć czołowego zderzenia. Taki wypadek był mało prawdopodobny, ale żadne z nas nie miało radaru, ani niczego oprócz własnych oczu, żeby wypatrzyć drugi samolot. A samolot z przodu jest dużo mniej widoczny niż z boku. Tam, gdzie kończyła się ogólnie dostępna plaża i zaczynał się rezerwat, znów dokonywaliśmy ostrożnego zwrotu, by polecieć w stronę bogatych rezydencji. Na tym polegała ta praca, wciąż w tym samym rytmie, dopóki nie nadszedł czas na przerwę. Wtedy wracaliśmy na lotnisko - żeby zjeść lunch albo wziąć inny baner.

Za każdym razem, kiedy mijałam samolot Aleca, zastanawiałam się, w jaki sposób do niego zagadać, kiedy koło dziesiątej zrobimy

sobie przerwę. Rozmyślałam nad pretekstami, żeby wdać się z nim w rozmowę. Tak naprawdę nie wierzyłam, że uda mi się go poderwać, jak życzył sobie tego Grayson. Jeśli jednak będzie widać, że się staram, nie będzie miał powodów do narzekania na mnie, więc się nie będzie czepiał, a potem i tak wyjedzie.

Za każdym razem, kiedy mijałam się z samolotem Graysona, myślałam o czymś innym. Z początku wściekałam się na niego. Potem współczułam mu z powodu targających nim emocji, najwyraźniej mocno negatywnych. Na ile go znałam, to Grayson najczęściej nie miał racji. Odczuwał natomiast wszystko bardzo intensywnie i na całego, i chyba właśnie z tego powodu zawsze go podziwiałam. Po prostu mówił i robił to, co ja zawsze chciałam zrobić i powiedzieć, ale nie mogłam, bo przecież znałam swoje miejsce albo byłam na to zbyt rozsądna. Nie straciłam całej sympatii do niego nawet wtedy, kiedy zaczął mnie wykorzystywać.

Najczęściej mijaliśmy się w takiej odległości, że widziałam ich samoloty tylko jako kropki na niebie. Koncentrowałam się na pilotowaniu. Zerkiałam na nieliczne wskaźniki, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Nasłuchiwałam dźwięku silnika, bo zmiana tonacji jego pomruku byłaby pierwszym sygnałem ostrzegawczym, że coś niedobrego dzieje się z maszyną albo z banerem. Rozluźniłam się, poddałam się radości latania, palce świerzbiły mnie od adrenaliny i świadomości, że tylko siła nośna trzyma mnie na wysokości trzystu metrów, a pode mną nie ma niczego, co mogłoby ocalić mnie przed upadkiem. Samolot oczywiście nie należał do mnie. Był przywiązany do lotniska równie pewnie jak pitbul przykuty łańcuchem do swojej przyczepy. Gdybym jednak zechciała, choćby na trochę, narażając się co prawda na przykre konsekwencje, jak na przykład pobyt w więzieniu, otóż w takim razie mogłabym ruszyć sobie wzdłuż Atlantyku. Polecieć na Florydę. Albo na północ, do Nowego Jorku. Dokądkolwiek bym zechciała. Oczywiście nie zamierzałam tego zrobić, ale myśl

o swobodzie, o takiej możliwości przywoływała uśmiech na moją twarz. Około dziesiątej Alec oznajmił przez radio, że zrzuca baner, a potem ląduje. Dałam mu kilka minut, żeby nie robić tłoku, po czym ruszyłam za nim. Wylądować zawsze jest trudniej, niż wystartować. Samolot chce lecieć, ale lądować nie chce. Zbliżająca się twarda powierzchnia to potencjalnie o wiele większe zagrożenie niż asfalt oddalający się od samolotu. Mój wzrok poruszał się bezustannie: patrzyłam na instrumenty, na niebo wokół mnie, na ziemię - żeby upewnić się, że Zeke nie kręci się tam, gdzie miałam upuścić baner. Sądząc po jego ortografii, mógł nie mieć dość rozumu, żeby zejść mi z drogi.

Na pasie nie było nikogo. Wytraciłam wysokość dokładnie tak, jak gdybym lądowała, nie zmniejszając jednak prędkości. To ważne, żeby zejść jak najniżej przed upuszczeniem baneru, bo w przeciwnym razie istnieje obawa, że wiatr go poniesie i zaplącze się w jakiś drogi sprzęt albo ciężki drąg walnie kogoś w głowę, tak jak wtedy wyrznął w drzwi budynku biurowego. Nie potrzebowałam przy tym niczyjej pomocy. Robiłam to już setki razy, więc działałam na wyczucie. A jednak słyszałam w mojej głowie głos pana Halla, jak krzyczał: „Rzucaj, rzucaj, rzucaj!”.

Upuściłam baner i poderwałam samolot, już nie tak ostro jak przy pobieraniu banera, tylko zwyczajnie, bezpiecznie. Teraz czekało mnie jeszcze jedno okrążenie wokół lotniska i lądowanie. Wiatr nadal umiarkowany, dobra pogoda. Nie było powodu do zdenerwowania. Duch pana Halla nie siedział za mną w kokpicie. Nie słyszałam jego głosu w mojej głowie, to było tylko wspomnienie jego głosu. A jednak ręce mi drżały na sterach.

Spodziewałabym się takiej reakcji, gdyby jeszcze kiedykolwiek zdarzyło mi się polecieć cessną, bo tak często pan Hall siedział w niej obok mnie i uczył latania. Nie oczekiwałam takich skojarzeń w piperze. W zasadzie mógłby instruować mnie z tylnego siedzenia, ale w ten sposób zanadto by obciążał samolot, który musiał

dźwignąć ciężki baner. Tego więc uczył mnie z ziemi, przez radio. Przede wszystkim dotyczyło to upuszczania baneru.

A także lądowania leciutkim piperem, przejawiającym skłonność do kapotażu, czyli fikołków na ziemi. Kiedy oznajmię moim dziecinnym głosikiem, że zaraz ląduję, będzie stał na płycie lotniska ze swoim radiem...

I rzeczywiście, stał.

Nie, to był Zeke, ten analfabeta od banerów. Stał sobie z boku i przyglądał się, jak ląduję. Powstrzymałam kolejny nieproszony napływ adrenaliny. Nawet w idealnych warunkach pilotowanie nie jest bezpiecznym zajęciem, musiałam skoncentrować się na tym lądowaniu. Wyparłam z moich myśli pana Halla i niepokojącą postać Zekego, po czym sprowadziłam maszynę w stronę asfaltu, aż poczułam przez pedały, jak miękkie gumowe opony dotykają podłoża.

Samolot zwolnił, wlekł się teraz w ślimaczym tempie po pasie. Skreśliłam i przekołowałam w stronę hangaru, cały czas rozglądając się, czy za mną nie ląduje już Grayson albo Mark. Zderzenia mogą się wydarzyć także podczas kołowania, nie tylko w powietrzu. Ale nie, nikogo w okolicy jeszcze nie było. Zeke też zszedł z pasa na trawę i zajął się banerem, który zrzuciłam. Zaparkowałam samolot przed hangarem obok żółtego piperka Aleca i wyłączyłam silnik. Śmigło przede mną przeistoczyło się właśnie z kolistej mgławicy w śmigło. Cisza wypełniła kokpit.

Aż się skrzywiłam, gdy ogarnęła mnie nagła fala emocji - kiedy przestała działać adrenalina - zacisnęłam oczy, żeby się nie rozryczeć. Nie mogłam beczeć w samolocie, na oczach wszystkich. Ściągnęłam słuchawki, pokonując opór moich kudłów, otworzyłam drzwiczki kokpitu i zesłam na asfalt.

Szłam pospiesznym krokiem przez mroczny hangar. Alec zawołał z kąta:

- Jak było?

Nie widziałam go przez łzy cisnące się do oczu, w dodatku nie zdążyłam jeszcze przywyknąć do półmroku po jasnym świetle dnia.

- W porządku - odkrzyknęłam, nie zwalniając kroku. Prosto do ubikacji na tyłach hangaru. Alec był w hangarze, Zeke na płycie lotniska, a Grayson wciąż jeszcze w powietrzu, więc kibel powinien być wolny, chociaż, znając moje szczęście, będzie zajęty. Nie wiem, gdzie bym się wtedy podziała z moimi łzami.

W mroku z trudem dostrzegłam gałkę drzwi. Przekręciłam ją, znalazłam się w czarnym jak smoła pomieszczeniu, wtedy włączyłam światło, zatrzasnęłam drzwi, zamknęłam je za sobą na zasuwkę i oparłam się o nie ciężko. Nie wolno mi było wydać najmniejszego odgłosu. Przycisnęłam pięści do oczu i zaczęłam bezgłośnie wrzeszczeć z rozpaczony po wszystkim, co utraciłam.

Dlaczego pan Hall nie może tak jak zwykle prowadzić swojego biznesu? Miał małe, skromne życie - kawa, kanapki z puszkową peklowaną wołowiną, bo wychował się w Pensylwanii i zachował upodobanie do jankeskich przysmaków, no i latanie, ale to było fajnie życie, a ja lubiłam je z nim dzielić. To nie fair, że odebrano mu syna i że potem umarł samotnie w swoim apartamencie, i minęło pół dnia, zanim znalazł go przyjaciel.

Na tę myśl wydałam jednak z siebie jakiś odgłos. Objęłam się ramionami z całej siły, wyciskając powietrze z płuc, żebym nie była już więcej w stanie wydać żadnego dźwięku. Rozpaczałam, że nie ma już pana Halla. Rozpaczałam, że chociaż na chwilę wpuściłam Marka do mojego życia. Użalałam się nad sobą, ponieważ Grayson zmuszał mnie do udawania czegoś wobec Aleca. I użalałam się, że moje latanie zawsze musi zależeć od czyjejś łaski. Gdybym była zależna tylko od pana Halla, w porządku, gdyby tylko to mogło go przywrócić... Tęskniłam za jego szorstkim głosem i za miłymi słowami, które czasem od niego słyszałam, za zapachem staromodnej, pudrowej wody kolońskiej zamkniętym ze

mną w kokpicie. Od tej rozpaczyny aż zakrećiło mi się w głowie, oparłam czoło o drzwi.

Ktoś zastukał. Odczułam to tak, jakby ktoś mi strzelił w głowę. Podskoczyłam jeszcze wyżej, niż kiedy poprzedniej nocy dostawca zapukał do drzwiczek mojej przyczepy.

- Lea - zawołał Alec. - Otwórz.

- Chwilę.

Zerknęłam w lustro nad zlewem i zorientowałam się od razu: w żaden sposób nie ukryję, że dopiero co wypłakiwałam oczy. Nabrałam wody w dłoń i spryskałam nią twarz.

- Daj spokój, Lea - zawołał znowu Alec. - Ja miałem tak samo. Zamarłam na chwilę z papierowym ręcznikiem w pół drogi

do twarzy i jeszcze raz spojrzałam na swoje zaczerwienione oczy w lustrze. Cóż, w takim stanie raczej nie zaprosi mnie na randkę, ale w tamtej chwili mało mnie to obchodziło. Odsunęłam zasuwkę i otworzyłam drzwi. I wpadłam prosto w jego ramiona.

- Już dobrze, dobrze - powtarzał, głaszcząc mnie po włosach, a ja łkałam w jego T-shirt. - Ja poryczałem się wczoraj, po pierwszym locie. Grayson poszedł rozmawiać z tobą o pracy, a ja zostałem sam, więc spoko. - Uścisnął mnie delikatnie. - Słyszysz, jak ojciec na ciebie wrzeszczy, prawda?

Skinęłam głową opartą o jego koszulkę.

- O rany, przepraszam. Cały będziesz mokry.

Czułam się wrednie. Nie chciałam utrudniać Alecowi życia. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby z powodu śmierci własnego ojca musiał pocieszać kogoś innego. Oparłam obie dłonie o jego pierś i odepchnęłam się.

- Daj spokój, raczej ty przesiąkniesz moim potem. Za gorąco na takie przytulanki. - Odsunął się ode mnie i zdjął T-shirt przez głowę.

Znowu znajdowaliśmy się w ciemnościach, po jaskrawym świetle dnia i mocnym świetle żarówki w łazience, więc straciłam nieco

orientację, tylko z grubsza dostrzegałam zarys jego muskularnej, szczupłej sylwetki, umięśnioną pierś i ramiona, i gładką skórę.

- Idę zajarać - oznajmił. - Chcesz fajkę?

Pewnie, że chciałam. A przy okazji jaki świetny sposób, żeby zacieśnić łączącą nas więź, kolejny krok do randki - ale nie mogłam. Obiecałam jego ojcu, że rzucę palenie. I rzuciłam, a nie chciałam poddawać się pokusie w stanie takiego roztrzęsienia.

- Nie, dzięki - wychrypiałam. - Lepiej tu zostanę i trochę ochłonę.

Wyciągnął rękę i kilka razy potarł kojącym gestem moje nagie ramię. W półmroku skóra i jasne włosy były tego samego koloru.

Ruszyłam za nim do głównej części hangaru. Potem on poszedł dalej, przez wrota na lotnisko, a ja zatrzymałam się przed elektrycznym wentylatorem, żeby poczuć podmuch na gołym brzuchu. Wilgoć pod koszulką od razu zrobiła się zimna.

- Dobra robota, Lea - zawołał Grayson, przekrzykując hałas. - Nieźle odegrane.

Byłam tak osłupiała i tak mnie zabolalo, i tak się wściekłam, że odebrało mi mowę, ale nie przeszkodziło mi to spojrzeć na niego. Siedział sobie w tym maleńkim gabinecie pana Halla, stukał w klawiaturę komputera i patrzył na ekran. Nawet nie obchodziło go, co w tamtej chwili poczułam.

Usta same ułożyły mi się, żeby powiedzieć „rzucam to”. A także „ty głupi chuju”. Zaczerpnęłam tchu, żeby się odezwać...

W gabinecie rozległy się dziwne, metaliczne dźwięki jakiegoś rockowego utworu. Sięgnął po telefon i przez kilka sekund patrzył na jego ekran, jakby myślał, że coś się na nim zmieni.

- Co się stało? - spytałam. Nie miałam zamiaru okazywać mu troski, ale trudno było czegoś nie powiedzieć, bo pobladł na twarzy jak ściana, jakby znowu ktoś umarł.

Popatrzył na mnie, zaskoczony. Już zapomniał, że przed nim stoję, chociaż przed dziesięcioma sekundami cisnął mi w twarz

najobrzydliwszą ze swoich obelg. Najwyraźniej całą uwagę zwrócił na tę osobę, która właśnie do niego dzwoniła. Niemal niepostrzeżenie potrząsnął głową - może do mnie, ale nie byłam pewna. Wreszcie podniósł komórkę do ucha i rzucił:

- Cześć, mamó! - co brzmiało o wiele radośniej, niż wyglądało. Odwróciłam się, żeby wiatrak ochłodził mi plecy. Na uszy jednak mi nie wiało, więc słyszałam Graysona, jak mówił:

- Nie, wszystko na dobrej drodze. Wszystko zaplanowałem. On mi nie ułatwia sprawy, ale postępuje dokładnie tak, jak ci mówiłem, że będzie postępował.

Od niechcenia odwróciłam głowę w ciemnościach, żeby widzieć Graysona w rozświetlonym gabinecie. Zazwyczaj zachowywał się swobodnie, jakby był panem otaczającej go przestrzeni. Zajmował mnóstwo miejsca, kiedy stał. Kiedy siedział, rozwalał się w krzesło, wyciągał ręce i nogi. Ale teraz, kiedy siedział na krzesle za biurkiem w gabinecie, jakby się skurczył o połowę. Kolana razem, kostki skrzyżowane, jednym ramieniem obejmował swój tors, dłonią, w której miał telefon, jakby jednocześnie trzymał się za spuszczoną głowę.

- Alec tak ci powiedział? - spytał.

Nie zamierzałam wtrącać się w jego sprawy. Tym bardziej, jeżeli nie chciałam, żeby się wtrącał w moje, a bądź co bądź od tego właśnie zaczęło się całe zamieszanie. Jednak jego widok tak mnie zaniepokoił, że teraz już po prostu się na niego gapiłam, czekałam, aż zmieni pozycję, żeby zrozumieć, co tak okropnego się stało, że zwinął się w ciasną kulę.

Spojrzał w moją stronę. Przez chwilę wydawało mi się, że przyłapał mnie na podsłuchiwanie.

Ale przecież nie widział mnie dobrze w mrocznym hangarze. A zresztą, gdy tylko na mnie spojrzał, popatrzył znowu w dół, pogrążony w rozmowie, tak jakby mnie nie było.

- Słuchaj, robię wszystko, co mogę. Robię też kilka rzeczy, o których nie wiesz.

Miałam nadzieję, że znajdę jakiegoś haka na Graysona, tak żeby uniemożliwić mu szantażowanie mnie. No i chyba coś miałam. Nadal nie wiedziałam, o co chodzi Graysonowi z Alekiem, ale niewątpliwie wzmowie była też ich matka. Wiedziałam raczej na pewno, o której części planu Grayson jej nie opowiedział. Bądź co bądź, to szanująca się pani z dobrej rodziny. Kiedyś była żoną pana Halla. Wątpię, czy zgodziłaby się na to, żeby Grayson zmuszał mnie do flirtowania z Alekiem, niezależnie od przyczyny. Wystarczyło więc zagrozić Graysonowi, że jej powiem, tak samo jak on straszył mnie moją matką.

Jednak kiedy trochę to przemyślałam, zdałam sobie sprawę, że w tym rozumowaniu są spore luki. Jak niby miałam dostać się do Wilmington, żeby porozmawiać z tą panią? Oczywiście mogłabym ukraść telefon Graysona, znaleźć jej numer i zadzwonić. Usłyszałaby jakąś zupełnie obcą dziewczynę, która dzwoni do niej, żeby powiedzieć, że jej synalek z dobrej rodziny szantażuje mnie, bym umawiała się z jej drugim synalkiem z dobrej rodziny, a to wszystko dwa miesiące po śmierci ich brata i ojca. Od razu zadzwoniłaby na policję. A kiedy gliny zjawyłyby się u mnie i zobaczyły warunki, w jakich mieszkam, z miejsca aresztowałyby mnie za wymuszenie. Mieszkałam w przyczepie, więc co innego mogliby sobie o mnie pomyśleć?

- Też cię kocham. Pa. - Kliknął w przycisk telefonu i jeszcze przez chwilę patrzył na swoją dłoń. Potem zerknął na zegarek. Odsunął krzesło, zaterkotały stare kółka. Wyszedł z gabinetu. Na mój widok stanął jak wryty.

Kiedy rozmawiał przez telefon, znowu zapomniał o moim istnieniu. Zapomniał zupełnie, że śmiertelnie mnie obraził.

Teraz za to zdał sobie sprawę, że słyszałam jego rozmowę telefoniczną z matką.

Nie był pewien, czy się nie zdradził, czy nie zorientowałam się, dlaczego chce, żebym flirtowała z Alekiem.

Przypominał sobie własne słowa, zastanawiał się, czy nie powiedział za wiele.

Widziałam to wszystko na jego twarzy, z której zaskakująco łatwo było wszystko wyczytać, o ile nie miał na sobie ciemnych okularów - i pewnie właśnie dlatego ciągle je nosił, zupełnie jakby całe jego życie było pokerową rozgrywką, a on wyłaził ze skóry, żeby nie zdradzić, jakie ma karty. Szkoda tylko, że tak naprawdę nie podsłuchałam niczego istotnego. Wciąż nie miałam pojęcia, o co chodzi.

Odwróciłam się i poczłapałam w moich klapkach w głąb hangaru, żeby napełnić butelkę wodą. Cały czas miałam nadzieję, że nie będzie próbował mi przysrać jeszcze raz. Nie byłam pewna, czy bym to zniosła. Potem zaś uciekłam na zewnątrz, do mojego samolotu.

Grayson zamówił lunch do hangaru. Pewnie był w szoku, gdy zobaczył moją pustą lodówkę i postanowił zadbać, żebym nie zemdląła podczas lotu i nie rozbiła maszyny. „ W tym tygodniu nie przewidujemy żadnych katastrof lotniczych”.

Podczas posiłku znowu spróbowałam zagadać z Alekiem, żeby Grayson widział, że się staram. Alec jak zawsze był miły, ale rozmowę z nim trudno było nazwać flirtem. Próbowałam zagadnąć go o te alternatywne kawałki, które płynęły z głośnika w rogu, a które tak bardzo mi się podobały, ale usłyszałam w odpowiedzi, że to muza Graysona. Następnie Alec wyjaśnił, że woli muzykę country, ale jego odtwarzacza nie da się podłączyć do docka, jaki mieli przy komputerze na lotnisku. Śliski temat, bo zaraz musiałabym się przyznać, że nigdy nie miałam żadnego docka, odtwarzacza ani komputera i wcale nie wiem, jak ściągać muzykę. Grayson spędził większą część tej godziny w biurze pana Halla, przeglądając księgi.

Po południu puściłam Graysona i Aleca przodem, w nadziei, że zajęci będą pakowaniem manatek i tym, żeby jak najszybciej zwinąć się do domu, więc nie będą na mnie zwracać uwagi. Kiedy lądowałam, sprawdzałam jak zwykle, czy pas jest wolny i zatkało mnie, bo zobaczyłam na asfalcie jakąś postać. Znów w pierwszej chwili zdawało mi się, że to pan Hall, to samo złudzenie, którego ofiarą padłam rano. Potem przypomniałam sobie o Zekeu. Ale nie,

przecież po tym, jak przygotował dla nas ostatnie banery, Grayson odesłał go do domu. Cały czas myślałam o Graysonie i Alecu, więc to były następne kandydatury. Jednak kiedy się zbliżyłam, okazało się, że to Leon, który zastępował mnie w biurze lotniska, kiedy latałam. Trzymał w ręce lotniskową komórkę.

Nikt nigdy do mnie nie dzwonił. Natychmiast objawiła mi się jedyna możliwość: moja matka wpakowała się w jakieś kłopoty. Już zdarzało jej się to wcześniej. Tylko że wtedy nie dzwoniła do mnie na lotnisko, bo niby co mogłam zrobić, żeby jej pomóc? Zawiadamiała mnie więc tylko przez jakiegoś przygodnego przyjaciela albo nadąsanego byłego, który zajeżdżał pod przyczepę i mówił, że nie będzie jej w domu jeszcze przez kilka dni dłużej.

Odkołowałam samolot pod hangar i wyłączyłam silnik. Nie miałam ochoty odbierać tego telefonu. Ale głupio by wyglądało, gdybym została w kokpicie, ukrywając się przed telefonem. Otworzyłam drzwiczki i sięgnęłam po komórkę.

- Dzięki, potem go odniosę - powiedziałam Leonowi, który już odchodził.

- Baba z wozu, koniom lżej - zawołał przez ramię, jakby rozmowa, którą prowadził z osobą po drugiej stronie linii nie należała do łatwych.

Spojrzałam na ekran. Jakiś lokalny numer.

- Halo?

- On ci chyba wysłał ten telefon kurierem, czy co? - spytała Molly. - Czekam od pięciu godzin. Jezu! Czy ten Alec już się z tobą umówił?

- Nie - odetchnęłam z ulgą. To tylko Molly, nikt nie wylądował w więzieniu. Wszystko dobre, co się dobrze kończy.

- Słuchaj, bo mam pomysł. Może ty i Alec wzięlibyście ze sobą tego, co kij połknął, jak mu tam?

Zachichotałam.

- Graysona.

- No, właśnie. Weźcie go ze sobą i wyskoczmy wszyscy czworo do klubu. Dzięki temu ty i ja chociaż trochę skorzystamy z ferii. A Grayson zobaczy, że starasz się przelecieć jego brata. Ja będę robić za przyzwoitkę, żeby nic się nie wydarzyło i żeby bronić cię przed tymi zbokami.

- Hm.

Teoretycznie był to niezły pomysł. Właściwie od razu poczułam się lepiej, gdy tylko pomyślałam, że Molly mogłaby mi pomóc przetrwać ten wieczór. Jeżeli ona będzie przy mnie, żadne świństwo ze strony chłopaków nie zdoła mnie tak naprawdę dotknąć.

Grayson wyszedł właśnie z hangaru. Musiał się niezłe gotować w kokpicie podczas ostatniego lotu, bo podobnie jak Alec zdjął koszulkę. Był opalony, mięśnie sprawiały wrażenie twardych, ale nie od ciężkiej pracy, tylko od ciężkiej zabawy, jak ujął to kiedyś pan Hall. Od wspinaczki górskiej z przyjaciółmi, kiedy tylko udało mu się wyrwać. Od gry w siatkówkę w szkole, o ile tylko nie siedział na ławce karnej za pyskowanie trenerowi. Falujące blond włosy lśniły w oślepiającym słońcu niemal bielą, ciemniejsze stawały się przy uszach, bo przesiąkły potem i tam też kręciły się bardziej.

Zapomniał założyć okulary, więc mrużył oczy, usiłując cokolwiek dostrzec, potknął się zresztą, kiedy szedł w stronę mojego samolotu. Dziwne, miałam wrażenie, że nagle widzę go wyraźniej niż kiedykolwiek, właśnie w tym momencie, kiedy on praktycznie mnie nie widział. Nadal mrugając oczami, otworzył drzwi kokpitu, podał mi coś, zatrzasnął drzwiczki i ruszył z powrotem do hangaru. Jego skóra lśniła od potu.

- Hm - powiedziałam znów do telefonu. W mojej wyobraźni ujrzałam katastroficzną wizję Graysona i Molly - razem - a to „razem” zapoczątkowane poznaniem się tych dwojga w klubie.

Ale tak naprawdę Molly po prostu chciała się zabawić, a przy okazji jak zwykle wyciągnąć mnie z bagna. Nie miała żadnych niecznych zamiarów wobec Graysona.

Co prawda, jeszcze go nie widziała. Jeszcze.

- Hm.

- To już mówiłaś - wtargnęła do moich myśli. - Zakładam, że to odpowiedź twierdząca. Zresztą to chyba lepiej, niż gdybyś umówiła się z Alekiem sam na sam, o ile kiedykolwiek cię zaprosi, prawda? A co, jeżeli okaże się erotomanem? Już cię uważa za lotniskową kurwę, więc w jakiej sytuacji cię to stawia? Kochana, rozkładasz nogi i tyle.

Roześmiałam się. Może i rzeczywiście coś by z tego mogło wyjść? Trudno było pozostać w depresji i zamartwiać się swoją sytuacją, rozmawiając jednocześnie z Molly, która nie potrafiła wyobrazić sobie, że mogłaby mieć takie problemy jak ja.

- Tak. Tylko nie wiem, jak to zaproponować chłopakom.

- Po prostu daj telefon temu normalnemu, Alecowi. Już ja się wszystkim zajmę. Przekonam go, że jestem słodką idiotką i mam mnóstwo szalonych pomysłów, więc nie wolno mi się sprzeciwiać.

- Tylko nie przesadzaj, bo ci tak zostanie.

- He, he, he.

- Aha, posłuchaj - dodałam. - Pod żadnym pozorem nie wolno ci wysypać się przed Graysonem, że wiesz, do czego mnie zmusza. Facet traktuje tę sprawę ze śmiertelną powagą i jeszcze gotów naprawdę załatwić mnie z kretesem.

- Zrozumiano.

- Zaczekaj chwilę.

Wyskoczyłam z kokpitu i poszłam za Graysonem przez pasmo białego słonecznego blasku do mrocznego hangaru. Nic nie widziałam, słyszałam tylko szum ciekącej wody. Jednak im dalej zagłębiałam się w ciemności, tym wyraźniej widziałam Aleca pochylonego nad zlewem. Lał sobie na głowę wodę ze szlauchu.

- Alec?

- Hej. Zaczął po omacku szukać ręcznika, więc podałam mu go. Wyprostował się, wycierając jednocześnie włosy. - Co tam?

- Trochę trudno to wyjaśnić, ale dzwoni moja przyjaciółka, Molly, i chce z tobą rozmawiać. W każdym razie, jeżeli chodzi o moją przyjaciółkę Molly, zawsze jest trudno wyjaśnić. Wszystko. Masz.

Już się uśmiechał. Kiedy sięgał po telefon i przykładał go do ucha, śmiały się także jego oczy.

- Cześć, Molly, przyjaciółko Lei.

Ciekawa byłam, co powie, ale jakoś głupio było tak stać obok i podsłuchiwać. Idąc przez hangar, zdałam sobie sprawę, że cały czas trzymam coś w drugiej ręce. Kiedy siedziałam w samolocie i gadałam z Molly, Grayson przyszedł i wręczył mi czek, wynagrodzenie za pierwszy dzień pracy.

Znowu siedział w gabinecie pana Halla, światło wiszącej nad jego głową lampki sączyło się do ciemnego hangaru. Nie miałam ochoty tam wchodzić i przeprowadzać tej rozmowy, jednak było to niezbędne. Powlekłam się więc i zapukałam niezdarnie w ramę drzwi.

Spojrzał znad komputera, ale nie zaprosił mnie do środka. I tak weszłam, po czym usiadłam na wolnym krześle.

- Dzięki za czek. Mógłbyś go dla mnie zrealizować?

- Zrealizować go dla ciebie - powtórzył. To nawet nie było pytanie, tylko właśnie powtórzenie czegoś, co wydało mu się absurdalne.

- Lotnisko realizuje moje czeki - wyjaśniłam. - Nie mogę zbyt często chodzić do banku.

Nawet jeżeli moja mama mieszkała akurat w przyczepie z facetem, który miał samochód, więc mógłby mnie podwieźć, w żadnym razie nie prosiłabym ich, żeby zabrali mnie do banku. Wolałam nie przypominać matce, że zarabiam jakieś pieniądze. Istniało bowiem ryzyko, że moja wypłata nigdy nie dotrze na mój rachunek.

Bez słowa wyjął długopis ze stojaczka znajdującego się na biurku i podał mi go. Złożyłam podpis, oddałam mu czek. Otworzył

szufladę z kasetką na gotówkę. Odliczył wysokość mojej wypłaty, a potem spytał:

- A co robisz z forszą między jedną wyprawą do banku a drugą? Trzymasz w materacu?

- Mam lepszą kryjówkę - odpowiedziałam - ale nie mogę ci powiedzieć. Mógłbyś zdradzić Markowi, skoro tak się kumplujecie.

Jedna z jego brwi powędrowała w górę. Teraz, kiedy nie miał na nosie ciemnych okularów, doskonale rozumiałam wyraz jego twarzy. Pogarda dla takiego śmiecia jak ja.

- Jak mogłaś być z facetem, jeżeli bałaś się, że ukradnie ci pieniądze?

- Różne bywają powody - odparłam znaczącym tonem. - Na przykład ostatnio próbowałam nakłonić pewnego faceta, żeby się ze mną umówił i robiłam to z bardzo dziwnych powodów. Trochę nie rozumiem: dlaczego ci nie wystarczy, że mnie szantażujesz. Po co mnie ciągle obrażasz? Grayson, zapewniam cię, że istnieje granica mojej wytrzymałości, a ty najwyraźniej usiłujesz ją przekroczyć.

Podał mi banknoty, na których leżało kilka monet.

- Dzisiaj rano rozmawiałaś z Markiem, widziałem. Wsadziłam pieniądze do kieszeni tak pośpiesznie, jakbym bała się, że Grayson zmieni zdanie i mi je zabierze.

- To co, już nie wolno mi rozmawiać z Markiem? Ten debil nie uziemił samolotu podczas tankowania. Mógł wywalić całe lotnisko w powietrze.

- To chyba całkiem w jego stylu.

Grayson spoglądał na mnie zza komputera, jakby nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie sobie pójdę.

Spojrzałam za siebie, rozglądając się za Alekiem. Widziałam tylko jasny prostokąt wejścia do hangaru.

- Twój brat rozmawia przez telefon z moją przyjaciółką, Molly. Wybieramy się dziś wieczorem potańczyć, do takiego klubu w centrum Heaven Beach.

Grayson popatrzył na mnie groźnie, jakbym miała piętnaście lat.

- Podają tam alkohol?

- Owszem, wjazd od osiemnastu lat, drinki od dwudziestu jeden.

- Masz fałszywy dowód? A zresztą, tobie i Alecowi nie wolno pić - powiedział od razu.

- Mówiłeś, mówiłeś.

- Nie ma mowy o lataniu na kacu - ciągnął dalej mentorskim tonem, jakby mnie nie słyszał. - I musisz się wysypiać. Jutro znowu zaczynamy pracę o siódmej rano.

- Molly już o tym wie.

Przygryzł wargę, spojrzał tęsknie na komputer, jakby wolał spędzić ten wieczór w jego towarzystwie, a nie w naszym. Potem odezwał się:

- Idę z wami.

- Zdziwisz się, ale taki właśnie był plan. Wymyśliłam sobie randkę z piekła rodem. Molly myśli, że to będzie spotkanie dwóch dziewczyn z dwoma przystojniakami. Nie ma pojęcia, że nienawidzimy się wzajemnie.

Patrząc na mnie, Grayson zaczerpnął tchu, jakby chciał coś powiedzieć. Jednak tylko wypuścił powietrze, tak jakby ciężko westchnął.

- Chodź, pomożesz mi wprowadzić samoloty do środka. Alec właśnie skończył gadać z Molly, był roześmiany od ucha

do ucha. Potem we trójkę wprowadziliśmy pipery do hangaru, tak żeby skrzydła zachodziły za siebie. Hangar wydawał się ogromny, kiedy stała w nim tylko cessna, ale kiedy znajdowały się w nim cztery maszyny, robił się okropny tłok.

Zawołałam „cześć” do Aleca (ale nie do Graysona), zajrzałam do biura lotniska, żeby oddać telefon Leonowi, a potem poszłam do mojej przyczepy. Wzięłam kolejny prysznic i znowu stanęłam

na kiblu, znowu wychyliłam się, żeby obejrzeć, jak wyglądam w jedynej klubowej sukience, jaką miałam. Niech Grayson widzi, jak się staram dla Aleca.

Gdy już sprawdziłam, jak prezentuje się mój wieczorowy makijaż i tania kiecka, znowu poczułam się zazdrosna. Molly będzie miała na sobie seksowną sukienkę, którą matka kupiła jej w butik, kiedy wybrały się na zakupy do Atlanty. Chociaż z drugiej strony, nie byłoby najgorzej, gdyby wpadła w oko Graysonowi. Uwielbiałam Molly, więc chociaż wciąż byłam wkurzona na Graysona za to, jak potraktował mnie przy wypłacie, przecież facet miał coś w sobie, co sprawiało, że się nim interesowałam, nie było mi obojętne, co się z nim dzieje, życzyłam mu jak najlepiej. Może powinnam więc życzyć i jemu, i sobie, żeby dogadali się z Molly. Tymczasem żołądek przypomniiał mi, że od lunchu nic nie jadłam, a przy okazji skreślił się w supeł na myśl o tym, że nagle i nieoczekiwanie Grayson mógłby już tego wieczora związać się z Molly. A więc owszem, życzyłam obojgu jak najlepiej, ale jednak nie życzyłam sobie, żeby zostali parą.

Od makijażu przeszłam do inspekcji włosów zwisających w mokrych lokach. Mogłabym wysuszyć je normalnie, suszarką z dyfuzorem i to zajęłoby mi dziesięć minut. Rozprostowanie ich za pomocą prostownicy kupionej w sklepie z tandetą zajęłoby czterdzieści pięć minut, właśnie dlatego nigdy tego nie robiłam, chociaż kręcone włosy zdecydowanie nie były modne wśród moich koleżanek.

Tym razem jednak miałam akurat wolne trzy kwadransy do umówionej godziny, kiedy bracia mieli po mnie podjechać. W dodatku wyobraziłam sobie, jak Grayson patrzy na Molly i jej długie, gładkie kasztanowe włosy lśniące w słońcu. Sięgnęłam pod zlew po okrągłą szczotkę.

Aż ramiona mnie rozbolały od trzymania w górze nad głową szczotki i suszarki... Kiedy Alec zajechał pod przyczepę, siedziałam

na jednym z plastikowych krzesełek. Nie, żebym chciała wdychać pył albo nasłuchiwać pitbula, ale lepiej było czekać na zewnątrz, niż żeby wchodził po cementowych blokach i stukał do drzwi. Założyłam nogę na nogę, pozwoliłam przy tym, żeby skraj sukienki przesunął się wyżej, odsłaniając uda - w nadziei, że to odwróci uwagę od porośniętej mchem przyczepy. Na widok samochodu zerwałam się z miejsca i podbiegłam, tak że nie zdążyli wyłączyć silnika.

Grayson z opuszczoną głową stukał w telefon. Siedział po stronie pasażera, więc wysiadł. Wysiadł, popatrzył na mnie - i znieruchomiał, przyglądając mi się o chwilę dłużej, niż zamierzał.

Najwyraźniej zwrócił na mnie uwagę, ale nawet nie zająknął się na temat moich włosów. W ogóle nic nie powiedział. Przesiadł się do tyłu, zostawiając dla mnie otwarte drzwiczki.

No i dobrze. Wsunęłam się na zwolnione przez niego przednie siedzenie i rzuciłam do Aleca:

- Hej!

- Hej! - odpowiedział Alec z promiennym uśmiechem. - Wow, twoje włosy zupełnie się zmieniły! Wyglądasz pięknie.

- Dzięki!

Nie chciałam, żeby zbyt dokładnie przyglądał się otoczeniu, zawracając na podwórzu, ale nic mądrzejszego nie zdołałam wymyślić. Zabawne, że po całym dniu spędzonym przy tej samej, dość w końcu ryzykownej pracy nadal niewiele mieliśmy ze sobą wspólnego. Na wszelki wypadek obciągnęłam sukienkę - tylko troszeczkę - żeby zwrócić jego uwagę na moje uda. Potem odgarnęłam dziwnie gładkie włosy za ramię, żeby nie zasłaniały dekoltu. Opuściłam osłonę przeciwsłoneczną, żeby przejrzeć się w lusterku i sprawdzić mój idealny makijaż niczym zupełna idiotka. Uśmiechnęłam się sama do siebie, rzuciłam okiem w jego stronę.

Zerkał na mój dekolt. Punkt dla mnie! A potem, kiedy zatrzymał się przed szosą, czekając, żeby włączyć się do ruchu, rozejrzał się i wygłosił jedyny komentarz, jaki przyszedł mu do głowy.

- Rany, prawdziwa pralnia samoobsługowa! Nie wiedziałem, że takie pralnie jeszcze istnieją. Mógłbym tu czasem wpaść z lotniska i wyprać ciuchy.

Biedny frajerze. Należało przerwać jak najprędzej te żalosne wysiłki zmierzające do nawiązania rozmowy na tematy lokalne - zanim dojdzie do dalszej żenady.

- Nie działa. Wszystkie suszarki od dawna są zepsute, a ostatnia pralka padła w zeszłym tygodniu.

- To dlaczego nie poprosicie właściciela, żeby je naprawił? - spytał tonem właściwym dla kogoś, kto nigdy nikomu nie płacił czynszu.

- Właściciel ma to gdzieś - tłumaczyłam cierpliwie. - Jestem ostatnią osobą, która tutaj pierze. Wszyscy inni korzystają z pralni samoobsługowej w mieście, obok biblioteki.

- A dlaczego ty nie?

- Bo nie mam samochodu.

Odchylił głowę do tyłu, takie półskinienie głową. Zastanowił się chwilę, uniósł podbródek i spytał:

- Ale dlaczego oni jeżdżą tak daleko, skoro tutaj mają bliżej?

- Dlatego, że wszystkie pralki i suszarki są zepsute.

Nie wiem, dlaczego ta rozmowa tak działała mi na nerwy. Przeprowadzałam takie pogawędki z psychologiem w szkole, od czasu do czasu, a ostatnio znacznie częściej z Molly i zawsze moje tłumaczenia, dlaczego robię coś w taki, a nie inny sposób, pobrzmiwały goryczą. A ludzie bogaci nie chcą słyszeć rozgoryczenia w niczym głosie.

Alec wyjechał na szosę. Patrzyłam na Heaven Beach. Widziałam to miasto tak rzadko, że nigdy nie znudziło mi się jego oglądanie, nawet jeżeli chodziło o tę parszywą dzielnicę. Pora była za późna na plażowiczów i za wczesna jeszcze na imprezowiczów, ale ponieważ były to ferie wiosenne, chodniki przemierzały całe tłumy opalonych, wytatuowanych, półnagich ludzi sączących mrożone kok-

tajle z wielkich plastikowych kubków. Zapach smaźalni wtargnął przez okna, a także zapach kokosowego olejku do opalania, używanego tylko przez ludzi, którzy nigdy nie słyszeli o nowotworach.

Tuż za mną rozległ się sygnał z telefonu Graysona. Pewnie dostał wiadomość od jakiejś dziewczyny, której nie szantażował.

W przeciwieństwie do Graysona, Alec, który potrafił nie zachowywać się po chamsku, odzywał się od czasu do czasu. Jednak w połowie drogi do domu Molly jemu także zabrakło konceptu. Wyciągnął rękę i podkręcił radio nastawione na jakąś stację nadającą country.

Wkrótce dojechaliśmy do eleganckiego krańca plaży. Bywałam w tej okolicy, głównie odżywiałam się w knajpie z Molly albo siedziałyśmy u niej w domu, ale nie zdążyłam się przyzwyczaić. Dla mnie to miejsce wyglądało jak jakiś kurort z serialu, coś nierealnego. Gdyby nie to, że jechaliśmy tylko dwadzieścia minut samochodem, mogłabym pomyśleć, że przybyliśmy do jakiegoś innego kraju. Niby rosły tu takie same palmy, ale rosły w odpowiedniej odległości od siebie i w równych rzędkach, ktoś z rozmysłem je posadził. Budynków nie wykonano ze skorodowanego metalu, tylko zbudowano je z cegły i pokryto stiukami, miały przy tym solidne fundamenty, żeby mogły wytrzymać uderzenie huraganu. Rosła tam trawa, w dodatku zielona. Na wielu trawnikach działały zraszacze, które nie zawsze dobrze wycelowano, strumień wody tryskał wtedy przez płot na szeroki chodnik i ulicę.

Bębnienie kropel o dach wybiło Graysona z zamyślenia. Coś stuknęło za fotelem Aleca. Grayson pochylił się, jego koszulka podjechała do góry, ukazując opalone plecy. Szukał telefonu, który mu upadł.

- Czy to twoja przyjaciółka? - spytał mnie Alec, gdy zajechaliśmy na parking przed kafejką Molly. Jej długie, lśniące włosy nie były tak długie i lśniące jak moje. Za to miała na sobie mocno wydekoltowaną i drogą sukienkę. Trudno stwierdzić, po czym się

poznaje drogi ciuch, przypuszczalnie chodzi o to, że materiał jest dokładnie taki, jaki powinien być. Molly nie miała urody modelki, ale w tej sukience wyglądała jak modelka, zwłaszcza na tle luksusowego, nowiuteńkiego budynku knajpy, który wystylizowano tak, żeby wyglądał na starą chałupę. A już zdecydowanie wyglądała jak modelka, kiedy przybrała zadumany wyraz twarzy i robiąc z dłoni daszek, wypatrywała nas na drodze. Potem rozpoznała mnie, zobaczyła mnie w samochodzie i zaczęła gorączkowo machać ręką, tak jakbym mogła jej nie zauważyć. Jej cycki się zakołysały.

Nie odważyłam się obejrzeć za siebie, żeby sprawdzić, czy Gray-son był tego świadkiem.

- Tak, to ona. W całej okazałości - odpowiedziałam Alecowi. Chyba skumał żart, bo się zaśmiał. Podbiegła od strony kierowcy, stukając wysokimi obcasami. Zapukała do okna, Alec otworzył je.

- Cześć! Jestem Molly! - zawołała i wyciągnęła do niego dłoń.

- Jestem Alec - usłyszałam jego głos. Nie widziałam jego twarzy, ale głos brzmiał tak, jakby Alec się uśmiechał, a ona bez wątplenia odpowiadała mu tym samym.

Otworzyła tylne drzwi i wskoczyła na siedzenie.

- Cześć, jestem Molly! - zawołała znów i wyciągnęła rękę do Graysona.

Nie chciałam na to patrzeć, więc popatrzyłam przed siebie, Alec tymczasem z powrotem wjeżdżał na drogę. Usłyszałam jednak, jak Grayson powiedział:

- Miło mi ciebie poznać, Molly. Jestem Grayson. Brzmiało to tak, jakby i on się uśmiechał.

- Aha! Szef - stwierdziła.

Grayson zachichotał. Usłyszałam jego śmiech po raz pierwszy od długich miesięcy.

- Cześć, jestem Molly! - zawołała znowu. Coś szturchnęło mnie w ramię. Zdałam sobie sprawę, że mówi do mnie.

- E tam, zmyślasz.

Podaliśmy jej rękę nad oparciem siedzenia. Jednocześnie jednak uśmiechnęłam się do niej, usiłując przekazać telepatycznie wiadomość: „Cieszę się, że tu jesteś”.

- A ty pewnie jesteś Rapunzel. Rany boskie, dziewczyno, masz włosy dłuższe niż Francie!

Wycofałam dłoń. Niechcący, ale dopiekła mi, porównując mnie ze swoją bogatą kumpelą, która najbardziej ze wszystkich mnie nienawidziła. Przestałam być już taka dumna z tego, co udało mi się zrobić z włosami.

Nieświadoma moich odczuć Molly zwróciła się znów do Graysona.

- Musisz wiedzieć, że w tym klubie obowiązuje pewna zasada: nie wpuszczają nieumytych lotników.

Obaj, i Grayson, i Alec ryknęli śmiechem. Niesamowite, jak podobnie brzmiał ich śmiech.

- Aż tak śmierdzą? - spytał Grayson.

- Nie śmierdzisz - wyjaśniła Molly - ale za to wyglądasz, jakbyś spędził zeszły tydzień na dworze.

- A czy ja wyglądam, jakbym połał sobie łeb ze szlauchą? - zainteresował się Alec, spoglądając na nią w lusterku. Miałam ochotę powiedzieć mu, żeby pilnował drogi, ale i mnie udzielił się wesoły nastrój, więc tylko się uśmiechnęłam razem z nimi.

- Mosze i tak - odparła Molly, dziwnie zniekształcając głos, najwyraźniej naśladowała coś albo kogoś.

- Spokojnie, właśnie jedziemy wziąć prysznic i się przebrać. Czy to ci poprawia nastrój? - zawołał Alec.

- Weźmiecie prysznic dla mnie - ciągnęła Molly - ale nie zamierzaliście tego zrobić dla Lei? Jasne, wszyscy wiedzą, jaka z niej brudaska.

Z tyłu za mną Grayson odkaslnął. Alec popatrzył na mnie z uśmiechem.

- Czyżby?

Potrząsnęłam głową i otworzyłam, i zamknęłam dłoń, naśladowując kłapanie buzi Molly W gruncie rzeczy byłam cała szczęśliwa, że tyle gada, że porównuje mnie do swojej przyjaciółki Francie, nawet że żartuje sobie ze mnie. Znacznie lepsze to niż muzyka country z radia i milczenie.

- Jesteśmy na miejscu.

Alec zaparkował pod pięknym apartamentowcem dekorowanym białym stiukiem i meksykańskimi kafelkami, wokół rosły palmy i soczysta trawa.

- To zajmie minutkę, tylko skoczę na górę, wezmę prysznic i się przebiorę. - A potem spytał mnie: - Chcesz zobaczyć mieszkanie?

- Czy to... - nie dałam rady skończyć.

- Tak, tutaj mieszkał mój ojciec - powiedział Alec, potwierdzając moje przypuszczenia.

Tutaj mieszkał i tutaj umarł. Nie byłabym w stanie tam wejść. Nie chciałam być niemila dla Aleca albo żeby Grayson pomyślał, że nie postępuję według jego instrukcji, więc z szerokim uśmiechem odpowiedziałam:

- Nie, zaczekam tutaj na ciebie.

Alec uniósł lekko brwi, ale powiedział tylko:

- Zaraz wracam.

Zostawił włączony silnik i klimatyzację. Wyskoczył z samochodu i pobiegł truchtem do budynku.

- O co ci chodzi? - spytał Grayson z tylnego siedzenia. - Nie wmówisz mi, że jeszcze nigdy tu nie byłaś.

Spojrzałam na niego przez ramię, nie miałam mu absolutnie nic do powiedzenia.

Za to Molly popatrzyła na mnie z tyłu.

- Rany, Grayson, co ty chciałeś przez to powiedzieć?

Nie popatrzyła w taki sposób na mnie, odkąd się znamy, a znamy się już od dwóch lat. I początek naszej znajomości był dość burzliwy. Omal się nie zaśmiałam, ale nie byłam w stanie. Słowa Graysona ciążyły mi nieznośnie, zmieniając twarz w maskę.

Wreszcie odezwał się:

- To może ja też pójść się przebrać. Mieszkam po drugiej stronie ulicy. Otworzył drzwiczki.

- Jak to, po drugiej stronie ulicy? - zdumiała się Molly. - Przecież tam jest już tylko plaża i domki plażowe.

Uśmiechnął się do niej.

- Mieszkam właśnie w domku plażowym.

- Poważnie? - zawołała Molly. - Muszę to zobaczyć!

- No to chodź.

Wysiedli oboje z samochodu. Nie byłam pewna, co mam zrobić, iść z nimi, czy czekać na Aleca. Grayson mógłby się wściekać, gdybym nie została. Mógłby mi znowu przywalić kolejną obelgą. Ale jednak chciałam pójść. Trochę za łatwo by im poszło, to już przesada, żeby Grayson i Molly na samym początku znajomości

znaleźli się sam na sam w jakimś odosobnionym domku. Ta wizja zaboląła mnie jeszcze bardziej niż myśl o całowaniu się z Alekiem.

Molly zajrzała przez przednią szybę i ruchem głowy dała znać, żebym z nią poszła.

Jednocześnie Grayson zaskoczył mnie, bo otworzył drzwi od mojej strony.

- No, chodź, Lea. Alec wie, gdzie nas znaleźć. Zabierz kluczyki. Ostrożnie przekręciłam kluczyk - domyślałam się, że zapłon działa tak samo jak w samolocie - i ruszyłam za nimi.

Gdy przechodziliśmy na drugą stronę, Molly zatrzymała się na wysepce pośrodku, zapatrzona w niebo.

- Rany, ale dziwny zachód słońca!

To nie był ładny zachód słońca. Kolory były takie, jak to podczas zachodu słońca: purpurowe chmury, jasny oranż i róż, wszystko na tle intensywnie niebieskiego nieba. Tyle, że te chmury to były wysokie, postrzępione cirrusy poprzecinane smugami kondensacyjnymi pozostawionymi przez F-16, co tworzyło uroczą kolorową łamigłówkę. Powiedziałam:

- Wygląda, jakby Pan Bóg zrzygał się na tęczowo.

- Jaka sentymentalna! - mruknął Grayson pod nosem. Za to Molly wybuchła szczebiotliwym śmiechem.

- Niezłe. - Zamachnęła się elegancką torebką na długim pasku i trzepnęła mnie nią w tyłek. - Opowiadaj, Grayson, jak to się dzieje, że macie i apartament, i dom na plaży?

- Ta posesja od dawna należy do mojej rodziny - odpowiedział. - Nawiasem mówiąc, szosa prowadzi trasą wytyczoną jeszcze przez Indian.

- Wskazał na północ, gdzie droga znikwała w gęstwinie dębów o rozłożystych konarach. - Akurat tutaj biegnie tak blisko oceanu, że nie można uzyskać pozwolenia na wybudowanie prawdziwego domu od strony plaży, ale można zbudować plażowy bungalow. Moi rodzice przenieśli się tutaj z Pensylwanii w czasach, kiedy nieruchomości położone nad morzem były znacznie tańsze.

Mieli bungalow i mieli dom. Potem dom sprzedali, został wyburzony, a na jego miejscu powstał apartamentowiec. Zastrzegli sobie jeden z apartamentów i zachowali domek na plaży.

- Super! - zachwyciła się Molly. - Musicie mieć kasy jak lodu. Nie do wiary, jakie teksty uchodziły czasem Molly na sucho.

Może to dlatego, że waliła je prosto z mostu. A może w tym przypadku dlatego, że podobała się Graysonowi?

Tak czy inaczej po prostu uśmiechnął się do niej, prawie nieśmiało.

- Już dawno nie. Ojciec utopił większość kasy w firmie. Tymczasem latanie z banerami to wcale nie tak bardzo opłacalne przedsięwzięcie.

- Skoro twoja rodzina stąd pochodzi - paplała dalej Molly -to znaczy, że mieszkaliście tutaj, zanim wasi rodzice się rozwiedli, tak?

Skrzywiłam się w duchu. Nawet nie pamiętałam, kiedy opowiedziałam o tym Molly, pewnie jakoś dawno temu, kiedy się zaprzyjaźniłyśmy A nie chciałam wyjść przed Graysonem na plotkarę.

Chyba jednak nie zwrócił na to uwagi. I znowu wścibskie pytanie Molly zostało potraktowane zupełnie normalnie.

- Tak - przyznał - mieszkaliśmy tutaj.

- W takim razie na pewno znacie mnóstwo ludzi z naszej szkoły - stwierdziła Molly. - Założę się, że jeżeli poimprezujemy sobie w tym tygodniu, spotkacie pełno znajomych. Ale numer, prawie jak spotkanie klasowe!

Wciąż jeszcze nie pozbierałam się po informacji, że wszyscy czworo będziemy imprezować przez cały ten tydzień - chociaż myślałam, że może Molly miała na myśli tylko siebie i Graysona -kiedy zaśmiał się:

- No, ciebie jak dotąd nie znałem.

- Bo ja wprowadziłam się zaledwie dwa lata temu - wytłumaczyła mu Molly. - A moim celem w życiu jest trzymać złe dziewczyny z daleka od Lei.

- Złe dziewczyny? - zdziwił się Grayson i popatrzył na mnie.
- Myślę, że chodzi o moje włosy - powiedziałam.
- Ty zawsze myślisz, że chodzi o twoje włosy - jak zawsze odpowiedziała Molly.
- Niczego innego nie mam.

Grayson znów na mnie popatrzył. Tym razem jego spojrzenie przewędrowało od moich włosów w dół, wcale zresztą nie krył się z tym, że mi się przygląda. Znaczyło to, że jego zdaniem jestem atrakcyjna, wcale nie chodzi tylko o moje cudowne włosy, a dla naszej dozgonnej miłości nie jest żadną przeszkodą ten drobny fakt, że mnie szantażuje i zmusza, żebym podrywała jego brata.

W porządku. Zostałam z tyłu, pozwoliłam im oddalić się razem po drewnianym chodniku wiodącym do domku. I tak nie miałam u Graysona żadnych szans. A ja tylko chciałam latać. Warto było o tym pamiętać, o ile nie chciałam wpakować się w jeszcze paskudniejsze kłopoty.

Chatka była strasznie mała, myślałam, że ja i Molly będziemy musiały zostać na zewnątrz i zaczekać, aż Grayson weźmie prysznic. Jednak Molly wpakowała się do środka natychmiast za naszym gospodarzem z okrzykiem:

- Ale cudo! Słysząc stąd ocean. Budzisz się i masz go tuż pod oknami.

Chyba pomyślała, że nie zamierzam wchodzić, bo zatrzymała się w drzwiach i ręką schowaną za plecami skinęła na mnie, żebym jednak weszła. Nie chciałam robić scen ani wyjść na idiotkę, więc weszłam za nią.

- Tak, fajnie tu - przyznał Grayson i rozejrzał się.

Wnętrze domku wybite było pociemniałymi od starości heblowanymi deskami: sufit, ściany, podłoga. Jedną ścianę zajmowała wersalka, o drugą oparta była deska do surfingu, na hakach pod sufitem wisiał rower górski. Połowę jednego okna zajmował klimatyzator, ale nie był włączony, a odgłos oceanu wypełniał maleńki pokoik.

- Pewnie w mieszkaniu jest kilka rzeczy, których tutaj brakuje - zauważyła Molly. - Na przykład kuchnia. Dlaczego jeden z was mieszka tutaj, a drugi tam? Wydaje się, że normalnie powinniście mieszkać razem, wszystko jedno, które miejsce byście wybrali. Nie dogadujecie się ze sobą?

- Tak jakby - powiedział Grayson i rozłożył ręce. - Bo wiesz, niedawno zmarł nasz ojciec.

Tym razem powiedział to bez wahania.

Molly skinęła głową, do niej nie docierało, jaki to delikatny i drażliwy temat. Jakby pocieszała dużo starszą sąsiadkę po stracie jeszcze starszego ojca, stracie przykroj, lecz przecież naturalnej:

- Tak, Lea mi powiedziała. Przykro mi.

- A niewiele wcześniej zginął nasz starszy brat - mówił dalej Grayson. - Nieraz przedtem bywało kiepsko, ale nigdy dotąd nie musieliśmy sobie radzić bez naszego brata. Bo on był... - Grayson zaplótł palce i spojrzał przez drewniany sufit, jakby oczekiwał podpowiedzi od niebios - ... Czy ja wiem? Liderem, rozjemcą. Alec i ja nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy, dopóki nie zaczęliśmy rozmawiać o tym, jak prowadzić razem tę firmę. W żaden sposób nie możemy się dogadać. Nie możemy nawet zamówić pizzy, żeby nie zacząć sobie skakać do gardła.

Kiedy Grayson to mówił, zmienił się z gniewnego, napastliwego gbura w miłego młodego człowieka, który ma poważny problem. W ciasnym pokoiku sprawiał wrażenie jeszcze wyższego niż w rzeczywistości. Światło gołej żarówki rzucało cienie pod jego oczami.

Cała Molly, żeby tak od razu wyciągnąć z niego prawdę i najgłębiej skrywane uczucia. Znałam go od trzech i pół roku, a Molly od pięciu minut.

I jeszcze potrafiła obrócić to w żart:

- W takim razie lepiej, że mieszkanie osobno, przynajmniej przez ten tydzień. A ja musiałam wpaść na genialny pomysł, żeby wyciągnąć was razem.

- Nie ma sprawy, - Machnął ręką, jakby to nie było nic ważnego. Wyraźnie chodziło mu o to, żeby poczuła się lepiej. Czegoś takiego w życiu by nie zrobił dla mnie. I powiedział jej: - Nie mamy już Jakea, ale przynajmniej mamy kogoś, z kim można pogadać, dzięki czemu nie musimy rozmawiać ze sobą. Czyli ciebie. I ciebie - dodał, spoglądając wreszcie w moją stronę.

Na jego twarzy pojawił się wyraz zmieszania, kiedy odczytał z mojej - nie wiem co - może głupią zazdrość o Molly, a może poczucie, że zdradził mnie w jakiś sposób, zwracając się z tego wszystkiego jej, a nie mnie. Tym większy kretynizm, że przecież on i ja nigdy nie byliśmy zaprzyjaźnieni.

Wskazał kciukiem za siebie.

- Wracam za minutkę. Rozgośćcie się. A przynajmniej spróbujcie.

Zniknął w łazience, do której prowadziło wejście w rogu.

- Chodź.

W tym mikroskopijnym pokoju było mi duszno, więc pociągnęłam za sobą Molly do drugich drzwi wychodzących na ganek.

Wysłużone schody prowadziły sto metrów dalej, do połaci czystego piasku pokrytego odciskami stóp. Dalej rozciągał się ciemnobłękitny ocean.

- Chcesz? Chodźmy tam - zaproponowałam.

- O rany, nie. Przesiedziałam cały dzień na plaży. Już mam dość.

Opadła na drewniany fotel ogrodowy i zamknęła oczy. Czekałam, aż powie, co myśli o chłopakach. Przecież pierwszy raz w życiu ich widziała, obaj byli przystojni. A ciężkie przeżycia dodawały im specyficznej aury. Chciałam to od niej usłyszeć i usłyszeć burę, że tak długo zachowywałam ich dla siebie. Ale Molly nie odezwała się ani słowem. Musiała być strasznie zmęczona po tak wyczerpującym, długim dniu, który upłynął pod znakiem bezustannego wylegiwania się na plaży.

Odwróciłam się więc w stronę oceanu, napawając się czystym zapachem słonej wody. Oparłam się łokciami o balustradkę, brodą o dłoń. Patrzyłam, jak z wolna przetaczają się białe fale. Tak jak i wszystko inne, ocean, kiedy patrzyło mu się w twarz, wyglądał zupełnie inaczej niż oglądany z powietrza. Zahipnotyzowana jego pięknem zapomniałam, gdzie jestem i po co. Drgnęłam, kiedy Alec dotknął dłonią mojego nagiego ramienia i spytał:

- Gotowa?

Grayson upierał się, żeby wcześniej zacząć zabawę i wcześniej skończyć, co okazało się wyjątkowo dobrym pomysłem, bo dzięki temu udało nam się bez problemu dostać do klubu. Co prawda było już tam sporo ludzi, w większości nietutejszych i sporo z nich było podciętych, poza tym trochę ludzi z mojej szkoły - wszyscy nawaleni.

Sama miałam chętkę złamać narzuconą mi abstynencję -z powodu stresu, który towarzyszył mi przez cały ten dzień i krępującej sytuacji wobec obu braci. Jednak Grayson zasiadł przy pokrytym graffiti filarze i obserwował nas, pilnując, żebyśmy się dobrze sprawowali. Toteż zamiast pić drinka, tańczyłyśmy z Molly do pulsującego bitu, w migających kolorowych światłach. Alec nam towarzyszył w zabawie, tańczył sobie na luzie, głównie kręcąc biodrami. Molly trzy razy prosiła Graysona do tańca. Odmówił. Próbowала wysłać mnie, żebym go namawiała, ale nie zgodziłam się. Bez przesady. Świetnie się bawiłam, tańcząc z Molly i tańcząc z Alekiem, który zachowywał się trochę jak chłopak którejś z nas, ale niespecjalnie zainteresowany, co dla mnie było nowym przeżyciem. Nie zamierzałam psuć fajnego nastroju przez wciąganie do zabawy ponuraka ani pozwolić zepsuć sobie humor tym, że mnie splawił.

Wreszcie zrobiliśmy sobie przerwę. Grayson zamówił jedzenie dla wszystkich. Kiedy sięgnęłam po portfel, żeby zwrócić mu pieniądze, Alec zmarszczył brwi i potrząsnął głową. Udało nam

się dorwać wolny stolik na tarasie z widokiem na ocean, bo jacyś ludzie właśnie się zwinęli. Molly wróciła jeszcze do środka, żeby zamówić sobie truskawkowe daiquiri. Posłużyła się w tym celu starym dowodem osobistym swojej kuzynki. Alec szepnął, że przyniesie mi coś do picia.

W ten sposób Grayson i ja zostaliśmy sami przy stoliku, jeżeli można być z kimś sam na sam w tłumie liczącym około czterystu pięćdziesięciu osób. W każdej chwili spodziewałam się jakiejś obelgi z jego strony. Ale nie, patrzył na tłum z półuśmiechem na twarzy, trochę takim półuśmiechem, jaki na twarzy Aleca gościł prawie zawsze. U Aleca był to stan naturalny. U Graysona oznaczało to, że jest w dobrym nastroju.

Pochyliłam się przez stół i powiedziałam:

- Wróciłeś.

- Co?

Odwrócił się gwałtownie w moją stronę, zaskoczony, że się odezwałam. Uśmiech zbladł.

- Znowu jesteś sobą - wyjaśniłam. - Dotąd zachowywałeś się tak, jakby dawny Grayson odszedł na zawsze.

Skinął głową.

- Może i tak - rzekł powoli. - To znaczy, gdybym był typem człowieka, który odnosi się do siebie samego w trzeciej osobie. Tak, całkiem możliwe.

- Możliwe, że odszedł na zawsze? - spytałam. - Czy że kiedyś wróci?

- Że odszedł.

Ta zwięzła odpowiedź zapadła we mnie jak gorący kamień, który znika w śniegu gdzieś na północy. Znowu zauważyłam, jaki jest znużony, jak skulił szerokie ramiona, zobaczyłam ciemne smugi zmęczenia pod jego szarymi oczami. Poczułam, jaki jest zagubiony. I sama poczułam się zagubiona. Przez tę chwilę zrozumienia pijani wczasowicze i kolorowe światła znikły. Raczej zdawałam

sobie sprawę z czarnego nieba i czarnego oceanu - bliskich, choć niewidocznych.

- Przykro mi z powodu Jakea - wypaliłam.

Grayson nie spuścił wzroku, dalej na mnie patrzył. Jego jedyną reakcją było drgnięcie mięśnia przy szczęce.

- Każdego dnia rozmawiałam z twoim tatą o tym, co stało się z Jakiem, nigdy ci o tym nie mówiłam. Chyba zobaczyliśmy się dopiero na pogrzebie twojego taty. A poza tym... - czułam, że policzki mi płoną, ale skoro zaczęłam, nie mogłam przerwać, dopóki wszystkiego z siebie nie wyrzucę. - .. przykro mi z powodu ciebie i Aleca. Szkoda, że wcześniej mi nie powiedziałeś, jak przedstawiają się sprawy między wami, no i że dalej mi nie mówisz, dlaczego tak się uparłeś, żebym go podrywała. Tymczasem pojawiła się Molly i jej od razu wszystko opowiedziałeś. Przecież znamy się od lat, a mimo wszystko traktujesz mnie jak obcego człowieka. Gorzej niż obcego, jak wroga. I to twoje niedowierzanie, kiedy powiedziałam, że nigdy nie byłam w mieszkaniu twojego ojca...!

Grayson rozchylił usta. Patrzył na mnie przez chwilę, nim wreszcie się odezwał. A kiedy mówił, jego głos rozbrzmiewał tak cicho, że ledwo go słyszałam w tym zgiełku.

- To o Alecu i Jakeu... To było do ciebie.

- Patrzyłeś na Molly!

- Ale mówiłem do ciebie. - Opuścił głowę, spojrzał na niedokończony posiłek. - Czasami mam problem z tym, żeby na ciebie patrzeć. Tak samo jak z tym, że tutaj jestem. W mojej chatce, w mieszkaniu, w hangarze.

Teraz już rozumiałam. Kojarzyłam mu się z nieszczęściami, jakie spadły na jego rodzinę. Potrzebna mu byłam tylko po to, żeby ocalić Aleca przed jakimś tajemniczym niebezpieczeństwem. I do niczego innego.

W gwarze rozróżniłam tokującą Molly. Z początku nie mogłam zrozumieć, co nadaje. Kiedy razem z Alekiem wynurzyli się z tłumu, pierwsze słowo, które do mnie dotarło, brzmiało „koktale!”.

- Właśnie mówiłem Molly o tym, jak Zeke poplątał się w ortografii - wyjaśnił Alec, postawił przede mną szklanę coli i siadł na stołku obok mnie.

Uśmiechnęłam się do niego radośnie. Chodziło mi o to, żeby skupić się jak najbardziej na beztrudnej pogawędce z Molly, a wtedy może napięcie między mną a Graysonem zelżeje i znów będę mogła oddychać.

- Widzę już w wyobraźni turystów na plaży - podjęła Molly - jak mrużą oczy i odczytują: „kok...tale”. Pewnie myślą, że tak ma być. Że wymyślono nowy drink serwowany w tych pułapkach na turystów, czyli nadbrzeżnych barach. Może o smaku gumy do żucia? A może na przykład z kawałkiem gumy na wykałacze zamiast plasterka cytryny?

- Rozumujesz, jak przystało na córkę restauratorów - zauważyłam, starając się dostroić do jej paplaniny.

- Te byki na banerach kosztują nas sporo wylatanego czasu - mruknął gniewnie Grayson.

Rozumiałam, dlaczego go to nie bawi. Firma Lotnicza pana Halla podpisała umowy z reklamodawcami, polegające na tym, że banery każdego dnia miały znajdować się w powietrzu przez określony czas. Kiedy Alec i ja zrzuciliśmy banery i czekaliśmy, aż Zeke je poprawi, krążyliśmy wokół lotniska i zużywaliśmy paliwo. Potem znowu je zgarnęliśmy i poleciliśmy wzdłuż plaży, ale czas spędzony na okrążeniach był stracony, przyniósł wydatki zamiast zysków, a żeby spełnić warunki umowy, swoje i tak musieliśmy wylatać. Nawet dostałam od Graysona niewielki bonus za nadgodziny. Akurat ja nie miałam nic przeciwko temu, natomiast Grayson jak najbardziej.

- Pogadałeś o tym z Zekeem? - spytałam Graysona.

Nie wiedziałam wprawdzie, co by to mogło dać. Nikt się nie nauczy ortografii z dnia na dzień, a w konstrukcji banerów nie przewidziano spell-checka.

- Wywaliłem go na pysk - odpowiedział Grayson. - Sam będę to robił.
- A kto będzie za ciebie latał? - Uśmiech po raz pierwszy zniknął z twarzy Aleca. - Masz kontrakty na trzy samoloty w powietrzu.

Ciekawe, dlaczego Alec tak to ujął: „masz”, a nie „mamy”. Przecież teraz firma należała do nich obu. Grayson chyba nie zwrócił na to uwagi.

- Będę robił dłuższe przerwy między lotami i przygotowywał banery - odpowiedział. - Kiedy wy dwoje będziecie już w powietrzu, wtedy wystartuję. Tyle, że będę musiał zostać nieco dłużej.

Nieco dłużej, to znaczyło dłuższy dzień pracy. Zamiast ośmiu godzin dziennie, dziesięć godzin. A pewnie jeszcze więcej, bo przecież zajmował się też papierkową robotą.

Moje myśli rozproszył głos Molly.

- A kto zajmował się banerami, kiedy wasz ojciec jeszcze żył?

Zerknęłam, żeby zobaczyć, jak Grayson i Alec zareagują, odruchowo wyczekiwałam tego cienia, który pojawiał się na ich twarzach, gdy ktoś wspominał zmarłego ojca. Rzeczywiście, zobaczyłam go na twarzy Graysona, zobaczyłam nawet w migających kolorowych światłach.

Za to Alec od razu odpowiedział. Odchylił się i wyjaśnił:

- Banerami zajmowaliśmy się Grayson i ja dopóki nie skończyliśmy osiemnastu lat, czyli do października zeszłego roku. Nie mogliśmy zrobić licencji zawodowej, więc nie mieliśmy prawa latać zawodowo. Dopiero teraz nam wolno.

Wtrąciłam:

- Na tym nie koniec, bo obserwowaliście też starty, żeby upewnić się, czy nic złego nie stało się po przechwyceniu banera przez samolot. A skoro Alec i ja będziemy już w powietrzu, kto będzie nadzorował twój start, Grayson?

Popatrzył na mnie spojrzeniem bez wyrazu i zacisnął pięść.

- Zatrudnij mnie - pisnęła Molly.

- Super! - wykrzyknął Alec, tymczasem Grayson spytał:

- Co?

A ja powiedziałam:

- Nie.

- Pisać umiem - brzmiał podstawowy argument Molly. - Przecież dam radę przeciągnąć taki baner z miejsca na miejsce, chyba nie jest strasznie ciężki?

- Masz tę robotę - oznajmił Grayson.

Spojrzałam przez stolik na Molly, ale nie zdołałam pochwycić jej spojrzenia. Nie wiedziałam, co knuje, więc ogarnął mnie niepokój. Pomagała w kafejce rodziców tylko wtedy, kiedy wstała za wcześnie i kiedy jej się nudziło. Jasne, że jeżeli ktoś ma ochotę, może sobie pracować na lotnisku, a nie w knajpie. Tylko dlaczego miałyby na to mieć ochotę? Brudna robota, upał, spaliny. Nie mogłam sobie wyobrazić, do czego potrzebowała tej pracy, jeżeli nie do tego, żeby wetknąć swój nos w wystarczająco już skomplikowany układ między mną a chłopakami. A na to nie mogłam jej pozwolić. Moja kariera pilota znaczyła dla mnie zbyt wiele. Nie mogłam pozwolić, żeby zdradziła się z tym, co wie, przypadkiem czy rozmyślnie.

- Zaraz, chwileczkę - wtrąciłam się. - Grayson, nie jestem pewna, czy to taki dobry pomysł. Dopiero co poznałeś Molly. Ta praca ma swoje wymagania, którym Molly może nie sprostać.

- Na przykład co? - rzuciła wyzywającym tonem Molly.

- Na przykład ciężka praca - wyjaśniłam.

- Oho - zawołała i zaśmiała się groźnie. - Ktoś pode mną dołki kopie.

Kopnęłam ją pod stołem, żeby nie robiła ze mnie przed Alekiem dziwadła i zawistnej suki.

- Nie przy dzieciach.

- Masz tę robotę - powtórzył Grayson, zwracając się do Molly. - Ale pamiętaj, że choćby nie wiem jakie dramaty rozgrywały się

na ziemi, to wszystko nie ma prawa mieć wpływu na to, co dzieje się w powietrzu. W Firmie Lotniczej Hall nie ma mowy o żadnych kraksach. To znaczy, że w tej robocie nie ma miejsca na kaca. Więc żadnego alkoholu.

Odsunął daiquiri Molly na środek stolika.

- Ejże! - zawołała. - Przecież są ferie! Nawet jednego drinka?

- Nawet jednego - oświadczył stanowczo Grayson.

- Ale przecież ja nie latam - przypomniała i wydeła usteczka.

- Ale ty ustawiasz banery. Ty obserwujesz samoloty, czy nie sypią się z nich części. Ty odpowiadasz za ortografię - wymienił.

Wysunęła dolną wargę i zatrzepotała rzęsami. Roześmiał się.

- Dobrze, jeden kieliszek. Przysunął daiquiri z powrotem do niej.

- Dzięki, szefie. Może łyka? Trochę byś się rozluźnił.

- Nie, dzięki. Nie przyszedłem tu z takim założeniem, żeby wyluzować.

A poza tym nie zamierzam się spoufalać z moimi podwładnymi.

Przysłuchiwałam się tej wymianie zdań z przerażeniem. Z początku wydawało się, że flirtują. Ale teraz przyszło mi do głowy, że gdyby chciał się do niej przystawiać na poważnie, nie rzucałby takich tekstów, jak ten o „podwładnych”.

Molly wcale się nie obraziła. Przeciwnie, bardzo ją to rozbawiło.

- A dlaczego to ty jesteś szefem, a nie Alec? Jesteś starszy?

- Jesteśmy bliźniakami - powiedzieli Grayson i Alec jednocześnie.

- No tak! - wykrzyknęła Molly. - Wiedziałam, ale zupełnie o tym zapomniałam! W ogóle nie jesteście do siebie podobni.

- Są, są - powiedziałam.

Nie było to zgodne z prawdą, ale znów zaczęłam bronić swojego terytorium. Molly dogadywała się z chłopakami o wiele lepiej niż ja, a przecież nawet nie zdążyła ich polubić.

- W ogóle nie - powiedzieli jednocześnie obaj bracia Hall. Popatrzyli na siebie. Grayson się uśmiechnął, a Alec się roześmiał. Odniosłam wrażenie, że od dłuższego czasu nie śmiali się razem.

- W jaki sposób ty i Lea zostałyście „przyjaciółkami”? - spytał Grayson, wykonując jednocześnie palcami cudzysłów.

Odpowiedziałam zamiast niej z szerokim uśmiechem:

- Wyrwałam jej chłopaka.

- Próbowałam wyrwać.

Wyciągnęła rękę nad stolikiem i poklepała mnie pocieszająco po ramieniu.

- A jak było naprawdę? - spytał Grayson.

Popatrzyłam na Molly, zostawiając jej odpowiedź. Ona akurat nie wiedziała, co tak naprawdę się wydarzyło. Ja wiedziałam, ale nie zamierzałam jej tego powiedzieć. Teraz przyjaźniłyśmy się i niczego więcej nie pragnęłam. Przyjaźń jest ważniejsza od szczerości.

- Wprowadziłam się do miasta dwa lata temu - powiedziała - i od razu wyhaczyłam najfajniejszego koleśka w szkole, no nie? Aż tu laski ze szkoły mówią mi, że taka jedna Lea Jones ostrzy sobie na niego zęby, więc lepiej, żebym uważała.

Alec zaśmiał się, a Grayson stwierdził oschłym tonem:

- Już taka ona jest, no nie?

- Najwyraźniej - przyznała Molly i spojrzała na mnie spode łba, jak zawsze, kiedy mowa była o Rynie. Ciągle jeszcze nie mogła mi go darować. - Gdyby to było w mojej starej szkole, w Atlancie, mogłabym odpuścić i przyglądać się, co będzie dalej. Ale to była nowa szkoła, więc czułam, że muszę mocno postawić na swoim, żeby dziewczyny szanowały moją własność. - Wykonała śmieszny gest dłonią zaciśniętą w pięść z wyprostowanym palcem wskazującym, dość nieudolną imitację jakichś gangsterskich zachowań, co wyglądało jeszcze zabawniej, jeżeli zdać sobie sprawę, że jednocześnie miała na sobie błękitno-brokatowy wieczorowy makijaż. - A więc doprowadziłam do konfrontacji.

- Pobiłyście się? - spytał radośnie Alec.

Zachichotałam, bo zrobił to w tak zabawny sposób. A kiedy poprzedniej nocy Patrick spodziewał się tego samego przed moją przyczepą, wcale nie był śmieszny. Pewnie dlatego, że wtedy było to o wiele bardziej realne.

Grayson patrzył na mnie, ale się nie śmiał.

- A co zrobiła Lea, kiedy doprowadziłaś do tej konfrontacji? - spytał Molly.

- Wyśmiała mnie - odpowiedziała Molly. - Uwierzylibyście w coś takiego? Cokolwiek jej zaserwowałam, ona odpowiadała tym samym, tylko jej teksty były lepsze. Zdałam sobie sprawę, że wolę się z nią zaprzyjaźnić i zależy mi na tym o wiele bardziej niż na tamtym wymoczku.

Nie tak było. Nie tak skończyła się historia z Ryanem. Ale niech sobie myśli, że tak było, skoro chce we mnie widzieć twardą sztukę z przedmieścia. W przeciwnym razie może nie chciałyby się ze mną przyjaźnić.

Ale mimo wszystko nie przypadło mi do gustu, w jaki sposób opisała tamtą kłótnię, zupełnie jakby to ona postanowiła, że zostaniemy przyjaciółkami, więc, oczywiście, zostałyśmy. Tak jakby wybrała mnie zamiast Ryana. Jakby przygarnęła kundla ze schroniska. Co prawda, tak właśnie się czułam, kiedy przyjeżdżała po mnie i zabierała na kolację do knajpy swoich rodziców, ale teraz, kiedy Alec i Grayson słuchali jej opowieści, brzmiało to dość paskudnie.

- Czyli już wtedy byłaś - odezwał się Alec, na tyle półgłosem, że Grayson i Molly go nie słyszeli, i na tyle blisko, że poczułam na skórze jego oddech. Odwróciłam się w jego stronę. Patrzył na mnie z tym swoim półuśmiechem, prosto w moje oczy.

Po raz pierwszy tego wieczoru odczułam, że jesteśmy czymś więcej niż tylko kumplami. O ile Grayson raczej nie zamierzał podrywać Molly, Alec chyba jednak miał wobec mnie jakieś zamiary. Wytrzymałam jego spojrzenie, obdarzyłam swoim najsek-

sowniejszym uśmiechem i w ogóle bardzo się starałam, żeby nie wpaść w panikę.

Ponieważ Grayson wydał rozkaz, że wszyscy mają się porządnie wyspać, długo już potem nie siedzieliśmy. Najpierw odwieźliśmy Molly. Do nadmorskiej willi jej rodziców wjeżdżało się przez bramę udekorowaną kwitnącymi tropikalnymi pnączami. Gdyby ktoś jeszcze miał wątpliwości co do tego, czy Grayson chce się zaprzyjaźnić z nią jakoś bardziej, to teraz wszystko stało się jasne. To Alec zaczekał na zewnątrz, aż moja przyjaciółka wejdzie do domu, Grayson przez cały czas siedział w samochodzie.

Potem odwieźli mnie. Alec wyjaśnił, że Grayson pojedzie z nami, bo ma jeszcze w hangarze jakąś robotę do zrobienia. Alec miał go tam podrzucić, a potem Grayson wróci do chaty na plaży swoim pickupem. Miałam pewne wątpliwości, czy to jest rzeczywisty powód, czy przypadkiem Grayson nie posłużył się tym pretekstem, żeby obserwować nas z tylnego siedzenia, żeby mieć pewność, że wywiążuję się z wymuszonej na mnie umowy.

Alec był przystojny i strasznie słodki, super, fajny facet. Wciąż powtarzałam to sobie, coraz częściej, w miarę jak dojeżdżaliśmy do kempingu. Skręcało mnie w żołądku i to coraz bardziej, chociaż akurat tym razem był pełny po kolacji w barze, więc nie byłam głodna. Nie było sposobu, żeby uniknąć tego, co musiało nadejść, chociaż nieśmiało spróbowałam. Kiedy wjechaliśmy na zwirowaną drogę i w świetle reflektorów ukazały się tumany pyłu, powiedziałam:

- Nie musicie odprowadzać mnie pod same drzwi.

Alec nie odpowiedział od razu. Milczenie stawało się coraz bardziej kłopotliwe, przydałby się choćby odgłos powiadomienia o SMS-ie z komórki siedzącego w tyle Graysona.

Wreszcie Alec spytał:

- Dlaczego nie?

Na to nie miałam odpowiedzi, więc pozwoliłam sobie na szybką improwizację:

- No, bo co to za drzwi.

- Drzwi to drzwi, a ja zamierzam cię pod nie odprowadzić.

Zaparkował, wyłączył silnik i światła, po czym wysiadł. Już obchodził samochód, żeby otworzyć drzwi z mojej strony. Nie miałam dużo czasu. Odwróciłam się, spojrzałam za zagłówek fotela i rzuciłam:

- Dobranoc, Grayson.

Patrzył prosto na mnie, już kiedy się odwracałam.

- Dobranoc - odpowiedział głosem pozbawionym jakiegokolwiek wyrazu, z kamienną twarzą.

Nie wiem, czego właściwie się po nim spodziewałam. Zazdrości? A może liczyłam na to, że zawoła: „Nie, Lea, nie rób tego! Odwołuję wszystko, co powiedziałem!”. No, więc czegokolwiek oczekiwałam, to na pewno nie tego.

- Lepiej wygląda, jak masz kręcone włosy - dodał tym samym obojętnym tonem.

Zanim zdążyłam go spytać, co ma na myśli - czy to jemu podobają się moje włosy, kiedy są kręcone, czy może jego zdaniem Alecowi bardziej się podobają - Alec otworzył drzwi.

Z bijącym sercem wysiadłam i zanurzyłam się w gęstą chmurę psiego ujadania. Alec poszedł ze mną na drugą stronę podwórza i w górę po cementowych schodkach. Nie chciałam się z nim całować, ale w tamtej chwili raczej nie miałam wyjścia. Popatrzyłam mu w oczy i próbowałam przekazać telepatycznie, że jasne, chętnie będę się z nim całować, ale przecież teraz patrzy na nas jego brat, a poza tym, halo, halo, czy naprawdę masz na to ochotę przy wściekłym wrzasku pitbula?

Odniosłam wrażenie, że Alec nie załapał, o co mi chodzi. Już się przestraszyłam, że wszystko schrząniłam, bo dałam mu do zrozumienia, że w ogóle nie chcę się z nim całować. Już myślałam, że będę musiała mu to wszystko wytłumaczyć: „Nie chcę się z tobą całować przed moją przyczepą, przy akompaniamencie szczekania

pitbula. Za bardzo wygląda to na scenkę z koszmaru o przyszłym małżeństwie".

Ale jednak zrozumiał. Z półśmiechem odezwał się:

- Dopilnuję, żebyśmy jutro zostali sami.

Aha, to znaczy miało być jakieś jutro? Czyli dobrze, Grayson nie będzie mógł narzekać, że nie dotrzymuję warunków umowy. Jednak zrobiło mi się gorąco. Bo co, jeżeli Alec będzie chciał zrobić więcej, niż ja chciałam zrobić?

Pochylił się w moją stronę. Zesztywniałam, oczekując pocałunku. Próbowalam się rozluźnić. Może wyczuł mój wewnętrzny opór, a może tak naprawdę też wcale nie chciał się ze mną całować. Tak czy inaczej, zawahał się i przełknął ślinę.

Potem jednak się zdecydował, wsunął obie dłonie w moje włosy. Nasze usta się spotkały.

Całował mnie. Ale niezbyt dynamicznie. To był strasznie grzeczny pocałunek jak na dwoje pełnoletnich ludzi podczas ferii wiosennych. Nie chciałam, żeby wziął mnie za cnotkę, ale nie chciałam też za bardzo go zachęcać. To znaczy chciałam, ale tylko na tyle, żeby Grayson widział, że go zachęcam.

I żeby Graysona szlag trafił.

Wsunęłam więc rękę we włosy Aleca i przyciągnęłam go do siebie.

Przestał mnie całować i zaczął od nowa. Poczułam jego język na wargach, ale nie próbował go wsunąć do wewnątrz. Zupełnie jakbym całowała się z niewinnym chłopcem, który coś słyszał o całowaniu, ale nigdy jeszcze tego nie robił.

Nie zamierzałam mu udzielać korepetycji w tym temacie.

Odsunął się i chciał, czy też raczej próbował wysunąć palce z moich włosów. Ale jeden palec zaplątał mu się w głębszej warstwie, gdzie pod wpływem wieczornej wilgoci włosy znowu się skudliły.

- Au! - krzyknęłam.

Oboje się roześmialiśmy.

- Wybacz. Momencik...

Przyjrzał się moim włosom w świetle księżycy i posługując się drugą ręką, wyswobodził zaplątany palec. Spojrzałam na tę rękę, która mu uwięzła i zobaczyłam, że ma na palcu sygnet Air Force pana Halla.

- Dobranoc - powiedziałam, trochę za prędko. - Dzięki. Fajnie było.

Przekręciłam klucz w zamku i zwałam przez drzwi, po czym zamknęłam je za sobą, zanim cokolwiek zdążyłoby się jeszcze wydarzyć. I zanim zdążyłam spojrzeć w stronę samochodu, żeby sprawdzić, z jakiej odległości Grayson nas obserwował.

Smród stęchlizny uderzył mnie w nozdrza, aż zaparło mi dech. Normalnie nie zwracałam na niego uwagi, ale czułam go za każdym razem, kiedy nie było mnie w przyczepie przez dłuższy czas i potem wracałam. Moje domostwo gniło, w jakichś niedostępnych dla mnie zakamarkach butwiało od środka i nic nie mogłam na to poradzić.

Stałam oparta plecami o drzwi i nasłuchiwałam szczekania pitbula, potem odezwał się silnik wozu Aleca. Przez cienkie aluminium wszystko było słychać. Poczułam, jak obezwładnia mnie zmęczenie. Nie byłam pewna, czy wytrzymam jeszcze jeden wieczór, podczas którego Alec będzie mnie całować, a Grayson będzie się na to gapić.

Na szczęście następnego dnia na lotnisku miała zjawić się Molly. Z Molly zawsze było łatwiej, choćby dlatego, że buzia jej się nie zamykała.

A poza tym znowu będę latać. Postanowiłam, że jeżeli kiedykolwiek w ciągu mających nadejść kilku dni naszłaby mnie chęć, by przerwać tę farsę, muszę pamiętać, że robię to, żeby latać. Żeby rozwinąć skrzydła.

Idąc rankiem tego dnia na lotnisko, zerkalam w stronę hangaru pana Simona. Nie miałam ochoty mieć do czynienia z Markiem. Najlepiej by było, gdybym zdołała unikać go do końca życia. I chociaż tym razem miałam szczęście. Przez otwarte wrota nie było widać jego maszyny. To znaczyło, że przyszedł do pracy znacznie wcześniej niż poprzedniego dnia - pewnie nieźle mu się oberwało od wuja - i był już w powietrzu.

Alec przekołował obok żółtym piperem, pomachał do mnie z kokpitu. Odpowiedziałam, rzecz jasna, tym samym. Potem ruszyłam w stronę Molly, która stała w trawie między pasem startowym a drogą kołowania i mordowała się z wielkimi czerwonymi literami, wciskając je w prowadnice baneru. Poranny wietrzyk przyniósł od niej zapach kremu do opalania i środka na komary. Zwróciłam też przy okazji uwagę, że o ile przygotowała się do pracy chemicznie, to ubrała się raczej nieodpowiednio. Szpanerskie ciemne okulary, modny słomkowy kapelusz, w uszach kolczyki z diamentami - kto wie, może i prawdziwymi - tudzież fajne plażowe ciuchy. Wielkie robocze rękawice, które na pewno dał jej Grayson, sprawiały, że ręce Molly wyglądały jak cęgi robota.

Zresztą jej także mój strój roboczy nie przypadł do gustu. Wskazała urękawiczonym łapskiem rozcięty T-shirt narzucony na top bikini.

- Widzę, że ubierasz się stosownie do swojej pracy.

- Jak tam ciężka praca? - spytałam żartobliwie.

- Ano, ciężko.

Otarła czoło nadgarstkiem i wzięła się pod boki, jakby już opadła z sił. Nie roześmiała się tak, jak powinna. Nie byłam pewna, czy jednak nie uraziłam jej poprzedniego wieczoru tym tekstem o ciężkiej harówie. Ale to bzdura, przecież Molly nigdy się nie obrażała.

Zresztą i tak nie mogłabym jej przeprosić. To nie mieściło się w naszej konwencji. Więc po prostu spytałam:

- Po co ci ta praca?

- Jak to po co? Żeby czuwać nad tobą i strzec cię przed tymi zwierzakami.

To też nie miało sensu. Powinna właśnie skakać do góry i piszczeć, jakie to fajnie chłopaki i że chyba na głowę upadłam, żeby ich obu na raz nie wyrwać.

- Całowałaś się wczoraj z Alekiem? - spytała.

- Tak. - A potem spytałam, starając się, żeby nie zabrzmiało to zbyt podejrzliwie: - Mówił ci o tym?

Obawiałam się, czy przypadkiem nie przechwalał się zaraz po przyjeździe do hangaru, że mnie zaliczył zeszłej nocy.

- Nie, ale domyśliłam się - odpowiedziała. - Słuchaj, na dziś wieczór zaplanowałam pewną akcję, może to go od ciebie odciągnie. Chłopcy już się zgodzili. Zaczniemy od kolacji w mojej knajpce. Jeżeli stamtąd wystartujemy, moi starzy nie będą za bardzo wnikać, jaka to pijacka orgia czeka nas później. Rodzice Francie Mahoney pojechali z jej malutkim braciszkiem do Disney World. Alec i Grayson mieszkali kiedyś w tym mieście, więc znają mnóstwo ludzi, którzy będą na imprezie. Alec spotkałaskę, w której się durzył w trzeciej klasie i masz go z głowy.

- Boże, nie.

Ale moja słowa zagłuszył ryk silnika. To Alec przemknął obok nas pasem startowym, po chwili żółty piper wzbił się w powietrze. Kiedy znów dało się rozmawiać, powiedziałam:

- Wszystko, tylko nie to.

Większość ludzi w szkole nienawidziła mnie tylko tak sobie, przy okazji. Jednak kilka bogatych dziewczyn fatygowało się aż na drugi koniec korytarza, żeby rzucić jakąś wredną uwagę na temat moich kręconych włosów - o ile tylko zdołały coś odpowiednio wstrętnego wykombinować, a przy tym namówić kumpele, żeby im towarzyszyła jako świadek i ochrona. Francie była właśnie jedną z tych dziewczyn. Wiele razy mówiłam Molly, jakie są te jej przyjaciółki, ale nie chciała mi uwierzyć. Bo kiedy była w pobliżu, zachowywały się wzorowo. Za to gdy tylko wyszła z pokoju, od razu stawałam się zwykłym śmieciem. A Molly nie chodziła z nami na WF.

- Chcesz, żeby Alec zostawił cię w spokoju? - spytała ostrym tonem Molly.

- Oczywiście, że chcę - odpowiedziałam - o ile tylko Grayson nie będzie miał nic przeciwko temu.

Przeniosła ciężar ciała z nogi na nogę, westchnęła ciężko i zerwała ciemne okulary.

- Robię wszystko, co mogę, żeby ci pomóc, ale w końcu nie jesteś pępkiem wszechświata. Ja też mam prawo się zabawić, też mam ferie i może to ja chcę iść na tę imprezę.

Aha. A może ja nie muszę tylko dlatego, że ona ma ochotę? Omal jej tego nie powiedziałam. Ale skoro już przekonała chłopaków, planów na wieczór nie dało się zmienić. Nie mogłam się wykręcić, zostawić Aleca na lodzie i wkurzyć Graysona. Wiedziałam, że będę musiała tam iść.

A Molly wiedziała, dlaczego nie chciałam. I wiedziała, że mimo to będę musiała pójść. Jej zrozumienie dla mojej sytuacji i współczucie przetrwały do momentu, kiedy jej się znudziło, więc teraz odwróciła się do mnie plecami.

Jednak od razu pomyślałam sobie, że może niesprawiedliwie ją oceniam. Przyjaźniłyśmy się już od dwóch lat, a dotąd ani razu czegoś takiego mi nie zrobiła. Jasne, pojawiali się różni faceci,

w zasadzie od początku, czyli od sprawy z Ryanem. A dotąd nikt jeszcze nie zmuszał mnie szantażem do podrywania chłopaka. Czyli sytuacja się zmieniła, teraz wszystko stało się możliwe.

- Słuchaj, później o tym pogadamy, dobra? - rzuciła. Chciała przez to powiedzieć, że nie będziemy na ten temat rozmawiać i idziemy na imprezę, tak czy siak. - Alec już wystartował. Muszę zaczepić ten baner. Idź zjeść śniadanie. Mój tatuś zrobił dla ciebie ciasteczko truskawkowe z kruszonką i z hawajskim cukrem.

To rzeczywiście skłoniło mnie, żeby pójść do hangaru i dopiero w połowie drogi zdałam sobie sprawę, że za pomocą żarcia zwabiła mnie tam, gdzie chciała. Jakbym była wygłodniałym psiakiem. Już nie wiedziałam, co mam myśleć o dziewczynie, którą znałam tak dobrze, a która nagle znalazła się w miejscu, które znałam tak dobrze i natychmiast zaczęła zachowywać się, jakby to było jej terytorium, a ci faceci jej własnością.

Ale Grayson nie był jej własnością. Wyraźnie dał to do zrozumienia zeszłego wieczoru. Stał teraz przed hangarem, spoglądał na przemian na telefon i w kierunku południowo-zachodnim na błękitne niebo. Kiedy usłyszał moje kroki, odwrócił się i gapił się na mnie, a przynajmniej tak mi się wydawało, bo miał na nosie lustrzane okulary. Poranek był raczej chłodny, ale poczułam, że się pocę. Chociaż nawet nie wiedziałam na pewno, czy mi się przygląda.

Jednak kiedy podeszłam bliżej, był obojętny i opanowany. Czysty konkret.

- Uważaj dzisiaj na pogodę.

Żeby zapomnieć o dreszczyku, o jaki mnie przyprawił, starałam się zachowywać profesjonalnie, jak na pilota przystało.

- Mówisz o tym froncie burzowym znad Zatoki? - Widziałam prognozę na aplikacji meteorologicznej, kiedy dzień wcześniej rozmawiałam z Molly przez lotniskową komórkę. Front wyglądał

groźnie, a tornada zrujnowały już kilka miejscowości w Missisippi. - Jest jeszcze daleko od nas. Pewnie dotrze dopiero w nocy.

Nie dotarł również do mojej matki, która grała w kasynie za górami, za lasami.

- W zeszłym roku, w samo Boże Narodzenie, ojciec przez cały dzień śledził taką burzę - stwierdził Grayson - aż nagle, zanim zdążył palcem kiwnąć, pojawił się przeciwny wiatr. Nie chcę, żeby ktokolwiek z nas znalazł się dzisiaj w takiej pułapce. Powiadom mnie przez radio, jeżeli natrafisz na nieoczekiwane turbulencje. A jeżeli zobaczysz ciemne chmury, nie czekaj, aż powiem ci przez radio, żebyś wiała - tylko wuj. I to natychmiast.

Wzruszyłam ramionami. Przezorność i ostrożność, jak najbardziej. Zawsze byłam za tym. Ale jednak trochę przesadzał. Przyszło mi na myśl, że musiał jednak doznać szoku podczas tamtego dramatycznego lądowania.

- Śniadanie czeka na ciebie w środku. - Ruchem głowy wskazał hangar. - Kiedy się posilisz, a zanim sprawdzisz samolot i wystartujesz, mogłabyś wziąć mój wóz i podwieźć baner dla Molly? W ten sposób dziewczyna zyska trochę czasu. Z ortografią sobie radzi, ale na początku trudno jej będzie nadażyć. - Podał mi kluczyki.

- Nie mogę tego zrobić - oznajmiłam.

- Spokojnie - powiedział. - Zawieź zaraz przed startem. Pilnuję twoich godzin i jeżeli przekroczysz czas, dostaniesz dodatkowe wynagrodzenie. Nie ma problemu.

- Ale ja nie potrafię prowadzić samochodu - wyjaśniłam. Zaskoczony, cofnął rękę. Zabrzęczały kluczyki.

- Jak to, nie potrafisz?

Normalnie. Nigdy nikt mnie nie nauczył prowadzić samochodu i nie miało to znaczenia, ponieważ nigdy nie miałam samochodu. Ale nie chciało mi się znowu wdawać w te tłumaczenia. Już poprzedniego wieczoru wkurzyło mnie, że musiałam objaśniać Alecowi zawile kwestie związane z pralnią samoobsługową.

- Chcesz powiedzieć, że masz licencję pilota, a nie potrafisz prowadzić samochodu? - spytał Grayson. - Paranoja!

Przesunęłam dłonią po gardle. To był znak używany przez pana Halla, polecenie, żeby wyłączyć silnik. Tym razem oznaczał sugestię, żeby Grayson przestał wypytywać mnie o moje życie, bo miałam już tego powyżej uszu.

Zwinęłam pięść i zacisnęłam mocno, aż pobieląca.

- W porządku - rzucił i westchnął. - Przepraszam. Pamiętaj, zjedz coś.

Poszedł za róg hangaru i osobiście raczył odpalić swoją półciężarówkę. Weszłam w mrok. Raczyłam się truskawkowym ciasteczkami z kruszonką oraz jajkami na szynce, wpychałam żarcie do buzi jak wygłodniałe psisko - przecież nikt nie patrzył. Od tego momentu dzień zaczął układać się lepiej. Po każdym starcie od pierwszego razu udawało mi się zgarnąć baner, po czym odbyłam trzy długie przeloty wzdłuż plaży i z powrotem. Podczas trzeciego wiatr się wzmógł, ale burze wciąż jeszcze znajdowały się daleko, nie było czym się przejmować. Przynajmniej na razie.

Pan Hall na pewno powiedziałby, że to piękny dzień. „Rany, jaki piękny dzień, żeby sobie polatać!” - zawołałby, a potem zasiadłby ze mną w kokpicie, z góry ciesząc się na przejażdżkę. Tym razem, kiedy o nim pomyślałam, tylko przez chwilę łezka zakręciła mi się w oku. Wspomnienie o nim przepełniło mnie wzruszeniem, ale nie smutkiem.

Przerwę przedpołudniową miałam o innej porze niż Molly, ponieważ ona urządziła swoją, kiedy byłam w powietrzu, a podczas mojej układała litery nowego baneru dla mnie. Natomiast wszyscy razem zjedliśmy lunch. I podczas tego posiłku nie było już tak dziwnie, jak podczas naszej porannej rozmowy sam na sam. Podobnie jak poprzedniego wieczoru, to głównie ona gadała, zdejmując mi w ten sposób sporą część brzemienia z barków. Uznałam,

że tak naprawdę wszystko jest z nią w porządku. Może rano czuła się przytłoczona nawalem pracy, a może była w szoku, bo pomimo ferii wstała przed dziesiątą rano.

Kiedy kończyłam pracę, jeszcze pracowała. Widziałam ją w oddali jako maleńką figurkę. Zmagala się właśnie z banerem dopiero co zrzuconym przez Graysona. Kiedy przykołowałam do hangaru, Alec siedział na zewnątrz oparty plecami o skorodowaną metalową ścianę budynku i palił papierosa. Nie za bardzo miałam ochotę siadać obok niego i w dodatku jeszcze narażać się na pokusę, kiedy poczęstuje mnie fajką, ale przecież nie mogłam udawać, że go nie widzę. Przecież wieczorem tego dnia znowu mieliśmy mieć randkę.

- Witaj! - zawołał, kiedy wyszłam. Poklepał dłonią asfalt obok siebie, jakby to było pluszowe siedzisko. Zaśmiałam się i przycupnęłam obok. Poczęstował mnie papierosem, potrząsnęłam głową.

Wypuścił dym, uważając, żeby nie dmuchnąć na mnie.

- Piękny dzień, żeby sobie polatać - stwierdził, zerkając na niebo. - Co prawda Grayson już martwi się pogodą.

- Chyba od tamtego lądowania w grudniu zrobił się przewrażliwiony - przypomniałam.

- Tak uważasz? - spytał Alec. - Ja myślę, że po prostu władza mu do głowy uderzyła i tyle.

To dziwne, ale miałam zamiar bronić Graysona. Choć przecież właśnie to się działo, nadużywał władzy i to wcale nie tylko w kwestii pogody. Tylko jakoś mi się wydawało, że to ja mogę coś takiego powiedzieć, nie Alec.

Zanim jednak zdążyłam otworzyć usta, zadzwonił telefon Ale-ca. Wyciągnął go z kieszeni, zerknął na ekran i uśmiechnął się.

- Moja mama.

Oparłam się rękami o gorący asfalt, żeby odepchnąć się i wstać.

- Chcesz, żebym...

- Nie, co ty. Siedź. - Nacisnął guzik telefonu. - Halo? To ja, twój ulubiony syn. Czym mogę służyć?

Co prawda wyraźnie powiedział mi, że mogę zostać, ale głupio mi było słuchać prywatnej rozmowy. Wiedziałam, że on i Jake są podobni do matki, ale widziałam tylko jej zdjęcie sprzed wielu lat. Wyobrażałam sobie ją teraz jako pulchną kobietę w średnim wieku, ubraną w przypominające worki zbyt luźne bawełniane ciuchy, z tą samą fryzurą, którą nosiła w liceum, bo przecież tak jest łatwiej i już nie ma po co się starać, na wojnie zginął jej najstarszy syn, mąż też umarł, a ona zawsze go kochała, chociaż ją zdradzał.

Moje wyobrażenie nie opierało się na żadnych realnych podstawach. Równie dobrze mogła być szczupła, z klasą, jako prawnik zarabiać mnóstwo kasy. Pograżona w żałobie po stracie syna i z żalem wspominająca byłego męża, ale jednocześnie ze świadomością, że przecież trzeba iść naprzód, jej własne życie też się liczy. Tak czy inaczej, nie była to moja sprawa. I tak przecież nigdy jej nie poznam - pomyślałam. Moje wścibskie spekulacje w jakiś sposób wręcz uwłaczały jej żałobie. Próbowałam wyluzować i przestać o niej myśleć, ale kiedy oparłam się o metalową ścianę, zaskoczyło mnie, jaka jest gorąca, więc odruchowo znów się wyprostowałam.

Alec spoglądał na mnie, a jednocześnie mówił:

- Nie, wszystko w porządku. - Przekręcił telefon w taki sposób, żeby słyszeć, co ona mówi, ale odsunął mikrofon od ust, po czym zaciągnął się papierosem. Następnie telefon wrócił do normalnej pozycji, a Alec powiedział: - Tak, naprawdę. - Z jego ust wydobywał się dym. Znów odsunął telefon i szybko wypuścił powietrze zmieszane z dymem, wciąż tak, żeby mama nie zorientowała się, że pali. Potem odezwał się do telefonu: - Mamo. Mamo. Mamo. Dlaczego nie chcesz mi uwierzyć?

Grayson podchodził do lądowania. Powiew wiatru nappełnił rękaw wiatrowskazu i zepchnął maszynę z kursu o metr czy dwa, ale Grayson w samą porę wyrównał i skorygował. Bezbłędnie. Alec dalej rozmawiał z mamą. Zaśmiał się. I chociaż najwyraźniej wciskał mamie kit, wmawiając jej, że wszystko w porządku, jego

śmiech zabrzmiał szczerze. Rozpoczął od niskiego, męskiego pomruku, a skończył wyżej, jak mały chłopczyk, wcale się nie przejmując tym, jak to brzmi, najważniejsze, że żarcik był zabawny.

Śmiejąc się, odsunął usta od mikrofonu, żeby śmiech nie zabrzmiał zbyt głośno po drugiej stronie. Przy okazji złapał kolejnego macha, zanim odezwał się do niej poważnym już tonem:

- A to już problem Graysona. Jego o to pytaj.

Gawędzili jeszcze przez kilka minut o pogodzie, przynajmniej tak to brzmiało, oraz o temperaturze wody w oceanie i o tym, czy na plaży jest tłok. Tymczasem Grayson kołował w naszą stronę.

Wreszcie Alec powiedział:

- Tak zrobię. Też cię całuję. Pa. - I wsunął telefon do kieszeni.

- Mama dzwoniła, żeby sprawdzić, czy jesteś grzeczny? - spytałam. - No, ładnie.

Powiedziałam to takim tonem, jakbym chciała się z nim drażnić, ale tak naprawdę rzeczywiście wydawało mi się, że to ładnie z jej strony. Moja matka nigdy nie sprawdzała, co się ze mną dzieje.

Alec wskazał ruchem głowy nadjeżdżającego ku nam czerwonego pipera.

- Raczej chodzi o to, żeby skontrolować, czy Grayson dobrze się sprawuje. Bo coś z nim jest nie w porządku.

- Jasne, to zrozumiałe - powiedziałam. - Tak wiele przeszliście w ostatnim czasie.

Alec wciągnął dym i wypuścił go nosem.

- Tak. Umarł tata i umarł Jake. Tylko że, ja jestem tą samą osobą co w zeszłym roku. A Grayson nie. Kiedy byliśmy mali, chodził na terapię. Psycholog nauczył go, jak panować nad sobą, nad odruchami. Technika polega na tym, żeby zaciskać pięść, z całej siły, i w ten sposób powstrzymać się od zrobienia czy powiedzenia czegoś, czego potem człowiek by żałował. O, tak. - Zacisnął pięść tak mocno, że aż pobieliała. Tak właśnie, jak robił to Grayson. - Mama i tata kazali mu to robić przy stole, kiedy wtrącał się do rozmowy

albo próbował zgarnąć wszystkie bułki. Nigdy, przenigdy tego nie robił, jeśli mu nie kazali. A teraz, dziewięć lat później, zauważyłaś, jak często to robi?

Ostatnie słowa wykrzyczał, bo Grayson zaparkował maszynę obok naszych samolotów. Potem wyłączył silnik. Grayson wyskoczył z kokpitu i szedł w naszą stronę.

- Rzuć to świństwo - odezwał się do Aleca, zabrzmiało to zupełnie jak słowa pana Halla. Nie jak naśladownictwo pana Halla, tylko jakby powiedział to pan Hall we własnej osobie, z politowaniem i irytacją w głosie.

- Pieprzony hipokryto - odparował Alec. Ostre słowa, ale wypowiedziane łagodnym tonem. Skiepował papierosa na asfalcie i wstał. Niedopałek wrzucił do kosza na śmieci stojącego przy rogu hangaru, potem wrócił do mnie. - Do zobaczenia.

Zrobiliśmy zółwika, po czym ruszył truchtem do żółtego pipera, nie odzywając się więcej do Graysona ani słowem. Teraz Grayson usiadł obok mnie.

- Ty chyba nie palisz, co? - burknął.

- Już nie. Rzuciłam. Za sprawą twojego ojca.

- Poważnie? - Grayson chyba się zdziwił. - Dlaczego?

Alec odpalił silnik. Odczekałam, aż zakręci i przekołuje nieco dalej, żeby nie przekrzykiwać motoru, nim wyjaśniłam:

- Twój ojciec powiedział, że rzucenie fajek zajęło mu trzydzieści lat, więc chce mi oszczędzić tego problemu. To było na samym początku, kiedy zgłosiłam się, żeby pobierać u niego lekcje. Powiedziałam, że nie może mi rozkazywać, bo płacę za lekcje, a on powiedział, że jeżeli nie rzucę palenia, to nie wsiądę do jego samolotu.

- Mogłaś tylko udawać, że rzuciłaś - zauważył trzeźwo Grayson.

- Wyczułby smród - odparłam. - Mam sporo włosów, a włosy łatwo przesiakają fajkami.

Dla podkreślenia tych słów przesunęłam dłonią przez moje na powrót już kręcone kudły. Grayson nie uwierzyłby, gdybym po-

wiedziała mu prawdę, że rzuciłam palenie dlatego, bo obiecałam to panu Hallowi i po prostu dotrzymałam słowa.

- Nie ciągnie cię do palenia? - zainteresował się Grayson.

- Nie. Czasem mi się wydaje, że mam ochotę, więc zapalam papierosa, ale ostatnio zdarzyło mi się dopalić do końca ponad trzy lata temu. Kiedy teraz siedziałam obok Aleca i on palił, to trochę mnie ciągnęło, ale nie na tyle, żeby zapalić. - Zdałam sobie sprawę, że Grayson nie bez powodu tak mnie wypytuje, więc zapytałam: -A ty palisz?

- I tak, i nie. - Wciągnął powietrze przez nos. - Jestem poniekąd palaczem niepalącym.

- A kiedy rzuciłeś?

- W sobotę.

- Rany! - zawołałam. - Teraz rozumiem, dlaczego przez cały czas tak cię nosi.

Maleńki z tej odległości samolocik Aleca właśnie wystartował. Molly straciła panowanie nad banerem, biegła za nim przez trawę. Wiatr stawał się coraz silniejszy. Zapowiadał zbliżającą się, choć jeszcze daleką burzę.

Po dłuższej chwili Grayson podjął:

- Chyba obaj zaczęliśmy palić z powodu stresu i już jakoś tak zostało. Umówiliśmy się, że rzucimy, między innymi dlatego, że te trzydzieści lat palenia przyczyniło się do śmierci ojca. Alecowi idzie trudniej niż mnie.

- Dziwne - stwierdziłam. - Raczej tobie powinno być trudniej.

- Dlaczego? - spytał bezbarwnym tonem.

- Alec twierdzi, że coś z tobą jest nie tak. Że się zmieniłeś. Znów rozległ się odgłos uruchomionego silnika. To Admirał przygotowywał się do popołudniowego lotu.

- Zmieniłem się tego dnia, kiedy miałem tę kraksę przy lądowaniu. W grudniu zeszłego roku. Przedtem nigdy się nie bałem. Nigdy. A od tamtego czasu ciągle się boję.

Jego głos zabrzmiał tak wyjątkowo poważnie, że aż odwróciłam się w jego stronę.

Nadal nie patrzył na mnie, mówił dalej:

- Teraz rozumiem kwestię przyczyny i skutku. Zanim to zrozumiałem, życie było fajniejsze, ale tego nie da się już cofnąć.

Na odległym końcu pasa startowego Admirał skończył rozruch silników. Ruszył do przodu, przyspieszył i wzbił się w powietrze, najpierw leciał w naszą stronę, a potem przechylił się na skrzydło i oddalił się w kierunku słońca.

- Natomiast z Alekiem też coś jest nie tak - stwierdził Grayson. - Cały ten biznes ja mam na głowie. I to normalne, że on sobie odpuszcza takie sprawy, ale nienormalne, że ma do mnie zaufanie.

W jego kieszeni zadzwonił telefon. Wyciągnął go, spojrział na ekran i odebrał.

- Halo, to ja, twój ulubiony syn. Czym mogę służyć? Bezbłędna imitacja głosu Aleca. Te same słowa, ten sam żartobliwy ton.

Chciałam usłyszeć tę rozmowę, więc nie ruszyłam się z miejsca, chociaż kiedy matka dzwoniła do Aleca, przynajmniej dałam do zrozumienia, że mogę sobie pójść.

Teraz Grayson mówił zwyczajnym głosem. Raczej jak w radiu, a nie przez radio jak pilot, głosem niezbyt wysokim, niezbyt głębokim, sympatycznie, może z leciutką domieszką ironii, wczekującym.

- Wszystko idzie świetnie - mówił. Nie miał papierosa, którym mógłby zająć drugą rękę tak jak Alec, ale słyszałam, że za to bawi się kamykiem, stuka nim o asfalt. - Nie, z tym nie było żadnego problemu, bo wszystko z góry rozplanowałam. Pamiętasz?

Kamyk stukał szybciej, kiedy mówiła coś, czego nie chciał słyszeć. Wreszcie udało mu się dojść do głosu. Znowu mówił jak Alec:

- Mamo. Mamo. Mamo. Mamo. Biznes kręci się tak samo jak za czasów ojca.

Popatrzyłam na niego z niedowierzaniem - zanim zdałam sobie sprawę, co robię.

Odwrócił wzrok. Odchylił się do tyłu, rzucił kamyk, którym przedtem się bawił. Kamyk poleciał daleko: zatoczył łuk, odbił się od asfaltu, poturlał się i gdzieś zniknął.

- W porządku - mówił Grayson. - Też cię całuję. Pa. - Gdy tylko się rozłączył, odwrócił głowę w moją stronę i oświadczył gniewnie: - Oczywiście, że biznes kręci się tak samo jak za czasów ojca, bo kiedy ojciec nim kierował, wcale nie wszystko szło tak gładko.

Pewnie znowu podejrzewał, że odgadłam jego tajemnicę, podsłuchując rozmowę z matką. Nie, nie odgadłam. Zrozumiałam tylko tyle, że czymś bardzo się niepokoi. Ale czym? Nie miałam pojęcia.

- Ja nic nie mówiłam. - Wstałam, żeby pójść do hangaru i napić się czegoś przed moim ostatnim lotem tego dnia. - A tak przy okazji, dzięki za to, że mnie dokarmiasz. Dzisiaj, wczoraj... - urwałam na chwilę. - I w sobotę wieczorem.

Wzruszył ramionami.

- Ja tylko robię to, co na moim miejscu robiłby ojciec.

- Dokarmił swoich pilotów?

- Owszem, bo wiecznie byli na kacu.

Ani Alec, ani ja nie mieliśmy kaca. Sam Grayson we własnej osobie o to zadbał. Po prostu zaczął pilnować, żebym nie chodziła głodna po tym, jak zajrzał do mojej pustej lodówki. Nie chciało mi się z nim o tym gadać, tak samo zresztą jak i o tym, że nie umiem prowadzić samochodu. Ale i nie chciałam, żeby myślał, że jestem naiwna. Już miałam mu powiedzieć, że wiem, dlaczego mnie dokarmia, kiedy przechylił głowę na bok, jasne włosy wymykające się spod kowbojskiego kapelusza dotknęły jego ramienia.

- Wczoraj wieczorem wyglądałaś naprawdę pięknie. Wolę, kiedy masz kręcone włosy, tak jak teraz, ale wczoraj też ładnie wyglądały.

- Ha, ha - odpowiedziałam.

- I strasznie seksownie wyglądasz, kiedy tańczysz. Oparłam dłonie o biodra. Pewnie pomyślał, że próbuję wyglądać seksowniej, więc natychmiast opuściłam ręce.

- Już ci mówiłam wczoraj. Wystarczy, że zmuszasz mnie do flirtowania z Alekiem. Nie masz prawa mnie obrażać.

Popatrzył na mnie, nie rozumiejąc.

- Wcale cię nie obrażam. Co w tym obraźliwego?

- Nabijasz się ze mnie - powiedziałam, chociaż właściwie nie byłam tego całkiem pewna.

- Wcale się nie nabijam.

- W każdym razie nie masz prawa zmuszać mnie do flirtowania z Alekiem, a potem mówić mi komplementy.

- To nie żadne komplementy, tylko prawda. Pięknie wczoraj wyglądałaś, a zwłaszcza jak tańczyłaś.

Tak to się właśnie zaczęło kilka tygodni wcześniej z Markiem. W biurze lotniska rozmawialiśmy o pracy dla jego wuja, aż tu nagle okazało się, że facet chce się ze mną umówić.

Tyle że Mark, jaki był, taki był, ale mnie nie szantażował.

A kiedy Mark powiedział mi, że jestem piękna, zrobiło mi się przyjemnie. Pochlebilo mi to, ale nie poczułam takiego dreszczu rozkoszy przechodzącego przez ciało, nie zaczerwieniłam się, nie poczułam mrowienia na skórze. Takiego mrowienia jak od słońca, kiedy człowiek zbyt długo się opala. Do Marka nie ciągnęło mnie tak jak do Graysona. I nie czułam się tak głupio.

- Próbujesz mnie podrywać? - spytałam, nie owijając w bawełnę.

Opuścił ciemne okulary wzdłuż nosa i spojrzał znad nich wielkimi, szarymi oczami.

- Z twojej reakcji wnioskuję, że raczej nie powinienem.

- Nie możesz mnie podrywać i jednocześnie zmuszać, żebym umawiała się z Alekiem.

Znów zasłonił oczy okularami.

- Nie mam wyjścia. Muszę cię zmuszać, żebyś umawiała się z Alekiem.
- W takim razie przestań puszczać do mnie takie teksty.
- W porządku.

Wziął głęboki wdech i uniósł zaciśniętą pięść do ust.

Na lotnisku było całkiem cicho, żadnych samolotów, żadnych odgłosów ruchu od strony miasta, tylko brzęczenie owadów w wysokiej trawie.

Wreszcie odezwałam się:

- Oddychaj.

Wypuścił wreszcie powietrze z płuc, zabrzmiało to jak długie westchnienie, jego szerokie ramiona skuliły się nieco.

- Wiem, że nie jest ci łatwo - powiedziałam. Skinął głową, patrząc na niebo.

- Przykro mi - dodałam i podeszłam do niego, dwa kroki, po czym położyłam dłoń na jego ramieniu. Nie wzdrygnął się i nie odepchnął mnie, więc potarłam jego ramię, żeby go podnieść na duchu. To znaczy miało go to podnieść na duchu, ale nie mogłam nie zwrócić uwagi na to, jakie twarde są jego mięśnie i na to, że zrobiła mu się gęsia skórka.

Nie mogłam się zorientować w jego zamiarach. Ale jednocześnie wątpiłam, czy udzieliłby mi szczerzej odpowiedzi, gdybym go o to zapytała. Pewnie sam nie za bardzo wiedział.

Tymczasem jednak właśnie miałam wystartować, a w kokpicie nie ma miejsca na dezorientację. Cofnęłam dłoń, zgarnęłam z hangaru picie i poszłam do pomarańczowego pipera. Grayson siedział i gapił się aż do mojego startu.

Tym razem nie fatygowałam się, żeby stanąć na kiblu i sprawdzić w lustrze nad zlewem, jak się prezentuję. Moje współczucie wobec Graysona ulotniło się. Teraz byłam na niego wkurzona podwójnie - za to, że się do mnie dowalał, i za to, że zmuszał mnie do randkowania z bratem. Alec też mnie wkurzał, bo dawał sobą manipulować. I Molly, bo uparła się, żeby zawlec mnie na tę imprezę. Poza tym pokazałam się już w mojej jedynej wyjściowej kiece, a potem ją wyprałam i jeszcze nie wyschła. Zresztą zdawałam sobie sprawę, że cokolwiek na siebie włożę, nie będzie to odpowiednie. Postanowiłam, że skoro Molly zmusza mnie do udziału w melanzu, na którym laski będą wyzywać mnie od najgorszych, a Grayson będzie mnie w taki sposób traktować, to ubiorę się stosownie do swojej wymuszonej roli.

Wybrałam parę szortów, które były za małe już parę lat wcześniej, a ponieważ przez ten czas trochę podrosłam, teraz były raczej obsceniczne. Molly, która miała niezłe wyczucie stylu (pomijając kwestie błyszczków i brokatu), na pewno od razu by mi powiedziała, że jeżeli tak radykalnie pokazuję nogi, góra powinna być skromniejsza, żeby jednak za bardzo nie przeginać. A ja właśnie postanowiłam przegiąć i zdecydowałam się na kusą bluzeczkę z dzianiny. Zajrzałam do nieszczęsnej garderoby mojej matki, żeby uzupełnić ten strój parą butów na obcasach.

Tym razem nie czekałam na chłopców przed przyczepą. Nasłuchiwałam, a kiedy nadjechał samochód Aleca, urządziłam entree

w hollywoodzkim stylu, schodząc po schodach (ustawionych z betonowych bloczków). Próbowałam zorientować się, jakie zrobiłam na nich wrażenie. Efekt chyba był, bo obaj gapili się na mnie z rozdziawionymi ustami. Alec powiedział coś, nie spuszczając ze mnie wzroku. Grayson mu odpowiedział. Wsiadł, zwalniając dla mnie miejsce obok kierowcy i przesiadł się do tyłu. Normalnie znów zająłby się swoim telefonem, a tymczasem teraz patrzył na mnie przez cały czas, aż wsiadłam do samochodu. Kiedy umościłam się w fotelu, szorty przesunęły się jeszcze wyżej. Proszę bardzo, służę uprzejmie.

Tak byłam zaabsorbowana moim wkurzeniem na wszystkich, że nawet nie przemyślałam porządnie planów na ten wieczór. Dopiero kiedy z chłopakami weszliśmy do kafejki, zrobiło mi się głupio. Mama Molly i jej ojciec wyściskali mnie tak samo serdecznie jak zawsze. Sądząc po ich reakcji, równie dobrze mogłabym pojawić się w piżamce z flaneli. Ale i tak czułam się nieswojo. Prawie tak, jakbym wystroiła się w podobny sposób na lekcję u pana Halla, czego nigdy, przenigdy nie robiłam.

No i potem, kiedy Molly pojawiła się w knajpce, roześmiała się w głos.

- Jezu Chryste, dziewczyno, ty chyba naprawdę nie chcesz iść na tę imprezę.

- Co masz na myśli? - spytał Grayson.

Obawiałam się, że wyskoczy z czymś w rodzaju „lotniskowej kurwy”, ale odpuściła, zaczęła wypytywać wszystkich, co chcą na kolację. A ja byłam zadowolona, bo przynajmniej do niej dotarło, co miałam na myśli. Skoro tak się zawzięła, żeby zabrać mnie na party do swoich bogatych koleżanek, to już ja się postaram, żeby pożałowała tego pomysłu.

A póki co raczyliśmy się organicznym jedzeniem dla smakoszy, zawsze smaczniejszym niżby się wydawało, sądząc tylko po nazwie. Siedzieliśmy na tarasie, wiał wiatr od oceanu. Taras był raczej pusty, bo większość turystów kolację już miała za sobą. Gdybyśmy

znajdowali się w slumsowej dzielnicy miasta, plażowiczów byłoby wciąż pełno, wielu z nich zataczałoby się, inni byliby spaleni słońcem w stopniu niemal wymagającym hospitalizacji. W tej dzielnicy wyciętej z żurnala takie rzeczy się nie zdarzały. Po plaży łąziły tylko ptaki, jakiś dzieciak ganiał za nimi. Matka zerkała, cały czas w pobliżu, ale bez napięcia, bo przecież nie musiała się obawiać, że mały znajdzie peta i weźmie go do buzi.

Z początku odgłos samolotu trudno było odróżnić od narastającego i zamierającego na wietrze szumu fal. Potem jednak dudnienie silnika stało się głośniejsze. Rozpoznałam nad horyzontem sylwetkę super herculesa Straży Przybrzeżnej z bazy w Karolinie Północnej. Przelatywał już wcześniej, kiedy byłam w powietrzu. Zasygnalizowałam swoją obecność przez radio, bo to piekielnie szybka maszyna, a ja wcale nie życzyłam sobie, żeby na mnie wpadła, czy żeby jej śmigła zaplątały się w mój baner.

Teraz hercules zbliżał się do nas, zmaterializował się z niebytu. Klasyczna sylwetka, w pełnej krasie: pomarańczowo-białe, z czterema silnikami, wielkim statecznikiem. Leciał tak nisko nad plażą, że przy swojej rozpiętości skrzydeł przypominał unoszący się nad powierzchnią naszej planety pojazd kosmitów, coś, co przy użyciu dostępnej ludziom technologii nie miało prawa latać. Gdy przelatywał nad nami, zasłoniłam uszy dłońmi. Minął nas, odwróciłam się, żeby patrzeć za nim. Zniknął zaskakująco szybko, zasłonił go dach jakiejś rezydencji w miejscu, gdzie plaża zakreślała łagodnym łukiem. Jeszcze przez chwilę było go słychać.

Trochę rozczarowana, że już go nie widać, odwróciłam się z powrotem do stołu. W tym samym czasie odwracał się Alec, a Grayson patrzył jeszcze w miejsce, gdzie maszyna znikła z naszego pola widzenia. Molly zajęta była posiłkiem, pałaszowała sałatkę, wcale nie zdając sobie sprawy z czegoś, co nas tak bardzo zainteresowało.

Przypomniało mi się, co powiedział pan Hall, kiedy pierwszy raz poprosiłam go o lekcję. To o dzieciakach, które przyglądają się samo

lotom i których przeznaczeniem było zostać lotnikami. I pozazdrościłam Molly. Słyszała samolot i myślała sobie „o, samolot”, a potem mogła spokojnie jeść, zapomnieć o nieistotnym incydencie, zamiast rozglądać się gorączkowo dookoła, żeby zobaczyć, co to leci. Nie dręczył jej pociąg do życia będącego poza jej zasięgiem.

Ale zazdrościć czegokolwiek Molly, to nie był dla mnie dobry pomysł. Nie zamierzałam poddać się temu uczuciu. Zamierzałam odezwać się do Aleca, żeby zmienić temat, ale Molly mnie uprzedziła.

- A co sprawiło, że chciałeś zostać lotnikiem? - spytała, patrząc na Graysona. Czyli jednak zauważyła, jak patrzyliśmy na samolot.

Grayson spoglądał na nią przez chwilę, jakby nie od razu zorientował się, że ktoś do niego mówi. Nie należało tego traktować jako pytania osobistego i Molly wcale nie zachowała się niedyskretnie, zadając to pytanie, ale Grayson potraktował je osobiście.

Odpowiedział po chwili:

- Bo latanie jest dokładnie tym, co uwielbiam robić. Odłot, dosłownie i w przenośni.

- Czyli uzależnienie od adrenaliny - wtrącił Alec, tłumacząc Molly słowa Graysona.

Grayson mówił dalej, nie zwracając na niego uwagi.

- Latanie jest czynnością absolutnie bezpieczną, o ile wszystko robi się tak, jak należy. Ale wystarczy popełnić jeden błąd, żeby zginąć. Tymczasem ja w życiu popełniłem wiele błędów...

Alec zaśmiał się.

- ...Więc nie mogłem uwierzyć, że ojciec mi na to pozwoli. A kiedy jednak się zgodził, poczułem się, jakbym złapał Pana Boga za nogi. - Mówiąc to, Grayson znów popatrzył w dal, tam gdzie zniknął hercules. Potem znów spojrzął na Molly. - I dalej tak się czuję.

Skinęła głową i zwróciła się w stronę Aleca.

- Ary?

Alec wzruszył ramionami.

- Przesiąkłem tą atmosferą. W domu zawsze była mowa o tym, że ojciec lata, albo że Jake chce latać. A my z Graysonem zawsze byliśmy wpatrzeni w Jakea. Chcieliśmy robić to co on i tłukliśmy się o to, który zrobi to pierwszy.

Z tego wynikało, że Alec bardziej niż Grayson chciał naśladować Jakea. Popatrzyłam na Graysona, żeby przekonać się, jak zareaguje na słowa brata, ale Grayson znów patrzył w niebo.

- Hm, to brzmi tak, jakbyś w rzeczywistości wcale nie marzył o lataniu - zauważyła Molly. - To znaczy, jakbyś w to wsiąkł, bo tak się złożyło. Gdyby złożyło się inaczej, wsiąkłbyś w coś innego.

Alec zmarszczył czoło.

- Tak jest chyba z każdym rodzinnym biznesem, nie? Chodzi mi o to, że jeżeli ktoś odziedziczy fabrykę butów, wtedy mówi sobie „tu jest moje miejsce, tę branżę znam i czuję, i w tym jestem dobry”. A może to po prostu łut szczęścia, jak wygrana na loterii? Ale nie potrafię sobie wyobrazić, żebym mógł robić coś innego. -Odwrócił się w moją stronę. - A ty? Dlaczego ty zaczęłaś latać?

Nagły powiew wiatru porwał serwetki z ekologicznego papieru ułożone na stole. Przycisnęłam je ręką, żeby nie poleciały przez balustradę tarasu i nie zaśmieciły plaży. W tej dzielnicy dbało się o takie rzeczy

Zastanawiałam się, czego właściwie Alec chciałby się o mnie dowiedzieć. Molly spytała Graysona, dlaczego chciał zostać pilotem. Potem spytała Aleca o to samo. Jak dotąd miałam nadzieję, że zostanę zwolniona z odpowiedzi.

- Raczej nie z powodów rodzinnych - podjął temat Alec - ale może z powodu miejsca zamieszkania? Mieszkasz blisko lotniska, więc po prostu tak było wygodnie? Podobnie, jak w moim przypadku.

- Dla mnie to nie jest kwestia wygody. - Starłam się, żeby w moim głosie nie zabrzmiała gorycz. Właśnie spotykałam się z Alekiem, tu i teraz, i właśnie dlatego, że tak bardzo chciałam latać. Trudno nazwać to wygodną sytuacją.

- A więc co? - spytała Molly.

- Owszem, po raz pierwszy na lotnisko trafiłam dlatego, że tak było wygodnie - przyznałam. - Znalazła się robota, do której mogłam chodzić na piechotę z miejsca, w którym mieszkam. Ciekawość skłoniła mnie do tego, żeby wziąć pierwszą lekcję. A potem wpadłam po uszy.

- Ale dlaczego, jak? - Alec wyraźnie był szczerze zaciekawiony. Popatrzyłam prosto w jego błękitne oczy - właściwie niechcący, naprawdę. Przyzwyczyłam się patrzeć raczej na Graysona i nie widzieć niczego poza lotniczymi ciemnymi okularami, a moje oczy kryły się za moimi szklami, więc nie wiedział albo nie był pewien, czy na niego patrzę. Można tak robić, kiedy się dla kogoś pracuje, albo kiedy jedna osoba szantażuje drugą. Ale dwoje ludzi nie może sobie na to pozwolić, kiedy są na randce. A ja i Alec mieliśmy przecież stać się parą, więc raczej należało patrzeć sobie w oczy i to świadomie, a nie przypadkiem.

Spojrzałam i zobaczyłam w jego oczach zupełnie niewinne wyczekiwanie. Pytał, bo chciał wiedzieć i czekał na odpowiedź. To normalne, że ludzie rozmawiają ze sobą i dowiadują się czegoś o sobie wzajemnie. Normalne, zwłaszcza w naszym wieku.

- Bo wtedy po raz pierwszy w życiu poczułam, że mam nad czymś kontrolę - odpowiedziałam i umilkłam, jak gdybym spodziewała się, że z tego stwierdzenia wyniknie dla niego jakiś głęboki sens.

Nic z tego. Tylko skinął głową, czekając, co powiem dalej. Jednak w szczerym spojrzeniu jego błękitnych oczu pojawił się cień niepokoju. Owszem, na randce można dzielić się głębokimi przemyśleniami, ale wszystko ma swoje granice. Bez przesady, nie każdy temat pasuje do kanapek.

Ale już nie mogłam się powstrzymać. Właściwie nigdy przedtem nad tym się nie zastanawiałam, więc mówiąc o lataniu, dowiadywałam się jednocześnie czegoś o samej sobie.

- Nagle zobaczyłam - mówiłam dalej. - Po raz pierwszy zobaczyłam coś, czego większość ludzi nigdy nie widzi. Zobaczyłam całe miasto i zorientowałam się, jak ja sama mam się do tego miasta. Na ile trzeba się oddalić, żeby się z niego wydostać. I sam ten widok to już był odlot. Dosłownie i w przenośni. A do tego pierwszego lotu nie zdawałam sobie sprawy, jakie parszywe było moje życie, bo po prostu nie miałam z czym go porównać.

Zakończyłam cienkim głosem i z tego ktoś mógłby wywnioskować, jaka jestem zdesperowana i jak strasznie się boję, że nigdy więcej nie polecę.

Odnalazłam widelec i dziobnęłam kilka razy sałatkę. Nie podnosząc wzroku, spytałam:

- A ty, Molly? Dlaczego tak uwielbiasz latać?

Obaj chłopcy roześmieli się. Dzięki Bogu. Żenada zażegnana.

- Kiedy siedzę w samolocie, zawsze chce mi się puścić pawia - wyznała Molly.

- A co mówi twoja mama? - Alec nadal mnie wypytywał. - Czy jest dumna z córki, która ma licencję pilota?

Przeżułam kawałek liścia sałaty i połknęłam.

- Ona nie wie, że jestem pilotem. Blond brwi Aleca poruszyły się.

- Jak to możliwe, że nie wie?

- Rzadko jest w domu - odpowiedziałam na tyle zwięźle, żeby pozwolić mu wyciągnąć własne wnioski. Może wyjeżdża w interesach. Ha! A może opiekuje się chorą przyjaciółką. Chciałam uniknąć dalszych wyjaśnień, miałam nadzieję, że na tym Alec poprzestanie.

Ale Molly nie zamierzała tak zostawić sprawy. Musiała podjąć temat.

- Przyjaźnimy się, odkąd miałyśmy po szesnaście lat, a ja nigdy nie widziałam jej matki.

- Poważnie? - Alec bardzo się zdziwił. - Jak to możliwe?

- Jej naprawdę nigdy nie ma w domu - odpowiedziała Molly.

- No nie, czasami jest - sprostowałam. Nie wiem, co mnie naszło, żeby nagle bronić mojej matki. Kiedy Molly popatrzyła na mnie z powątpiewaniem, dodałam: - Jasne, nie tak często, ale to moja wina. Kiedyś zabierała mnie ze sobą, kiedy odwiedzała swoich facetów, albo zapraszała jednego czy drugiego, żeby zamieszkał z nami. Ale kiedy miałam dziesięć lat, mieszkaliśmy w pobliżu bazy wojskowej, a ona była z kolesiem, który walczył w Iraku i miał problemy. Bił ją. I bił też swojego piętnastoletniego syna, który mieszkał razem z nim. Któregoś dnia jego syn uderzył mnie, a wtedy...

Przerwałam. Gapili się na mnie bez słowa, wszyscy troje. Tak to już jest. Kto podczas kolacji zadaje niedyskretne pytania, może usłyszeć coś, czego nie chciałby usłyszeć.

- Spoko, nie było tak źle - wyjaśniłam. - Tylko powiedziałam matce, że nie chcę już więcej wozić się z nią do jej narzeczonych. Mogę sobie zostać sama w domu, a ona niech jeździ, gdzie chce. Kiedy to mówiłam, zdawałam sobie sprawę, że często jej nie będzie. Ale nie miałam pojęcia, że nie będzie jej prawie nigdy.

Złamałam w palcach ziemniaczanego chipsa. Nie zwracając uwagi na to, że ciągle się na mnie patrzają, spojrzałam w stronę falującego morza.

W telewizji powiedzieli, że kiedy ktoś się czepia, trzeba go zignorować, to w końcu zostawi człowieka w spokoju. Czasem to działa, a czasem nie. I tak samo można by się spodziewać, że chłopcy i dziewczynki z dobrych domów przestaną nagabywać swoją przyjaciółkę-nędzarke, która nie zamierza rozwodzić się na temat swojego życia rodzinnego. Jednak nie, im bardziej się wykrecałam, tym bardziej stawali się dociekliwi.

- A co z twoimi dziadkami? - spytał Alec.

- A co ma być? - spytałam. - Chodzi o to, dlaczego z nimi nie zamieszkałam?

Przytaknął ruchem głowy, ale otworzył oczy szerzej. Chyba już miał dosyć, wyglądało, jakby zaraz miał powiedzieć, że jednak nie chce wiedzieć za dużo.

Nie bez pewnej satysfakcji wyjaśniłam:

- Moi dziadkowie wywalili mamę na bruk, bo zaszła w ciążę, kiedy miała piętnaście lat. Musiała rzucić szkołę i znaleźć sobie pracę. Czasami wydaje mi się, że to doświadczenie miało na nią niekorzystny wpływ. Była zdana wyłącznie na siebie i pewnie dlatego od tej pory unika pracy jak ognia.

- Ale to było osiemnaście lat temu - wtrąciła Molly. Uraziło mnie, że powiedziała to takim tonem. Jakim prawem

córeczka bogatych rodziców kwestionuje moją historię?

- I co z tego? - spytałam.

- To, że twoja mama powinna już sobie z tym poradzić - stwierdziła Molly.

- Niektórzy ludzie mają problemy - odpowiedziałam - i kiedy wydarzy się coś paskudnego, nie potrafią się z tego otrząsnąć.

Kątem oka zauważyłam, że Grayson się poruszył. Nic nie mówił, więc prawie zapomniałam o jego obecności i o tym, że przysłuchuje się tej upokarzającej dla mnie rozmowie. Odwróciłam się więc do niego, żeby dać mu do zrozumienia, że ma się ode mnie odpiardolić.

Ale on patrzył na mnie, jakby był w szoku - nie w takim szoku jak Alec, którego wyraźnie ogarnęła zgroza, ale jednak w szoku, jakby doznał jakiegoś objawienia.

- To tłumaczy, dlaczego nie może znaleźć pracy - odezwała się Molly. - A jak mają się problemy twojej matki do faktu, że ciągle zostawia cię samą?

Wciąż byłam tak zaskoczona reakcją Graysona, że dopiero po sekundzie zdałam sobie sprawę, jak bardzo Molly obraziła moją matkę. Duma wzięła górę i odparowałam:

- Skończyłam osiemnaście lat. Nie ma powodu, żeby matka mi matkowała. Czegoś się jej tak uczepliła?

- Bo ludzie zasługują na to, żeby traktować ich z szacunkiem - oświadczyła wtedy Molly. - Dziećmi należy się opiekować. Przyjaciele i krewni nie powinni się nawzajem okłamywać. I kiedy widzę, że coś takiego się dzieje, nazywam rzecz po imieniu.

Twarz płonęła mi tak, że aż zerknęłam na słońce chylące się ku zachodowi - ale nie, to nie od niego zrobiło mi się tak gorąco. Molly mówiła tak naprawdę o szantażu ze strony Graysona, o tym, że zmuszał mnie do flirtowania z Alekiem. Tylko po co jej to było? Tamci nie wiedzieli, o co chodzi, a mnie przecież nie musiała przekonywać. A poza tym wiedziała, że Grayson ma mnie na celowniku. Gdyby Alec za jej sprawą zorientował się, że został zmanipulowany, albo nawet gdyby Grayson dowiedział się, że powiedziałam jej o tym wszystkim, mógłby się wściec, pokazać sfałszowany podpis mojej matce i wszystkim na lotnisku.

Jednak nie odważyłam się próbować przekazać moich obaw Molly za pomocą spojrzenia. Zerknęłam za to z ukosa na Graysona. Wciąż przyglądał mi się, bez ruchu, jakby widział mnie pierwszy raz w życiu. Niemal odetchnęłam z ulgą, kiedy Alec zaserwował kolejne pytanie.

- Nigdy nie próbowałaś skontaktować się z dziadkami? Może zmienili się od tego czasu.

No, jasne. Na pewno poświęcili się działalności dobroczynnej i chętnie mi coś podarują.

- Skontaktować się z nimi? Ale w jaki sposób? Mieszkają gdzieś w Karolinie Południowej i noszą nazwisko Jones. Jak myślisz, ilu jest Jonesów w tym stanie?

- A dziadkowie z drugiej strony? - spytał.

- Też nigdy ich nie widziałam.

- A twój ojciec? Gdzie jest?

- Nie wiem.

Coś łomotnęło, najwyraźniej Alec został kopnięty pod stołem. Jednak nie skumał sugestii, tylko ciągnął:

- Nie chodzi mi o to, gdzie jest w tej chwili. Tylko w ogóle. Zacerpnęłam tchu. To flirtowanie na siłę stawało się coraz bardziej męczące. Musiałam przemyśleć sprawę, jakoś porządnie wszystko zaplanować i wynaleźć sobie bezmyślną, rozrywkową osobowość, która mogłaby umawiać się z Alekiem, nie narażając się jednocześnie na psychiczne obrażenia. Te wymuszone zeznania dotyczące mojego życia były ponad moje siły, a poza tym nie wchodziły w zakres moich obowiązków. Nie miałam już na to ochoty. Jednak coś musiałam odpowiedzieć:

- Tego też nie wiem. Nie wiem, kim jest mój ojciec.

Ojciec Aleca nie mieszkał z nim od lat, ale Alec go znał. Jego ojciec płacił alimenty i był jego prawnym opiekunem, przynajmniej na papierze. Alec, wychowany w domu na przedmieściu Wilmington, gdzie w każdej sypialni był telewizor, w eleganckiej, czystej dzielnicy, nie potrafił sobie wyobrazić, że ktoś może nie znać własnego ojca.

- Nie chciałem cię urazić - rzekł przeproszającym tonem. - Po prostu chciałem dowiedzieć się o tobie czegoś więcej.

Wyciągnął rękę, żeby dotknąć mojego policzka.

- Nie wiem, czy chciałeś - odparłam.

Jednak jego pytania były wścibskie. A może po prostu tylko tak mi się wydawało i się wściekłam. Tak czy inaczej, miałam tego dosyć. Odruchowo odsunęłam się na ławeczce. Centymetr czy dwa, nie tyle, żeby znaleźć się poza zasięgiem jego ręki, ale jednak nie mógł tego nie zauważyć.

Zrozumiał ten gest od razu. Zdziwiony przechylił głowę i wyraźnie zrobiło mu się przykro. Laska, z którą się umówił, odpycha go, kiedy on chce jej pomóc. To był dla niego naturalny sposób postępowania - pocieszyć nieszczęśliwą dziewczynę. A teraz zorientował się, że ze mną to nie przejdzie. A dla mnie to było strasznie frustrujące, że realne emocje poplątały się z udawanymi.

- No, dobra - powiedział. Poddał się. - Tak naprawdę od samego początku chciałem zapytać cię o coś innego. Mój ojciec zawsze powtarzał, jaki masz silny charakter i jaką silną motywację, żeby zostać pilotem.

- Któregoś dnia, mniej więcej półtora roku temu, zdarzyło mi się usłyszeć twoją rozmowę z Graysonem na temat mojej motywacji. - Chodziło mi o ich dyskusję na temat tego, czy pan Hall mnie posuwa.

Od razu zorientował się, o czym mówię. Zaczerwienił się, ale oczywiście udawał, że nie ma pojęcia. Dokończył:

- Krótko mówiąc, chciałem wiedzieć, skąd bierze się twoja motywacja. Skinęłam głową.

- Z pewnością to nie po matce, bo moja mama to samo dno. Doły społeczne.

- Och... - odezwała się Molly ostrzegawczo. Nie byłam pewna, kogo i przed czym chce przestrzec.

Alec gapił się na mnie przez chwilę, potem bąknął:

- Nic takiego nie mówiłem... Przerwałam mu:

- Istnieje tylko jedno wyjaśnienie. Mianowicie takie, że mój ojciec jest fizykiem atomowym. Albo odziedziczyłam po nim odpowiednie cechy charakteru, albo przypuszczam, że tak jest i to mi daje motywację, żeby wyrwać się z dna i z mojej przyczepy. To przecież niemożliwe, żebym taka była sama z siebie. Żebym sama wpadła pewnego dnia na genialną myśl: „Wcale nie jest tak fajnie trząść się ze strachu w przyczepie, kiedy zapowiadają tornado, i nie mieć samochodu, którym można by odjechać w bezpieczne miejsce, jedno z tych miejsc zalecanych ludziom zamieszkującym takie prowizoryczne schronienia jak moje. Wcale nie jest tak fajnie mieć wiecznie pustą lodówkę i nie mieć samochodu, żeby pojechać po żarcie do sklepu. Chyba się postaram i zdobędę

jakiś fajny zawód". Nie, nie może być, żebym doszła do takiego wniosku samodzielnie.

Zerwał się z miejsca. Drgnęłam, bo ławeczka zaskrzypiała głośno. Nadal był zaczerwieniony, ale czerwień na jego policzkach skurczyła się, przechodząc z zawstydzonego rumieńca w dwa gniewne kółeczka.

- Idę po coś do picia - mruknął. A potem, jakby sobie przypomniał, spojrzał na mnie. - Przynieść ci coś?

Potrząsnęłam głową. Nie zamierzałam się wypierać tego, co dopiero powiedziałam, ale z drugiej strony było mi jednak wstyd.

Wziął swój kubek i przeszedł tarasem, potem przez drzwi do wnętrza kafejki. Znowu zaczęłam dziobać widelcem sałatkę. Dwa dni regularnych posiłków dały o sobie znać. Już nie byłam głodomorem. Ba, nie byłam w stanie przełknąć już ani kęsa. Czekałam na kąśliwy komentarz Molly, tym bardziej kąśliwy, że miał zostać wygłoszony w obecności Graysona.

Ale to, co powiedziała, zaskoczyło mnie.

- Lea, posłuchaj. Alec nie jest taki jak Grayson.

- Och, dzięki - zaprotestował Grayson. - Co chcesz przez to powiedzieć? Co to znaczy, że nie jest taki jak ja? Przecież jestem sympatycznym kolesiem.

Odwróciła się i ujęła twarz Graysona dłońmi. Nigdy bym się na coś takiego wobec Graysona nie odważyła, ale Molly wszystko uchodziło na sucho. Powiedziała mu:

- Wcale nie jesteś sympatycznym kolesiem. Siedź cicho. Odwróciła się znowu do mnie.

- Nie możesz być taka wredna wobec Aleca. Zachowuje się jak dżentelmen i traktuje cię tak, jak sam chciałby być traktowany. Skąd miał wiedzieć, że trafił na takie gniazdo os jak te twoje teksty o tatusiu-fizyku i tak dalej. Cholera jasna.

Odłożyłam widelec.

- I ty to mówisz?

- Ja obserwuję i dostosowuję się - stwierdziła. - Traktuję cię tak, jak chcesz być traktowana, ale w przeciwieństwie do ciebie, potrafię poprawić nastrój. Patrz i ucz się.

Przełożyła długie nogi nad ławką i potupała po drewnianym tarasie za Alekiem.

Już miałam sprawdzić, czy na moim talerzu znajdzie się jeszcze coś, czym można by się pobawić, ale zanim zdążyłam spuścić wzrok, napotkałam spojrzenie Graysona.

- Molly ma rację - powiedział. - Myślałem, że będziesz w tym dobra, ale jesteś beznadziejna, bo jesteś taka drażliwa. Lepiej by to wyszło, gdybym namówił Molly na flirtowanie z Alekiem.

- Skoro uważasz, że Molly jest taka świetna, to może lepiej, żeby to ona była tą dziewczyną, w której podczas wiosennych ferii zakocha się Alec?

Spodziewałam się, że zaraz usłyszę od niego całą listę powodów, dla których to niemożliwe. Tymczasem wcale nie, jakby nawet zastanowił się nad tą sugestią. Zmarszczył brwi. Wypił spory łyk, patrząc na mnie z nad kubeczka. Potem naczynie odstawił, ale dalej na mnie się gapił, jakby zamierzał znaleźć odpowiedź na mojej twarzy.

Wreszcie spytał:

- A gdzie ona idzie do college'u na jesieni?

- SCAD. - Kiedy popatrzył na mnie pytająco, przypomniałam sobie, że SCAD znajduje się o wiele bliżej mojej szkoły niż jego. Może nigdy nie słyszał o tej uczelni, chociaż ludzie z mojej szkoły uważali, że to najbardziej szpanerski dyplom, jaki można zdobyć. -Savannah College of Art and Design.

- W takim razie odpada - powiedział, kręcąc głową. - Z Heaven Beach do Charleston jest dwie i pół godziny drogi. Natomiast Savannah znajduje się trochę bliżej Charleston. A ja potrzebuję, żeby ktoś odciągnął go od Charleston.

Narzucające się następne pytanie brzmiało: „A co takiego straszego może przydarzyć się Alecowi w Charleston?” Tutaj

tkwił klucz do całej zagadki. Tymczasem jako osoba uważająca się za pępek świata dałam wyraz świętemu oburzeniu, pytając:

- A skąd wiesz, że ja nie pójdę gdzieś do college'u?

- Bo nie pójdziesz.

- Niemożliwe! - rozległ się głos Molly. Razem z Alekiem wychodzili właśnie na taras. Roześmiana, oparła się o niego. Kiedy wyszli na zewnątrz, spojrzała w moją stronę i poruszyła brwiami: „Tak się to robi”.

Ach tak? Skoro wszyscy uparli się, żeby pchnąć mnie w ramiona tego nieszczęsnego bezradnego chłopaka, to właśnie ja im pokażę, jak to się robi! Wstałam od stolika i przeszłam tarasem, kołysząc biodrami, w czym pomagały mi szpile. Chociaż Molly wciąż jeszcze go dotykała, położyłam dłoń na jego piersi.

- Alec - wyszeptałam niskim głosem - strasznie cię przepraszam, że byłam taka niemila. Po prostu niechcący dotknąłeś czułego punktu. - Popatrzyłam na niego przez rzęsy.

Kątem oka zauważyłam, że Molly cofnęła rękę. Patrzyła na mnie z podziwem i respektem.

- Och. - Alec, czerwony jak burak, patrzył na mnie wielkimi błękitnymi oczami, oczarowany. Kompletnie zapomniał, że stoi na tarasie restauracji, w ręce trzyma napój, a oprócz nas jest tam jeszcze dwoje ludzi. - Nie, to ja przepraszam. - Spojrzał na mój dekolt.

Pociągnęłam go za rękę w stronę schodów i dalej, do samochodu. Po drodze odwróciłam się i pokazałam Molly język. Patrzyła na nas z otwartymi ustami.

Ale największy triumf tego wieczoru przyprawił mnie o szok, wcale zresztą nie byłam pewna, czy to był aż taki triumf. Bo Grayson też się na nas gapił. Ze zmarszczonymi brwiami. Jego twarz pobladła mimo opalenizny. Wycisnął całą krew z opuszczonej pięści.

Kiedy zjawiliśmy się na imprezie, po moim triumfie pozostało tylko wspomnienie. Wchodziliśmy do rezydencji rodziców Francie Mahoney, a wtedy Molly dopadła Aleca i zaczęła go wypytywać, kogo pamięta ze szkoły. Najwyraźniej uznała, przypuszczalnie zresztą słusznie, że Alec będzie w stanie ich sobie przypomnieć, natomiast Grayson raczej nie, a w każdym razie nie przyzna się do tego.

- Czy ona zna wszystkich w szkole? - spytał mnie półgłosem Grayson, kiedy zostaliśmy nieco w tyle.

- Tak - odpowiedziałam. - Molly jest tak popularna, że nawet nie musi się martwić o to, żeby być popularna. Oprócz niej nigdy nie widziałam żadnej popularnej osoby, która nie starałaby się o to z całych sił. Ale ona jest bogata, bystra i interesująca, a jednocześnie ma to wszystko gdzieś.

- Wygląda na to, że jest ideałem.

- Bo jest - potwierdziłam. - Ja chcę nią być. Nie chcę być taka jak ona, tylko chcę być nią, jak w jakimś horrorze o przyjaciółkach ze szkoły.

Roześmiał się szczerym, wyluzowanym śmiechem, który zdarzał mu się ostatnio tak rzadko.

- Ja nikogo stąd nie znam. Zresztą, kiedy tu mieszkałem, było tak samo.
- A Alec znał wszystkich?
- Owszem - odpowiedział.

Wyszliśmy przez wielkie drzwi frontowe w sam środek imprezy.

Molly natychmiast obskoczyły jej przyjaciółki, krzyczały jedna przez drugą i koniecznie chciały się dowiedzieć, kogo ze sobą przyprowadziła. Przedstawiła im Aleca. Jak to, nie pamiętacie go? Ależ skąd znowu, pewnie, że pamiętały!

A czy pamiętały też Graysona? Może i nie. Ale Grayson zachowywał się grzecznie, więc kilka dziewczyn, które nie zdołały dopchać się do wianuszka otaczającego Aleca, ustawiło się kręgiem wokół Graysona. Przyjaciółki Molly w zasadzie nie zwracały na mnie uwagi, czyli dobrze. Owszem, obrzuciły mnie nieżyczliwym spojrzeniem, ale nie marszczyły nosów i nie ośmieliły się -co gorsze - zmierzyć mnie pogardliwym wzrokiem. Nie przy Molly. Zajął się więc rozmową z Graysonem.

Strasznie chciało mi się czegoś napić. Nie żebym marzyła o tym, żeby się nawalić. Zdecydowanie nie miałam ochoty na kaca następnego dnia. Zwłaszcza, że miałam latać. Pod tym względem Grayson miał rację. Ale skoro zostałam zmuszona do tego, żeby przebywać z tymi ludźmi, wolałabym zgarnąć browar i schować się w kąciku, gdzie pogadałabym sobie z jakimś naprutym okularnikiem, którego ledwo kojarzę z lekcji historii. Na naprutych łatwiej wyrzeć dobre wrażenie. Tymczasem, stałam w grupce z Graysonem, a czasem z Alekiem i słuchałam, co te pijane laski miały im do powiedzenia. Uśmiechałam się od ucha do ucha, żeby nie wyglądało, że jestem nieszczęśliwa.

Minęło w ten sposób kilka lat, aż wreszcie zakradłam się za Molly i szepnęłam jej do ucha, że pójde po coś do picia. Odwodniłam się przez ten dzień podczas długich lotów w skwarze.

- Idziemy? - spytałam, nie bez nadziei.

- Nie, dzięki. Niczego nie potrzebuję - rzuciła w moją stronę i z powrotem zajęła się Alekiem oraz dziewczynami. Alec nawet na mnie nie spojrzał. Grayson owszem, rzucił okiem w moją stronę nad głowami dziewczyn. Pewnie obawiał się, że zaraz się nawalę. Niech się martwi - pomyślałam.

Lawirowałam między ludźmi stojącymi na drodzej podłodze z lakierowanych desek i patrzyłam na siedzących z nogami założonymi na sofę. Niemal już dotarłam do szerokich drzwi, za którymi przypuszczalnie kryła się kuchnia, kiedy dopadła mnie Francie Mahoney we własnej osobie. Była pewnie z pół metra wyższa ode mnie i to pomimo moich obcasów, oczywiście przyprowadziła ze sobą równie wysoką kumpelę. Kiedy chwyciła mnie za ramię i pchnęła, przyszpilając do ściany, musiałam walczyć z pokusą, żeby przemknąć między ich długimi nogami jak królik osaczony przez psy.

- Przyszłaś tu z Alekiem? - spytała Francie. - Z tym fajniejszym? Moje brwi odruchowo poruszyły się, zdziwione, że ktoś może

uważać Aleca za fajniejszego. Chyba jednak rozumiałam, dlaczego tak jej się wydawało. Alec miał twarz anioła. Każda dziewczyna mogłaby uznać, że jest seksowniejszy od Graysona, ale tylko jeżeli nigdy nie widziała, jak Grayson się porusza, jak emanuje od niego energia.

- Tak - odpowiedziałam.

- Ale słyszałam, że chodzisz z Markiem Simonem. Ciekawe, od kogo słyszała. Mark nie zaliczał się do towarzyskiej

elity, a jej towarzystwo nie zadawało się z jego towarzystwem. Oraz wzajemnie.

- Nie - odpowiedziałam.

- Ależ tak - upierała się. - Słyszałam, że wprowadził się do twojej przyczepy i z tobą mieszka.

Uśmiechała się do mnie, widziałam jej wielkie i białe zęby, usta lśniące czerwienią. Ale to był fałszywy uśmiech, a w jej słowach

słyszałam drwinę. Nietrudno było się domyślić, co ją tak strasznie bawiło w tej sytuacji. „Do twojej przyczepy...”.

Dziewczyny takie jak ona sypiają z chłopakami. Na przykład, żeby mieć „to” z głowy. Ale i one, i ich narzeczeni mieszkają sobie grzecznie z mamusią i tatusiem, dopóki nie wylądują w akademiku. No a przede wszystkim dziewczyny takie jak ona nie mieszkają w przyczepach.

W szkole unikałam tych lasek w taki sposób, że przyjeżdżałam najpóźniejszym autobusem, żeby nie pałętać się po korytarzach przed rozpoczęciem lekcji i wracałam możliwie najwcześniejszym, a poza tym nie chodziłam na lunch do stołówki. Co prawda nie zrobiłam tego naumyślnie, ale przez większość szkoły nie odrabiałam lekcji, więc zawsze przydzielano mnie do grup złożonych z głupoli, dzięki czemu szczęśliwie nie miałam do czynienia z tymi dziewczynami, które już zaplanowały sobie całą uniwersytecką przyszłość. Kiedy miałam pecha i natknęłam się na którąś z nich w damskiej ubikacji, udawałam głuchą.

Tylko że w szkole nienawidziły mnie ot, tak sobie, przy okazji, natomiast teraz nie mogły mi odpuścić. Przyszłam w towarzystwie ślicznego blond chłopczyka, który skradł ich serca dawno temu, a potem odjechał w siną dal. I to im się nie podobało.

Oczywiście nie mogłam powiedzieć im prawdy: „tak, wzięłam na chatę Marka Simona, a teraz spotykam się z uosobieniem popularności przybyłym do naszego miasta”. A nawet „tak, zadawałam się z Markiem Simonem, ale teraz go wywaliłam w cholere” brzmiałoby dennie, a gdybym powiedziała „nie twoja sprawa”, oznaczałoby to niechybnie, że w istocie mam coś do ukrycia. Przez krótki moment brałam pod uwagę subtelną odzywkę w rodzaju „odjeb się, głupia kurwo”, ale te laski zaraz by wszystkim rozgadały, jak się do nich odezwałam, nie tłumacząc przy tym wcale, w jaki sposób mnie do tego sprowokowały, więc o ile to w ogóle możliwe, wyszłabym na jeszcze gorszą szumowinę.

Zmrużyłam więc oczy i powiedziałam:

- Nie chciałabym być niegrzeczna, ale co ty jadłaś? Bo coś ci się przylepiło do zęba.

Zamrugła, wyprostowała się i wsadziła wymanikiowany pazur między dwa przednie zęby.

- Pokaż, zobaczę - zaproponowała jej przyjaciółka, która miała na imię Tara, tak mi się przynajmniej wydawało. Historia naszych stosunków sprowadzała się jak dotąd do tego, że kiedyś na WF-ie próbowała podciąć mi nogi za pomocą swojej rakietki tenisowej.

- Sprawdź w lustrze - poradziłam Francie - to wygląda na chrząstkę.

Ruszyłam, teraz mogłam to zrobić, bo skierowała się do łazienki. Musiała podejrzewać, że to ścierna, ale przecież nie mogła brylować na swoim przyjęciu, dopóki tego nie sprawdziła.

- Twoja szminka wygląda jak krew! - zawołała za mną Tara. Odparowałam niezbyt wyrafinowanym porównaniem jej ust do jej cipy. Molly byłaby ze mnie dumna.

- Hej! - zawołała Francie tak głośno, że aż się zatrzymałam, zresztą wszyscy w tym salonie zamarli. - Nie idź do kuchni - powiedziała. - Drinki są tylko dla zaproszonych gości.

Obie zaśmiały się i poszły razem do łazienki.

Stałam, gapiło się na mnie z osiem osób. Nie mogłam już iść do kuchni, bo ktoś z nich mógł przyjaźnić się z Francie albo po prostu okazać się gnojem, który zakabluje, że złamałam jej zakaz. Dopiero by była scena! Nie mogłam też przemknąć chyłkiem z powrotem do Molly. Nie wiedziałam, co robić, więc wyprostowałam się dumnie, a potem zdałam sobie sprawę, że prostuję się dumnie.

Czekało mnie jeszcze tylko sześć tygodni tej szkoły - jeszcze sześć tygodni. Całe sześć tygodni.

A co potem? Jeżeli to ma być najszczęśliwszy okres w moim życiu, jak będzie wyglądać moja przyszłość?

- Rany boskie, coś ty znowu narobiła? - zawołała Molly i chwyciła mnie za ramię. Pociągnęła mnie ze sobą do kuchni. - Nigdzie nie można cię ze sobą zabrać.

Poruszała się po kuchni jak po swojej własnej. Przy zlewie nasypała lodu do plastikowego kubka, potem naląła coli i podała mi naczynie. Wysączyła resztki ze swojego kubka, który ktoś musiał jej przynieść, i ten sam napój zaserwowała samej sobie. Rozejrzała się, pewnie żeby sprawdzić, czy Grayson jej nie widzi, i dołąła sporą dawkę burbona.

- Opowiadaj, jak było - poleciała. - Grayson powiedział mi, że Francie patrzyła na ciebie i zaraz za tobą wyszła. Mówił, że rozegrało się to tak jak na starych westernach.

No, to opowiedziałam jej, co się wydarzyło. Chyba spodziewałam się, że pogratuluje mi ciętej riposty.

Tymczasem ona wzięła się pod boki i stwierdziła:

- Nie rozumiem, czemu się tak przejmujesz. Za dziesięć lat będziesz pilotowała pasażerskie samoloty.

Zupełnie odruchowo wyciągnęłam rękę, żeby zastukać w drewnianą szafkę. Molly ciągnęła:

- A wiesz, co za dziesięć lat będzie robić Francie?

- Będzie kandydatką na prezydenta? Wyciągnęła palec w moją stronę.

- Dobrze! Taką faszyzującą, tępą konserwatystką... Ale nie. Z tą swoją świętoszkowatością i zasobem wredności może skończyć tylko w jeden sposób. Zostanie żoną pastora.

Roześmiałam się.

- Żebyś wiedziała. I to w bardzo dużym kościele - dodała moja przyjaciółka - więc nie wiem, z czego tak rżysz.

Skinęłam głową, jakbym jej uwierzyła, bo Molly nie lubiła słyszeć, że jej nie wierzę.

- Posłuchaj, powinnam stąd spadać. To impreza Francie i nie jestem tu mile widziana.

- Może po prostu wyjdź na zewnątrz? - zaproponowała roztargnionym tonem. Już patrzyła przez moje ramię, pomachała do kogoś i ruszyła w tamtą stronę. Nie wiedziałam, czy chce się mnie w ten sposób pozbyć, bo byłam jej kulą u nogi na tej super imprezie... I czy zdawała sobie sprawę, kto podczas melanzu siedzi na dworze. Otóż samo dno: faceci zaproszeni przez popularne dziewczyny wyłącznie dlatego, że mogą skołować trawę. Może Molly chciała mi powiedzieć, żebym poszła tam, gdzie jest moje miejsce, wśród szumowiny.

Molly zdążyła tymczasem już przełknąć drinka i wyściskać przyjaciółkę. Wyszłam z kuchni bocznymi drzwiami, żeby nie musieć znowu przechodzić przez cały dom i żeby nie natknąć się powtórnie na Francie. Szłam ostrożnie wspaniałym gazonem, sztucznie utrzymywanym za pomocą drogiego systemu zraszania. Grunt był miękki, chyba piaszczysty, w każdym razie kiepski do spacerów w szpilkach. Powinnam patrzeć pod nogi, gdy tak szłam wzdłuż ściany domu, ale zadzierałam głowę, na wypadek, gdyby ktoś mnie obserwował z okna. Burze, które nadchodziły i nadchodziły przez cały dzień, wreszcie jakby miały naprawdę nadejść, zgodnie z oczekiwaniem Graysona. Wicher targał szczytami palm. Wiatr był ciepły, czułam go na gołych nogach i na ramionach. Miałam nadzieję, że skończy się tylko na deszczu, że nie nawiedzi nas tornado, jedno z tych, które przez cały dzień szalały po mapie pogody.

Popatrzyłam na samochody zaparkowane byle jak wzdłuż podjazdu i pod drzewami. Odnalazłam wzrokiem zgrupowanie picku-pów; zapach dymu tytoniowego i gandzi wskazał mi, gdzie znajduje się szumowina. Kilku chłopaków siedzących na skrzyniach samochodów gwizdnęło na mój widok. Obdarzyłam ich promiennym uśmiechem. Kiedy podeszłam bliżej, rozpoznałam Patricka siedzącego na tylnej klapie wozu. Nigdy bym się nie spodziewała, że tak się ucieszę na jego widok. Wreszcie ktoś, z kim można pogadać! Należało tylko mieć nadzieję, że nie ma mi za złe pewnych

sugestii co do puszek piwa i miejsca, gdzie mianowicie miałyby je sobie wsadzić.

Najwyraźniej nie miał pretensji.

- Hej! - zawołał na mój widok. - Super wyglądasz. Suuuper.

- Ha, ha - powiedziałam i podciągnęłam się, żeby usiąść obok niego.

- Splifa? - spytał.

- Nie, dziękuję.

- Fajkę?

- Chętnie - odpowiedziałam z ulgą. Wzięłam papierosa, którego wytrzymał dla mnie z paczki, i poczekałam, aż mi go zapali.

Po pierwszym machu wiedziałam, że nie dopalę go do końca. Zrobiło mi się niedobrze, a poza tym usłyszałam, jak pan Hall opieprza mnie z zaświatów. Przecież mu obiecałam.

- Jesteś najnowsza sensacją - oznajmił Patrick. - Słyszałem, że przyszedł z tym ślicznym chłopcem, Alekiem Hallem.

Poniekąd. Tak jakby.

- Znasz go? - spytałam.

- Grałem z nim w piłkę, ale to było dawno temu - odpowiedział Patrick.

- Nie jest w twoim typie.

- No co ty? - Roześmiałam się. - A kto jest w moim typie?

- Jego brat - powiedział Patrick. - Grayson? Chyba tak. Kiedyś się dosyć przyjaźniliśmy. I ty, i ja mamy to do siebie, że z jakiejś przyczyny lubimy igrać z ogniem.

- Hm.

Trzymałam papierosa tak długo, nie pociągając, że zgasł, a wiatr zdmuchnął stożek popiołu. Wrzuciłam długi niedopalek do kubka, którego Patrick używał w charakterze popielniczki. Od razu pożałowałam, że nie wyrzuciłam peta na podjazd, żeby znaleźli go rodzice Francie. Na pewno interesowali się tym, czy córeczka pali.

- Grayson i Mark są pod pewnymi względami podobni - stwierdził Patrick. - Trochę tak, jakby obu brakowało wyłącznika,

kumasz? Zabawnie jest obserwować, jak ogień się pali, oczywiście dopóki człowiek sam się przy tym nie sparzy.

- Nie uważam, żeby Grayson pod jakimkolwiek względem przypominał Marka - odpowiedziałam i w tej samej chwili zobaczyłam, jak Mark wysiada z szoferki swojego pickupa, a wraz z nim wydobywa się na zewnątrz chmura dymu. Patrick spojrział w tę samą stronę co ja.

- O, jest Mark. Wiesz co? On ciągle mocno przeżywa tę historię z tobą, a kiedy usłyszał, że przyszedłaś z Alekiem... No, wiesz. Może lepiej, żebyś...

A ja już zeskakiwałam z bagażnika, ale obcasy ugrzęzły mi w piachu. To spowolniło moje ruchy. Mark przebył dzielącą nas przestrzeń dwoma susami. Chwycił mnie mocno za ramię, pociągnął za sobą, a potem wepchnął do swojej szoferki.

Ani na chwilę nie przestałam się poruszać. Przesunęłam się na drugą stronę i sięgnęłam, żeby otworzyć drzwi.

Znowu złapał mnie za ramię i pociągnął do siebie, tak żebym nie mogła dosięgnąć klamki.

- Lea, przestań. Ja tylko chcę z tobą porozmawiać.

Przestałam się wyrywać, bo właśnie wtedy najbardziej mnie bolało. Bardziej byłam na niego wściekła, że tak mną pomiata, niż bałam się, co może mi zrobić. Nigdy mnie nie skrzywdził, tylko czasem właśnie tak mnie łapał, nigdy też nie zmusił mnie do niczego, czego nie chciałam zrobić. Widziałam setki razy, jak faceci traktują moją matkę o wiele gorzej i dobrze pamiętałam, co robiła w takiej sytuacji.

Dalej się z nimi spotykała, jakby nigdy nic - oto, co wtedy robiła.

- Posłuchaj mnie. - Mark położył dłoń na moim kolanie i przesunął nią wzdłuż uda, aż do szortów. - Dużo myślałem o tym, co mi powiedziałaś. Teraz rozumiem, że miałaś rację, jeżeli chodzi o Brendę. Zerwałem z nią i jeżeli pozwolisz mi, żebym do ciebie

wrócił, nigdy więcej czegoś takiego nie zrobię. I porozmawiam z wujkiem, żeby przyjął cię do pracy.

Nie należało traktować poważnie takiej propozycji. Nie po tym, jak siłą zawlekl mnie do samochodu. Z drugiej strony był ujarany i nie zdawał sobie sprawy, że sprawiał mi ból.

Jednak im dłużej się zastanawiałam nad pracą u pana Simona, tym bardziej wydawało mi się prawdopodobne, że Grayson po to mi wmówił, że Mark ściemnia, żeby samemu mnie zatrudnić. Coś mi mówiło, że nawet gdyby szło tylko o zdobycie taniego pracownika, Grayson nie cofnąłby się przed czymś takim. A skoro Grayson potrzebował mojej pomocy, żeby z takich czy innych powodów przytrzymać Aleca w mieście, byłam całkowicie pewna, że nie cofnąłby się przed czymś takim. A to znaczyło, że praca u pana Simona mogła jednak być całkiem rzeczywistą perspektywą.

- Nie możesz z powrotem się do mnie wprowadzić - powiedziałam.

To było najgorsze w naszym układzie, że mieszkał u mnie. Pewnie nie wściekłabym się na niego tak strasznie, gdyby nie narzucał się ze swoją ciągłą obecnością.

- Nie, nie. Będę miał swoje mieszkanie. - Uścisnął mocniej moje kolano dłońią. - Przyjdź jutro rano do naszego hangaru.

- Jutro nie mogę - powiedziałam. - Mam inną pracę.

- Ach, tak - mruknął. - U tych dupków, na ferie. Tylko co to za robota? Wujek mówi, że bez ich starego ta firma pociągnie jeszcze najwyżej tydzień albo dwa. A mój wujek może cię zatrudnić na stałe.

Niepotrzebnie to powiedział, bo nagle zaczęłam zastanawiać się, jak by to wyglądało. Stała praca dla pana Simona. Praca z Markiem. Szkolenie - z Markiem. Musiałabym spotykać się z Markiem i żyć w ciągłym strachu, że stracę robotę, jeżeli zrobię coś, co mu się nie spodoba. Już byłam gotowa spróbować, to znaczy gdyby tyl-

ko udało mi się wyplątać z gmatwaniny pod tytułem Alec i Grayson, ale teraz znowu zaczęłam się zastanawiać.

- Proszę cię, Lea - wyszeptał Mark.

Jego oczy były ciemne. I był tutaj, ze mną, a tamci byli w domu z Molly i całkiem o mnie zapomnieli. Pochylił się bliżej, żeby mnie pocałować. Może nawet bym mu pozwoliła, tylko że za mocno ścisnął moje ramię.

Drzwi od strony kierowcy otwarły się. Mark próbował przytrzymać się mojego kolana, ale został wywleczony na zewnątrz. Walnął

o samochód stojący obok i wystartował z zaciśniętymi pięściami. Zamachnął się, ale nie trafił Graysona, który strzelił go prosto w szczękę. Chłopaki z samochodów podnieśli krzyk i w jednej chwili obstawili ich dookoła, licząc na widowisko.

- Hej! - wrzasnęłam, gramoląc się z siedzenia. Nie chciałam, żeby się pozabijali. Bo kto by mnie wtedy zatrudnił? - Grayson! Mark nie zrobił nic złego. On tylko...

- Wyłaż z jego samochodu - rozkazał mi Grayson, nawet nie patrząc w moją stronę. Nic dziwnego, patrzył na Marka. Jego dłoń była zaciśnięta w białą, bezkrwawą pięść. - Wracaj do domu.

- Pierdol się, Hall - krzyknął Mark, ocierając wierzchem dłoni krew z ust. - Lea, nigdzie nie idź, zostań tutaj.

Odgłos biegnących stóp.

- Grayson! - zawołał z daleka Alec.

Grayson nie odwrócił się i do niego, ale sekundę później Alec

i Patrick wpadli do środka kręgu chłopaków, którzy zgromadzili się, żeby oglądać sobie bójkę. Wparowali obaj między Graysona i Marka. Alec chwycił Graysona z tyłu za obie ręce, obrócił go i pchnął w kierunku domu. Gapie rozsunęli się, żeby go przepuścić. Patrick położył rękę na ramieniu Marka, który opierał się o samochód.

Teraz, skoro Grayson znikł z pola widzenia, Mark wychylił się zza Patricka i rzucił do Aleca, żeby się odpierdolił. A Alec stał

z muskularnymi ramionami skrzyżowanymi na piersi i już nie wyglądał jak śliczny chłopiec. Patrick tak o nim powiedział i w duchu się z nim zgodziłam... Ale teraz, kiedy stał twarzą w twarz z Markiem, który obrzucał go wszystkimi możliwymi wyzwiskami, jakie przyszły mu na myśl, Alec wyglądał ponuro i groźnie. Alec odwrócił się do mnie i polecił poważnym tonem: - Idź za Graysonem. Dopilnuj, żeby wsiadł do samochodu i czekał w nim na mnie. Głupio zrobiłaś. Trzeba trzymać go z daleka od takich akcji, bo inaczej wszyscy wylądujemy w więzieniu. Mogę się bić z Markiem, jeżeli będzie trzeba, ale Grayson po prostu go zabije.

Alec niepotrzebnie się martwił. Grayson stał za półciężarówką Marka i oddychał głęboko. Kiedy tylko mnie zobaczył, ruszył, jakby na mnie czekał. Chwycił mnie za ramię, żeby odciągnąć mnie od zadymy.

Zatrzymałam się w pół kroku.

- Hej! - krzyknęłam.

Nie musiałam tłumaczyć, dlaczego. Zorientował się, że pochwycił mnie dokładnie w tym samym miejscu, co przedtem Mark. Patrick musiał powiedzieć Graysonowi, co się stało. Najprawdopodobniej Patrick nawet poszedł po niego na imprezę. W każdym razie Grayson puścił mnie natychmiast i rozprostował palce, jakby skupiał się na tym, żeby *nie* zacisnąć pięści. Powiedział jednak:

- Idziemy.

Kiedy znaleźliśmy się przy samochodzie Aleca, niemal w tej samej chwili pojawił się sam Alec.

- Załatwiłeś sprawę? - spytał Grayson.

- Patrick go uspokoił - wyjaśnił Alec i zwrócił się do mnie: -Wszystko w porządku?

- Jasne.

Zdałam sobie sprawę, że odruchowo rozcieram ramię. Opuściłam więc rękę.

Alec przesunął palcami przez włosy, po raz pierwszy, odkąd go znałam, burząc swoją fryzurę. Aha, i nie licząc tego, jak polał sobie głowę z węża w hangarze.

- Dlaczego rozmawiałaś z Markiem?

W jego głosie brzmiała złość, też coś nowego.

- Od początku nie chciałam iść na tę imprezę - powiedziałam w swojej obronie. - Wszyscy o tym wiedzieliście. Molly wiedziała. Powiedziała wam. A i tak mnie tu zaciągnęliście. Ta laska, która tu mieszka, powiedziała, że nie jestem mile widzianym gościem. Spytałam Molly, czy nie moglibyśmy stąd pójść, a ona stwierdziła, że mogę sobie wyjść na zewnątrz.

Bracia spojrzeli na siebie nad moją głową.

- Pójdę po nią - rzucił Grayson. Najwyraźniej chciał mnie zostawić sam na sam z Alekiem, bohaterem, który mnie ocalił. No, poniekąd. I po tym, jak poniekąd mnie ocalił Grayson. Odwrócił się, ale Alec chwycił go za ramię.

- Nie, ja pójdę. Ciebie jeszcze za bardzo nosi.

Kiedy Alec poszedł w stronę domu, przypałało się paru chłopaków, którzy nadeszli od strony samochodu Marka. Gapili się na mnie dość wymownie. Grayson skrzyżował ramiona i spojrzał na nich tak, że odwrócili wzrok.

Nie cofając spojrzenia, otworzył przednie drzwi od strony pasażera.

- Wsiadaj.

Zatrzasnął drzwi i sam usiadł z tyłu. Na zewnątrz wiał orzeźwiający wietrzyk, ale w samochodzie było gorąco jak w saunie. Z któregoś wozu stojącego na podjeździe zadudnił głośny rap, ale zaraz umilkł.

- Jesteś nawalona? - spytał Grayson.

- Nie - odparłam wyniośle. - To podobno jeden z warunków mojego zatrudnienia. Co prawda nie jedyny.

- Upalona?

- Nie.

- No to co ci strzeliło do głowy, żeby zbliżyć się do Marka na odległość mniejszą niż sto metrów?

- Nawet nie wiedziałam, że tu jest - obruszyłam się. - Nie mam pojęcia, czego on jeszcze ode mnie chce.

Otworzyły się potężne drzwi rezydencji i pojawili się w nich Alec i Molly. Po ich ruchach poznałam, że się kłóca. O co miały się kłócić Alec z Molly?

- Widziałaś, jak wyglądasz w tych szortach? - spytał Grayson. - Zaczyna mi się wydawać, że naprawdę tego nie wiesz.

Wychyliłam się za zagłówek, żeby zobaczyć jego twarz.

- Czego nie wiem, Grayson? Tego, że nikt mnie nie zatrudni tak po prostu jako pilota? Że każda moja praca za sterami to transakcja wiązana, bo mam jeszcze świadczyć usługi seksualne? Owszem, zaczynam sobie z tego zdawać sprawę. I jakie to szczęście, że nie masz z tym nic wspólnego.

- Boże! - mówiła właśnie do Aleca Molly, wsiadając z tyłu, podczas gdy Alec siadł za kierownicą. Kiedy zapuścił silnik i otworzył okna, żeby trochę przewietrzyć, z domu pospiesznym krokiem wyszła Francie w otoczeniu swoich dam dworu. Pokazywała palcem nasz samochód.

- Jedź, Alec - rzekł spokojnym głosem Grayson.

Długie, proste i lśniące włosy Francie trzepotały się wokół jej ramion, kiedy zatrzymała się przy drzwiach od mojej strony i wywrzeszczała przez otwarte okno:

- Co ty kombinujesz, chcesz wywołać bójkę, żeby sprowadzić gliny na moją imprezę? Właśnie dlatego nie zapraszam takiego śmiecia jak ty. - Zajrzała głębiej do samochodu. - Molly, właśnie dlatego nie zapraszam twojej kumpeli z nizin społecznych. Nigdy więcej jej do mnie nie sprowadzaj. - Po czym zawołała do Aleca: - A ty lepiej uważaj, bo na pewno złapiesz jakiegoś syfa.

Jej przyjaciółeczki roześmiały się. Gromadziło się coraz więcej ludzi. Wychodzili z rezydencji, żeby usłyszeć, co Francie jeszcze zechce mi powiedzieć: wszystkie laski, które wrednie dokuczały mi na przerwach, w łazience i na WF-ie, czyli wszystkie powody, dla których nigdy nie zaglądałam na stołówkę, a poza tym mnóstwo innych ludzi, którzy dotąd nie zaszczycili mnie nawet spojrzeniem, za to teraz zaczynali orientować się, która to jest ta dziewczyna-szumowina, o której wszyscy tyle gadają. Dotąd w szkole czułam się względnie bezpiecznie, przynajmniej kiedy tych dziewczyn i jeszcze kilku chłopaków nie było w pobliżu. Teraz wiedziałam, że już nigdzie nie będę mogła czuć się bezpiecznie.

Świat walił się wokół mnie, a ja otworzyłam usta, żeby też jakoś zelżyć Francie. Nie miałam pojęcia, co się z nich wydobędzie. Dzięki długim latom praktyki całkiem nieźle radziłam sobie w takich sytuacjach, chociaż nie było możliwe, żebym zdołała zranić ją tak boleśnie, jak ona zraniła mnie. Nabijać się z laski dlatego, że jest bogatą burżujką, to jednak nie to samo, co gnoić kogoś dlatego, że jest biedakiem.

Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, Molly wykrzyknęła:

- Francie!

Naprawdę była w szoku. Ale zagłuszył ją Alec:

- Co za świństwo! - Jego głos zabrzmiał głośniejsz niż kiedykolwiek słyszałam. Chyba że próbował przekrzyczeć ryk silnika samolotu. - To miasto zeszło na psy, odkąd wyjechałam.

Sięgnął do przycisku, żeby zamknąć wszystkie okna. Kiedy szklana bariera powędrowała do góry, aby oddzielić mnie od Francie, wrzucił wsteczny, cofnął się, a potem ruszył do przodu.

Obserwowałam Francie w bocznym lusterku. Stała na tym swoim trawniku z rozdziawioną gębą, a razem z nią pół szkoły. Jej ukochana przyjaciółka Molly nie zdołała sprawić, żeby się przymknęła, za to ten cudowny chłopak z innego miasta potrafił dokonać tego,

że zobaczyła samą siebie taką, jaką była. Albo, co bardziej prawdopodobne, tak ją zaskoczył, że aż ją zatkało.

Kiedy wyjeżdżaliśmy z podjazdu na ulicę, Alec warknął:

- Molly, po co przyprowadziłaś ją na ten melanz?

- Przecież ostrzegałam, że Lea nie będzie chciała tu przyjść!
- odpowiedziała Molly. - I mówiłam, dlaczego tak się ubrała, ale wtedy jakoś wam to nie przeszkadzało.

- Ale nie powiedziałaś, że ta laska będzie próbowała jej odgryźć głowę - zauważył Alec.

- Nigdy nie widziałam, żeby Francie tak się zachowywała! - zaprotestowała Molly. - Wiedziałam, że jej nie lubi, ale myślałam, że to z powodu... No, wiecie, na wypadek, gdybyście nie zauważyli, to Lea potrafi czasami niezłe komuś dopiec. Czy mówiła wam, co powiedziała kumpeli Francie nieco wcześniej? Niezły tekścik.

- To dlatego, że Francie poszła za Leą. - Grayson odezwał się po raz pierwszy. - Już ci mówiłem. Widać było jak na dłoni, że chcą ją dopaść i osaczyć. Właśnie dlatego posłałem cię za nimi.

- A czego się spodziewałeś? - fuknęła Molly. - Myślałeś, że Francie powita ją z otwartymi ramionami i zachwyci się jej wytworną kreacją? Przecież Lea ubrana jest jak dziwka.

- Ejże - mruknął Alec z dezaprobatą. Jednocześnie Grayson zaprotestował:

- Moim zdaniem fajnie wygląda.

Odwróciłam się i znowu spojrzałam zza zagłówek na Graysona, wściekła, że zrobił mnie w to wszystko, a przede wszystkim w to nieszczęsne randkowanie.

- Mam nadzieję, że dobrze się bawisz.

Popatrzył na mnie, rozchylił usta i uniósł brwi, wyglądał niemal tak, jakby chciał mnie przeprosić. Zaraz potem zwróciłam się do Molly:

- I przykro mi, że ty nie bawisz się dobrze. Wczoraj wieczorem powiedziałaś Alecowi i Graysonowi, że postanowiłaś być moją

przyjaciółką i odpuściłaś sobie Ryana, bo jestem taka zabawna jak na nędzarkę i do tego pyskata. A teraz nie życzysz sobie, żebym ubierała się jak kurwa i żebym się broniła, kiedy zaciągnęłaś mnie na imprezę urządzoną przez te suki, twoje przyjaciółki, które nienawidzą mnie i przy każdej okazji rzucają mi w twarz, że jestem śmieciem. Weź ty się może zdecyduj, kochana, jak chciałabyś widzieć obiekt swojej działalności dobroczynnej.

Delikatna twarzyczka elfa skrzywiła się, Molly wzięła głęboki oddech. Pomyślałam, że zaraz to od niej usłyszę. Że mam rację. Że nie chce już się ze mną przyjaźnić. Serce mi się kroilo, ale nie zamierzałam pozwolić, żeby ktokolwiek walił we mnie jak w worek bokserski, czy to Francie, czy to Molly.

Za wyjątkiem Graysona. Ale i to pod przymusem. I do czasu.

Molly jednak nie powiedziała tego, tylko zasłoniła twarz dłońmi i zalała się łzami. Najpierw szlochała głośno. Próbowwała powstrzymać płacz, wstrzymując oddech, co poskutkowało czkawką.

Grayson mógłby objąć ją ramieniem, żeby ją pocieszyć - pomyślałam. Właściwie nie chciałam, żeby to zrobił, ale tak należało postąpić. Zamiast tego spróbował innej metody:

- Dajcie już spokój, to strasznie krępujące. Ale przyjdiesz jutro do pracy, prawda, Molly? Mówiłem wam, w tym tygodniu żadnego chlania i żadnych dramatów.

- Poważnie? - wrzasnęłam. - Właśnie tracę najlepszą przyjaciółkę, a ty możesz myśleć tylko o pracy?

- Owszem, myślę o pracy - odpowiedział. - Bo jestem waszym szefem. Jednocześnie Molly zawodziła:

- Nie stracisz swojej... - czknęła. - Proszę cię, Lea. Nie stracisz...

- Molly, jeżeli tak się stanie, to zasłużyłaś na to - wtrącił Alec. Widziałam, że patrzy na nią we wstecznym lusterku.

- No dobrze, a co z tobą? - rzucił do mnie Grayson oskarżycielskim tonem. - Nie powiedziałaś nam, że Mark Simon będzie na tej imprezie. - Poczułam jego dłoń na moim ramieniu. - I obiecywałaś mi, że nie będzie czepiał się Aleca.

Jeszcze raz odwróciłam się w stronę Graysona.

- Niczego takiego nie obiecywałam. Mówiłam tylko, że Mark nie jest groźny.

- A tymczasem napadł cię i musieliśmy z Alekiem ratować ci skórę. I teraz będzie czepiał się Aleca.

- To niezupełnie tak, że uratowaliście mi skórę - odparowałam, a w tym samym czasie Alec nietypowym dla siebie poirytowanym tonem rzucił:

- Grayson, zamknij się wreszcie.

Przez kilka minut jechaliśmy w ciszy, jeśli nie liczyć muzyki country z radia i czkawki Molly.

- Nie rozumiem, dziewczyno, o co wam chodzi, że tak na siebie naskakujecie - powiedział cicho Grayson. - Myślę, że przydałoby się, żebyśmy wszyscy byli wobec siebie bardziej szczerzy.

Molly parsknęła gniewnie.

Spiorunowałam ją wzrokiem, bo znowu się przeraziłam, że Grayson się zorientuje. Skojarzy, że opowiedziałam jej o tej historii z Alekiem. Grayson też na nią popatrzył, a Alec cały czas na nią zerkał w lusterku.

- O, przepraszam - bąknęła.

Im bliżej byliśmy jej domu, tym bardziej się martwiłam. Owszem, nadal uważałam, że jestem obiektem jej działalności charytatywnej, ale niezależnie od jej motywacji, ja przyjaźniłam się z nią, bo w jej towarzystwie bardziej byłam sobą. Częściej się śmiałam, byłam bardziej wyluzowana. Nie chciałam wyrzucić tego wszystkiego na śmietnik z powodu jednej durnej imprezy. Nasza wzajemna relacja polegała na dość subtelnej równowadze. Niepotrzebnie ją zaburzyłam, mówiąc jej, co tak naprawdę czuję.

Gdy zatrzymaliśmy się, wysiadła i bez słowa trzasnęła drzwiami. Też wysiadłam i wzięłam ją za rękę. Nie zaczęła nią wesoło wymachiwać, ale jednak nie wyrwała jej z mojej dłoni. Pod drzwiami objęłam ją.

- Przepraszam.

- Nie, to ja przepraszam - powiedziała tak posępnym tonem, że aż jej uwierzyłam. - Naprawdę nie sądziłam, że Francie zrobi coś takiego. A nawet gdyby, nie przypuszczałam, że to cię dotknie.

W sumie nic dziwnego. Żadna przyjaciółka nie wywaliła jeszcze Molly ze swojej imprezy, Molly była popularna i powszechnie lubiana. Pewnie nie chciała się zachować parszywie wobec mnie. Pomyślałam, że po prostu nie ma pojęcia, jakie naprawdę jest moje życie i że nigdy tego nie zrozumie.

- Jestem pijana - stwierdziła. - Przepraszam. - Odsunęła się ode mnie i sięgnęła do klamki. - Do jutra mój iloraz inteligencji trochę się podniesie, wtedy pogadamy.

- Umowa stoi.

Zaśmiałam się, bo z ulgą stwierdziłam, że znów stała się tą Molly, którą tak kochałam. Jednak kiedy delikatnie zamknęłam za nią drzwi i wracałam potem do czekającego samochodu Aleca, wiedziałam, że wszystko jest nie tak. Nigdy dotąd tak się nie pokłóciłyśmy, nigdy, odkąd zaczęłyśmy się przyjaźnić. Coś zakradło się między nas. I niewątpliwie wiązało się to z tymi dwoma, Alekiem i Graysonem. Mało tego, złamałyśmy najważniejszą niepisaną regułę naszej przyjaźni. Nie powinniśmy się przeproszać.

Kiedy wsiadłam, Alec położył dłoń na mojej dłoni opartej o siedzenie między nami, bez żadnych podtekstów, ale tak, jak pociesza się przyjaciela. Uśmiechnęłam się do niego, po przyjacielsku.

Grayson znów zajął się swoim telefonem i zajmował się nim przez całą drogę na lotnisko. Podrzuciliśmy go na lotnisko. Nie wsiadł jednak do swojego wozu, tylko otworzył boczne drzwi hangaru.

- O rany. O tej porze będzie się babrał w papierkowej robocie? - spytałam Aleca.

- Nie, tym się zajmował zeszłej nocy - sprostował Alec. - Dzisiaj niepokoi się o samoloty, bo nadchodzą burze.

Podczas niedługiej drogi z lotniska do przyczepy nie byłam w stanie wymyślić żadnego tematu do rozmowy. Próbowałam, ale na próżno. Mnóstwo się wydarzyło i mnóstwo było spraw do omówienia, ale każdy temat był zbyt drażliwy dla mnie i dla Aleca.

A poza tym byłam wykończona. Może dlatego, że najpierw latałam przez cały dzień. Potem wymuszono na mnie zwierzenia na temat mojego życia rodzinnego. Potem to starcie z Francie. Starcie z Markiem. I omal nie pożarłyśmy się na śmierć z Molly. No i rozmowa z Graysonem, po której czułam do siebie obrzydzenie.

- Mogę odprowadzić cię do drzwi, które przecież jednak są drzwiami? - spytał Alec. Zaśmiałam się, starałam się, żeby nie był to śmiech nerwowy. Nie chciałam całować się z Alekiem nigdzie, ale przede wszystkim nie chciałam całować się z nim pod moimi drzwiami.

- A nie możemy zamiast tego zostać przez chwilę w samochodzie? Pies się uciszy, prędzej czy później. A jak będziemy na zewnątrz, to nigdy.

- W porządku.

Zaparkował samochód i wyłączył silnik. W tej ciszy napłynęły do nas odgłosy kempingu. Pitbul szalał na swoim łańcuchu, wiatr szumiał w liściach palm, skrzypiały na wietrze metalowe przyczepy, gdzieś w oddali dwoje ludzi wymyślało sobie nawzajem. Głupio było tak siedzieć w samochodzie zaparkowanym przed przyczepą. Pewnie, że powinnam zaprosić Aleca do środka, ale tego zrobić nie zamierzałam.

Odkasznął.

- Chciałbym cię o coś spytać.

Oho. Każde pytanie, jakie zadał mi tego dnia, można było sprowadzić do zwięzłej konkluzji: lepiej, żeby go nie zadawał. Ale co miałam robić? Powiedziałam:

- Pytaj.

Uśmiechnęłam się, jakby to uśmiechanie, jeżeli tylko naprawdę włożę w nie dostatecznie dużo wysiłku, miało roztopić twardą kulę strachu ściskającego mnie w żołądku. Miałam nadzieję, że nie przejdzie do jakichś deklaracji, nie okaże tak zwanych poważnych zamiarów, czy to uczuciowych, czy to fizycznych. Nie wiedziałam, jakbym się wtedy zachowała.

- Wydaje mi się, że funkcjonujesz jakby w dwóch trybach -stwierdził. - Jeden to wesola flirtiera. A drugi - tryb pilota, rzeczowy, rozsądny. Te dwa tryby nigdy się ze sobą nie mieszają, nie przenikają. Jakbyś była dwiema odrębnymi osobami. Zdajesz sobie z tego sprawę?

Serce biło mi mocno. Próbowałam sobie wmówić, że nie ma co wpadać w panikę. Alec wcale mnie nie przejrzał, nie połapał się, że odgrywam jakąś rolę, tylko po prostu zna mnie od dawna i obserwował mnie przez te lata, więc to i owo o mnie wie.

Potrząsnęłam przecząco głową.

- Nie. Ale mówiono mi, że tak się zachowuję. - Zerknęłam na niego z ukosa. - A w którym trybie jestem teraz?

- Flirtiera.

- A który wolisz?

- Zdecydowanie właśnie ten. - Uśmiechnął się. - Chodź no tutaj.

To było słodkie i bardzo seksowne. Gdybym choć trochę się w nim podkochiwała, na pewno podobałby mi się ten pocałunek. Ale nic z tego. Jedyne, co mi się w nim podobało, to to, że był o pięćdziesiąt procent krótszy niż pocałunek z poprzedniego wieczoru.

Musnął jeszcze ustami moje wargi i odsunął się.

- Wiesz co? Nie bez powodu pytam o te dwa tryby.

Gdybym wiedziała, że zamierza rozpocząć poważną rozmowę, przeciągnęłabym pocałunek.

- Czasami nie potrafię cię zrozumieć - wyznał. - Masz te swoje dwie osobowości, ale ja nigdy nie wiem, z którą rozmawiam. Obrażają się z zupełnie różnych powodów. Za to kiedy w tej knajpce opowiedziałas nam, dlaczego chcesz latać, to było takie... - Popatrzył przez szybę na kołyszące się palmy, miotane wiatrem. - ... Takie szczerze. Wreszcie. Może nawet to była pierwsza rzecz, którą powiedziałaś naprawdę szczerze.

Spojrzał mi prosto w oczy. Skuliłam się w sobie.

- Uczepiłem się tego i zacząłem cię wypytywać o ojca - ciągnął. - A ty się wściekłaś... Nic dziwnego. Naprawdę przykro mi z tego powodu. Przemyślałem to i zdałem sobie sprawę, że takiego pytania nie powinno się nikomu zadawać. Tylko że zmyliłaś mnie, bo Lea-flirciara nie miałyby nic przeciwko temu. Każdy może pytać ją o wszystko. Za to Lea poważna miała mi za złe i to nie na żarty.

Roześmiałam się.

- A jakże.

- Wybacz.

- Wybaczam.

Miałam nadzieję, że to wybaczenie będzie się równało pożegnaniu, ale jednak odprowadził mnie do drzwi i pocałował raz jeszcze. Krótko, a potem znalazłam się wewnątrz przyczepy, w której śmierdziało jak w piwnicy. Zmyłam z siebie zdirowaty makijaż i zrzuciłam zdirowate ciuchy. Ułożyłam się do snu, nasłuchując przez radio biadolenia o spustoszeniach, jakie czyni tornado w sąsiednim okręgu.

Za dawnych dobrych czasów, kiedy jeszcze miałam telewizor, nieraz widziałam meteorologów, którzy z upodobaniem powtarzali: „jeżeli mieszkasz w przyczepie, udaj się w bezpieczne miejsce”.

Czyli niby gdzie? Dokąd miałabym się udać, nie mając samochodu? Może wyjść na zewnątrz i położyć się w rowie, i czekać, aż pitbul zerwie się z łańcucha, po czym rozszarpie mnie na strzępy? Wyłączyłam w końcu to radio. Co mi po tych wiadomościach? Najprawdopodobniej tornado nie trafi akurat tutaj. A jeżeli trafi, to i tak po mnie. Siedzenie w kucki przy kiblu nie uratuje mnie, jeżeli tornado porwie mój dom ze mną w środku i przywali nim o jakieś drzewo.

Przez większość życia wkładałam ogromny wysiłek w to, żeby wyglądać i zachowywać się jak wszyscy inni. Czasami jednak zdawałam sobie sprawę, że nie warto się tak starać, że mogę sobie pozwolić na ten luksus i po prostu odpuścić. Kiedy obudziła mnie syrena alarmowa ostrzegająca przed tornadem, uznałam, że to jedna z tych sytuacji. Syreny rozbrzmiewały w całym mieście, władze nie omieszkały też zamontować jednej z nich pośrodku kempingu, bo przecież jego mieszkańcy nie będą się skarżyć na ten upiorny hałas, tak samo jak nikt z tutejszych nie pisał skarg do urzędów z powodu ryczących nad naszymi głowami silników samolotów. Leżałam na plecach, dłonie zaciskałam na krawędziach materaca. Wiatr szarpał liśćmi palmy w świetle latarni wpadającym przez okno.

Ludzie mieszkający w domach nieraz powiadają, że odgłos deszczu jest kojący. Jednak wiosną w Karolinie Północnej deszcz wali z taką siłą, że aż sprawia ból. A jego bębnienie o metalowy dach przyczepy to szczególnie tortura. Tylko czekać, aż odezwie się jeszcze tornado, podobno brzmi to jak pędzący pociąg. To dopiero będzie jazda...

Usiadłam nagle, bo usłyszałam coś jeszcze oprócz syreny i walenia kropel o dach. Ktoś łomotał do drzwi.

Zerwałam się i z walącym sercem pobiegłam przez mroczne wnętrza przyczepy. Byłam pewna, że ulewa złapała kogoś, kto szuka teraz schronienia. Kto to mógł być? Przecież nikt nor-

malny nie zgłosiłby się do mnie po pomoc. Chociaż, kto wie? Może to facet mojej mamy, Roger, podwiózł ją tutaj, a ona zgubiła klucz. Albo Mark wykombinował, że to będzie fajny pretekst, żeby dostać się do środka. Przemknęło mi przez myśl, że warto narzucić coś na siebie, bo byłam tylko w spodenkach i podkoszulku, ale nie było czasu do stracenia, przecież ktoś tam moknie na deszczu...

- Kto tam? - wrzasnęłam.

- Grayson!

Jeszcze raz walnął w drzwi. Tylko raz, ale metalowe ściany aż zadrżały. Zaskoczona, odskoczyłam od drzwi, po czym sięgnęłam i otworzyłam je.

Był przemoczony, zlepione w strąki blond włosy wyglądały na ciemne, po policzkach ciekły mu strużki wody, T-shirt przykleił się do torsu.

- Właż.

Wyciągnęłam rękę, żeby go wciągnąć do środka. Najwyraźniej istniał jednak jakiś wyjątek od zasady głoszącej, iż nikt nie ma prawa wejść do środka przyczepy.

Nie dał się wciągnąć.

- I tak już przemokłem. Słuchaj, zbliża się tornado. Zbieraj swoje graty i jedziemy.

Pobiegłam do sypialni. Teraz, skoro było po co, poruszałam się w ciemnościach znacznie sprawniej. Mało mi zależało na tym, żeby ratować się przed tornadem. Ale teraz, kiedy chodziło o Graysona, nie mogłam już znieść myśli o tym pociągu towarowym pędzącym prosto na nas i wrywającym palmy z korzeniami. Wsunęłam stopy w klapki, zgarnęłam torebkę i pobiegłam z powrotem. Zatrzymałam się obok Graysona na cementowych schodkach, żeby zamknąć drzwi na klucz. Zajęło to pięć sekund, a już doszczętnie przemokłam. Pobiegliśmy przez podwórze, chlapiąc nogami w błocie, do jego samochodu.

Wewnątrz szoferki trochę odetchnęliśmy, już nie lała się na nas woda, ulewa bezsilnie waliła w dach. Kiedy ruszyliśmy wysypaną żwirem drogą, krople deszczu w światłach reflektorów zmieniły się w białe smugi. Grayson zawołał do mnie, przekrzykując łoskot ulewy:

- Dzwoniłem do Aleca, żeby sprawdzić, czy wie, że nadchodzi tornado. Myślałem, że jeszcze jesteś z nim, ale powiedział, że nie.
- Nie - odkrzyknęłam. - Alec to prawdziwy dżentelmen.
- Tego się właśnie obawiałem.

Zastanowiło mnie, co Grayson chce przez to powiedzieć. Chodziło mu o to, żeby Alec snuł się ze mną po nocy tak długo, aż wszystkie publicznie dostępne miejsca będą zamknięte, aż w końcu nie pozostanie nam nic innego, jak szukać jakiegoś ustronnego miejsca i zacząć się obmacywać? Naprawdę chciał, żebym robiła to z Alekiem, chociaż wiedział, że wcale nie lecę na jego brata?

Ze sposobu, w jaki na mnie patrzył, wydało mi się, że właśnie o to mu chodziło. Kiedy zatrzymał się przed wjazdem na szosę, popatrzył na mnie ponuro. Nagle uświadomiłam sobie, że mam na sobie tylko przemoczone spodenki i koszulkę. Odruchowo chciałam skrzyżować ramiona na piersi, ale powstrzymałam się. Nie zamierzałam pozwolić, żeby mnie zastraszył.

Odezwał się w końcu:

- W każdym razie odniosłem wrażenie, że Alec nie był jeszcze w domu. Nie wiesz, dokąd się wybrał?
- Nie.
- Nawiasem mówiąc, raczej specjalnie się o ciebie nie martwił. Powiedział, że podrzucił się do przyczepy, że usłyszysz syrenę alarmową i wszystko będzie dobrze.
- Pewnie. Wszystko byłoby dobrze.
- No, to chyba mamy nieco odrębne pojęcie na temat tego, co znaczy „dobrze”.

Zaparkował wóz obok budynku biura, przy drzwiach prowadzących do piwnicy. Bywałam już w tej piwniczce. Przechowywano w niej archiwum lotniska, więc od czasu do czasu trzeba było w nim pogrzebać, żeby wydostać jakiś kontrakt dotyczący najmu któregoś hangaru. Mnóstwo ludzi miało klucz do tego pomieszczenia, na pewno każdy, kto wynajmował tutaj hangar - właśnie na wypadek sytuacji alarmowej takiej jak tej nocy. Natomiast poprzednim razem, kiedy zagłądałam do piwnicy, nie było w niej łóżka polowego ani koców.

- To ty urządziłeś tutaj spanie? - spytałam, stojąc na ostatnim schodku, gdy zamknął drzwi na górze, dzięki czemu odgłos ulewy nie zagłuszał już tak mocno moich słów.

Zerknął na mnie z góry.

- Tak.

- Przewidujący jesteś.

To miał być komplement. Pan Hall wrzeszczał na niego setki razy, krytykując za brak umiejętności przewidywania.

- Wiedziałem, że będzie burza, i miałem przecucie, że może uderzyć właśnie tutaj. Ale gdybym był naprawdę przewidujący, wziąłbym dla ciebie parasol.

Jego spojrzenie skierowało się na moją koszulkę, przez którą w tamtej chwili na pewno było wszystko widać. Zmusiłam go spojrzeniem, żeby odwrócił wzrok.

Teraz, kiedy stał się całkiem miły, skrzyżowałam już ramiona na piersi.

- Nie na wiele by się przydał parasol, przecież deszcz zacina z boku.

Syrena alarmowa umilkła. Nie znaczyło to oczywiście, że minęło tornado. Po prostu wyłączano ją zawsze po paru minutach, żeby ludzie nie oszaleli od tego wycia.

Zszedł po schodach w mokrych klapkach, zrzucił je na dole na cementową podłogę. Podniósł jeden z koców leżących na łóżku i rozłożył go w powietrzu, tworząc barierę między nami.

- Możesz zdjąć mokre ubranie - powiedział. - Obiecuję, nie będę podglądał. Wiem, że jest ci zimno.

Cóż, tak właśnie zrobiłam. Niby czemu nie? Zęby mi dzwoniły, czekała mnie długa noc w piwnicy, a suchy koc z pewnością był przyjemniejszy w dotyku niż mokra bawełna przyklejona do mojej skóry. Lea flirtowała opisana przez Aleca może rzuciłaby mokre ciuchy na drugą stronę koca, żeby kusić Graysona. Ale teraz byłam Leą-pilotem, musiałam się przespać, bo następnego dnia miałam zasiać za sterami i wystartować - zakładając, że następnego dnia lotnisko będzie jeszcze istnieć. Miesiąc wcześniej tornado kompletnie zniszczyło położone w głębi lądu lotnisko odległe od nas

0 niecałe sto kilometrów. Ściągnęłam bokserki i koszulkę, upuściłam je na podłogę i wzięłam od Graysona koc. Owinęłam się nim

1 położyłam na łóżku, przodem do Graysona.

Schylił się, podniósł te nieszczęsne bokserki, wycisnął z nich wodę nad odpływem pośrodku podłogi i rozwiesił na poręczy schodów, żeby wyschły. Słaba szansa, biorąc pod uwagę, że w piwnicy było chłodno, a powietrze wilgotne od deszczu. To samo zrobił z moją koszulką.

Potem zdjął T-shirt. Bawełna kleiła się do mięśni na jego torsie i ramionach, jakby pokochała go i nie chciała się z nim rozstać. Wreszcie udało mu się go ściągnąć. Potrząsnął włosami jak pies, rozpryskując wodę. Poczulałam kropelki na twarzy. Wycisnął koszulkę i powiesił ją obok mojej.

Spojrzał w moją stronę. Spostrzegł, że go obserwuję, czekając, aż zdejmie szorty.

Nie zdjął. Pochwycił drugi koc, zarzucił go sobie na ramiona i oparł się o betonową ścianę. Spojrzał na telefon.

- Tornado minęło? - spytałam.

- Tak. Wygląda na to, że cyrkulacja nawet nie sięgnęła do powierzchni ziemi, ale...

Znowu rozległa się syrena, najpierw jeszcze niezbyt głośno, tak

że można było ją wziąć za silnik jakiejś maszyny, potem coraz głośniej, aż po rozdzierające wycie.

- No, właśnie. Na tym nie koniec - krzyknął Grayson.

Odczekałam jeszcze kilka minut, aż natężenie dźwięku syreny zmaleje, jej odgłos zaczął słabnąć i w końcu umilkł. Potem spytałam:

- Będziesz czuwał przez całą noc?

Podniósł wzrok znad telefonu i poruszył się pod ścianą.

- Jeżeli będzie trzeba. A dlaczego pytasz?

- My możemy schować się w piwnicy, ale samoloty już nie. Po co sprawdzasz pogodę? Jeżeli tornado uderzy akurat tutaj, to co zrobisz? Wybiegniesz na dwór i powstrzymasz je gołymi rękami?

W kącikach jego ust pojawił się smutny uśmiech.

- Dobranoc, Lea.

Schowałam się pod kocem. Było mi zimno w głowę, bo miałam mokre włosy. I w stopy. Ale kiedy zwinęłam się w kłębek, poczułam, jak ogarnia mnie ciepło.

Podczas minionych dni niezbyt byłam świadoma własnego ciała. Służyło mi jako narzędzie, żeby osiągnąć to, co zamierzałam osiągnąć. Liczyło się, jak wygląda i jak funkcjonuje, ale nie jego odczuwanie.

A teraz znów zaczęłam je czuć. Miękki koc dotykał moich ramion i kolan, i piersi. Tylko on oddzielał mnie od Graysona siedzącego dwa metry ode mnie, wpatzonego w telefon, choć czasem podnosił na mnie spojrzenie stalowoszarych oczu.

Z początku nie mogłam zasnąć. Pograżyłam się w jakimś zwierzęcym stanie, w którym pragnęłam tylko tego, żeby świat wokół zniknął i żeby nikt mnie nie dotykał. Chyba przeszkadzało mi światło żarówek pod sufitem, widziałam je przez zamknięte powieki, a może tylko mi się śniło.

A potem zdałam sobie sprawę, że zasnęłam, bo nagle się obudziłam. W ciemnym pomieszczeniu coś się zmieniło.

- Co się stało?

- Prąd wysiadł. - Grayson był teraz tylko cieniem, siedział oparty o ścianę z ugiętymi nogami, jego telefon nie świecił. - Najpierw światło mrugało, pewnie to cię obudziło.

Odetchnęłam i próbowałam zrelaksować się pod kocem, rozkoszując się ciepłem. Jednak znowu powróciła ta sama świadomość ciała i obecności Graysona. Pewnie mi się śnił.

- Lea - odezwał się w mroku.

- Yhm - odpowiedziałam, już w półśnie, licząc na to, że powie jeszcze raz „dobranoc” i da mi spokój.

- Czy wiesz, jak się rozsypuje prochy nad Atlantykiem?

To mnie ocuciło. Chodziło o jedną z usług świadczonych przez Firmę Lotniczą Hall. Wielu ludzi, którzy osiedlali się na starość w Heaven Beach, życzyło sobie w ostatniej woli kremacji i następnie rozsypania ich prochów z samolotu. Wbrew pozorom dochody z tej działalności stanowiły istotny element obrotów firmy pana Halla.

- Owszem - odpowiedziałam.

- I co? Wyrzuca się po prostu przez okno?

- Nie. - Nie wyśmiałam go, bo dopóki pan Hall nie pokazał mi, jak to się robi, sama tak myślałam. - Wleciałyby z powrotem do kokpitu. Jest taki specjalny lejek połączony z rurą. Prochy wsypuje się do tego lejka, a rurę wysuwa się za okno. Leży gdzieś na półce w głębi hangaru. Pokażę ci.

- Dzięki.

Deszcz zabębnił mocniej o metalowe drzwi u szczytu schodów. Kiedy ucichł nieco i znów mogliśmy siebie słyszeć, spytałam:

- Chodzi ci o prochy twojego taty?

- Być może, w swoim czasie. Myślę, że Alec nie jest jeszcze na to gotowy.

I znowu Grayson wykazywał tę dziwną nadopiekuńczość wobec Aleca, jakby był jego starszym bratem, a nie równolatkiem.

- W takim razie o prochy Jakea? - dopytywałam się dalej.

- Nie. Ojciec proponował, żeby tak zrobić, ale mama domagała się, żeby Jake został pochowany na cmentarzu w Wilmington. Nawet pokłócili się o to.

Teraz, kiedy nie widziałam Graysona, znacznie więcej wyczuwałam w jego głosie. Ból po stracie brata. Miłość do drugiego brata. Determinację, żeby ocalić to, co pozostało z jego rodziny.

Poczucie poniesionej klęski.

Odkaszlnął.

- Nie, chodzi po prostu o ten napis ROZSYPYWANIE PROCHÓW NAD ATLANTYKIEM wymalowany na hangarze firmy.

- A, rozumiem.

- Nie mam w tej chwili na to zamówień, ale z ksiąg rachunkowych taty wynika, że sporo na tym zarabiał. Po prostu chcę wiedzieć, żeby nie wyjść w razie czego na idiotę, jeżeli ktoś się zgłosi. W każdym razie nie na większego idiotę niż teraz.

Nie widziałam w ciemności jego twarzy, ale uniosłam się na łokciu i popatrzyłam w jego stronę.

- Nie wychodzisz na idiotę, Grayson. Wszyscy są pod wrażeniem tego, jak sobie radzisz.

- To dlatego, że przedtem zachowywałam się jak zupełny idiota - rzekł półgłosem.

Nie odezwałam się już. Wcale nie zachowywał się jak idiota, także przedtem, raczej jak ktoś, kogo mało co obchodzi. Ale wobec śmierci ojca to żadna pociecha.

Kiedy milczenie stało się już uciążliwe, a deszcz walił w drzwi, jakby ktoś się do nich dobijał i ponaglał mnie, żeby mówić dalej, spytałam:

- Jak ci się udało zorientować w tych wszystkich biznesowych sprawach?

- To niesamowite, czego można dokonać, kiedy człowiek się naprawdę do czegoś zabierze. Kiedy zachowujesz się w taki spo-

sób, jakbyś nie była w stanie sama o siebie zadbać, zawsze zjawi się ktoś, kto się tobą zaopiekuje. Tak jak mój ojciec i Jake opiekowali się mną i jak ja teraz opiekuję się Alekiem. A kiedy zachowujesz się tak, jakbyś nie potrzebowała pomocy, nikt się nie będzie wtrącać. Zresztą tobie tego nie muszę mówić. Sama wiesz najlepiej.

Zaśmiałam się. Nie bez goryczy pomyślałam o tym, jak Molly zmusiła mnie do udziału w imprezie Francie.

- Daj spokój, ludzie ciągle wtrącają się w moje życie. To, że potrafisz o siebie zadbać, tylko budzi ich agresję. Tymczasem ci, którzy powinni może się mną opiekować, jak Molly zechciała to łaskawie wyjaśnić podczas kolacji, nigdy się mną nie opiekowali. Po prostu nie obchodziło ich, co się ze mną dzieje.

- Ale mnie to obchodzi.

Znów zapłonął we mnie ogień tej świadomości, którą odczuwałam, odkąd znaleźliśmy się w piwnicy. Tylko że ze strony Graysona to była czysta manipulacja. Przewróciłam się na plecy i patrząc na gołe rury biegnące pod sufitem, mruknęłam:

- Jakoś dziwnie to okazujesz.

Poruszył się niespokojnie tam, pod ścianą. Przez sekundę sądziłam, że go rozwścieczyłam i zaraz wyrzuci mnie na dwór, na deszcz. Przyklęknął obok mnie, jedną ręką oparł się blisko mnie o łóżko.

- Lea, przykro mi z powodu tej akcji z Markiem. Patrick przybiegł do mnie i powiedział, że Mark wciągnął cię do wozu. Bałam się, że coś ci zrobi. Może zareagowałam przesadnie, ale... - rozłożył bezradnie ręce - ...tak już czasem ze mną bywa. Naprawdę nie powinnaś zadawać się z Markiem. To się kiedyś źle skończy.

- Jasne - warknęłam. - Strasznie o mnie dbasz. Do tego stopnia, że pchasz mnie w ramiona swojego brata.

Grayson westchnął ciężko.

- To dla jego dobra. To wyłącznie dla niego.

- Wyjaśnij mi wreszcie, o co chodzi.

- Nie mogę. - Grayson patrzył mi w oczy, na jego twarzy malowała się troska. - Gdybym ci powiedział, inaczej zaczęłabyś się wobec niego zachowywać i wtedy zorientowałyby się, że to wszystko tylko gra.

- Czy on jest na coś chory? - spytałam. Miałam nadzieję, że nie. Tego byłoby już zbyt wiele dla nich obu.

- Nie! - Grayson zaprzeczył tak gwałtownie, że mu uwierzyłam. - Po prostu trzeba mu pomóc. Niech sobie przypomni, że jest istotą ludzką. Zresztą chyba nam wszystkim tego trzeba.

Podniósł rękę opartą o łóżko i dotknął mojego policzka.

Nasze spojrzenia spotkały się. Prąd wzbudził się w miejscu, gdzie Grayson mnie dotknął, i popłynął dalej, przez całe ciało.

Zmrużył powoli powieki. Widziana z bliska jego twarz była wydłużoną wersją twarzy Aleca. Miał identyczne, długie rzęsy. Tylko oczy zupełnie inne od niewinnych, błękitnych oczu Aleca. Szare jak burzowe chmury.

Nagle zrozumiałam, dlaczego chował się za ciemnymi okularami albo patrzył w dół, na telefon, kiedy tylko pojawiałam się w jego okolicy. Patrzył na mnie wilkiem, kiedy poprzedniego dnia flirtowałam z Alekiem, chociaż sam mnie do tego zmuszał. Dlaczego? Dlatego, że nie mógł mnie mieć. To bowiem położyłoby kres jego planom wobec mnie i Aleca. Ale chciał mnie mieć.

Zatrzymaliśmy się na samej granicy. Dotykał kciukiem mojej twarzy. Pochylił się. Zamknęłam oczy.

A potem całowaliśmy się, przerwaliśmy, żeby odetchnąć i znów się całowaliśmy, przyciskał mocno wargami moje usta, przesuwając dłonią po mojej skórze pod kocem.

Wow. Wcześniej tego samego wieczoru i poprzedniego całowałam się z Alekiem i byłoby całkiem miło, gdyby nie cały balast, który temu towarzyszył. Ale był w porządku i zachowywał się jak dżentelmen. Grayson wcale nie zachowywał się jak dżentelmen. Całowanie się z nim to była przygoda, podróż,

bitwa. Każdy ruch jego warg i dłoni na nowo budził we mnie iskrzenie.

- Och - mruknął i odsunął się. Potem zmienił zdanie i znowu mnie całował. Ujął dłonią moją nagą pierś, kciukiem przesunął po sutku, a ja nie zamierzałam mu tego zabraniać. Nie musiałam. Zaraz zacisnęłyby pięść i zaczęłyby odliczać w myślach, jak go nauczono: pięć, cztery, trzy, dwa, jeden - żeby zapanować nad sobą.

Przerwał pocałunek i odsunął się, usiadł na piętach. Jego dłoń przesunęła się z mojej piersi na środek, tam gdzie jest serce.

- Lea - oddychał głęboko. - Przepraszam. Naprawdę zależy mi na tobie. Proszę, uwierz mi. Ja tylko... Po prostu nie wiem, co ci powiedzieć.

- Powiedz mi, że nie muszę już podrywać Aleca.

- Co? - Rysy jego twarzy stwardniały, cofnął dłoń. - Nie.

- Powiedz mi, dlaczego muszę podrywać Aleca.

- Nie.

- No, to się odpierdol.

Owinęłam się ciasno kocem i odwróciłam się do Graysona plecami.

Dużo później nagle znów się obudziłam, bo poczułam na piersi jakiś ciężar. Światła nadal nie było, ale w nikłym blasku wpadającym przez okienko piwnicy zobaczyłam, że teraz jestem przykryta dwoma kocami. Grayson leżał na gołej betonowej podłodze, niczym nieprzykryty, pod głową miał jako poduszkę zwinięty T-shirt. Patrzyłam przez chwilę, jak jego muskularna pierś unosi się i opada w spokojnym, rytmicznym oddechu. Położyłam się i usnęłam.

- Lea - wyszeptał. - Hej. Obudź się.

Gdy otworzyłam oczy, zobaczyłam jeszcze, jak cofa rękę. Na włosach czułam jej dotyk sprzed chwili.

- Ubierz się - powiedział. - Zaczekam na ciebie w wozie.

Wszedł po schodach i zniknął za drzwiami. Zauważyłam, że jego ubranie wciąż było wilgotne.

Znów świeciło światło. Wciągnęłam na siebie zimne ciuchy, z utęsknieniem myśląc o ciepłych kocach, po czym i ja wyruszyłam na górę. Na zewnątrz wciąż było ciemno. Deszcz ustał, zamiast tego w powietrzu unosiła się ciężka biała mgła. Lotnisko wyglądało jak nawiedzone przez duchy, opustoszałe - ale nienaruszone. Nie rozumiałam, po co Grayson mnie obudził.

- Co się dzieje? - spytałam, gdy wsiadłam do jego wozu. - Czy tornado uderzyło?

- Nie tutaj - odpowiedział. - Ale kilka osób zginęło. Mieszkali w przyczepach, kilka okręgów stąd.

Normalka. Przeszedł mnie dreszcz.

- Ale teraz już po burzy - dodał - więc zawiozę cię do domu.

- A nie mogłeś dać mi się wyspać? Potem bym sobie poszła - spytałam.

- Nie. Alec mógłby tu się zjawić wcześniej rano i cię zobaczyć.

- A nie możesz mu powiedzieć prawdy? To znaczy, że chciałeś ocalić mnie przed śmiercią, więc przywiozłeś mnie do tego schronu i spałeś na podłodze, po drugiej stronie, przez kilka minut coś tam nawet się działo, ale w końcu „tego” nie zrobiliśmy?

Pickup podskoczył, zjeżdżając z szosy na wysypaną żwirem drogę prowadzącą przez kemping.

- I tak pomyślałby, że to zrobiliśmy - powiedział cicho Grayson. Żwir zachręścił pod oponami, kiedy wóz zatrzymał się przed moją przyczepą.

- Gdybym mu powiedział, zrozumiałby, że tego chciałem. On dość dobrze mnie zna.

Chociaż było mi zimno w ręce i nogi, na te słowa w sercu poczułam gorąco.

Westchnął, odsunął od siebie tę myśl i przeszedł do rzeczy.

- Wyśpij się, dzisiaj możesz do pracy przyjść później. Wymyślę

coś, żeby powiedzieć Alecowi. Albo zdrzemniesz się podczas przerwy. Najważniejsi są ludzie... - Dotknął kciuka.

- Potem ja, potem samolot, potem baner. Wiem. - Wyskoczyłam z wozu i przeszłam przez podwórze, wkurzona jak rzadko kiedy, bo zdałam sobie sprawę, że za każdym razem, kiedy coś naprawdę zaczynało grać między mną a Graysonem, on zawsze zmieniał temat i przechodził do interesów, albo zaczynał mówić o Alecu, co w jego wypadku znaczyło jedno i to samo. Potknęłam się o miniaturowy kanion wyżłobiony przez deszcz. Tyle tylko zdołały działać szalejące żywioły. Przyczepa połyskiwała w światłach reflektorów wozu Graysona. Pomyślałam, że przetrwa nas wszystkich, jak karaluchy wojnę atomową. Wszyscy pomrzemy, a ona dalej będzie tu stać.

- Naprawdę śpi? - zawołałam półgłosem do Aleca, na tyle tylko głośno, żeby mój głos przebił się przez szum wentylatorów pracujących w hangarze.

Siedzieliśmy oboje na ogrodowych krzesłach. Właśnie zaczęłam jeść lunch, Alec kończył swój, a Molly była na zewnątrz i przygotowywała następny baner dla niego. Spodziewałam się, że dzięki Molly będzie w pracy zabawniej i sytuacja przestanie być taka niezręczna. Sama mówiła, że wzięła tę robotę, żeby mnie strzec. Tymczasem prawie wcale jej nie spotykałam, bo nasze posiłki i przerwy nie nakładały się na siebie. A kiedy zdarzało nam się zamienić kilka słów, zachowywała się dziwnie, jakby coś było nie do końca w porządku.

A może to tylko moje własne urojenia, może jeszcze nie przyszedłam do siebie po traumie na przyjęciu u Francie?

Grayson leżał na kanapie przede mną i Alekiem, kurz najwyraźniej mu nie przeszkadzał. Najpierw mówił o turbulencjach, które zresztą wszyscy odczuliśmy tego ranka, bo robiło się coraz cieplej i słupy gorącego powietrza unosiły się znad plaży. Potem zamknął oczy, ale dalej brał udział w rozmowie, odpowiadał na to, co mówiliśmy ja i Alec... Coraz wolniej i wolniej... A teraz wyglądał dokładnie tak jak nocą w piwnicy. Spokój na twarzy, ciało rozluźnione - co wyglądało dziwnie.

Alec skinął głową.

- Spędził tu całą noc i pilnował samolotów. Ciekawe, co by zrobił, gdyby zupełnie przypadkiem tornado rzeczywiście trafiło właśnie tutaj. Trzymałby pipery rękami, żeby nie odleciały z wiatrem?

Bałam się przyznać, że poprzedniej nocy zadałam Graysonowi to samo pytanie, więc tylko wzruszyłam ramionami. Przecież czuwanie Graysona nie miało nic wspólnego z samymi samolotami. To była kwestia niepokoju, odpowiedzialności, bezradności. Po prostu musiał coś zrobić. Cokolwiek. Poza tym to czuwanie miało też coś wspólnego ze mną, choć niedużo.

Alec wstał i wyrzucił opakowanie do śmieci.

- Sprawdź, czy Molly nie potrzebuje pomocy, a potem startuję. Nie budź Graysona, nawet jeżeli będziesz miała już lecieć, dobrze? Niech się wysypia. A jeżeli potem będzie się ciebie czepiał, zwał wszystko na mnie.

Przechodząc obok, ścisnął moje ramię.

Skinęłam głową, wciąż patrzyłam na Graysona. Alec rozplątał się w skwarze popołudnia. Na pasie startowym dwupłatowy steerman pana Simona rozpędzał się przed startem. Jeden z jego pracowników zabrał pasażera na przejażdżkę; tak jak Mark miał zabrać mnie. Odległy rumor silnika odbijał się od metalowych ścian, zmieszany z brzęczeniem wentylatorów, ale Grayson nawet nie drgnął. Obserwując go, odgryzłam kolejny kęs kanapki.

Jedną nogę wyciągnął rozprostowaną, aż wystawała poza krawędź kanapy, za jej boczne oparcie, drugą podkulił. Ramiona skrzyżował na piersi, jakby sam siebie obejmował. Głowę przechylił trochę na bok, twarzą w moją stronę. Sen złagodził jego rysy. Zmierzwił włosy opadały mu na czoło i policzki, odcinały się od poduszek sofy. W tamtej chwili popatrzyłam na niego inaczej: nie jak na młodego Amerykanina, który boryka się z rodzinnym interesem oraz własnym zdrowiem psychicznym, lecz jak na brytyjskiego nastolatka odsypiającego noc spędzoną na mieście, takie-

go, co to szaleje po całym Londynie, słucha jakiejś dziwnej muzyki, a słomkowy kowbojski kapelusz nosi raczej dla hipsterskiego fasonu, a nie dla ochrony przed słońcem. Tak, przypominał Anglika: wysoki, z długim nosem i szczupłymi dłońmi (choć zazwyczaj poplamionymi smarem).

Może to nie było w porządku, że przyglądałam mu się, kiedy spał i nie zdawał sobie z tego sprawy w dodatku opychałam się przy tym sandwiczem - jakby on był filmem odtwarzanym dla mojej rozrywki, a ja widzem wsuwającym popcorn. Ale przecież z drugiej strony, poprzedniej nocy to on obserwował mnie podczas snu, więc mieliśmy remis. Skończyłam jeść, wyrzuciłam opakowania do kosza. Jednak zamiast iść do samolotu, usiadłam z powrotem na krześle, blisko Graysona. Nie, nie dlatego, żeby potrzebował mojej opieki. Przecież nikt by tam nie wszedł i nie napadł go, nawet Mark - bo podczas dnia pracy wuj z pewnością dbał, żeby Mark miał się czym zająć. Zresztą Alec miał rację: nie należało budzić Graysona. Pomyślałam, że będzie się złościł, bo pozwoliliśmy mu spać, ale miałam przygotowaną odpowiedź. Skoro był tak niewyspany, że zapadł w sen podczas rozmowy, oznaczało to, że jest zbyt zmęczony, żeby latać, dopóki choć trochę nie odeśpi zarwanej nocy.

Powinnam była go zostawić, niech sobie śpi - i wracać do roboty. Coś jednak mnie powstrzymywało. Jego pierś pod opiekuńczym uściskiem ramion i czerwonym T-shirtem unosiła się i opadała szybciej. Brwi poruszyły się, jakby przez ułamek sekundy ujrzał coś strasznego.

Blisko hangaru zaryczał motor silnika. To Alec odpalił swojego pipera. Odgłos nie był tak ogłuszający jak podczas startu, ale rozległ się na tyle blisko, że cały hangar aż zawibrował. Szum wentylatorów był przy tym warkocie jak brzęczenie muchy.

Grayson poderwał się gwałtownie, usiadł, trzymając się jedną dłonią za oparcie sofy, drugą za jej poduszki. Patrzył prosto

na mnie, z otwartymi ustami, z szeroko otwartymi oczami. Wokół unosił się tuman kurzu wzbity jego nagłym ruchem. Drobinki pyłu mieniły się i wirowały w smudze słonecznego światła wpadającego przez wrota hangaru. Spytał:

- Mój ojciec i Jake. Czy oni nie żyją?

Pomimo upału zimno mi się zrobiło. Mogłam tylko wyobrazić sobie, jakiego to psikusa spłatała mu podświadomość. Rodzinny obiad, podczas którego na tej samej kanapie siedział jego ojciec i Jake. Rodzinna kłótnia, wtedy nie do zniesienia, ale teraz dałby wszystko, żeby ją powtórzyć, bo to była ich ostatnia kłótnia.

Skinęłam głową.

Zamknął oczy.

- A gdzie Alec? - spytał cicho.

Odgłos samolotu Aleca oddalił się już, ale głos Graysona nadal był ledwo słyszalny pośród szumu wentylatorów. Machnęłam ręką w stronę pasa.

- Właśnie startuje.

Grayson skrzywił się. Zsunął nogi z kanapy, opuścił je na podłogę, pochylił się i zasłonił twarz dłońmi.

- To niesprawiedliwe - wyszeptał przez palce.

Chciałam go objąć i powiedzieć, że tak, też uważam to za niesprawiedliwe. Ale przez te kilka dni był wobec mnie szorstki, okrutny. Wyraźnie dawał do zrozumienia, czego ode mnie chce i niczego więcej. Pocięchy ode mnie nie chciał.

Zaszlochał w dłonie. Bezgłośnie, ale zorientowałam się po ruchu jego ramion.

Tylko raz.

Dwoma krokami przebyłam dzielącą nas betonową przestrzeń podłogi, siadłam obok niego na kanapie i objęłam ramieniem. Siadając, znów wzbijałam chmurę kurzu. Powietrze wokół nas wypełniło się złotymi iskierkami.

Teraz, kiedy go dotykałam, poczułam, jak szybko oddycha. Próbował nad tym zapanować, nie rozkleić się do końca. Zmusił się, żeby oddychać głęboko, wolniej, potem otarł twarz dłońmi. Odwrócił się do mnie, miał oczy mokre i zaczerwienione.

- Nie mów Alecowi.

- Nie powiem - zapewniłam. Warknął:

- Jak powiesz, to cię zniszczę.

Usłyszałam własny okrzyk zaskoczenia. Odsunęłam się, wstałam i wróciłam na krzesło.

- Nie musisz mnie straszyć ani mi grozić. Obiecałam, że mu nie powiem, więc mu nie powiem.

Przesunął dłonią po jednodniowym zarostzie, nie miał kiedy się ogolić.

- Przepraszam. Masz rację. - Pociągnął nosem. - Chyba za mało spałem tej nocy.

- Też mi się tak wydaje - rzuciłam oschłym tonem i wstałam. - Lecę.

- Lea, naprawdę strasznie cię przepraszam - odezwał się, a jednocześnie popatrzył na mnie błagalnie.

Wyłączyło mi się myślenie. Odruchowo przemierzyłam z powrotem dzielącą nas przestrzeń i położyłam dłoń na jego włosach. Zaskoczyło mnie, jakie są miękkie w porównaniu z tymi drutami, które mam na głowie. Wsunęłam w nie palce, aż opuszki musnęły skórę jego głowy.

Tym razem nie zesztyniał, przytulił głową do mojej ręki. Trwało to cztery, może pięć sekund.

Potem cofnął się i wstał.

- Też zaraz startuję, tylko najpierw muszę się pozbierać do kupy.

Poszedł do łazienki.

Tak, wiedziałam, jakie to uczucie. Kiedy człowiek myśli, że panuje nad żalobą, a ona nagle wymyka się spod kontroli. Niespodziewanie, przy innych ludziach. Dlatego wtedy pobiegłam do łazienki i próbowałam zmyć z siebie żal. Owszem, przeprosił mnie, ale nawet nie przyszło mu do głowy, że zachowuje się dokładnie tak samo jak ja wtedy, w poniedziałek rano, kiedy myślał, że udaję.

Stłumiłam w sobie gniew. Bezsensowny gniew, bo przecież było jasne, że w tamtej chwili nie był w stanie czegoś takiego pojąć. Nic nie liczyło się tak bardzo jak jego strata.

To Grayson wpadł na pomysł, żeby wieczorem pójść posurfować. Alec i Molly byli zachwyceni pomysłem. Nawet domyślili się, że raczej nie mam deski, ale Molly miała dwie, więc jedną mogła mi pożyczyć. Ba, wpadli nawet na to, że nie umiem surfować, ale to przecież łatwe. Raz, dwa mnie nauczą. Co to, to nie - pomyślałam. Byłam pewna, że jakoś się wywinę.

Bo tak czy inaczej, brzmiało to jak naprawdę fajna odmiana po poprzednich wieczorach. A więc najpierw kolacja w knajpce Molly. Molly miała tam przywieźć z domu swoje deski. Alec przyniesie swoją z apartamentu pana Halla, po czym udamy się na brzeg oceanu w okolicy chaty Graysona. Zapowiadało się na to, że przy odrobinie szczęścia nie pojawi się zbyt wiele okazji, żebyśmy zostali z Alekiem sam na sam. Nawet całus na dobranoc dostosuje się do ogólnego trendu i potrwa znów krócej niż poprzednio. A skończymy imprezować wcześniej, żeby Grayson mógł odespać poprzednią noc.

Kiedy znaleźliśmy się na plaży, niebo było jasnoróżowe z fioletowymi chmurami, pod nimi falowały ciepłe wody oceanu w kolorze ciemnego błękitu. Trudno było się dziwić, że Molly i Alec natychmiast pobiegli do wody, potem klap! na deski i powiosłowali rękami w stronę horyzontu.

W ten sposób szczęśliwie zostałam sama, czułam się, jakbym wykręciła się od egzekucji. Ułożyłam deskę pożyczoną od Molly

na piaseczku i siadłam na niej. Fale oceanu obmywały moje stopy. Tak, stopy mogły sobie obmywać.

Szumiały przy tym tak głośno, że nie słyszałam zbliżających się kroków Graysona, który poszedł do swojego domku po deskę. Wetknął ją w piach i oparł się o nią. W każdym calu wyglądał na opalonego luzaka, rasowego surfera.

Ale słowa go zdradziły. Nie był w stanie wyluzować. Nawet na plaży bez przerwy coś knuł.

- Zostawili cię? - Spojrzał w stronę horyzontu. - Będziesz się dąsać, że niby jesteś zazdrosna? Nieźle, ale wtedy sobie nie poszalejesz na desce. Chodź, zmiana planu. Dołączymy do nich.

Wyciągnął rękę, żeby pomóc mi wstać. Nie wyciągnęłam swojej.

- Nie umiem pływać - powiedziałam. Szczeka mu opadła.

- Nie umiesz pływać?!

Ciekawe, co miałabym na to odpowiedzieć. A i on puścił głupi tekst. To jego „nie umiesz pływać?” wypowiedziane z takim niedowierzaniem, jakby pytał mnie, czy jestem tego pewna. Może tylko mi się wydaje?

Patrzyłam na fale i marzyłam, żeby zagrzebać w piasku całą siebie, nie tylko stopy. Nie dawał za wygraną.

- Przecież masz osiemnaście lat.

Ile można wałkować ten temat? Westchnęłam ciężko. Przez szum wiatru i fal nie dosłyszał w tym westchnieniu frustracji. A może guzik go to obchodziło.

- Dlaczego nie nauczyłaś się pływać?

Wreszcie spojrzałam na niego. Nawet zdziwiłam się, jak wyraźnie go widzę w świetle zachodzącego słońca. Jego blond kędziory lśniły jak aureola. Z pewnością on widział mnie równie wyraźnie, miał mnie jak na dłoni.

- A kto ciebie nauczył pływać? - spytałam. Odpowiedział machinalnie:

- Mój oj... Urwał.

No właśnie, a ja nigdy nie miałam ojca.

- No właśnie: oj - powtórzyłam głuchym tonem.

Gdy tylko samą siebie usłyszałam, skrzywiłam się niemiłosiernie. Sarkazm to broń dla małych dzieci. Nieraz posługiwałam się tą bronią w podstawówce i później, a udało mi się w ten sposób osiągnąć jedynie, to, że obrywałam w kiblu od innych dziewczyn. A tym razem przesadziłam. Grayson pomyśli sobie „oho, przypomina mi, że trzeba się nad nią żalić” i będzie mnie przepraszał. Dajmy już sobie z tym wszystkim spokój. Im mniej powiemy, tym lepiej.

Rzucił deskę na piach i usiadł obok mnie.

- Hej. - Wcisnął stopę pod piach i przesunął ją jak pod dywanem, aż dotknął paluchami mojej pięty - Przepraszam.

- Nie ma za co.

Patrzyłam w stronę, gdzie zniknęli Molly i Alec. Słońce już całkiem schowało się za horyzontem, teraz czarne niebo i czarny ocean różniły się tylko tym, że po oceanie wędrowały białe grzywy fal. Wolałabym oglądać to z powietrza. Tam przynajmniej miałam nad czymś kontrolę.

- W lecie nauczę cię pływać - odezwał się Grayson. - Teraz to ani czas, ani miejsce, bo są fale i jest ciemno, ale w lecie będziemy mogli pójść na basen w apartamentowcu mojego ojca i wtedy cię nauczę.

Nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć. Chciałam po prostu, żeby powiedział, co ma do powiedzenia, i dał już sobie z tym spokój. Nie miałam pojęcia, co będę robić latem, ale jednego byłam pewna: nie będę pluskać się z Graysonem w basenie luksusowego apartamentowca położonego w samym sercu luksusowej dzielnicy.

Mogłam sobie snuć takie fantazje, ale w realu nigdy do tego nie dojdzie.

- Nie możesz tak siedzieć i truć się tym wszystkim - mówił tymczasem Grayson. - Lea, z tym trzeba coś zrobić. I to samo z prowadzeniem samochodu. Nie możesz tak żyć. Twój świat jest strasznie mały.

Ze zbolałym wyrazem twarzy, którego nie potrafiłam powstrzymać, przesunęłam dłonią po gardle, dając mu znak, żeby wreszcie się zamknął. Pomimo zapadającego zmroku wciąż widziałam go całkiem wyraźnie i wiedziałam, że on też mnie widzi.

Nie dał się jednak uciszyć.

- Przecież cię nie obrażam. Po prostu mówię, że kiedy ktoś daje ci możliwość nauczenia się czegoś nowego, zrobienia czegoś innego, wyrwania się z tego miasta - powinnaś skorzystać. Ze względu na ciebie nawet trochę mi szkoda, że nie dostałaś tej pracy przy opryskach u pana Simona.

- Mówiłeś, że Mark po prostu chciał mnie przelecieć - mruknęłam niewyraźnie.

- Mówiłem i miałem rację - odparł Grayson urażonym tonem. - Tego nadal jestem pewien. Natomiast myślę, że byłabyś najlepszym pilotem w tej branży. Wiesz, oni naprawdę nisko latają. A ty lubisz dreszczyk emocji, przy czym jednocześnie potrafisz zachować spokój. I dzięki temu się nie zabijesz. Mark też lubi ten dreszczyk, ale nie potrafi panować nad sobą. To taki typ, który patrzy za siebie, żeby zobaczyć, jak blisko stodoły przeleciał i zapomina patrzeć, co ma przed sobą. Prędzej czy później rozwali sobie łeb. Myślę, że prędzej. Wiem, o czym mówię, bo ja też lubię adrenalinę i też słabo nad sobą panuję. Dopiero niedawno dotarło do mnie, że nie powinienem pakować się w takie sytuacje. W Gwiezdnym wojnach Obi Wan Kenobi mówi do Dartha Vadera: „Jeżeli mnie pokonasz, stanę się potężniejszy, niż jesteś w stanie to sobie wyobrazić”. Czy jakoś tak.

Zaśmiałam się, słysząc Graysona bezbłędnie naśladowującego angielski akcent. Znów przyszło mi na myśl, że wygląda jak Anglik, z tym długim nosem i palcami, i sylwetką przywodzącą na myśl gwiazdę rockową z lat sześćdziesiątych.

- Czasami wydaje mi się, że to właśnie stało się z moim ojcem - powiedział.

„Że co, że połączył się z Mocą?” - przemknęło mi przez myśl. Oczywiście nie powiedziałam tego, nie mogłam przecież żartować na temat jego ojca. Przypomniało mi się, co Alec powiedział o Graysonie, że coś z nim jest nie w porządku. Spytałam więc bardzo ostrożnie i empatycznie:

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Bo wiesz, on mi ciągle powtarzał: „Umrzesz młodo. Wyrzucą cię z każdej roboty, jaką kiedykolwiek dostaniesz. Nie potrafisz być przewidujący. Nie potrafisz się skupić. Kiedyś się zabijesz”. Aż może w końcu uznał, że nie ma innego sposobu i że musi umrzeć, żeby mnie przekonać.

O rany. Omal nie jęknęłam na te słowa, na szczęście się powstrzymałam. Spojrzałam na niego, ale widziałam tylko zarys jego głowy z profilu na tle ciemnej plaży. Patrzył w ocean, tak jakby mówił sam do siebie. Zastanawiałam się, czy zwierzył się już komuś z tych przemyśleń.

Spokojnym tonem, wcale a wcale nie dając po sobie poznać zgrozy, jaka mnie ogarnęła, głosem jak podczas rozmów przez radio, powiedziałam:

- Twój tato umarł, bo nie dbał o siebie i nie chciał iść do lekarza, aż w końcu miał zawał.

Grayson ani nie skinął głową, ani nie zaprzeczył. Nawet nie drgnął i dziwnie to wyglądało. Spytał:

- Czy byłaś ostatnią osobą, która widziała go żywego? Skrzywiłam się, ale on patrzył w stronę morza, więc tego nie widział.

- Zastanawiałam się nad tym - odpowiedziałam. - Rzeczywiście, miałam z nim lekcję dzień przed tym, jak Admirał go znalazł. Ale z drugiej strony, nieraz potem wpadał gdzieś na kolację. Na przykład często bywał w knajpce rodziców Molly, bo mu było po drodze do domu. Jednak nie wypytywałam ludzi. Odszedł i pomyślałam sobie, że najlepiej pozwolić mu odejść.

Tak właśnie chciałam o nim myśleć i tak go pamiętać: jak narzuca płaszcz, zagląda do biura lotniska, żeby powiedzieć mi „do widzenia”, a potem odjeżdża swoim samochodem w zimową noc.

- A ostatnie słowa, jakie od niego słyszałaś? Zastanowiłam się.

- Podczas lekcji był raczej przygnębiony. Kiedy wylądowaliśmy, spytałam go, dlaczego ostatnio nie siaduje na ganku biura z Admiralem. Przedtem, kiedy przychodziłam do pracy, zwykle już tam byli.

- I co powiedział?

- Że ostatnio było za zimno.

- Sama widzisz. Jakby coś przewidywał. Jakby chciał tej śmierci. Zaczęło mi być niewygodnie na twardej desce, poruszyłam się. Nie, nie mogłam strawić takiego sposobu myślenia. Grayson za wszelką cenę chciał zwinąć winę na siebie.

- Raczej trochę przestało mu zależeć. Przynajmniej tak mi się wydaje - powiedziałam. - Ostatni raz zadawał się z jakąś kobietą, właśnie wtedy, kiedy zaczęłam pracować na lotnisku. Potem przeprowadziła się na Florydę, żeby opiekować się swoją matką. A on nie chciał przenieść się razem z nią, bo chciał być bliżej was. Więc zerwali ze sobą.

- Co? - zawołał Grayson. - Nigdy nie słyszałem o... Właśnie, jak miała na imię?

- Sofie.

- Sofie - powtórzył, a potem spytał nienawistnym tonem: -A ile miała lat?

- Była w jego wieku. Po pięćdziesiątce. Czy też raczej przed pięćdziesiątką, bo to było trzy lata temu.

- Często się widywali?

- Tak, przyjeżdżała na lotnisko prawie codziennie. Pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Jak to możliwe, że nic o niej nie wiedziałem?

- Nie było cię tutaj. Podobno nie chcieliście się z nim widywać, nawet jeżeli wypadał jego weekend.

- To dlatego, że grałem w koszykówkę - zaprotestował Grayson - a Alec uprawiał zapasy. Ja miałem mecze, on miał zawody - na których ojciec nigdy się nie pojawiał.

- Bo myślał, że nie chcecie. Wargi Graysona rozchyliły się.

- On ci to powiedział?

- Tak. - Nie zamierzałam okłamywać Graysona. Koniecznie chciał dowiedzieć się więcej o życiu i śmierci pana Halla, próbował jakoś to sobie poukładać. Między chłopakami a ojcem nie układało się najlepiej. Fakt, nie chciałam jednak, żeby Grayson wysnuwał z tego zbyt daleko idące wnioski. - Nie wiem, czy to ma jakiś sens, żeby teraz roztrząsać takie sprawy i próbować dojść, kto co myślał, czy kto był w błędzie. Ja tylko mówię, że różni ludzie widzą sprawy na różne sposoby, a on widział właśnie tak. No i faktem jest, że kiedy Sofie wyjechała, przestał o siebie dbać. Przybrał na wadze, a to zwiększa prawdopodobieństwo zawału. A potem zginął Jake i pan Hall bardzo to przeżył. Ale jedno musisz zrozumieć. - Wyciągnęłam rękę i położyłam dłoń na jego kolanie. Jego skóra była chłodna w dotyku. - Twój ojciec nie był kimś tak okrutnym, żeby chcieć wpłynąć przez swoją śmierć na twoje życie. Jeżeli naprawdę w coś takiego wierzysz... To po prostu wybij to sobie z głowy.

Potarłam jego kolano. Tylko raz, potem cofnęłam rękę.

- Tak dużo o nim wiesz - rzekł cicho Grayson. - Znałaś go lepiej niż ja.

- Widywałam go prawie codziennie - wyjaśniłam. - W grudniu zeszłego roku, kiedy was wszystkich tu nie było, jeśli tylko nie spałam i nie byłam w pracy albo w szkole, ćwiczyłam pod jego kierunkiem loty z banerami. To dziwne, jak wielu ludzi spędza mniej czasu z własną rodziną, zwłaszcza jeżeli nie mieszkają razem, za to o wiele więcej z zupełnie obcymi osobami.

Niewątpliwie było to stwierdzenie prawdziwe w odniesieniu do mojej własnej tak zwanej rodziny. Wiedziałam tylko, że moja matka w zeszłym tygodniu była z facetem imieniem Roger. Ale to mogło już się zmienić, bo często się zmieniało. Ciekawa byłam, z kim mógł w tamtej chwili spędzać czas mój ojciec. Odpowiedź: ba, z kimkolwiek. Dokładnie z kimkolwiek.

Grayson odwrócił się do mnie, jedną ręką oparł się o deskę, podkulił nogi.

- Nigdy przedtem tak ze sobą nie rozmawialiśmy, ty i ja. Ale mój ojciec nieraz mówił o tobie, a teraz ja odkrywam to samo.

Uśmiechnęłam się.

- Ale co mówił? Że jestem przewrażliwiona na swoim punkcie? Grayson potrząsnął głową.

- Nie, to zauważyłam już dużo wcześniej. Zupełnie co innego. Mój ojciec opowiadał nie raz i nie dwa taką historyjkę o tobie: miałaś czternaście lat i pracowałaś od kilku tygodni na lotnisku. Kojarzył cię z widzenia. I pewnego dnia weszłaś do jego hangaru i powiedziałaś, że chcesz lekcję pilotażu. Właściwie zażądałaś tej lekcji i rzuciłaś na biurko pieniądze, odliczone co do centa.

Nie rzuciłam pieniędzy, tylko je położyłam. Ale reszta się zgadzała.

- Zależało mi na tej lekcji - powiedziałam - więc ubzdurałam sobie, że jeżeli zapłacę mu z góry gotówką, nie będzie mógł odmówić. Dlaczego opowiedział ci tę historyjkę?

- Jak powiedział, w tamtej chwili zorientował się, że masz siłę charakteru i motywację. Czyli - byłaś wszystkim tym, czym ja nie

byłem. Kiedy znudziło mu się stawiać mi za przykład Jakea czy Aleca, stawiał ciebie za przykład.

Nieźle. Pan Hall przedstawiał mu jako wzór do naśladowania jakąś obdartuskę ze slumsów? Nic dziwnego, że Grayson nie może mi tego darować.

- I co? Uwierzyłeś mu?

- W co? - spytał Grayson.

- No, że mam charakter i motywację? Popatrzył mi prosto w oczy i powiedział:

- Nie, myślałem, że on cię posuwa.

I to by było na tyle, jeżeli chodzi o przyjacielską pogawędkę. Teraz ja odwróciłam się w stronę Graysona.

- Skoro już tak szczerze sobie rozmawiamy, to jakiś czas temu zdarzyło mi się wejść do hangaru i usłyszeć, jak mówisz Alecowi i Jakebwi, że twój ojciec udziela mi lekcji pilotażu w zamian za seks. Uraziłeś mnie wtedy do żywego i od tej pory bardzo straciłeś w moich oczach.

Gapił się na mnie przez chwilę, potem otworzył usta, żeby coś powiedzieć.

Zanim zdążył, dodałam:

- Mężczyźni zawsze tak traktują kobiety, kiedy czują się zagrożeni. Powtarzają wszystkim, że kobieta na pewno robi laskę facetowi, bo przecież to niemożliwe, żeby odniosła sukces w jakiś inny sposób.

Grayson odzyskał głos.

- Po pierwsze - odezwał się na tyle głośno, że zamrugnął, kiedy usłyszał sam siebie. Obejrzał się przez ramię, żeby sprawdzić, czy ktoś nas nie usłyszy. Na plaży nie było nikogo. Pochylił się i dokończył ściszym głosem: - Nigdy nie czułem się przez ciebie zagrożony. On był moim ojcem, nie twoim.

Popatrzyłam na swoje dłonie, którymi rysowałam jakieś wzorki w piasku. Nagle zrobiło mi się wstyd. Pewnie, że byłam wściekła na Graysona za te słowa wygłoszone rok i cztery miesiące wcześniej. Nadal uważałam, że mam do tego prawo. Tylko że teraz,

cholera, wyszło to tak, jakbym chciała źle mówić o jego relacjach z ojcem, a takiego zamiaru na pewno nie miałam.

- A po drugie - ciągnął - weszłaś w trakcie rozmowy. Nie wiedziałem, że słyszysz i nie powiedziałem tego, żeby cię obrazić. Po co miałbym cię obrażać? Nie miałem powodu. Prawie cię nie znałem. Pomyślałem, że coś w tym musi być, bo rodzice rozwiedli się właśnie po tym, jak on zdradził mamę. Z dziewczyną, która miała dwadzieścia pięć lat. Co za ohyda.

- No, może. Ale ile on wtedy miał lat? Czterdzieści parę, prawda?

- Tak! - wykrzyknął Grayson, na nowo pałał oburzeniem.

- A więc oboje byli pełnoletni - stwierdziłam. - Czterdzieści cztery lata i dwadzieścia pięć to spora różnica wieku, ale to zupełnie co innego, niż kiedy facet ma pięćdziesiąt jeden lat a dziewczyna siedemnaście. I właśnie tak przedstawiała się sytuacja w zeszłym roku, kiedy przyszedł ci do głowy ten chory pomysł.

Grayson popatrzył na mnie spode łba.

- Co go tak bronisz?

- Ja i twój ojciec nie byliśmy kochankami - oświadczyłam stanowczo. - Nigdy, ani razu. Nie wierzysz?

Rysy Graysona zelżały. Nie był już taki wkurzony, ale nie zamierzał też dać za wygraną.

- Wierzę ci, wierzę. Nie rozumiem jednak, jak możesz mówić, że to, co zrobił, nie było niczym złym. To on nas porzucił, nie odwrotnie.

- Zrobił to dlatego, że wasza matka chciała, żeby przestał latać - powiedziałam. - Owszem, zdarza się, że ktoś bierze z kimś ślub i potem próbuje sprawić, żeby druga osoba zrezygnowała z jakichś drobnych a irytujących przywar. Na przykład, żeby ktoś tam nie upijał się co wieczór zgrzewką browaru. Albo żeby nie wynosił telewizora do lombardu. Tylko, że ona chciała, żeby twój ojciec stał się zupełnie kimś innym. Żeby przestał być sobą.

- Nic podobnego! - oburzył się Grayson. - Nie chodziło jej o to, żeby w ogóle przestał latać. Chodziło o to, żeby przestał latać

zawodowo. Wujek miał dla niego posadę w firmie ubezpieczeniowej.

- Czy ty siebie nie słyszysz? - odpowiedziałam tak samo podniesionym głosem. - Potrafisz sobie wyobrazić swojego ojca jako urzędasza w firmie ubezpieczeniowej? I w ogóle, żeby przyjął pracę, którą załatwił mu szwagier? Wyobrażasz sobie, żeby miał pracować dla kogoś innego i to kogoś z rodziny twojej matki?

Spokój. Po co tak się unosić? Klóciliśmy się niczym żyjące ze sobą długo i nieszczęśliwie małżeństwo, tylko że role się odwróciły. Grayson przemawiał głosem rozsądku, głosem żony - a ja głosem pana Halla, który stracił panowanie nad sobą

No, ale nie mogłam uwierzyć, że Grayson nie potrafi zrozumieć swojego ojca. Należało to powiedzieć wyraźnie:

- A twoja mama pewnie nawet powiedziała, że przecież może sobie latać na boku, traktując to jako hobby, ale znalazłaby jakiś sposób, żeby i to mu odebrać. Cessna przestałaby być narzędziem pracy, a stałaby się zabawką. W końcu doprowadziłaby do tego, że sprzedałby ją.

Grayson pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Chcesz przez to powiedzieć, że można wytłumaczyć jego zdradę? Rzeczywiście, też nie uważałam, że to wystarczy, by zburzyć całe dotychczasowe życie, odwrócić się plecami do żony i trzech synów. Żeby odejść. Nie czułam się jednak kompetentna w kwestiach tego, czemu mężczyźni odchodzą czy zostają.

- Wiem tylko tyle, co od niego usłyszałam. I chcę tylko powiedzieć, że niektórzy postępują dużo gorzej.

Zaśmiał się ponuro.

- To znaczy, że tobie zdarzało się postąpić dużo gorzej?

- Nie - zaprzeczyłam głośno. - A co, myślałeś, że jak najbardziej? I to właśnie dlatego zażądałeś, żebym podrywała Aleca, prawda? Tobie się wydaje, że rozkładam nogi dla każdego, kto zechce. Wykombinowałeś sobie, że jestem jakąś lotniskową kurwą.

Zaśmiał się krótko.

- Ale Mark mieszkał z tobą w przyczepie.
- Tylko przez tydzień i w dodatku to był pomysł mojej matki.
- Twojej matki! - syknął Grayson.
- Żebyś wiedział.

Cóż. Jego matka nie potrzebowała, żeby ktoś dorzucił się do czynszu. Większość ludzi w naszym wieku nawet nie słyszała o kimś, kto by tego potrzebował. Tak, tak. Niejednego nauczyłam się dzięki przyjaźni z Molly. Chyba najwyższy czas zmienić temat.

- Aha. Przez ten tydzień... Nie zamierzam ci wmawiać, że przez ten czas nic się między mną a Markiem nie wydarzyło, ale do tego, o czym myślisz, nie doszło wcale.

Jedna z blond brwi Graysona podniosła się w wyrazie zdumienia i niedowierzania.

- A przedtem?
- Z Markiem? Nigdy - odpowiedziałam.
- A z kimkolwiek innym?

Zaraz, zaraz. To przecież nie jego sprawa. Chociaż, niech będzie. Ja też tego wieczoru wtrącałam się w nieswoje sprawy. Odwróciłam się do oceanu i wyprostowałam obie nogi, aż stopy dotknęły złowrogich fal. Odpowiedziałam:

- Raz, kiedy miałam czternaście lat.
- Czternaście! - zawołał. - Kiedy miałem czternaście lat, nie potrafiłem nawet zawiązać butów.
- E tam. Potrafiłeś.

Pamiętałam Graysona w tym wieku. Oboje mieliśmy po czternaście lat, kiedy wprowadziłam się do Heaven Beach. Pierwszy raz spostrzegłam go, kiedy usiłował umocować wiadro pełne wody na drzwiach hangaru Firmy Lotniczej Hall po to, żeby oblać wodą swojego ojca. A zaraz potem drzwi się otworzyły. Pan Hall nie był zachwycony żarcikiem. I właśnie tego dnia Grayson wpadł mi w oko.

- Jak to się odbyło? - dopytywał się dalej Grayson.

Nie bez trudu przeniosłam się od wspomnienia Graysona do wspomnienia o tamtym chłopaku, który odebrał mi dziewictwo.

- Mieszkałam w przyczepie, na kempingu położonym bardzo blisko bazy Sił Powietrznych. Nocami wylegiwaliśmy się w trawie tuż za płotem, tam, gdzie kończył się pas startowy. Jaraliśmy jointy i patrzyliśmy na samoloty, które przelatywały tuż nad naszymi głowami.

Grayson zaśmiał się.

- Fajnie musiało być. Gdybym mieszkał w tamtym mieście, na pewno siedziałbym tam z wami.

Akurat - pomyślałam. - Już twoja matka zadbałaby, żebyś nie zadawał się z taką hołotą.

- Któregoś dnia - odezwałam się na głos - koleś podkradł bratu nie tylko splifa, ale i prezerwatywę. No i zrobiliśmy to.

Grayson zmarszczył brwi.

- Jak było? Okropnie?

- Nie, wcale nie okropnie. Miałam ochotę to powtórzyć.

- Ale to chyba nie koniec historii, prawda? Czy „zrobiliśmy to” i już?

- Chcieliśmy to zrobić jeszcze raz, ale tamtemu chłopakowi nie udało się już więcej ukraść prezerwatywy. Musiałam wybierać, czy robić to bez gumy, czy nie robić tego wcale. Opuściłam sobie. Kiedy teraz się nad tym zastanawiam i pamiętam, jaka wtedy byłam, jaka wkurwiona i zagubiona, nie mogę uwierzyć, że się na to zdobyłam. Zanim przenieśliśmy się tutaj, paliłam jointy. Piłam, ile się dało, chociaż nie było tego dużo. Wraz z pracą na lotnisku wszystko to się skończyło. Twój ojciec namówił mnie, żebym rzuciła palenie, a od wszystkiego innego trzymałam się z daleka ze względu na zaufanie, jakim mnie obdarzył. Nie miał wpływu na ciebie, więc zamiast tego wywarł wpływ na mnie.

Grayson zaśmiał się wzgardliwie, jakby to był jakiś żart. Popatrzyłam mu w oczy i powiedziałam:

- Mówię poważnie.

Spoglądał na mnie spode łba.

- No więc, tak jak mówiłam, wszystko zmieniło się, odkąd zatrudnili mnie na lotnisku. Jednak tę jedną decyzję podjęłam już wcześniej, to znaczy zanim poznałam twojego ojca. Matka urodziła mnie, kiedy miała szesnaście lat, to znaczy, że zrobiła „to” w wieku piętnastu lat. A moim ojcem pewnie był taki sam głupek jak ten chłopak, z którym straciłam dziewictwo. Piętnastolatek, który nie miał nic prócz fiuta. Nic a nic.

Grayson milczał. Ciszę wypełniał szum fal. Dopiero teraz przypomniałam sobie, że gdzieś tam, daleko na powierzchni oceanu, surfują sobie Alec i Molly. Odkąd pobiegli do wody, nie słyszałam już ich głosów. Pewnie prąd zaniósł ich dalej wzdłuż plaży. Tyle wiedziałam, chociaż rzadko chodziłam na brzeg oceanu.

- Pewnie chodziłabym z tym chłopakiem - podjęłam opowieść. - I gdyby przyniósł prezerwatywę, nie miałabym nic przeciwko temu, żeby robić „to” dalej. Ale zaraz potem matka stwierdziła, że przenosimy się do Heaven Beach. A on z miejsca poszedł do mojej najlepszej przyjaciółki i zaraz już byli razem. Oboje zachowali się tak, jakbym w ogóle nigdy nie istniała. Wtedy zdałam sobie sprawę, jak jedni ludzie wykorzystują drugich, Grayson. Ich związki z innymi zależą od tego, co chcą i mogą w zamian dostać. Z tamtego miasta przywiozłam wspomnienie tylko jednego pozytywnego związku. Związku z samolotami. Tymi pięknymi i groźnymi maszynami przelatującymi tuż nade mną.

Umilkłam na chwilę, a potem dodałam:

- No i proszę. Ty szantażem zmuszasz mnie, żebym spotykała się z twoim bratem i uważasz, że to dla mnie nic takiego, całować się z nim czy coś. Mark jest przekonany, że każdy może mnie mieć, więc on także. Dziewczyny w szkole ciągle puszczają teksty w tym samym klimacie. A ja tego słucham i myślę sobie: „Co? Ja?”. Owszem, był taki moment jakiś czas temu, że mogłam zostać taką właśnie laską. Ale nie zostałam i to było dawno. O co chodzi? Muszę

chyba emanować jakimiś dziwnymi wibracjami. Wy tłumacz mi, czym ja się różnię od innych dziewczyn? Grayson roześmiał się.

- Owszem, różnisz się od innych dziewczyn. Co do tego nie ma dwóch zdań.

- Niby czym?

- Jesteś super, super seksowną laską.

W tym świetle księżycy on sam wyglądał bardzo seksownie, jasne włosy lśniły, oczy kryły się pod cieniem długich rzęs. Gdybym była jego dziewczyną, a on powiedział mi, że jestem seksowna, to zaraz bym się rozkleiła, tak jak poprzedniej nocy. Ale on był moim szefem. Prowadziliśmy rzeczową rozmowę o interesach.

- Kilka dni temu - powiedziałam - Molly dała mi do zrozumienia coś podobnego, tylko ujęła to nieco dosadniej.

- Jak to ona - zauważył Grayson. - Masz szczęście, że się przyjaźnicie. Bo większość dziewczyn w szkole raczej za tobą nie przepada, co? Wczoraj na imprezie dało się to zauważyć. Co innego faceci. Na przykład Patrick.

Tym mnie rozbawił.

- Co ty, Patrick? To tylko kumpel i tyle.

- Tylko tyle, bo on wie, że szukasz czegoś innego - odpowiedział Grayson. - Niesamowite, jeżeli udało ci się trzymać tych wszystkich chłopaków na dystans przez cztery lata, to naprawdę musiałaś się starać. Aha, no i jeszcze do tego nauczyciele. Faceci-nauczyciele.

- Żadnego z nich o nic nie prosiłam - rzuciłam pospiesznie.

- Nie musisz prosić. W takich wypadkach wszystko dzieje się samo. - Kiedy nabrał powietrza w płuca, nie byłam pewna, czy to nie powiew wiatru, jednak kiedy je wypuścił, wzdychając przy tym, wiedziałam już, że coś się święci. - Czy możesz mi przysiąc, że ty i mój ojciec...

- Że mnie nigdy nie posuwał?

- Lea - upomniał mnie z wyrzutem w głosie.
- Ty to powiedziałaś, nie ja.
- Niby tak. - Skrzyżował ramiona na piersi. Czuł się skrepowany, zażenowany, a przez to wyglądał młodziej, jakby jeszcze nie miał tych osiemnastu lat. Jak bezradny chłopiec, co kontrastowało z jego muskularną piersią i ramionami. Spytał: - No dobrze, ale robiłaś to, czy nie?

- Nie!

- Okej. - Zamilkł na chwilę. - A miałaś ochotę?

Normalnie nikomu bym nie pozwoliła na takie przesłuchanie, ale nie chciałam, żeby się tym zadreślał. Jego ojciec odszedł, a Grayson musiał sobie z tym jakoś radzić. Chciał wiedzieć. I może nawet zasługiwał na to, żeby wiedzieć.

Nie sądziłam natomiast, by należało powiedzieć mu prawdę. Lubiłam przebywać w towarzystwie pana Halla, bo był dla mnie miły, przyjaźniliśmy się. Różni inni ludzie kręcący się po lotnisku - chociażby Mark - obrażali mnie już, kiedy miałam czternaście lat i starali się na wszelkie sposoby dać do zrozumienia, że nic nie jestem warta, że pan Hall nie byłby wobec mnie taki miły, gdybym nie robiła mu za to laski. Takie aluzje pojawiały się i wiedziałam, skąd się brały. Jasne, że tak to mogło wyglądać. Tymczasem pan Hall był ode mnie dużo starszy i w zasadzie aseksualny, przynajmniej z mojego punktu widzenia. Traktowałam go jak dobrego ojca.

Graysonowi powiedziałam jednak inną, prostszą wersję prawdy.

- Gdyby twój ojciec był tą samą osobą tylko dużo młodszy, w moim wieku, to pewnie, że bym na niego poleciała.

Grayson spoglądał na mnie ze skrzyżowanymi na piersi ramionami, zupełnie tak samo jak pan Hall z tego starego zdjęcia, kiedy pozował jako pilot myśliwca, był wtedy zaledwie o kilka lat starszy od Graysona. Wyglądali zupełnie identycznie.

Zdałam sobie sprawę z tego, co właśnie powiedziałam.

W powietrzu między nami iskrzyło, w szumie fal odbijał się dźwięk moich słów.

- Poważnie? - spytał Grayson.

- Poważnie - potwierdziłam.

Biorąc pod uwagę te wszystkie paskudne rzeczy, które sobie powiedzieliśmy przed kilkoma chwilami, mój umysł wątpił, by doszło do tej chwili, ale w duszy wiedziałam. Wiedziałam, że tak będzie. Pochylił się, oparł rękami o piasek i przeszedł na czworakach jeden dzielący nas krok. Nasze usta spotkały się.

To był taki odlot, jakby jakiś drapieżnik chwycił mnie za gardło. Rozchyliłam wargi.

Nasze usta zmagaly się ze sobą. Napierał, aż położyłam się plecami na piasku. Zakrył mnie swoim ciałem, czułam dotyk ciepłej skóry. Jego uda owijały moje, czułam jego erekcję przez tkaninę kostiumu kąpielowego.

Pozwoliłam mu robić, co chciał i nie mogłam się doczekać, co będzie dalej. Jednocześnie jakoś tam zdawałam sobie sprawę, że dopiero co byliśmy zaprzysięgłymi wrogami, a teraz masz, leżałam pod nim plecami na piasku. Spodziewałam się, że za chwilę zda sobie sprawę z tego, co wyprawia, wyda okrzyk zgrozy i zaprzestanie tych zalotów, tak jak powstrzymał się w piwnicy biura. Ale nie, całował mnie i całował. Wreszcie postanowiłam zrobić coś, żeby z tym skończyć. I wcale nie miałam zamiaru się wycofać.

Przesunęłam dłonią i dotknęłam go przez slipy.

Znieruchomiał, rzeczywiście. Odetchnął szybko. Ale nie przestał. Jego pocałunki stały się bardziej skupione, intensywniejsze. Wepchnął mi język do ust. Całował mnie w ucho, lizał szyję, potem niżej, aż do piersi, jego oddech przyspieszał za każdą moją pieszczotą.

Zastanawiałam się, do czego to wszystko doprowadzi. Nie chciałam kochać się bez gumy, kiedy miałam czternaście lat. Zajść w ciążę w wieku osiemnastu lat to też nie był dobry pomysł. A więc

rozsądek ponagłał: powstrzymaj go. Ale ciało mówiło: pozwól mu działać. Nigdy nie czułam się tak wspaniale, nawet za sterami samolotu. Nigdy.

Gdzieś w oddali rozległ się śmiech Molly. Grayson zamarł.

Pocałował mnie mocno i wyszeptał przy moich ustach:

- Lecę do wody. Jeżeli zobaczą mnie w tym stanie, od razu zorientują się, co robiliśmy.

- A nie powinni?

Dotknął czołem mojego czoła.

- Nie.

Odepchnęłam jego ramiona, żeby móc spojrzeć mu w oczy.

- Ty naprawdę dalej chcesz, żebym podrywała Aleca? - spytałam z niedowierzaniem.

- Tak!

- W takim razie powiedz mi, po co - nalegałam.

- Nie mogę - odparł szeptem. - Zdradziłabyś się z tym, że wiesz, choćby mimo woli. A ja nie mogę na to pozwolić. To kwestia życia i śmierci.

Pchnęłam go gniewnie.

- Grayson, co ty gadasz?

Potał nosem o mój nos, z miejsca znowu się rozkleiłam.

- Przecież nie mówiłbym ci, że to kwestia życia i śmierci, gdyby tak nie było. Uwierz mi.

Cofnął się, wyprostował na całą wysokość, co zajęło chwilę. Zobaczyłam jego kręcone włosy w świetle księżyca, jego ciało jakby lśniło. Chwycił deskę i z pluskiem rzucił się w mrok.

- Nie - powiedziałam cicho - nie mówiłbyś.

I znów okazało się, że złością niczego nie zdołałam wskórać. Przez cztery dni na próżno usiłowałam wyciągnąć z niego, po co ten cyrk z Alekiem. Niecałe dwadzieścia cztery godziny później wreszcie się dowiedziałam.

Przez większą część następnego dnia Grayson zachowywał się, jakby o wszystkim zapomniał, jakby poprzedniego wieczoru między nami nic się nie wydarzyło. Po południu, podczas przerwy poprzedzającej mój ostatni lot tego dnia, kiedy Molly przygotowywała dla niego baner, idąc przez hangar, Grayson zatrzymał się za plecami Aleca i rzucił mi tęskne, wygłodniałe spojrzenie, od którego poczułam dreszcz na całym ciele.

Kiedy wyszedł, siadłam na krześle. Alec wylegiwał się na zakurzonej sofie. Nabijał się ze mnie, bo nie mieściło mu się w głowie, jak to możliwe, że dziewczyna, która już od kilku lat mieszka nad oceanem, nie potrafi pływać. On i Molly poprzedniego wieczoru pytali mnie o to ze sto razy. Miałam ochotę przesunąć dłonią po gardle, żeby ich uciszyć. Jednak, jak trafnie zauważyła Molly, Alec to nie Grayson, więc wątpiłam, czy dotrze do niego tak siermiężny komunikat.

Nagle, wciąż jeszcze przeżywając wspomnienie wymiany spojrzeń z Graysonem, przez szum wiatraków mieszających ciepłe powietrze w hangarze przebił się jakiś niski i groźny odgłos. Budynek zaczął lekko wibrować. Alec też to poczuł. Spojrzeliśmy na siebie.

- Chyba mamy gości - stwierdziłam.

- Trzeba sprawdzić, co z Molly - zawołał i zerwał się na nogi. Pobiegliśmy oboje do otwartych na oścież wrót hangaru.

W samą porę, żeby zobaczyć Molly pędzącą w stronę biura. Na

szczęście nie zdążyła jeszcze rozwinąć banera, który miała rozwiesić. Ciasno zwinięty wielki kłęb leżał na trawie. Szczęśliwie, bo w przeciwnym wypadku musielibyśmy gonić za nim przez pół miasta, a to za sprawą potężnego podmuchu, jaki miał za chwilę wywołać zbliżający się wielki helikopter. Grayson zostawił samolot przed hangarem i szedł w stronę biura. Na niebie, wciąż jeszcze na tyle daleko, że hałas nie stał się ogłuszający, zwiślał chinook.

Razem z Alekiem ruszyłam w stronę biura lotniska. Grayson patrzył na helikopter z rękami w kieszeniach, jakby uważał, że armia Stanów Zjednoczonych na zbyt wiele sobie pozwala. Molly pochyliła się do mojego ucha i wywrzeszczała:

- A co to takiego?

- Chinook. - Pokręciłam w powietrzu wyprostowanymi palcami, żeby pokazać, jak obracają się w przeciwnych kierunkach gigantyczne śmigła maszyny. W następnej chwili zdałam sobie sprawę, że przecież jej to nic nie mówi. Opuściłam ręce. - Helikopter transportowy. Pewnie z bazy wojskowej.

Chinook przeleciał nisko nad drzewami, po czym usiadł na pasie startowym. Poruszał się leciutko, delikatnie, co dziwnie kontrastowało z ogłuszającym hałasem. Zakryliśmy uszy dłońmi. Na płytę lotniska po niezalesionej stronie wylegli dosłownie wszyscy, w każdym razie dużo więcej ludzi, niż, jak mi się zdawało, przebywało na lotnisku. Jakby mrówki opuściły kopiec rozbity kopniakiem przez psotnego małego chłopczyka. My, piloci, gapiliśmy się, bo to był chinook i każdy z nas marzył, żeby taką maszynę poprowadzić. Sekretarki i sprzątacze z firm położonych na lotnisku gapili się, bo od ryku silników trzęsła się ziemia i trzęsło się powietrze. Nikt i tak nie byłby w stanie wystukiwać sprawozdania ani tym bardziej odebrać telefonu - a nawet zamiatać podłogi.

Z maszyny zaczęły wylaniać się postacie w kamuflażowych mundurach. Dwie wyszły z przednich drzwiczek, trzy z tylnych.

Cała piątka spotkała się pośrodku, krzyczeli coś do siebie, cały czas w słuchawkach na uszach, i szli w naszą stronę. Wśród nich była jedna dziewczyna.

Zaciekawiło mnie, czy ktoś został w środku, żeby pilnować śmigłowca.

Idący na przedzie porucznik był wysokim blondynem. Jego oczy kryły się za lustrzanymi ciemnymi okularami, ale odniosłam wrażenie, że był po chłopięcemu przystojny, jak Alec. Szedł prosto w moją stronę; widać poznał po górze od bikini, że to ja zarządzam tym lotniskiem. Wyszczерzył się do mnie w uśmiechu.

- Macie tu jakieś automaty z jedzeniem i piciem? - wrzasnął głośniej, niż było trzeba. Ogluchł od tego siedzenia w helikopterze ze słuchawkami na uszach.

Wskazałam kciukiem za ramię.

- Zaprowadzę was! - zawołał Alec. Wysunął się przed nich, otworzył oszklone drzwi i zaprosił ich gestem do środka. Poszedł za nimi, jeszcze usłyszałam wykrzyczane przez niego pytanie: - Jesteście z tej bazy za miastem?

Grayson przyglądał się chinookowi. Wyciągnął ręce z kieszeni i oparł je o biodra - ręce, a właściwie pięści, zaciśnięte z całej siły, do białości. Wyglądał, jakby miał eksplodować.

- Niezły numer - zawołałam do niego, ot tak, żeby sobie pogadać - lądują u nas na lotnisku i zachowują się, jakby zjechali z autostrady, żeby coś przeką...

- Ciebie też do nich ciągnie? - warknął w odpowiedzi.

- Co? - spytałam, bo nagle wydało mi się, że Grayson jest zazdrosny. Zazdrosny o jakiegoś porucznika, który spytał mnie, gdzie może znaleźć dystrybutor batoników. Ale chociaż zrodziła się w mojej głowie ta koncepcja, zapytałam: - O co ci chodzi?

No, bo chciałam usłyszeć, jak to mówi. Że jest zazdrosny i chce mieć mnie tylko dla siebie.

Otworzył usta, ale zmienił zdanie. Nic nie powiedział, tylko ru-

szył w stronę drzwi, za którymi zniknął porucznik. Zerknął jeszcze w moją stronę i wszedł do środka.

Przez chwilę rozlegał się tylko łoskot silnika napędzającego potężne łopaty śmigieł. Kiedy chinook nadlatywał, już było głośno. Kiedy lądował, hałas stał się ogłuszający, a teraz odgłos motorów przygniał, wypełniał przestrzeń bez reszty. Wypełniał też mnie wibracją, która dawała do zrozumienia, że zaraz coś się stanie.

- Coś pięknego, nie? - zawołałam do Molly. - Nie chce się wierzyć, że taka masa żelastwa jest w stanie latać.

- Co? - odkrzyknęła.

Drzwi budynku otworzyły się. Grayson wrzeszczał coś, przekrzykując hałas śmigłowca. Nie byłam w stanie rozróżnić słów. Czterej mężczyźni i jedna kobieta w mundurach polowych przeszli z powrotem, niosąc w rękach napoje i paczki krakersów. Zniknęli w brzuchu chinooka. Silniki zadudniły jeszcze głośniej i niżej, potem maszyna uniosła się tak lekko jak maleńki piper niesiony na skrzydłach burzy.

- Co im powiedziałaś? - spytał Alec, wciąż podniesionym głosem, chociaż odgłos helikoptera już się oddalał.

- Powiedziałem mu, żeby zabierał pierdolonego chinooka z pasa startowego - odpowiedział Grayson. - Próbuję prowadzić tu interes i nie zamierzam tracić czasu i klientów tylko dlatego, że jakiś idiota wpadł na bardzo zabawny pomysł, a mianowicie, żeby tu wylądować.

- W ten sposób się do niego odezwałaś? - zdumiał się Alec, wyraźnie przejęty zgrozą. - Grayson, nie możesz tak go traktować. Przecież to porucznik!

- Kurwa, mogę go traktować, jak tylko zechcę, Alec. Nie jestem, kurwa, w wojsku.

- A tymczasem chinook już sobie odleciał - zauważyłam niewinnym tonem.

Grayson rozejrzał się. Chciał zostać i kłócić się dalej, ale zdał sobie sprawę, że właśnie traci czas i klientów, bo stoi i nic nie robi. Ruszył więc w stronę czerwonego pipera.

W następnej chwili zawrócił i przeszedł kilka kroków w naszą stronę.

- Molly - rzucił poirytowanym głosem, wskazując leżący pośród trawy zwinięty baner.

Molly zasalutowała i pobiegła przez trawę. Pozostali gapie też zniknęli w metalowych hangarach, z których wcześniej wylegli. Przedstawienie skończone. Daleki pomruk chinooka właśnie umilkł już zupełnie. Na lotnisku panował tak błogi spokój, jakby nic się nie wydarzyło.

- Co go ugryzło? - spytałam Aleca. - Ja tam się ucieszyłam, że mogłam zobaczyć chinooka z bliska. Fajnie było.

- Grayson wścieka się, bo przyjęli mnie do Citadel.

- Co takiego? - zawołałam. - Alec, to wspaniale!

- Ale on myśli, że ja chcę pójść do wojska - wyjaśnił Alec.

- Aha.

Teraz zrozumiałam. Grayson uruchomił właśnie silnik czerwonego pipera, patrzyłam, jak kołuje obok nas, zmierzając w stronę początku pasa startowego. Zdałam sobie sprawę, że nie mam jeszcze całości oglądu, ale teraz pojęłam już dokładnie, dlaczego Grayson chciał, żeby Alec się we mnie zabujał. Citadel znajduje się w Charleston. Grayson całkiem niedawno powiedział, że moim zadaniem jest odciągnąć Aleca od Charleston.

- A chcesz iść do wojska? - spytałam.

- Nie wiem - odpowiedział Alec. - Mogę bez problemu studiować w Citadel jako cywil. Ale rzeczywiście, przyszło mi do głowy, że to niezły pomysł. Bo wiesz, skoro zamierzam utrzymywać się z latania... A gdzie indziej miałbym szansę polatać chinookiem? Albo, do diabła, F-15?

Skinęłam głową. Jake w Afganistanie latał właśnie F-15, zanim zginął.

- Powiedziałem rodzinie parę tygodni temu - ciągnął Alec -no i Grayson dostał szału.

Odwróciliśmy się oboje, żeby popatrzeć na start Graysona. Maleńki samolocik wzbił się bez trudu w pogodne niebo.

- Przez niego moja matka zaczęła panikować - opowiadał dalej Alec. - A potem Grayson wpadł na wspaniały pomysł, żeby dalej poprowadzić firmę ojca. Cholera, tylko nie to - powiedziałem sobie. Nie wyobrażałem sobie, że mógłbym pracować z Graysonem. A ty? - Odwrócił się do mnie z uniesionymi brwiami, oczekując ode mnie potwierdzenia.

- Dopóki nie przekonałam się na własne oczy... - zaczęłam z namysłem - też bym odpowiedziała, że nie. Ale teraz... - Machnęłam ręką w stronę czerwonego pipera, który właśnie pędził niziutko nad trawą. Przy żerdziach wystrzelił do góry jak z procy pod niemożliwie dużym kątem, niemal na granicy przeciągnięcia. Ale czy udało mu się złapać baner? Złapał, czy nie? Ułożony pieczołowicie przez Molly napis coś zbyt długo leżał na ziemi. W następnej chwili samolot na ułamek sekundy zatrzymał się w powietrzu i leciał dalej, a baner drgnął, po czym z wdziękiem uniósł się, ukazując napis 2 W CENIE 1 PO ZACHODZIE SŁOŃCA! BEACHCOMBERS. Baner poszybował za Graysonem przez błękit nieba. - Biznes się kręci - podjęłam. - Mało tego. Grayson nauczył się wyliczać podatki.

- Fakt - przyznał Alec. - Strasznie się stara i wkłada w to całą energię. Tak samo jak przedtem we wspinaczkę. Cała naprzód i przed siebie, na oślep, nie zważając na konsekwencje. Najpierw strzelać, potem pytać, o co chodzi. A wszystko dlatego, że razem z mamą namówili mnie, żebym chociaż spróbował pracować z nim przez ferie i kilka wiosennych weekendów, bo ojciec miał już podpisane umowy. A jeżeli wszystko dobrze pójdzie, chcą, żebym pracował z Graysonem przez lato i skoncentrował się na karierze w cywilu, a więc nie szedł do wojska.

- Rozumiem - powiedziałam.

Pewnie, że rozumiałam. Grayson przejął rodzinny interes z myślą o Alecu. Stłamsił w sobie swoją prawdziwą, impulsywną i nieodpowiedzialną osobowość, po czym zaprogramował samego siebie na odpowiedzialność zbyt ciężką dla osiemnastoletniego chłopaka. Żeby móc zrealizować wszystkie umowy, potrzebował mnie jako drugiego pracownika, tak jak planował jego ojciec. Do kompletu wykombinował, żebym zaczęła chodzić z Alekiem, dzięki czemu Aleca bardziej będzie ciągnęło do Heaven Beach i nie będzie mu się chciało wyjeżdżać do Charleston i Citadel, gdy lato się skończy.

A kiedy odmówiłam, Grayson znalazł sposób, żeby mnie zmusić. Po trupach do celu.

- A co ty myślisz? - spytał Alec.

Zamrugałam oczami. Miał na sobie takie same lustrzanki jak Grayson, ale z jakiegoś powodu łatwiej było wyczytać z jego twarzy, co myśli. Alec potrzebował, żeby ktoś go utwierdził w decyzji.

- Co myślę? Ale o czym?

- O wojsku - wyjaśnił. - O wojsku zamiast pracy w cywilu. Wiem, teraz masz tę robotę u nas, poza tym Grayson mówił mi, że Mark wciskał ci jakiś kit co do pracy przy opylaniu pól dla pana Simona. Ale chyba nie zamierzasz tu zostać, prawda? Wojsko to dla ciebie idealne rozwiązanie.

Skinęłam głową.

- Pewnie. Choćby dlatego, że mieszkam w przyczepie.

- Nie to miałem... - Alec urwał, bo właśnie zdał sobie sprawę, że to i nic innego miał na myśli. - Nie to chciałem powiedzieć -dokończył niezręcznie.

Spojrzeliśmy oboje w stronę maszyny Admirala, który właśnie odpalił silnik.

- Czy ja wiem? - odpowiedziałam po chwili namysłu. - Nigdy nie byłam w wojsku, więc nie wiem na pewno. Mogę sądzić tylko

po tym, co widziałam, kiedy mieszkałyśmy z matką w pobliżu bazy wojskowej, a potem bazy sił powietrznych. Większość sąsiadów to były rodziny żołnierzy.

Alec rozłożył ręce, dając znak, żebym mówiła dalej.

- A co widziałaś?

- Widziałam, że wojskowi traktują ludzi jak śmieci. Młodzieńcze rysy Aleca stwardniały.

- Skoro mieszkali w przyczepie, pewnie byli to samotni faceci. Szeregowcy.

- Chodzi mi o to, że wojskowi traktują młodszych stopniem jak śmieci - wyjaśniłam. - I o to, że wojskowi traktują rodziny młodszych stopniem jak śmieci. W rezultacie żołnierze też zaczynają traktować swoje rodziny jak śmieci - dlatego, że sami tak są traktowani.

Brwi Aleca za szklami okularów opuściły się w dół.

- Miałbym ukończony college i byłbym oficerem. Dostałbym wyższy zasiłek mieszkaniowy i nie musiałbym mieszkać w przyczepie.

- Ale nie mógłbyś wybrać takiej pracy, jaką chciałbyś wykonywać. I miejsca też nie mógłbyś wybrać. W ogóle nie miałbyś wiele do powiedzenia. Byłbyś tylko trochę ważniejszym śmieciem.

Alec odsunął się ode mnie o krok.

- Strasznie jesteś cięta na wojskowych.

- Bo dobrze ich poznałam! - odparowałam. - To właśnie usiłuję ci przekazać. Nie masz pojęcia, jacy oni są.

- Owszem, mam pojęcie - odpowiedział urażony. - Mój ojciec był żołnierzem i mój brat także. - Zamilkliśmy oboje. On zastanawiał się nad sensem tego, co właśnie powiedział, a ja czekałam, aż ten sens do niego dotrze.

- Dlaczego Jake wstąpił do wojska? - spytałam. - Prawdę mówiąc, odniosłam wrażenie, że twój ojciec tego sobie nie życzył.

- Zgadza się, nie chciał tego - potwierdził moje przypuszczenia Alec. - Tyle że mama nie życzyła sobie, żeby Jake pracował u taty.

Myślę, że Jake w końcu wstąpił do armii, bo miał już dosyć tego, że oboje mówią mu, co ma robić i próbują kontrolować każdy jego ruch.

- O rany. Wstąpił do wojska, bo miał dosyć rodzinnych kłótni? - spytałam. Nie do wiary. - Założę się, że tego żałował.

Alec wzruszył ramionami.

- Nigdy nie powiedział, że żałuje.

- Jasne, że w życiu by się do tego nie przyznał - stwierdziłam. - A już na pewno nie wobec twojego ojca. Bo wtedy musiałby przyznać, że twój ojciec od samego początku miał rację. A z tego, co widzę, takie rzeczy to nie w waszej rodzinie.

Wyobraziłam sobie, jak to wszystko się stało i zrobiło mi się przykro. Jake dał się zwerbować z powodu frustracji. Pożałował tej decyzji, gdy tylko wysłano go do Afganistanu. Pan Hall wiedział, że Jake zdaje sobie sprawę z popełnionego błędu i czuł się za to odpowiedzialny, bo w pewnym sensie to właśnie on doprowadził do takiej sytuacji. A potem Jake zginął. Pan Hall pozostał sam z bólem i poczuciem winy.

- Jeżeli chcesz wstąpić do wojska - powiedziałam - nie rób tego z powodu ojca. Może ci się zdawać, że on by tego chciał, ale ja jestem pewna, że wręcz przeciwnie.

Alec popatrzył na mnie ze zmarszczonym czołem. Zdawałam sobie sprawę, że to wszystko nie moja sprawa. Ale mówiłam dalej, bo tu chodziło o coś naprawdę ważnego. Dużo ważniejszego niż to, czy mu się podobam i czy mnie lubi. Choć prawdę mówiąc, właśnie zaczęłam zdawać sobie sprawę, jak bardzo jedno z drugim jest powiązane.

- Twój brat zginął trzy miesiące temu - mówiłam dalej - a od śmierci twojego ojca minęły dwa miesiące. To niewiele. Tak mało, że ty i Grayson, i ja też, nie potrafimy jeszcze normalnie o tym rozmawiać. Jesteś w żałobie, więc nie jesteś w stanie myśleć z pełną jasnością. A już szczególnie powinieneś uważać, jeżeli przyjdzie ci

do głowy, że Jake albo twój ojciec chcieliby, żebyś postąpił w taki czy inny sposób. Nie jesteś w stanie ocenić sytuacji obiektywnie, z dystansem. Tymczasem tutaj chodzi o decyzję, która wpłynie na całe twoje życie przez najbliższe dziesięć lat. Pięć, sześć lat po studiach. Otóż taką decyzję powinno się podejmować w pełni świadomie. Odczekaj jeszcze sześć miesięcy i wtedy znowu się zastanów. Alec wciąż miał zmarszczone brwi.

- Mówisz jak Grayson. Rozmawialiście o tym?

- Nie - odpowiedziałam zgodnie z prawdą. Mogłam tylko mieć nadzieję, że zabrzmiało to szczerze. A tak naprawdę zaczęło mi doskwierać poczucie winy. Teraz wiedziałam już dokładnie, dlaczego Grayson domagał się ode mnie, żebym uwiodła Aleca. To była czysta manipulacja, także z mojej strony, tylko że ja nie wiedziałam, po co to robię. No, ale teraz już wiedziałam.

- Wiesz co? - odezwał się Alec; półuśmiech powrócił na jego usta. - Będzie mi ciebie brakowało, ale jestem umówiony na kolację z oficerem rekrutacyjnym.

Zatkało mnie.

- Z oficerem rekrutacyjnym? - To brzmiało naprawdę poważnie. - Alec, proszę cię, przemyśl to, co ci powiedziałam.

- Przemyślę - zapewnił. - W każdym razie chodzi o to, że dziś wieczorem się nie spotkamy. Co prawda nie umawialiśmy się jakoś szczególnie, ale ostatnio wszędzie chodzimy razem, więc pomyślałem, że ty i ja... - Wziął mnie za rękę i pogłaskał kciukiem po dłoni. - Nie powiedzieliśmy sobie, że jesteśmy parą czy coś, więc nie chcę, żeby było, że za dużo sobie wyobrażam. Po prostu mówię ci, żebyś wiedziała, co się ze mną dzieje. I chciałem ci to wyjaśnić sam na sam. Graysona chyba szlag trafił, jak się dowie, że mam to spotkanie. A to nie jego interes i już.

Aha, akurat. Jego i to jeszcze jak. A w każdym razie Grayson pod każdym względem postąpił tak, jakby to jednak był jego interes. Ale na głos powiedziałam tylko:

- Dzięki.

Alec pocałował mnie w czoło.

- I do zobaczenia jutro rano.

Poszedł w stronę hangaru Firmy Lotniczej Hall, a potem do żółtego piper'a. Tymczasem Molly na płycie lotniska zmagala się z przeznaczonym dla niego banerem, zawieszala własn timer linki między żerdziami.

To wszystko popsulo mi ostatni lot tego dnia.

Uwielbiam ten przyplyw adrenaliny, jakiego zawsze dostaje się przy starcie. I widok rozposcierajacego się nagle pode mn timer swiata. W moim zyciu niewiele gram w gry komputerowe, ale jestem pewna, że takie nawlekanie igly w locie prawdziwym samolotem, kiedy trzeba trafic między te dwie żerdzie i złapać baner, daje o wiele więcej emocji niż jakiegokolwiek efekty specjalne stworzone w komputerze. I ten moment, kiedy silnik daje z siebie wszystko, a maszyna wystrzeliwuje w góre... A potem niebo i samolot zawieraja ugode, znów panuje pokój.

No własn timer. Uwielbiam latać, kiedy moge skupić się na lataniu. Za to kiedy moje myśli zajete są czym innym, latanie staje się ciężką pracą. A własn timer wtedy moje myśli krązyły w kółko wokół Aleca i Graysona. Istna wirówka myśli.

Rozumiałam już, dlaczego Grayson mnie szantażuje. Pewnie wierzył w to, co powiedział mi poprzedniej nocy, że sprawa z Alekiem to kwestia życia i śmierci. Nie znaczyło to jednak, że postępuje słusznie. Udowodnić Alecowi, że są w stanie poprowadzić biznes ojca, to jedno. Ale wciągnięcie mnie w te kombinacje to już świństwo. Nie żadne przekonywanie, tylko zwykła manipulacja.

Co więcej, im dłużej się nad tym zastanawiałam, tym bardziej ogarniały mnie wątpliwości, czy Grayson jednak nie zmyślił wszystkiego, jeżeli chodziło o moją ewentualną pracę przy opylaniu. Miałam wrażenie, że nie zawahałyby się przed czymś takim, byle tylko zmusić mnie, żebym robiła to, co on chce. I zastanawia-

łam się poważnie, czy to, co zdarzyło się między nami poprzedniego wieczoru, też nie było jego kolejnym sposobem, kolejnym trikiem - byle tylko zapewnić sobie lojalność z mojej strony.

Takie to rozważania towarzyszyły mi, kiedy zrzucałam baner i podczas okrążenia przed lądowaniem. A nie powinnam wtedy myśleć o niczym innym oprócz pilotowania samolotu; w moich myślach pan Hall gromił mnie za to, nic jednak nie mogłam poradzić. Przeanalizowałam każdy szczegół tego, co stało się wtedy na plaży. Nigdy w życiu nie czułam się tak wspaniale. Czy to możliwe, że on tylko udawał? Wydawało mi się, że nie, ale nie bardzo miałam z kim go porównać.

To znaczy, wiedziałam, jak zachowywał się mój chłopak wtedy, kiedy zrobiliśmy to koło pasa startowego, a ja miałam czternaście lat. On nie kochał się we mnie. I wiedziałam, jak wyglądał Mark, kiedy się do mnie dobierał. Ale miałam taki zamęt w głowie co do jego motywacji, że nie wiedziałam już, co myśleć. Na przykład, gdyby naprawdę mnie kochał, to jak powinien się zachować po tym, jak wykopałam go z przyczepy?

Tym tokiem rozmyślań doszłam do rozmowy z Alekiem, tej tuż przed startem. Pytał mnie, co sędzę o jego pomysłe, żeby wstąpić do wojska. Powiedziałam mu. I dopiero teraz, w samolocie, zdałam sobie sprawę, że wszystko powiedziałam nie tak. Właśnie dlatego cały czas marszczył brwi. Gdybym na niego leciała, rzuciłabym mu się na szyję, poryczała i błagała, żeby tego nie robił - i on o tym wiedział.

Cóż, ten element knowań Graysona zdecydowanie spieprzyłam, w dodatku niechcący.

Tego jednak już nie dało się cofnąć. Postanowiłam, że gdy tylko wyląduję, przeprowadzę z Graysonem długą i poważną rozmowę. Postaram się go przekonać, że jeżeli chce wpłynąć na zmianę planów brata, to wybrał wyjątkowo kiepski sposób.

Taki był mój zamiar, kiedy podchodziłam do lądowania. Należało skupić się na pasie startowym, ale mój wzrok pomknął w stro-

nę hangaru Firmy Lotniczej Hall, gdzie stały już zaparkowane samoloty Graysona i Aleca. A potem w stronę biura lotniska, gdzie moja matka wysiadła właśnie z należącego do jej narzeczonego, Rogera, pradawnego trans-ama o drzwiach w innym kolorze niż reszta karoserii.

Po wylądowaniu zakołowałam samolot do hangaru, wysiadłam z maszyny. Mojej mamy nie widziałam nigdzie w okolicy. Weszłam do środka i nerwowo się rozejrzałam, ale tu też jej nie było. Grayson, Alec i Molly stali przed cessną pana Halla, pogrążeni w rozmowie, i mieli nietęgę miny. Pewnie prowadzili bardzo ważną dyskusję na temat chinooka, porucznika i tego, w jaki sposób Grayson wobec niego się zachował. To wszystko było teraz bez znaczenia.

Podeszłam i położyłam dłoń na piersi Graysona. Zamilkł i spojrzał na mnie ze zdziwieniem znad okularów.

- Moja matka jest tutaj - wyjaśniłam - a ty jesteś moim chłopakiem. Jesteś moim chłopakiem od trzech i pół roku, jeżeli nie liczyć tego tygodnia z Markiem.

- Że co? - wyjąkał. Widać było, że ogarnia go panika. Nie kumał: czy to znaczy, że już schrzaniłam ten fałszywy związek z jego bratem?

- Nie mogę teraz ci tego wyjaśnić - rzuciłam pospiesznie. Może czas zrozumieć, że w tym towarzystwie nie tylko on prowadzi swoją grę oraz wymyśla fikcyjne związki. I dodałam: - Wcale nie pracuję na lotnisku tyle, ile pracuję, tylko zamiast tego spędzam czas z tobą.

- Ale...

Przerwałam mu, zwracając się teraz do Aleca.

- A my się nie spotykamy. W porządku? To tylko na dzisiaj.

- Dobrze - rzekł niepewnym głosem Alec. Teraz nadeszła kolej na Molly.

- A co do ciebie... Nieważne, moja matka cię nie zna. Po prostu siedź cicho.

Odwróciłam się w stronę bocznych drzwi hangaru, wiedziałam, że to właśnie przez nie za chwilę wejdzie moja matka.

- W tej chwili jest w biurze - wyjaśniłam, wciąż patrząc na drzwi. - Leon wyjaśni jej, że w tym tygodniu pracuję tutaj. Jeżeli jej powie, że pracuję jako pilot, to mam przejebane. Jeżeli pominie ten szczegół jako oczywisty, pracuję tutaj jako sekretarka. Zrozumiano?

Objęłam ramieniem Graysona w talii. Przez dwie sekundy patrzyłam na cessenę, aż kątem oka spostrzegłam, że drzwi hangaru się otwierają.

Zdumiało mnie, kiedy zobaczyłam, jak wygląda. Niby była taka sama jak zawsze, zresztą przecież widziałam ją zaledwie dziesięć dni wcześniej - tej nocy, kiedy powiedziała, że Mark może się do nas wprowadzić. Zaskoczyło mnie co innego, mianowicie jak bardzo przypominała tę dziewczynę w wozie Marka, tę fałszywą blondynkę, którą zawiózł na plażę. Tyle, że moja mama była od niej o piętnaście lat starsza.

Podbiegłam do niej z okrzykiem:

- Cześć, mammo! - Po czym ją wyściskałam. - Cześć, Roger - rzuciłam przez ramię, kiedy i on wszedł do hangaru.

Matka uśmiechała się rozpromieniona.

- Kochanie, mam wspaniałą wiadomość.

Wracała właśnie z kasyna, więc natychmiast przyszło mi do głowy, że wygrała pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Ale gdyby tak było, wszystko by już wydała po drodze do domu. I podjechałoby z Rogerem pod hangar nie zdezelowanym trans-amem, tylko wypasio-nym pickupem z pięcioosobową szoferką.

- Co za wiadomość? - spytałam bez tchu.

- Przenosimy się do Savannah! - oznajmiła mama. - Kuzyn Rogera mówi, że może będzie mógł mu załatwić robotę w fabryce koparek.

Chociaż w hangarze panował wściekły upał, zrobiło mi się zimno. Mój mózg próbował przetrwać tę informację, ale nic się nie

zgadzało. Taka fabryka koparek, a zasadniczo też każda inna fabryka mieszcząca się na obszarze Stanów Zjednoczonych, na pewno wymaga od przyszłych pracowników trzech rzeczy, których Roger nie posiadał i nie był w stanie zapewnić: przejścia na czysto testu narkotykowego, referencji oraz pogodzenia się z faktem, że należy częściej niż przez dwa dni z rzędu pofatygować się do roboty. Wiedziałam doskonale, że minie kilka tygodni, zanim moja matka na to wpadnie, o ile w ogóle zechce się nad tym zastanowić. A wtedy już będzie za późno, będziemy mieszkać w Savannah.

W przyczepie, gdzieś blisko lotniska.

A ja będę musiała zacząć wszystko od początku.

- Savannah to piękne miasto - zapewniła moja mama, po czym wykonała ruch ręką, jakby wskazując jednocześnie Aleca, Greysona i Molly. - Twój przyjaciele będą mogli cię odwiedzać - dodała wspaniałomyślnie, jak gdyby to wszystko załatwiało. - Zbieraj się. Jedziemy do domu, żeby zabrać twoje graty. Wyruszamy jeszcze dzisiaj.

- Dzisiaj? - spytał ostro Grayson, ciarki przeszły mi po plecach.

Popatrzyłam na nich. Alec i Molly rozmawiali szeptem. Grayson spoglądał na moją matkę z niedowierzaniem. W jego świecie rodziny nie przenosiły się do innego miasta tak z dnia na dzień. Nie było takiej potrzeby. Aha, no tak. Właśnie dotarło do mnie, o co chodzi.

- W czym problem? - spytałam, podejrzewając już najgorsze. - Dlaczego tak nagle i niespodziewanie, i w takim pośpiechu wyruszyłaś do kasyna w zeszłym tygodniu?

Zazwyczaj podobny plan nawet u niej dojrzewał przez kilka dni. Tak nagle decyzja najprawdopodobniej oznaczała, że rozpaczliwie potrzebuje pieniędzy i to dużo.

- Nie ma żadnego problemu! - zawołała. Miała zaróżowione policzki i to nie od słońca po dniu spędzonym na plaży. - Chciałam tylko trochę się zabawić. W końcu są ferie wiosenne!

Ferie wiosenne to są dla kogoś, kto chodzi do szkoły, jak ja -a nie dla bezrobotnych kelnerek, jak ona. Pomyślałam, że moja

matka właściwie już nie jest bezrobotną kelnerką. Nie pracowała od tak dawna, że przestała już być bezrobotnym kimkolwiek, stała się po prostu osobą niepracującą.

- Ile miesięcy zalegamy z czynszem?

- Nie dlatego się przeprowadzamy - zachnęła się. - Kuzyn Rogera powiedział, że...

- Właśnie dlatego przeprowadziliśmy się z Golden do Equality - przypomniałam. - Właśnie dlatego w Equality mieszkaliśmy co najmniej po dwa razy w każdej zakazanej dziurze. I z tego powodu przenieśliśmy się potem do bazy wojskowej, a z bazy wojskowej do bazy lotniczej. I stamtąd do Heaven Beach.

- Wcale nie dlatego tu się przeprowadziliśmy! - wrzasnęła na mnie matka. - Billy powiedział, że załatwi mi pracę. Nie załatwił, ale mówił, że załatwi.

Grayson próbował mnie uspokoić, mówiąc mi coś do ucha. Nie słuchałam go. Jeszcze nie skończyłam.

- Jasne! - wykrzyknęłam. - Prawie za każdym razem było tak, że jakiś koleś, który siedział w celi z szefem brata twojego narzeczonego dawał do zrozumienia, że może uda mu się załatwić twojemu facetowi pracę w fabryce amunicji. A potem i tak zrywaliście ze sobą kwadrans po tym, jak przybyliśmy na miejsce. Ale ja potrzebuję więcej niż piętnaście minut, żeby się przystosować. Taka przeprowadzka może dla ciebie wszystko załatwia, ale dla mnie nie. Za sześć tygodni kończę szkołę i nie zamierzam się stąd wyprowadzać!

- Robię to tylko dla ciebie! - Teraz już obie darłyśmy się na całe gardło. - To co zarabiasz, nie wystarcza na czynsz za przyczepe. Może gdybyś wzięła więcej godzin? - zwróciła się do Graysona: - Jesteście znowu razem? Ona teraz pracuje dla ciebie? Może mógłbyś zatrudnić ją na więcej godzin?

Grayson, Alec i Molly musieli w tamtej chwili ostro kombinować. Wiedzieli, że okłamywałam matkę, że nie oddawałam

jej wszystkich pieniędzy. Wiedzieli, że pracuję w maksymalnym wymiarze godzin. I co z tego? Potrzebowałam tych pieniędzy, żeby dalej latać. I pod żadnym pozorem nie zamierzałam tego odpuścić.

Mimo wszystko było mi przykro, że właśnie pokazuje się im od tej strony, jako wyrodna matka. Dokładnie tak, jak dawała do zrozumienia Molly w knajpcie swoich rodziców przy Alecu i Graysonie. Więc wyszło na to, że Molly miała rację, nie ja.

- Mamo, ja chodzę do szkoły - krzyknęłam. - Mam wziąć drugą robotę na trzecią zmianę i jeszcze chodzić do szkoły, podczas gdy ty w ogóle nie pracujesz? To nie fair.

- To nie fair, żebym płaciła czynsz za miejsce, w którym wcale nie mieszkam! - Odwróciła się na pięcie i poszła w stronę drzwi hangaru, popychając przed sobą Rogera. W drzwiach zawołała do mnie przez ramię: - Za minutę jedziemy do Savannah, a ty możesz jechać albo zostać.

- Po czym zatrzęsnęła za sobą drzwi. Huknięcie wstrząsnęło metalowymi ścianami, zabrzmiało prawie tak głośno jak ryk chinooka.

Ramię Graysona znikło z moich ramion. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że przez cały czas mnie nim obejmował - ale teraz już nie. Zarzucił mnie za to pytaniami, podobnie jak Molly i Alec. Pytali o jakieś głupie bzdety, jak to bogacze, którzy niczego nie rozumieją z życia nizin społecznych. Powtarzałam w kółko:

- Nie wiem. Nie wiem. - Zastanawiałam się, co będzie dalej. - Myślę, że za kilka dni wywalą nas na bruk.

Co prawda nie dostałam owej charakterystycznej koperty o urzędowym wyglądzie, ale może mama jakoś zwodziła właściciela przez telefon. Do czasu.

- Jak to możliwe? - zażądał odpowiedzi Grayson. - I dlaczego ona myśli, że jestem twoim chłopakiem?

- I dlaczego miała myśleć, że dalej nim jest? - uzupełnił pytanie Alec.

Spojrzałam na Molly, licząc, że mnie wesprze, ale gapiła się tylko na mnie szeroko rozwartymi oczami, tak samo nic nie rozumiała, jak Grayson i Alec.

- Już od dawna jej mówię, że Grayson jest moim chłopakiem. -Gdy tylko to powiedziałam, zdałam sobie sprawę, że to niczego nie wyjaśnia, tylko pogarsza całą sprawę. Cóż. Dodałam: - Słuchajcie, lecę tam. Muszę dopilnować, żeby nie zabrała lodówki. Albo klimatyzatora.

Wyszłam na zewnątrz.

Przez całą drogę myślałam tak intensywnie, że nawet nie zdałam sobie sprawy, kiedy znalazłam się na terenie kempingu. Dopiero pitbul przywołał mnie do rzeczywistości. Za drzewami, po drugiej stronie zwirowanej drogi, czekał Roger w trans--amie z włączonym silnikiem. Drzwi przyczepy były otwarte jak na miejscu zbrodni.

Akurat tym razem moja mama sprawdziła pocztę. Na ladzie w kuchni piętrzył się stos reklamowego śmiecia oraz widniała tam jedna koperta o oficjalnym, urzędowym wyglądzie. Rozwinęłam zawiadomienie o ewikcji. Dowiedziałam się z niego, że nawet po wyprowadzce będziemy wisieć właścicielowi zaległy czynsz, a jeżeli go nie spłacimy, odda nas w łapy firmy windykacyjnej.

Matka opróżniała właśnie swoją szafę, wpychała ciuchy do torby na śmieci.

- Do eksmisji zostały nam jeszcze dwa tygodnie - stwierdziłam sucho. - Po co ten pośpiech?

- Za kilka godzin jego kuzyn w Savannah urządza imprezę -mówiła z głową w szafie, ubrania tłumiły jej głos. - Jesteś pewna, że nie chcesz z nami pojechać?

- Nie, chcę zostać tutaj i skończyć szkołę.

- Mogłabyś zdać egzamin zaocznie - stwierdziła.

- Mamo! - zawołałam. - To przecież nie ma żadnego sensu! Wtedy wyprostowała się i położyła dłoń na moim ramieniu.

- Kochanie, jeżeli chcesz zostać tutaj sama, nie mam nic przeciwko temu. Masz osiemnaście lat i dasz sobie radę. A ten twój Grayson to kawał chłopca! Nieźle trafiłaś, w każdym razie lepiej niż z Markiem. Nie miałam zaufania do Marka.

Oczywiste pytanie „To dlaczego zaprosiłaś go, żeby się tutaj wprowadził?” przemknęło mi tylko przez myśl. Mogłabym je zadać, gdyby logika robiła na mojej mamie jakiekolwiek wrażenie. Mogłabym się oburzać albo złościć, ale to po prostu nic by nie dało. Po co się wysilać? Ją tylko obchodził praktyczny aspekt zagadnienia.

- Poproś Graysona, żeby dał ci więcej godzin - poradziła. - Albo wprowadź się do niego, jeżeli nie da się inaczej. Chodź tu, dziewczyno. Będę za tobą tęsknić.

Upuściła plastikowy worek na podłogę i objęła mnie ramionami, przyciągając do siebie.

Beachcraft Admirala przemknął nisko nad nami, schodząc do lądowania. Odsunęła się ode mnie i spojrzała nienawistnie na poplamiony sufit przyczepy, jakby mogła przez dach zobaczyć biały samolot unoszący się tuż nad szczytami drzew.

- Ale za tym pierdolonym łoskotem nie będę tęsknić! - zawołała. - Nie mam pojęcia, jak ty i twój chłopak wytrzymujecie taki hałas.

Odprowadziłam ją do drzwi i patrzyłam, stojąc na cementowych schodkach, jak odjeżdża z Rogerem. Zmrużyłam oczy, żeby zasłonić je przed nadlatującą chmurą wzbitego przez samochód gorącego pyłu.

A potem stałam i stałam w otwartych drzwiach. Nie mogłam wyjść. Dokąd niby miałabym pójść? Nie mogłam wejść, bo to by znaczyło, że przyczepa jest moja. Stałam tak przez długi czas, nasłuchiwałam ujadania pitbula, kosztowne powietrze schłodzone przez klimatyzację wylatywało przez otwarte drzwi i marnowało się bezpowrotnie, a ze mnie też uchodziło powietrze. Tak bezna-

dziejnie nie czułam się od dnia, kiedy dotarła do mnie na lotnisku wiadomość o tym, że Admirał znalazł ciało pana Halla.

Stałam tak długo, aż pitbul wreszcie się zmęczył, zaskamlał jeszcze i umilkł.

Na kempingu panowała taka cisza, że słyszałam czyjś telewizor grający o kilka przyczep dalej i samochody śmigające po szosie.

A potem pitbul zerwał się na równe łapy i znów zaczął wściekle szczekać. Pośród palm pojawił się Grayson.

Jego okulary połyskiwały w późnym popołudniowym słońcu. Nie wahając się, przeszedł przez podwórze, prosto w stronę cementowych bloków. Zatrzymał się na schodku przede mną, patrząc na mnie z góry. Wymykające się spod kowbojskiego kapelusza kosmyki jasnych włosów pociemniały od potu.

- Lea, musimy porozmawiać. Wpuść mnie - zażądał stanowczym tonem.

- Nie.

Westchnął niecierpliwie, zacisnął pięść i rozluźnił.

- No, dobrze. Dlaczego nie chcesz mnie wpuścić do domu?

- Bo to nie jest dom - warknęłam - tylko przyczepa.

- To przejściowa sytuacja. - Jego głos miał brzmieć kojąco. Grayson zbliżył się do mnie. Spojrzałam mu w oczy, ale zobaczyłam tylko własne odbicie.

- Osiemnaście lat to nie jest przejściowa sytuacja.

To miało być powiedziane z przekąsem, ale zabrzmiało ochryple. Nawet nie zorientowałam się, jak cofnęłam się o krok, a on zbliżył się jeszcze bardziej.

- Teraz już jest przejściowa - stwierdził. Postąpił kolejny krok do przodu, zmuszając mnie do cofnięcia się o krok. - Wpuść mnie, Lea.

- O co ci chodzi? Chcesz znowu sprawdzić, czy nie ma piwa? Nie ma, zapewniam. A gdyby było, to matka dawno by je zabrała. To zresztą pewnie pierwsza rzecz, jaką sprawdziła.

- Nie - powiedział. - To coś ważnego.

- Niech zgadnę - rzuciłam; starałam się, żeby brzmiało to zaczepnie i wyzywająco, ale serce waliło mi jak młot i z trudem łapałam oddech, mówiąc: - Chcesz mi powiedzieć, że mój rzekomy związek z tobą rozpieprzył mój fikcyjny związek z Alekiem i od tej pory mam się trzymać od ciebie z daleka. Cóż, przykro mi, ale moja matka wyruszyła właśnie do Savannah i raczej tu nie wróci, żeby sprawdzić, co się ze mną dzieje. Więc nie urządzi sceny na lotnisku, kiedy ktoś jej doniesie, że całe lata temu sfałszowałam jakiś podpis. Nie możesz już więcej mi rozkazywać. I w ogóle od samego początku nie zgodziłabym się na ten układ, gdybym wiedziała, że usiłujesz w ten sposób wpłynąć na życiowe decyzje Aleca. Powiedział mi o Citadel i o wojsku. Nie możesz tak postępować. Nasza umowa przestała obowiązywać.

- Nie obchodzi mnie, co sobie myślisz.

Grayson znów postąpił w moją stronę. Teraz już oboje znaleźliśmy się wewnątrz przyczepy. Zamknął za nami drzwi, zabrzączały blachy. Znów szedł w moją stronę, a ja cofałam się, aż oparłam się plecami o twarde kontuar w kuchni.

- Ja tylko chcę wiedzieć, gdzie jest Alec - usłyszałam głos Graysona.

- W tej chwili?

- Dziś wieczorem. Idziecie gdzieś razem? Byłem w biurze, żeby wypisać twój czek i go zrealizować. Kiedy wychodziłem, nie było już ani jego, ani Molly i nie odbiera komórki.

- Powiedział, że idzie na spotkanie ze swoim oficerem rekrutacyjnym.

- Co takiego? - Grayson zerwał okulary i kapelusz z głowy, rzucił jedno i drugie na kontuar. Przesunął palcami przez wilgotne włosy. - Jasna cholera. Czemu go nie powstrzymałaś?

- Bo nie jestem niańką twojego brata! - zawołałam. - Grayson, on powiedział, że idzie się spotkać z oficerem rekrutacyjnym.

Nie powiedział, że idzie podpisać kontrakt na sześć lat. A ja akurat sporo mu nagadałam w kwestii tego, że to wcale nie byłby dobry pomysł.

Grayson potrząsnął głową. Z zaciśniętymi szczękami i rozdętymi nozdrzami spoglądał na mnie surowo, jakby to wszystko była moja wina.

- Są dwie możliwości i obie są straszne. Jedna to taka, że Alec cię okłamuje. Nie chce spędzać czasu z tobą i wymyślił sobie wykręt, żeby się z tobą nie umawiać. Może nawet umówił się z kimś innym, na przykład z tą dziewczyną ze szkoły, którą spotkaliśmy w czasie imprezy.

- I co w tym takiego strasznego? Ja też nie zakochałam się w nim bez pamięci.

- Ale na tym polega twoja praca, żeby on się w tobie zakochał. Czy już zapomniałaś?

- Z tym już koniec - zaprotestowałam. - Koniec, bo... Chwytał obiema dłońmi za kontuar po moich obu stronach,

blokując mnie w ten sposób. Przysunął się bliżej.

- Druga możliwość - przerwał mi - to taka, że Alec wcale nie kłamie. Naprawdę spotyka się z tym oficerem rekrutacyjnym. W czwartek wieczorem podczas wiosennych ferii w Heaven Beach. To znaczy, że się zakumplowali. Oficer będzie mu nadskakiwał i robił wodę z mózgu, a potem, zanim się obejrzymy, Alec sprzeda mu swoje życie. Przecież Alec może to zrobić w każdej chwili!

- Pewnie, że może! - Już nie miałam siły do Graysona. Czy on sam siebie nie słyszał? - To jego życie i jego decyzja, nie masz prawa się wtrącać!

- Jak śmiesz tak mówić? - oburzył się Grayson. Zabrzmiało to strasznie śmiesznie i strasznie staromodnie. I może dlatego zabrzmiało też szczerze, aż dreszcz mnie przeszedł po grzbiecie. - Nie masz pojęcia, jak to jest - powiedział. - Najmniejszego pojęcia. Ilu masz braci?

Przełknęłam ślinę.

- Nie mam braci.

- A ilu z twoich braci zginęło?

Zmrużyłam powieki, żeby się nie poryczeć, a potem położyłam dłonie na jego ramionach, delikatnie, ostrożnie.

- Grayson. Jeżeli ktoś idzie do wojska, to nie znaczy, że od razu zginie. Admirał całe życie przesłużył w marynarce wojennej, przez pierwsze dwadzieścia lat za sterami samolotów i ani razu nie był ranny. Twojemu ojcu też nic się nigdy nie stało.

Umilkłam, bo sama zdałam sobie sprawę, że to żalosne rozumowanie i żaden argument. Graysonowi nie trzeba było śmierci wielu przyjaciół i członków rodziny, żeby obawiać się o życie Aleca. Wystarczył Jake.

No więc uświadomiłam to sobie i Grayson mógł odpuścić sobie kazanie, ale był tak zdenerwowany, że dałam mu się wygadać.

- Wiesz, Lea. Alec już jest pilotem.

- Wiem.

- Kiedy tylko skończy college, pošlę go do szkoły lotniczej. Do diabła, jeżeli zapisze się do rezerwy i okaże się, że jest zapotrzebowanie na lotników, przerwą mu studia i zabiorą do szkoły lotniczej. To może zdarzyć się już w lecie tego roku. Nawet w czerwcu. W mgnieniu oka znajdzie się na froncie. Ty mówisz, że może kule go ominą, ale ja uważam, że latanie samolotem tam, gdzie ludzie strzelają, to nigdy nie jest dobry pomysł. Już w czerwcu może być po nim.

- Powiedziałam mu, co o tym myślę. - Jeszcze raz poklepałam Graysona po ramionach i przesunęłam dłońmi po jego klatce piersiowej aż dotknęłam szyi. - Ty mu powiedziałeś, co o tym myślisz. Nic więcej nie możemy zrobić. Nawet nie wiemy, gdzie teraz się znajduje.

Twarde spojrzenie szarych oczu zaczęło łagodnieć, poruszył się, obejmując mnie jeszcze ciaśniej i przyciskając do kontuaru.

- A odpowiadając na twoje pytanie: tak, chyba spieprzyłaś ten fikcyjny związek z Alekiem. Dlaczego powiedziałaś swojej matce, że chodzisz ze mną, a nie właśnie z nim?

Wiedziałam, co będzie dalej. Serce zaczęło mi bić szybciej w wyczekiwaniu. Jak samolot zjeżdżający z drogi kołowania na pas startowy, kiedy przyspiesza obroty silnika, przygotowując się do startu.

- To zaczęło się już bardzo dawno temu - odpowiedziałam. - Nie chciałam oddawać jej wszystkich pieniędzy, więc powiedziałam, że spędzam sporo czasu na lotnisku, ale nie pracuję, tylko zabawiam się z moim chłopakiem.

Przyłożył dłoń do mojego policzka. Jego kciuk musnął moje wargi. Obroty silnika przyspieszyły do tego stopnia, że ryk tej maszyny wypełniał moje uszy.

- Dlaczego wybrałaś sobie na chłopaka akurat mnie?

- Bo łatwiej jest zapamiętać swoje kłamstwa, kiedy jakoś zbliżone są do prawdy - wyszeptałam. - To znaczy do tego, czego naprawdę by się chciało.

Pocałował mnie. Tak delikatnie, łagodnie, powoli.

Usłyszałam własny przyspieszony oddech, zrobiło mi się cieplej, a w przyczepie wokół jakby zapadły głębsze ciemności, kiedy pochylił się i dotknął czołem mojego czoła. Przyciskał mnie do kontuaru. Nie było dla mnie drogi ucieczki. Zwłaszcza że wcale nie chciałam uciekać.

Jego głos wzbudzał dreszcze w moim ciele, a usta muskały mój policzek, kiedy szeptał:

- O ile dobrze pamiętam, wczoraj wieczorem na plaży, kiedy nam przerwano, tę rękę miałaś tutaj. - Odnalazł moją dłoń opartą lekko o jego T-shirt i umieścił na swoim biodrze. - A tę tutaj. - Drugą dłoń umieścił na drugim biodrze i wsunął moje palce za pasek spodni XYZ. - A ja zrobiłem tak. - Objął mnie ramieniem. - A potem zamierzałem zrobić coś takiego. - Jego druga ręka

przesunęła się w stronę mojego biodra, poczułam ciepło jego dłoni przenikające przez cienki materiał szortów.

Przycisnął usta do moich warg i znieruchomiał. Może chciał sprawdzić, czy go nie odepchnę. A może, tak jak ja, rozkoszował się tą ulotną chwilą zawieszenia między dwoma światami. Mogliśmy opaść z powrotem na ziemię, udając, że to tylko taka zabawa, tylko taki żart. Albo mogliśmy runąć do przodu, na łeb, na szyję w stan nieważkości i euforii. W tej chwili ostatecznej decyzji jego ciepłe dłonie na mojej skórze i chłodne powietrze wokół prowadziły moje ciało w pomieszanie. W środku mnie uruchomiło się źródło elektryczności. W ciszy rozlegał się tylko niski pomruk lodówki i gorący oddech Graysona.

Przemieściłam dłoń pod jego paskiem, wsuwając głębiej palce i przyciskając całą dłoń do jego nagiej skóry.

I tak się zaczęło, maszyna ruszyła. Pocałował mnie mocno w usta, zrobiło mi się słabo, runęliśmy w próżnię. Przestałam myśleć. Znikło wszystko prócz gorączki, prócz odlotu, prócz dotyku jego języka w moich ustach i jego ciała pod moimi dłońmi.

Całowaliśmy się długo, długo, aż wreszcie podniósł mnie i posadził na kontuarze. Nie protestowałam, nawet nie zamierzałam się opierać, kiedy wsunął dłoń między moje nogi.

Nie spodziewałam się zbyt wiele. Pozwalałam mu się tam dotykać, bo tego chciał. Chłopak, któremu oddałam moje dziewictwo, też tam mnie dotykał. Tylko że jemu chodziło o zaspokojenie własnej ciekawości. Grayson chciał zaspokoić mnie. Patrzył w moje oczy i całował po szyi, dokonując eksploracji. Długie minuty później, gdy odpoczywaliśmy, dotykając się czołami, oddychając ustami w usta, sięgnął za moje plecy i rozwiązał obie sznurówki góry od bikini.

Znaleźliśmy się na tym samym etapie, co wcześniej, na plaży. Pragnęłam go rozpaczliwie, ale nic nie mogłoby mnie zmusić do czegoś, czego późniejsze konsekwencje by mnie przerosły.

Odsunęłam jego blond kędziory na bok, bo łaskotały mnie w nos, i wyszeptałam mu do ucha:

- Czy masz gumę?

- Mam - odpowiedział szeptem, seksownym ochrypłym szeptem. Jednak teraz, kiedy musieliśmy zacząć myśleć, napięcie opadło. Wyciągnął portfel z kieszeni, oparł go obok mojego uda o kontuar i zaczął przeszukiwać kolejne przegródki. - Wydawało mi się, że mam. - Wyciągnął pognieciony rachunek. - O rany, no...

Przyglądałam się jego szczupłym palcom gmerającym w portfelu, wsuwającym się do poszczególnych przegródek w poszukiwaniu ukrytych kondomów. A potem patrzyłam na jego twarz. Przygryzał wargę, najwyraźniej zaniepokojony tym, że jeżeli nie znajdzie tej gumy, to tak wyczekiwane wspólne przeżycie jednak nie stanie się naszym udziałem. Taki rozochocony i spragniony. Mnie. Bujałam się w nim przez całe lata, a w ciągu tych ostatnich kilku dni naprawdę się w nim zakochałam. No a teraz, kiedy zaprzestał poszukiwań i zmarszczył brwi, patrząc na mnie, jednocześnie zaś zaglądając w swoje myśli, jakby przeszukiwał je i zastanawiał się, gdzie mógł zostawić jakieś swoje rzeczy, zakochałam się jeszcze bardziej.

Dobrał się znów do portfela, wyciągnął licencję pilota, prawo jazdy i kartę kredytową Firmy Lotniczej Hall.

- No, co jest...? Ha! - Z radosnym uśmiechem zademonstrował mi swoje znalezisko. - Dwa!

- Niesamowite.

- No tak. - Zaśmiał się nerwowo, w półmroku kuchennego wnętrza rumieniec przyciemnił jego policzki. - Rzeczywiście, głupio to wygląda. Że niby taki jestem pewny siebie, co? Że zawsze mam przy sobie gumę, tak na wszelki wypadek. - Popatrzył mi w oczy i wyznał: - Miałem dziewczynę. Jeszcze zanim zginął Jake. Ale rzuciła mnie, bo zachowywałem się wobec niej jak głupi chuj.

Powiedział to przepaszającym tonem. Nie wiedziałam, co mu na to odpowiedzieć. Jasne, że miał dziewczynę. Jasne, że po śmierci Jakea musiało być trudno z nim wytrzymać. Współczułam jemu i tej dziewczynie też. Jeżeli miała choć odrobinę oleju w głowie, musiała być niepocieszona, że nie zdołali zostać ze sobą, dopóki nie minął najgorszy moment.

Tylko że wtedy właśnie zmarł pan Hall. Może to była ta najgorsza chwila. A może najgorsza chwila jest właśnie tu i teraz?

Mogłabym być dla niego taką dziewczyną. Mogłabym być dokładnie tym kimś, kogo mu trzeba. Był pełen życia, ale niestabilny, za to ja mogłabym zapewnić mu oparcie i pomoc przejść przez to wszystko.

Zmrużył oczy i przyjrzał się prezerwatywom.

- Mogą być przeterminowane. Nie, ta jest w porządku. - Odłożył ją na kontuar. - I ta też. - Znow na mnie popatrzył. - Może nie powinniśmy tego robić.

Och, tylko nie to. Pragnęłam go tak strasznie od tak dawna, jeszcze zanim zdawałam sobie z tego sprawę.

Ale to było egoistycznie z mojej strony. Skinęłam głową, chciałam zrozumieć.

- Z powodu prezerwatyw?

- No, co ty? - Obdarzył mnie długim, cnotliwym pocałunkiem w usta, potem w czoło. - Nie. Naprawdę są w porządku.

Aha, więc to tak.

- Czy chodzi ci o tę dziewczynę, z którą chodziłeś? Uniósł brwi w zdumieniu.

- Co takiego? Nie!

Po cichutku odetchnęłam z ulgą, przynajmniej nie tęsknił za tamtą. Ale nadal nic nie rozumiałam.

- To o co chodzi?

- O to, że jestem twoim szefem. I wykorzystuję sytuację, i przyszedłem tutaj, chociaż wiem, że właśnie pocięłaś się z matką, i jesteś sama.

- To wszystko? Trochę późno na to wpadłeś. - Przyłożyłam dłoń do jego policzka i przesunęłam nią po jego kilkudniowym blond zarostcie. - Oboje mamy po osiemnaście lat. A co tak naprawdę cię dręczy?

Patrzył tymi swoimi szarymi oczami w samą głębię mojej duszy, kiedy odpowiedział:

- Ojciec by mnie zabił.

Co do tego, pewnie miał rację. Ale jego ojca tam nie było. Za to byliśmy my dwoje.

Powoli zsunęłam się z kontuaru, ocierając się o jego ciało. Kiedy dotknęłam stopami podłogi, znów popatrzyłam w górę, w jego oczy. Wzięłam go za rękę i zaprowadziłam korytarzem do mojej sypialni.

Potem leżał na mnie. Z policzkiem przytulonym do mojej szyi, a ja nie chciałam, żeby się poruszył. Przygniatał mnie, ale było mi z tym dziwnie dobrze. Próbowałam tylko spowolnić oddech, uspokoić go, i udało mi się to na tyle, że słyszałam także jego przyspieszony oddech.

Uniósł się na rękach, zamrugał, patrząc na mnie. Jego długie, jasne rzęsy i jasne włosy oświetlała tylko smuga z latarni wpadająca przez okienko.

- Rany, przepraszam cię, Lea - wyszeptał. - Nie zmiażdżyłem cię za bardzo?

- Tylko troszeczkę - odpowiedziałam.

Wtedy uśmiechnął się do mnie, ale nie był to uśmiech zawstydzony. To sprawiło, że i ja poczułam się pewniej. W jego oczach rozpoznałam spojrzenie z czasów, kiedy zdarzało mu się spłatać psikusa panu Hallowi, albo po serii przyziemień i startów, kiedy dopiero uczył się latać. W przeciwieństwie do wielu innych ludzi przyływ adrenaliny nie kończył się u niego zjazdem i wyczerpaniem. Ten błysk w jego oczach mówił: „chcę jeszcze”.

Roześmiałam się. Po moim własnym przyplywie adrenaliny lot się skończył, właśnie wróciłam na ziemię. Ale to było tak samo jak z lataniem, bo już nie mogłam się doczekać, kiedy znowu wystartuję.

On nie mógł, przynajmniej na razie. Chłopak musi najpierw odzyskać siły. Tyle wiedziałam z telewizji i rozmów zasłyszanych w szkolnym autobusie. Sięgnął na mój stolik nocny i zaczął majstrować przy radiobudziku. Radio umilkło po raz pierwszy od tamtego momentu dwie noce wcześniej, kiedy odwiózł mnie do przyczepy po nocy zarwanej w piwnicy na lotnisku. Normalnie cisza spłynęłaby na ten pokój jak całun. Ale w towarzystwie Graysona można ją było znieść. Była nawet miła. Nie przeszkadzała mi myśl o tym, że znajdujemy się wewnątrz tej dziwnej, wydłużonej konstrukcji.

Przewrócił się na bok i oparł się na łokciu, a potem podbródkiem o dłoń. Patrzył na mnie.

- Może nie powinienem tego mówić akurat teraz, ale chciałbym, żebyś o czymś wiedziała. Kiedy byliśmy w tej kafejce Molly, wtedy, przed imprezą, powiedziałaś coś, co dało mi do myślenia. W sensie, że ludzie czasami mają problemy i nie potrafią się od nich uwolnić.

Uniósł pytająco brwi, nie wiedział, czy pamiętam. Skinęłam głową. Mówiłam wtedy o mojej mamie.

- Widzisz, tak właśnie się czułem przez ostatnie dwa miesiące - powiedział. - To znaczy od śmierci mojego ojca. Nie, właściwie przez ostatnie trzy miesiące, odkąd zginął Jake. Były takie chwile - właściwie było ich bardzo dużo - kiedy myślałem, że już nigdy nie będę szczęśliwy. Ale teraz jestem. Jestem szczęśliwy dzięki tobie.

- Super - odpowiedziałam, gładząc dłońią jego nagi tors. Staralam się, żeby wyszło to naturalnie. Przecież to Grayson - powtarzałam sobie - Grayson, w którym kochałam się od tak dawna. Ale w realu był inny. Wiedziałam, że to potrwa, zanim przyzwyczaję się do ciała tego faceta.

- I zawsze, kiedy ty i ja rozmawiamy... - podjął.

- ...Albo robimy to - przerwałam mu, bo nagle zrobił się strasznie poważny.

Zaśmiał się.

- Albo robimy to. - Zgodził się ze mną, ale jego uśmiech zaraz zniknął. -
Mówię poważnie.

- Wiem. - Poczułam się parszywie, jak jakieś zupełnie dno. Po prostu myślałam, że jak zażartuję, będzie mu łatwiej to z siebie wyrzucić, tymczasem trafiłam kulą w płot. Nie był jeszcze na to gotowy.

- Kiedy jestem z tobą - zaczął znów - to jak... Wiesz, dalej nie czuję się normalnie. Ale przynajmniej dostrzegam normalność na horyzoncie, na dwunastej. - Wyciągnął rękę, wskazując, jakby przez owiewkę wyimaginowanego samolotu. - Przynajmniej wiem, że jakaś normalność jeszcze istnieje. A przez ostatnie trzy miesiące wcale nie byłem tego taki pewien.

Westchnął, wyciągnął rękę i odgarnął palcami włosy z mojej twarzy. Odezwał się z żalem w głosie:

- Jest taka dziewczyna, którą powinno się teraz przytulić i pocieszyć, i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Wybacz, że nie potrafię tego dla ciebie zrobić. Czegoś mi zabrakło.

- A mnie jeszcze tego czegoś trochę zostało - odpowiedziałam. - Mogę ci pożyczyć.

Jeszcze dwa razy pocałował mnie w usta, objął ramionami i wsunął głowę pod mój podbródek. Bawiłam się jego blond kędziorami. Łaskotały mnie w policzek.

Zanucił półgłosem:

- Jeszcze raz, jeszcze raz... Roześmiałam się głośno.

- Wcale nie było w planie, że teraz pójdziesz do domu spać, zadowolony z siebie i że to niby już po wszystkim.

- Dzięki za ostrzeżenie. To bardzo podniecające.

Tak naprawdę nie było nic podniecającego w tej całej sytuacji -oprócz Graysona. I samej tej sytuacji. Klimatyzator działał bez przerwy, ale ujadanie pitbula i tak przebijało się przez jego bucze-

nie. Kocyk na moim łóżku pochodził z czasów, kiedy miałam siedem lat, kupiła mi go mama. W sklepie z tandetą. Widniał na nim wizerunek dziewczynki z kreskówki, której nie pokazywano w telewizji już od dwudziestu lat.

A na ścianie naprzeciwko mojego różowego łóżeczka pierwsza rzecz, jaką widziałam po przebudzeniu - plakat z US Airways lot numer 5149. Kapitan Sullenberger wystartował pewnego styczniowego popołudnia z lotniska LaGuardia w Nowym Jorku, by wyruszyć do Charlotte w stanie Karolina Północna. Jego maszyna zderzyła się ze stadem gęsi zabłąkanych w pobliże pasa startowego, stracił oba silniki. Udało mu się perfekcyjnie wylądować na rzece Hudson płynącej wzdłuż Manhattanu. Na plakacie umieszczono kultowe zdjęcie samolotu unoszącego się na powierzchni wody z wieżowcami Manhattanu w tle. Wszyscy pasażerowie - sto pięćdziesiąt pięć osób - oraz załoga stoją na skrzydłach z bardzo niepewnymi minami, większość w koszulach i krawatach mimo mroźnego zimowego dnia, wokół lodowata woda. Czekają na łodzie, które przewiozą ich na nabrzeże, gdzie dostaną po filiżance gorącej czekolady. Kapitana Sullenbergera okrzyknięto potem bohaterem. Napisał książkę, pojawił się we wszystkich możliwych programach telewizyjnych. Aż wreszcie zaczęto sobie z niego żartować. Powstały filmy, w których naśmiewano się z tej katastrofy, powiadano, że mieszkańcy Nowego Jorku strasznie się pysznią swoim bohaterskim kapitanem, a tymczasem nowoczesne samoloty są tak zautomatyzowane, że właściwie same latają.

A my, piloci, wiemy, że kapitan Sullenberger to naprawdę niezły zawodnik. Gdyby cokolwiek spieprzył, nie tylko rozbiłby samolot i wszyscy by zginęli, ale zabrałby ze sobą też pół Manhattanu. Ale nie. Zachował spokój i wszystko poszło doskonale.

Spojrzenie Graysona też powędrowało w kierunku plakatu.

- Hej, skąd to masz? - Ruchem głowy wskazał plakat. - Mój ojciec...

- .. miał taki plakat - przerwałam mu. - Wiem. To jego plakat. Kiedy umarł, użyłam klucza do waszego hangaru, który znajduje się w biurze lotniska i zabrałam go. Niczego więcej nie ukradłam, przysięgam. Po prostu przyzwyczaiałam się, że widzę go codziennie i bardzo chciałam mieć coś, co by mi zawsze przypominało o twoim ojcu.

Chyba to, co powiedziałam, zabrzmiało naprawdę dziwnie, bo uniósł się na obu łokciach, żeby na mnie popatrzeć.

- Lea, nic nie szkodzi. - Opadł na skrzyżowane ramiona, ale dalej na mnie patrzył. - Spokojnie. Nadaje się na twojego bohatera.

Nie bardzo wiedziałam, czy mówi o kapitanie Sullenbergerze, czy też o swoim ojcu. Kiedy się nad tym zastanawiałam, serce biło mi mocno. Pomyślałam, że lepiej od razu wszystko wyjaśnić, zanim znowu mnie przyłapie.

- Zabrałam tylko plakat, ale to miałam już wcześniej. Przewróciłam się na drugi bok i odnalazłam po omacku

na stoliku przy łóżku *S-kadrę*. Kartonowa okładka była mocno zniszczona i grzbiet popękany, brakowało też rogów niektórych stron już wtedy, kiedy pan Hall pożyczył mi tę książkę całe lata temu. Odtąd przeczytałam ją około miliona razy. Kiedy okładka całkiem się rozpadła, spięłam stronice gumką recep-turką gwizdniętą z biura. Teraz podałam sfatygowany pakiecik Graysonowi.

- Ooo! - zawołał rozbawiony, rozpoznawszy książkę. Zdjął gumkę i podniósł okładkę, po czym odłożył ją na bok.

Na górze strony tytułowej podpisał się pan Hall: „Brian Hall”. To zostało przekreślone, a pod nim innym charakterem podpisał się „Jake Hall”. I to zostało przekreślone. Poniżej widniał autograf: „Alec Hall”. Czwarty podpis, zdecydowanie najbardziej niechlujny, miał dowodzić, że teraz właścicielem książki jest „Grayson Hall”. Potem znowu „Alec Hall”. Ostatni „Grayson Hall” był ostatnim podpisem w kolumnie i tylko jego nie przekreślono.

Grayson dotknął strony tytułowej między podpisem ojca i podpisem starszego brata, po czym przesunął palcem w dół strony

- Ojciec namawiał nas i namawiał, żebyśmy to przeczytali. Kiedy Jake wreszcie dał się nakłonić, a potem powiedział nam, jakie to fajne, biliśmy się o tę książkę z Alekiem. Wiesz, jak się ma dwanaście lat, człowiekowi nie przychodzi do głowy, że przecież mógłby sobie kupić własny egzemplarz.

Przygryzł wargę.

A potem, nie poruszając głową, podniósł oczy na mnie. Trudno było wyczytać, co kryje się w jego spojrzeniu. Znałam go co prawda od lat, ale w gruncie rzeczy spędziłam tak mało czasu twarzą w twarz z nim, że chwilami wydawał mi się kimś zupełnie obcym. Zorientowałam się, że to coś na kształt rozgoryczenia, ale nie zdołałam połapać się w niuansach. Nie potrafiłam stwierdzić, czy zrobiło mu się wstyd, że w ten sposób niechcący oskarżył mnie o przywłaszczenie książki, czy też wcale nie było to niechcący. I teraz domaga się zwrotu swojej własności.

- Proszę, weź - powiedziałam szybko.

Teraz jego wargi rozchyliły się w wyrazie zdumienia.

- Nie! Nie ma mowy. Zachowaj ją koniecznie. To przecież ty ostatnia...

Przerwał, zaczerpnął tchu. Ja też. Żadne z nas nie chciało teraz rozmawiać o śmierci pana Halla. Przynajmniej na tyle rozumiałam Graysona, żeby to wiedzieć. Między nami wydarzyło się coś, co dotyczyło tylko nas, jego i mnie, nie pana Halla, nie Aleca, nie Jakea, tylko nas dwojga. Chcieliśmy się tym cieszyć i jakoś być ze sobą, chociaż nie należało to do łatwych zadań, skoro między nami pojawiło się tak wiele osób, a w dodatku dwie z tych postaci to duchy.

Odetchnął głęboko, ja też.

- Strasznie jesteśmy spięci - stwierdził.

- Owszem.

Zachichotał bezgłośnie i dotknął moich ust.

- A parę minut temu wcale tak nie było.

Uśmiechnęłam się. Jego palec przesunął się wzdłuż krzywizny moich warg. Patrzyłam, jak na mnie patrzy. Takie chwile bliskości zdarzały nam się już w ciągu ostatnich dni także wcześniej, ale jakoś trudno mi było pozbyć się wizerunku odległego Graysona, do którego przywykłam. Czubek jego palca na moim policzku był ciepły, dotyk przyjemny, ale dziwny, bo przecież wiedziałam, że to nie potrwa wiecznie.

Jednak gdybym nie wiedziała, że jest zupełnie inaczej, mogłabym spokojnie wziąć go za zwyczajnego beztroskiego osiemnastolatka, który jest miły i czuły wobec swojej dziewczyny, ma na tyle doświadczenie w seksie, że wie, co robi, i na tyle niewielkie, że nie odczuwa przesytu, że go to naprawdę kręci. Jego dłoń powędrowała ku moim włosom. Głaszcząc je, powiedział z uśmiechem:

- Fajnie. Zaliczyłem pilotkę. Zaśmiałam się, żart rozluźnił atmosferę.

- A ja pilota.

Owinał pasmo włosów wokół palca, potem odwinął, teraz przyglądał się raczej mojej fryzurze, niż patrzył w oczy. No i jasne, rozbawienie ustąpiło miejsca zamyśleniu. Ściągnął jasne brwi. Tak jakby skupił się na plątaninie moich włosów. Odpływał gdzieś ode mnie. Teraz, gdy zaczęła zanikać nieoczekiwana słodycz, która czyniła go Graysonem, zaczął być taki, jak każdy facet. Jak którykolwiek. Na przykład Mark.

- Czy gdybyśmy tego dzisiaj nie zrobili, rozglądałbyś się za jakąś dziewczyną, żeby ją mieć na boku? - spytałam.

Tym pytaniem przywołałam na powrót ku sobie jego uwagę. Wyplątał palec z moich włosów i spojrzał mi w oczy.

- Masz na myśli to, czy gdybyśmy chodzili ze sobą, ale nie uprawiali seksu, chciałbym mieć drugą, żeby robić to z nią?

- Tak - odpowiedziałam. Całe szczęście, że nie musiałam mu tego tłumaczyć, że od razu załapał.

- Nie - odparł niemal gniewnym tonem. - A ty zrobiłabyś mi coś takiego?

- Oczywiście, że nie! - Teraz ja się oburzyłam. Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiałam, ale zawsze byłam wobec wszystkich lojalniejsza, niż byłoby to z korzyścią dla mnie.

- To z jakiej racji uważałaś, że zachowanie Marka wobec ciebie jest w porządku?

Gapiałam się na niego przez chwilę, bo aż mnie zatkało ze zdumienia. Kiedy odzyskałam głos, spytałam:

- Rany. Skąd wiesz, że mówiłam o Marku?

- Bo widzisz, ja go całkiem nieźle rozumiem - odpowiedział. - O mało co sam nie wszedłem na taką samą drogę. Właściwie do tamtego wypadku w zeszłym roku byłem taki sam. Myślałem tylko o sobie. Nawet szkoda, że to nie zdarzyło się parę lat wcześniej, a nie w momencie, kiedy zostało mi już tylko kilka tygodni z bratem i ojcem.

Dotknął moich warg czubkiem palca.

- Znam Marka. Wiem, do czego jest zdolny, kiedy czegoś od kogoś chce. Musisz mi obiecać, że jeżeli kiedyś się rozstaniemy, nie wrócisz do niego.

Wciągnęłam powietrze, aż zaświstało przy jego palcu, próbując nie okazać przy tym jak zaskoczona i przytłoczona poczułam się nagle myślą, że odtąd ja i Grayson jesteśmy parą. No tak, gdybyśmy mieli przestać chodzić ze sobą, czeka nas formalne zerwanie.

Zupełnie jakby on był normalnym chłopakiem, a ja normalną dziewczyną.

Poczułam gorąco na twarzy i ramionach.

Potem jednak musiałam mu odpowiedzieć:

- Nie mogę ci obiecać czegoś takiego. Nie chodzi o to, że zamierzam uciec z powrotem do Marka, bo nie. Ale to ja określam, co jest dla mnie najlepsze. Nie mogę złożyć komuś takiej obietnicy. Zrobiłam to tylko raz w życiu.

Odszukał mój wzrok.

- Nawet jeżeli to dla twojego dobra?

- Tylko twój ojciec miał prawo mówić mi, co jest dla mnie dobre.

Grayson przytaknął ruchem głowy. Zrozumiał.

- Masz rację. A ja nie. Ale ja po prostu... No, martwię się o ciebie.

Palcem przesunął wzdłuż mojego policzka aż do podbródka. Był taki poważny, jakby przytłoczony brzemieniem odpowiedzialności - zupełnie nie ten szalony chłopak, który wpadł mi w oko lata temu. Skądinąd wiedziałam, że ten dawny Grayson wcale nie zniknął - widziałam go, kiedy mnie całował, kiedy się kochaliśmy. Miałam nadzieję, że nie stanę się jeszcze jednym ciężącym nad nim obowiązkiem, który zabija w nim ducha i fantazję.

- Żałujesz tego, co zrobiliśmy? - spytałam szeptem.

Twarz mu się zmieniała w miarę, jak docierało do niego znaczenie tego pytania. Poglaskał mnie dłonią po policzku.

- Lea, oczywiście, że nie.

- A wyglądasz, jakbyś żałował - powiedziałam. Znowu poczułam się malutka. Myślałam, że nie potrzebuję od niego pociechy. Co więcej, sądziłam, że to ja mogę być dla niego podporą. Aż tu nagle, nie wiadomo jakim sposobem, wylazła ze mnie taka nieszczęsna sierota, która chciała, żeby ją utulić. Dziewczyna, która trochę zbyt serio podeszła do tego, co się właśnie wydarzyło, a teraz chciała usłyszeć, że dla niego też to coś znaczyło.

- Hej. Przecież ci mówiłem. Ostatnimi czasy mój mózg nie działa tak, jak powinien. Czuję jedno, a potem zachowuję się w zupełnie inny sposób i to zaskakuje mnie samego. Nie wiem, skąd się bierze połowa rzeczy, które mówię. Ale jeżeli chodzi o ciebie... - Pocałował mnie w policzek. - Ech, ty... - Pocałował mnie w usta, potem odsunął się, żeby sobie na mnie popatrzeć. - Wiesz co, spróbuję cię przekonać.

Jęknęłam, kiedy zaczął okrywać pocałunkami mój policzek, potem szyję, coraz niżej, piersi i jeszcze niżej, a potem mnie przekonał.

Przeczołgał się po łóżku, wysunął się za jego krawędź. Przyciągnął ku sobie leżące na podłodze szorty i odnalazł telefon w kieszeni.

- Umieram z głodu. Co powiesz na pizzę?

- Super. Ja stawiam.

Zerknął w moją stronę i otworzył usta. A ja już zaczerpnęłam tchu, żeby mu wyjaśnić. Moja lodówka była pusta i zawsze jadłam tak, jakby to był mój ostatni posiłek, dlatego że nie miałam samochodu, żeby pojechać nim po zakupy, ani telefonu, żeby zamówić. Nie dlatego, że nie miałam pieniędzy.

Zamknął usta i przełknął niewypowiedziane słowo. Już przesunął kolejne ekrany na wyświetlaczu telefonu.

Przyturlałam się w jego stronę, żeby zajrzeć mu przez ramię.

- Ta pizzeria odpada. Nie robią dostaw na nasz kemping, bo mieli tu kilka razy nieprzyjemne sytuacje.

Wytrzeszczył na mnie oczy.

- Co to znaczy, że mieli...

Przesunęłam po gardle dłonią ułożoną na płask. Urwał. Pokazał mi następny ekranik i następną pizzę.

- Doskonale - zgodziłam się.

Godzinę później byliśmy już obżarci pizzą, więc kochałam go trochę bardziej. Bałam się nawet, że sytuacja stanie się niezręczna, kiedy będziemy siedzieli na zapadniętym materacu i jedli - nie mając nawet telewizora, żeby się na niego gapić. No, bo moje zdjęcia z drugiej klasy to jednak słaba rozrywka dla gościa, nie?

Jednak zaczęliśmy rozmawiać o samolotach. Opowiedział mi, jak kiedyś ojciec zabrał jego, Aleca i Jakea do „Sun and Fun” w środkowej Florydzie, takiego miejsca, gdzie nikt nie przyjeżdża samochodem, tylko przylatuje się tam swoimi samolotami. I o największym pikniku lotniczym, jaki widział. To było w Osh-

kosh w stanie Wisconsin. I tam pierwszy raz na własne oczy widział harriera. Powiedział, że hałas, jaki robi chinook to nic w porównaniu z rykiem silników harriera. Nigdy nie słyszałam harriera na żywo.

Odstawiliśmy na bok resztki pizzy. On poszedł do łazienki, a ja z powrotem wyciągnęłam się na łóżku. Dobrze mi tam z nim było. Jak dotąd jedyną osobą, która odwiedziła moją sypialnię, jeżeli nie liczyć mnie i mamy, był Mark. I to tylko tamtej pierwszej nocy, kiedy myślałam, że do czegoś dojdzie, a on zamiast tego usnął.

Moja matka zaprosiła go, żeby u nas zamieszkał, więc kiedy padł po pijaku, wyglądało to dla mnie tak, jakby zaprosiła swoje życie, żeby stało się moim. I żeby to życie potem leżało bezużytecznie obok mnie na moim własnym łóżku, najbardziej osobistym z osobistych miejsc - i jakby nie wolno mi było się go pozbyć. Później, przez ten czas, kiedy mieszkał w przyczepie, włóczył się z kumplami i wracał kompletnie pijany, a ja zamykałam się w moim pokoju. Wiedziałam z doświadczenia, że drzwi w przyczepie łatwo można wywalić, jeżeli komuś na tym zależy, ale jemu najwyraźniej zbytnio nie zależało, a poza tym był zbyt napruty. Pukał tylko do drzwi, potem wykrzykiwał jakieś pogróżki i zaraz walił się spać na kanapie, a ja oddychałam z ulgą. Mogłam już spać spokojnie.

Zabawne, jak zupełnie odmienne były moje uczucia wobec Marka i wobec Graysona. Jak dzień i noc. Z początku zdawało mi się, że lubię Marka. W każdym razie bardzo starałam się go polubić, ale nijak mi to nie wychodziło. Nigdy nie chciałam lubić Graysona. Po prostu go lubiłam. Nie musiałam się starać. Gdybym zobaczyła, że do mojej sypialni powraca w świetle księżyca Mark, cała skurczyłabym się w sobie. Tymczasem na widok Graysona serce zabiło mi mocniej. Przyszedł, żeby powiedzieć dobranoc. Być może. Lepsze to niż nic. Albo po prostu, żeby się ubrać. Nie oczekiwałam przecież, że będziemy kochać się drugi raz!

Wsunął się pod koc obok mnie. Muskał nosem mój kark,

aż w końcu zachichotałam. Wtedy wyciągnął rękę. Odwrócił delikatnie moją twarz ku sobie, żeby mnie pocałować. To był długi pocałunek, ale nie łakomy, zachłanny. Powoli, leniwie, badał językiem moje usta.

Po kilku minutach odezwał się:

- Podłoga w łazience przemieęła. Zamilkł, czekając na moją odpowiedź. Ponieważ się nie odzywałam, mówił dalej:

- Wygląda na to, że instalacja przecieka od wielu lat, aż z czasem pod wpływem wody deski całkiem przegniły. Wszystko trzyma się jedynie na cienkiej warstwie linoleum z wierzchu.

Znowu przerwał.

Tylko patrzyłam na niego, więc pouczył mnie:

- Musisz zadzwonić do właściciela. To jego obowiązek, żeby naprawiać takie rzeczy, nawet jeżeli będziesz tu mieszkać jeszcze tylko przez kilka tygodni.

Tym razem, kiedy wreszcie się zamknął, popatrzył na moją twarz i zorientował się, że powiedział coś niewłaściwego. Przygryzł wargi.

- Ojej. O co chodzi?

- Moja mama oczywiście zadzwoniła do właściciela - odpowiedziałam mu znużonym tonem. - Wiele lat temu, zaraz po tym, jak się tutaj wprowadziłyśmy. A on powiedział, że podłoga jest w tym stanie już od dwudziestu lat i kiedy moja mama podpisywała umowę najmu, mogła to sobie sprawdzić. Ciekawe - powiedział - że jak podpisywała umowę, to jej to nie przeszkadzało. A teraz nagle zaczyna kręcić nosem.

- Już dobrze, dobrze - powiedział uspokajającym głosem. W odróżnieniu od mojego głosu, który podniosłam prawie do krzyku, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Dotknął moich ust dwoma palcami, żeby mnie uciszyć. - Trafiłem na drażliwy punkt, ale nie wiem, o co chodzi. Co chcesz mi dać do zrozu-

mienia?

- Próbuję ci powiedzieć. Żebyś. Się. Zatkan!

Byłam taka wściekła, że złość zalała mi cały mózg, nawet nie widziałam już Graysona. Wszystko szlag trafił. Co to za kretyński pomysł, żeby wpuszczać go do przyczepy.

- Ale dlaczego nie zrobiłaś tak? - Przesunął dłonią tam i z powrotem po szyi. - Wydawało mi się, że ten sygnał obowiązuje.

Zrobiłam to samo, czyli wykonałam gest podrzynania gardła.

- Bo musiałabym tak robić przez całą noc!

- No, pięknie - mruknął. - Teraz muszę zacząć wszystko od początku.

Przetoczył się na łóżku, pociągnął mnie za sobą, a potem wstał i przerzucił mnie przez swoje ramię.

- Hej! - wrzasnęłam.

Śmiał się, a ja tak tęskniłam za tym odgłosem, że mimo woli też się roześmiałam.

Posadził mnie na kontuarze w kuchni i znowu mnie pocałował.

Zorientowałam się, że chce dokładnie powtórzyć początek, żeby znowu było tak, jakby te słowa nie padły. Jasne, że to było super z jego strony, że próbował zrozumieć te moje kompleksy i zahamowania. Więc ja też próbowałam być z nim, skupić się na tym, co robił. Jednak nie mogłam przestać myśleć o podłodze w łazience, przeciekających rurach, powolnym gniciu i właścicielu kempingu, którego zdaniem razem z matką właśnie na coś takiego zasługiwałyśmy.

Aż wreszcie umieściłam w wyobraźni Graysona tam, gdzie było jego miejsce, w tej chatce nad brzegiem oceanu, w której była tylko kanapa i deska do surfingu. Nie całował mnie w przyczepie, tylko na piasku i dzięki temu znów mogłam wyjść mu naprzeciw.

Nagle obudził mnie dźwięk radia. Grayson musiał niechcący uruchomić budzenie, kiedy je wyłączał. Nacisnęłam po omacku guzik i przytuliłam się do niego, zadowolona, że przede mną jesz-

cze godzina w łóżku razem z nim, jeszcze godzina snu. Jednak on zsunął się z legowiska. Mogłam podziwiać jego muskularny tors w świetle latarni wpadającym przez okno. Grayson najwyraźniej zbierał z ciemnej podłogi swoje ubrane.

- Już idziesz? - Spytałam, starając się ukryć rozczarowanie.

- Muszę dotrzeć na drugą stronę miasta, zanim Alec się obudzi, bo inaczej domyśli się, gdzie byłem. - Grayson siadł na brzegu łóżka i położył dłoń na mojej dłoni. - Wiem, że to strasznie upierdliwe, ale zależy mi na tym, żebyś dalej spotykała się z Alekiem. Zrób to dla mnie. Teraz już wiesz, dlaczego. Dobrze?

Nie wierzyłam własnym uszom. Wysunęłam dłoń spod jego palców. Jakoś jednak udało mi się utrzymać półzartobliwą, ironiczną tonację, gdy zapytałam:

- A co mam zrobić, jeżeli jutro mi powie, że wyraźnie zbliżyliśmy się do siebie i chciałby, żeby znajomość stała się, hm, bardziej intymna? Jeżeli będzie chciał znaleźć się tu ze mną sam na sam? A potem iść na całość? Mam mu pozwolić? W takim razie bądź tak miły, wpadnij po drodze do sklepu i kup mi paczkę kondomów. Wiesz, na wszelki wypadek!

Zamknął oczy, jakbym go spoliczkowała. Trzy poziome linie na jego twarzy: dwoje oczu, zaciśnięte usta.

- Nic podobnego się nie zdarzy. Albo nie szaleje za tobą aż tak bardzo i mój plan się nie powiodł, albo potraktuje ten tydzień jako zaledwie początek znajomości i zaprosi cię na następny weekend na naszą imprezę końcową.

- Co? Na imprezę szkolną? - Sprawy szkole wydawały mi się w tamtej chwili odległe o milion kilometrów, zwłaszcza że Alec i Grayson chodzili do szkoły w mieście położonym rzeczywiście dobre sto kilkadziesiąt kilometrów od Heaven Beach. - Chyba nie spodziewasz się, że pójdę na nią z Alekiem.

- Jeżeli cię zaprosi, to tak.

- No więc, co mam zrobić, jeżeli zechce uczcić ten dzień

w szczególny sposób?

Spojrzał w okno. Poświata księżycyca rozjaśniała jego wydatne kości policzkowe i długi nos. Wyglądał, jakby się zastanawiał.

- No, właśnie! - Wyrzuciłam z siebie. - Upadłeś na głowę. Odbiło ci. Mogłam ostatecznie zgodzić się na ten kretynizm, dopóki myślałam, że to potrwa tylko tydzień. I wtedy nie wiedziałam jeszcze, że będę zadawać się z tobą. Ale teraz miarka się przebrała. Wynoś się stąd.

Zacisnął pięść i przycisnął ją do ust.

- Lea. Jest późno, oboje nie wiemy, co mówimy. Jesteśmy zmęczeni, a poza tym dopiero co... Dopiero co...

- Dopiero co? Nawet nie potrafisz tego nazwać, a już usiłujesz mnie skłonić, żebym się dymała z twoim bratem.

Zerwał się na równe nogi. Naciągał koszulkę przez głowę i był już w połowie pokoju, kiedy odwrócił się i powiedział:

- Nie, nie musisz już niczego udawać, jeżeli o niego chodzi. Tylko nie mów mu, że to ja cię prosiłem, żebyś go podrywała.

- Och! Dzięki, Grayson. Jak miło, żeśmy to sobie wyjaśnili. Bo wiesz, właśnie zaczynałam się zastanawiać, czy nie przespałeś się ze mną tylko po to, żeby łatwiej mną manipulować.

Przez chwilę spoglądał na mnie bez słowa. W ciszy i w mroku słychać było, jak w oddali, w jakiejś innej przyczepie, mężczyzna oraz kobieta wrzeszczą na siebie.

Dłonie Graysona drżały, kiedy dotknął jednym palcem wskazującym do drugiego.

- Nigdy bym czegoś takiego nie zrobił, Lea. Nikomu. - Dotknął środkowego palca. - A zwłaszcza nie zrobiłbym tego tobie. Rany boskie!

- Wyciągnął dłoń. - Jak uważasz, co się dzisiaj między nami wydarzyło?

Teraz zrozumiałam, że dla niego to tak samo ważne jak dla mnie. A jednak gotów był wyrzucić to wszystko na śmietnik, byle tylko dalej manipulować bratem, tak jak planował to od począt-

ku. Okej, mogłam grać w tę grę, dopóki myślałam, że tylko ja mogę na tym ucierpieć. Nie zamierzałam jednak krzywdzić Aleca. Dlaczego Grayson nie może zrozumieć, że takich rzeczy się nie robi?

- Chcesz powiedzieć, że istnieją pewne moralne granice, których nie przekroczysz, nawet jeżeli chodzi o odciążenie Aleca od służby wojskowej - zauważyłam. - Natomiast inne granice moralne jak najbardziej, jesteś skłonny je zlekceważyć.

Grayson rozłożył ręce w desperacji.

- Tak!

Nadal nic nie rozumiał. Cóż, nadeszła pora, by postawić sprawę jasno.

- Powiem o wszystkim Alecowi.

- Nie zrobisz tego - warknął Grayson.

- W pracy będę o siódmej. I do siódmej daję ci czas, żebyś mu wszystko wyjaśnił. Jeżeli nie, ja sama to zrobię.

Zacisnął obie pięści.

Jedną przycisnął do ust, drugą do boku.

Wydawało się, że przestał oddychać.

Wreszcie drgnął, przeszedł przez pokój, korytarz i wyszedł z przyczepy. Pitbul znów dostał histerii, ale aluminiowe drzwiczki jednak nie trzasnęły.

Patrzyłam na plakat przedstawiający pięknego airbusa unoszącego się na wodach Hudson i wiedziałam, że postąpiłam słusznie. Oraz, że jeśli naprawdę zajdzie taka potrzeba, spełnię swoją groźbę. A jednak miałam ochotę zawołać Graysona, żeby wrócił. Żył w takim napięciu, a jednak nie trzasnął drzwiami.

Przebyłam tę samą co zawsze drogę na lotnisko i jak zawsze wyszłam z drzew na jasną, otwartą przestrzeń lotniska. Jednak poza tym tego ranka nic nie było tak jak zwykle. Mark musiał chyba wcześniej pójść spać, bo już się kręcił przy hangarze pana Simona -sprawdzał właśnie poziom paliwa w air tractorze. Kiedy przecho-

dziłam, gwizdnął na mnie. Zignorowałam go.

Molly też już się uwijała pośród traw, rozwijała właśnie baner dla Aleca, jednak żadna z maszyn Firmy Lotniczej Hall jeszcze nie wystartowała. Przede wszystkim zajrzałam przez framugę do kanciapy, w której ujrzałam Graysona. Siedział za biurkiem, ponury, miał włosy mokre od prysznica. Miałam straszną ochotę, żeby podbiec, pocałować go i poczuć jego zapach. Ale nie, zadałam to pytanie:

- Powiedziałeś Alecowi?

Spiorunował mnie spojrzeniem. Czysta nienawiść.

- Nie - odpowiedział szorstko.

- Posłuchaj. Wczoraj było dosyć późno, kiedy o tym rozmawialiśmy - powiedziałam na tyle głośno, że skrzywił się i zerknął przez drzwi, żeby sprawdzić, czy Alec nas nie słyszy. - Może nie całkiem jasno się wyraziłam. Otóż chciałam powiedzieć, że masz czas do chwili, kiedy zjawię się w pracy, żeby wszystko mu powiedzieć. Jeżeli nie, ja to zrobię.

Wycisnął ostatnią kropelkę krwi z pięści. Jego szczeka też pobieleła. Odpowiedział, cedząc bardzo powoli:

- Już ja się postaram, żebyś nie miała takiej możliwości.

Wypadłam z jego biura. Alec stał w otwartych drzwiach samolotu, sprawdzał właśnie poziom paliwa przez otwór w górze skrzydła, tak samo jak Mark.

- Alec, możemy pogadać? - zawołałam do niego.

- Jasne - zeskoczył na ziemię i oparł się o rozpórkę skrzydła. -Co tam?

Był taki przystojny, roześmiany, tak niewinnie wyglądał z tymi błękitnymi oczami i jasnymi włosami, że aż się zawahałam. A co, jeżeli naprawdę się we mnie zakochał, a moje wyznanie będzie dla niego ciosem w samo serce?

- Cholera - odezwał się. - Chciałam z tobą porozmawiać o czymś, bo moim zdaniem zasługujesz na to, żeby o tym wiedzieć, ale to dużo trudniejsze, niż mi się wydawało. Chciałam ci

powiedzieć...

Nadal się uśmiechał. Nawet nie dosłyszałam w jego głosie jakiejś szczególnej uszczypliwości, kiedy wszedł mi w słowo:

- Tylko udawałaś, że ci się podobam? Że Grayson zmusił cię do tego szantażem, bo miał nadzieję w ten sposób powstrzymać mnie od pójścia do wojska?

- Tak - odpowiedziałam i odetchnęłam z ulgą. - A więc jednak ci powiedział.

- Molly mi powiedziała - odparł Alec i teraz już słyszałam rozgoryczenie w jego głosie.

- Molly ci powiedziała? - zawołałam, patrząc w stronę lotniska, gdzie Molly właśnie wspinała się na palce, żeby zawiesić linę bane-ra między żerdziami. - Kiedy?

- W niedzielę wieczorem.

W niedzielę Grayson pierwszy raz przyszedł do mojej przyczepy. W niedzielę wieczorem Molly zabrała mnie na przejażdżkę.

- Alec, to niemożliwe. Przecież w niedzielę jeszcze nie znałaś Molly.

- Znam ją od dawna - odrzekł Alec urażonym tonem. - To znaczy, trochę się znaliśmy, ale nie chciałem zawracać jej głowy, bo przecież dosyć rzadko tutaj przyjeżdżałem. A potem, kiedy okazało się, że będę tu przez cały tydzień, zadzwoniłem do niej w sobotę rano i umówiłem się z nią. A potem ona oddzwoniła wieczorem i oznajmiła, że mój rodzony brat zmusza jej najlepszą przyjaciółkę, żeby udawała sympatię do mnie.

Słabo mi się zrobiło. Nic dziwnego, że Molly przez cały tydzień tak dziwnie się zachowywała. A ja myślałam, że najgorsze świństwo zrobiła mi wtedy, kiedy zaciągnęła mnie na imprezę u Francie. Tymczasem wobec tej zdrady, to był naprawdę drobiazg.

- Więc wiedziałeś od samego początku? - spytałam półgłosem. - A jednak się w to bawiłeś. Dlaczego, Alec?

- Po pierwsze dlatego, że Molly mnie o to poprosiła - wyja-

śnił. - Nie mogłaś się dowiedzieć, że mi o tym powiedziała. Zresztą to typowe dla Graysona. Ścierna. Mataczenie. Kombinowanie. Przekonał naszą mamę, że naprawdę się zmienił. A ja właśnie w niedzielę zdałem sobie sprawę, że wcale się nie zmienił. Ciekaw byłem, jak daleko się posunie. W dodatku kocha się w tobie, odkąd tylko cię zobaczył na lotnisku trzy i pół roku temu. Pomyślałem, że to niezły ubaw, żeby udać, że dałem się nabrać, a tymczasem, żeby to on się przekonał, jak to jest, kiedy rodzony brat robi go w konia.

Mówił coraz głośniej. A im głośniej mówił, tym szybciej biło moje serce. Już myślałam, że szybciej nie może, ale wtedy powiedział, że Grayson kochał się we mnie od lat.

Jednak to niczego nie załatwiało i nie zmieniało faktu, że Grayson manipulował nami wszystkimi.

- Alec - odezwałam się. - Nie zamierzałam cię skrzywdzić. A Grayson tylko...

- Nieważne, co zamierzałaś - przerwał mi Alec. Teraz już krzyczał. - Molly poznałem już dwa lata temu. Wreszcie, po tych dwóch latach, udało mi się z nią umówić. Ale z powodu tych kombinacji, wszystko wzięło w łeb. Spotkałem się z nią wczoraj wieczorem, ale jest do tego stopnia przekonana, że do czegoś między nami doszło, że nie chce ze mną gadać. Wielkie dzięki!

Otworzył drzwi kokpitu i wspiał się, żeby na powrót zająć się maszyną.

Nie zamierzałam tak zostawiać sprawy między mną i Alekiem, ale przecież nie będę stać i patrzeć na jego buty.

Odwróciłam się, ruszyłam przez lotnisko. Kiedy doszłam do miejsca mocowania banerów, brnąc przez gęstą i wysoką trawę, dotarłam do Molly.

- Cześć, laska - zawołała śpiewnie. Rzuciła ciężki baner na ziemię. W powietrze wzbijała się chmara much. - Co jest grane?

- Dlaczego wygadałaś się Alecowi?

Na moich oczach jej twarz uległa transformacji. Od niewinnej

nastolatki bawiącej się w niegrzeczną dziewczynkę do wcielonego zła. Całkiem niedawno widziałam coś takiego na twarzy Francie. A u Molly widziałam to tylko raz, dwa lata wcześniej - kiedy pokłóciłyśmy się o to, że niby odebrałam jej Ryana.

- Bo nie można tak postępować - odpowiedziała. - Chciałam go ostrzec.

- Przecież wiedziałaś, dlaczego tak postępuję - przypomniałam jej. - A kiedy mu o tym powiedziałaś, mogłaś całkowicie zrujnować moją karierę jako lotnika.

- Kto wie, może wcale nie zasługujesz na to, żeby robić karierę jako lotnik, co? - odparowała. - Zastanawiałaś się kiedyś nad tym? Może naprawdę brakuje ci kręgosłupa moralnego? Sfałszowałaś podpis matki. Zadawałaś się z Markiem, a zaraz następnego dnia robiłaś słodkie oczy do Aleca, żeby myślał, że na niego lecisz. Wiedziałaś, że spotykam się z Ryanem, a jednak próbowałaś mi go odebrać.

- Aha, więc o to chodzi? - wtrąciłam. - Nie możesz zapomnieć o Ryaniu?

- Rzekomo jesteś moją najlepszą przyjaciółką, ale bierzesz na cel facetów, którzy mi się naprawdę podobają i odbierasz mi ich! Czy mnie już nic się nie należy?

- Nie odebrałam ci Ryana - oświadczyłam stanowczo. - To on przylazł do mnie. Spławiłam go, a on i tak rozgadał po całej szkole, że mieliśmy coś ze sobą.

- To dlaczego nie powiedziałaś mi o tym od razu? - zawołała.

- Bo ty lubisz, żeby wszystko było postawione na głowie - odparłam. - Na opak. Możesz się chwalić przed przyjaciółkami, że kumplujesz się z nędzarką. Czujesz się inna, lepsza, bo zniżasz się do mnie, do poziomu getta.

Właściwie należało powiedzieć całą prawdę. Kiedy myślała, że to przeze mnie straciła Ryana, stałam się w jej oczach atrakcyjniejsza - przez tą śmiałość i bezczelność. A ja tymczasem chciałam od Molly

tylko jednego, żeby była. Tylko nie chciałam jej utracić. Ale tego powiedzieć jej nie mogłam. Nie po tym wszystkim, co rzuciła mi w twarz.

- Naprawdę tak ci się wydaje? - spytała. - Ale nic nie mówiłaś, bo chciałaś się przyjaźnić z taką wredną suką jak ja? To tylko dowodzi, że mam rację. Nie można ci zaufać, nie masz tego moralnego kręgosłupa. Jesteś fałszywa.

Już miała się schylić i zająć pracą, dając mi w ten sposób znać, że rozmowa skończona, jakby wcale mnie tam nie było, ale spojrzała za moje ramię i coś przykuło jej uwagę. Odwróciłam się.

Przez trawę w moją stronę brnął Grayson. Zbliżył się i wyciągnął rękę. Umieścił w mojej nadstawionej dłoni plik banknotów oraz monety.

- Nie chcę twoich pieniędzy - powiedziałam. - Rzucam tę robotę.

- To za wczoraj - odparował. - Zwalniam cię.

Odwróciłam się i poszłam przez trawę, teraz inną trasą, ukosem, żeby było bliżej do mojej przyczepy. Po drodze wypadła mi jakaś moneta, ale nie schyliłam się, żeby ją podnieść. Co prawda Grayson i Molly stracili dla mnie jakiegokolwiek zainteresowanie, bo wrzeszczeli na siebie wzajemnie, oboje jednocześnie, jednak nie zamierzałam ryzykować, że rzucą okiem w moją stronę i zobaczą, jak schylam się i grzebię w ziemi, żeby podnieść dziesięciocentówkę. W następnej chwili uświadomiłam sobie, że nie mam po co wracać do domu. Nie było tam nic do jedzenia, nic do czytania. Żadnej drogi ucieczki, a za dwa tygodnie zostanę bezdomna.

W cieniu hangaru pana Simona stał samolot przeznaczony do opylania pól, a w jego kokpicie siedział Mark i patrzył, jak idę w jego stronę.

Postarałam się, żeby iść nieco bardziej kołyszącym krokiem. Weszłam do hangaru i przysunęłam się do otwartych drzwi kokpitu. Wyszeptałam do ciemności:

- Ktoś tu na mnie gwizdał?

- Tak normalnie, to najpierw musisz przelecieć kawał drogi, zanim dotrzesz do farmy, z której masz zlecenie - powiedział do mikrofonu Mark. Samolot kołował już, podskakując na wybojach, w stronę początku pasa startowego. - Obsługujemy gospodarstwa odległe nawet o pięćset kilometrów. Ale teraz lecimy stearmanem, a poza tym masz mokro w gaciach, więc pobrzęczymy nad głowami okolicznej ludności. Chcesz poczuć prawdziwego kopa?

Jego głos dziwnie brzmiał w słuchawkach - właśnie dlatego, że brzmiał zupełnie normalnie. Mówił tak samo jak zawsze. Nie udawał Chucka Yeagera, nie starał się mówić głosem spokojnego, zrównoważonego pilota. Już w tym momencie przyszło mi do głowy, że to może nie był najlepszy pomysł. Ale co, miałam go poprosić, żeby się zatrzymał, przekołował z powrotem do hangaru i wypuścił mnie - a wszystko tylko dlatego, że nie spodobało mi się brzmienie jego głosu? Nie ma mowy. Nie zamierzałam z powodu takiej głupoty zaprzepaścić jedynej i ostatniej szansy na złapanie w tym roku pracy za sterami.

- Dawaj - powiedziałam.

Ustawił się na początku pasa i przyspieszył obroty silnika, tak jak powinien. Tylko że nie dotknął po kolei poszczególnych wskaźników, żeby je sprawdzić. Nie poruszył stopami, żeby skontrolować stery kierunkowe. Prawdę mówiąc, zawsze czułam się trochę głupio, wykonując za każdym razem wszystkie rutynowe czynności według wskazówek pana Halla. Tak jakby ni stąd ni z owąd nagle stery miały przestać działać. Jednak wtedy zawsze mi się przypominały słowa pana Halla o tym, że po starcie będzie na to już za późno i nie będzie odwrotu. Najwyraźniej Markowi nikt tego nigdy nie wytłumaczył. Albo raczej wytłumaczył, tylko Mark miał to gdzieś.

„Nie sprawdzisz sterów?” - te słowa cisnęły mi się na usta, a ja wciąż odganiałam je jak uporczywą muchę. Oczami duszy ujrzałam siebie samą jako sardynkę uwięzioną w puszczy tylnego kokpi-

tu, podczas gdy szalony Mark miota samolotem po całym niebie. Z drugiej strony, nigdy przedtem nie widziałam go przy pracy. Najprawdopodobniej nic mi nie groziło. Próbowałam sobie wyobrazić, co zrobiłby w takiej sytuacji Grayson. Gdyby potrzebował pracy przy opylaniu pól, na pewno nie zastanawiałby się nad przestrzeganiem przez Marka procedur przedstartowych.

Rzecz jasna, nigdy też by nie doszło do tego, żeby poszedł do Marka i spytał, czy Mark na niego gwizdnął. A to dlatego, że Grayson nigdy nie będzie potrzebował pracy przy opylaniu pól. Graysona i mnie dzieliła przepaść tak ogromna, że w gruncie rzeczy nie mieliśmy ze sobą nic wspólnego. Nawet za trzydzieści lat nikt nie uwierzy, jeżeli przypadkiem pójdzie plotka, że spędziliśmy kiedyś ze sobą jedną noc.

Mark swoim zwykłym nonszalanckim tonem oznajmił na częstotliwości lotniska zamiar startu. Pod koniec roześmiał się. Jego głos rozbrzmiał głośniej w słuchawkach, kiedy odjął palec od przycisku i mówił już tylko do mnie:

- Przygotuj się na odlot twojego życia, mała. To znaczy później, wieczorem. Ale teraz też będzie fajnie.

Poczułam, jak szarpnęło moją głowę w tył, gdy nagle dał gazu. Skręciło mnie w żołądku, kiedy dotarło do mnie znaczenie tego, co powiedział: że będziemy uprawiać seks, dlatego mianowicie, że zabrał mnie do samolotu. Wtedy już naprawdę pożałowałam, że natychmiast po kłótni z Graysonem, Molly i Alekiem poszłam prosto do hangaru Marka. Ale co miałam zrobić innego? Wrócić do domu?

Maszyna minęła w pędzie wielkie hangary z tej strony lotniska, potem hangar pana Simona. Tymczasem do Graysona i Molly przy żerdziach dołączył też Alec. Grayson i Alec wrzeszczeli na siebie. Alec pchnął Graysona. Molly próbowała ich rozdzielić, co wyglądało śmiesznie, kiedy machała między nimi monstrualnych rozmiarów roboczymi rękawicami. A potem wszyscy znieruchomieli

i spojrzeli w stronę startującego stearmana.

Mark puścił orczyk i pomachał im ręką. Ten dwupłatowiec nie ma kabiny, tylko gogle i mała owiewka oddzielają od otwartej przestrzeni. Więc może chłopcy nawet usłyszeli, jak Mark się wydarł:

- Mam twoją dziewczynę, frajerze!

W następnej chwili już wznosiliśmy się gwałtownie, pod takim samym kątem jak po zgarnięciu banera. Ale właściwie po co? Nie było żadnego powodu, żeby wznosić się pod takim kątem. Chyba że...

- Chciałem, żebyś poczuła przeciążenie! - rzucił do mikrofonu. - A teraz, krok pierwszy. Rozejrzeć się po okolicy, czy nie ma traktorów, kombajnów, krów. Nie chcemy w nic wałnąć, a ryzyko jest duże, bo lecimy tuż nad ziemią. Jebiesz w krowę i po tobie. Więc się rozejrzyj.

Dziwiło mnie, że zdecydował się na ten pokaz w tak niewielkiej odległości od lotniska. Przecież w pobliżu lądują i startują inne samoloty. Ale podobno tego chciałam, tak? Miał być odlot, dreszcz emocji? Wyprostowałam się w fotelu i wykręciłam szyję, żeby popatrzeć nad dolnym płatem. Rzędy bawełnianych krzewów migwały pod nami jak światła stroboskopu. Ciągnęły się aż po skraj lasu.

- Nie widzę żadnych przeszkód - odezwałam się do mikrofonu.

- A więc krok drugi - zawołał - czyli w dół, w dół, w dół!

Mój żołądek pozostał na wysokości pięciuset metrów, kiedy daliśmy nura. Chwyciłam się obiera rękami fotela i bardzo się cieszyłam, że Mark mnie nie widzi, bo siedziałam z tyłu. Zrozumiałam, że kazał mi wypatrywać przeszkód właśnie po to, żeby mnie przestraszyć, kiedy ziemia zacznie się zbliżać w takim tempie.

- Przełącznik od opylania jest mniej więcej tutaj - poinformował mnie, wskazując jedną dłonią deskę rozdzielczą. Wołałabym, żeby trzymał drążek obiema rękami, przynajmniej dopóki pikowaliśmy. - Teraz przełączasz i... wyrównujesz.

W ostatniej sekundzie, nim wałnęliśmy w ziemię, szarpnął drąż-

kiem. Maszyna pędziła tuż nad powierzchnią ziemi, nie wyżej niż półtora metra nad czubkami krzaków.

- Mark.

Mój głos w słuchawkach zabrzmiał jeszcze niepewniej niż zwykle.

Zaśmiał się.

- Co, Lea?

- Musimy lecieć tak nisko? - spytałam. - Czy to tylko taki twój pomysł?

Zaśmiał się głośniejszym głosem. Może to wina interkomu, ale usłyszałam w tym śmiechu nutę szaleństwa.

- Nie, to nie mój pomysł. Musisz przelatywać jak najniżej, chodzi o to, żeby wiatr nie rozwał chemikaliów. Dziwna sprawa, ale jakoś nikt się nie cieszy, kiedy się go posypie herbicydami. Mało tego, ludzie lecą potem ze skargą do mojego wuja. Aha, a teraz pewnie uważasz, że powinienem dać w górę, bo inaczej rozbijemy się o te drzewa.

Rzeczywiście, tak właśnie myślałam. Las zbliżał się ku nam w zastraszającym tempie.

- Widzisz, mała, to kwestia wprawy. I co, zaraz zginiemy, tak? Właśnie minęła ostatnia sekunda, w której jeszcze mogliśmy uratować życie, minęła bezpowrotnie. Zgadza się? Policz do trzech.

- Razdwatrzy! - wrzasnęłam.

- Za szybko.

Nie zamknęłam oczu, gapiłam się jak sparaliżowana na pędzące w naszą stronę drzewa. Nie chciałam umrzeć z zamkniętymi oczami.

- I teraz możemy dać w górę.

Już właśnie miałam zasłonić twarz rękami, w beznadziejnym odruchu, kiedy nos samolotu uniósł się w górę. Obrysowaliśmy kontur jakiegoś dębu.

Samolot zatoczył krąg nad lasem. Urywane strzępy śmiechu

Marka docierały do mnie, to znów milkły - mikrofon włączał się samoczynnie i wyłączał. Wreszcie Mark opanował się i spytał:

- Masz dosyć?

- Tak - przyznałam. - Mark, posłuchaj. Zmieniłam zdanie. Strasznie cię przepraszam, ale nie chcę być z tobą. Ja po prostu chciałam latać. Jeżeli jedno jest niemożliwe bez drugiego, to proszę cię, wracajmy na lotnisko. Chcę wylądować.

W słuchawkach zatrzeszczało, potem cisza. Trzeszczenie, cisza. Wydech i wdech. Wydech i wdech.

- Mark.

- Co ty powiedziałaś? - spytał kpiącym tonem. - Że chcesz jeszcze raz? Dobrze cię słyszałem.

Zniżył lot, przemykaliśmy o wiele za blisko najwyższych gałęzi drzew.

Zrobiło mi się słabo. Natychmiast przypomniałam sobie, jak mnie przed nim ostrzegano. Że to psychol. Niebezpieczny dla otoczenia. Używa samolotu jak broni. Nie można mu zaufać i powierzyć jego opiece pasażerów. Zakochał się we mnie i nie zamierza odpuścić.

- Mark, proszę cię. - Mój głos pilota zaczął się załamywać.

- Powiedziałem, że lecimy drugi raz! - Jego słowa rozbrzmiewały głośno. Uniosłam dłoń, by odsunąć słuchawki od uszu, żeby bębienki mi nie popękały. - Zaraz wyrównamy, a potem...

Całe szczęście, że nie zdjęłam tych słuchawek. W następnej sekundzie przód samolotu eksplodował z ogłuszającym hukiem. Odruchowo schowałam głowę, nade mną przeleciały szczątki: kawałki gałęzi, część śmigła. Słyszałam, jak trzasnęły o statecznik za mną.

Drzewa skończyły się, ale ten przerażający odgłos nie umilkł, tylko się zmienił. Pozbawiony części śmigła potężny, ciężki motor szarpał przodem maszyny, w każdej chwili mógł rozerwać ją na kawałki.

- Mark!

Nie odpowiedział.

Samolot szybko tracił wysokość.

- Mark! - wrzasnęłam. - Przejmuję stery! Mój samolot!

Drżącymi rękami pociągnęłam drążek do siebie, starając się zyskać jak najwięcej wysokości, żeby spaść jak najdalej... To znaczy, żeby mieć możliwość wyboru miejsca awaryjnego lądowania.

Nie za bardzo mogłam się poruszyć, bo nie zamierzałam wypuścić z rąk drążka. Pochyliłam się jednak do przodu na tyle, na ile się dało, i w bok - żeby sprawdzić, co stało się z Markiem. Siedział bezwładnie na przednim fotelu, nienaturalnie przechylony do przodu. Na panelu rozdzielczym przednim zobaczyłam jaskra-woczerwoną smugę krwi.

Zostałam zdana na samą siebie.

- Mayday, mayday, mayday.

Zapowiedziałam przez radio lądowanie awaryjne. Była to raczej grzecznościowa formuła, która mogła przydać się jedynie na to, żeby inne maszyny usunęły mi się z drogi. Rzecz jasna nikt nie odpowiedział. Żadnej wieży kontrolnej tam nie było, żadnych władz ani nikogo innego, kto mógłby nas ratować.

Silnik wibrował niebezpiecznie. Przyrządy reagowały z oporem, trudno było sterować uszkodzoną maszyną, ale udało mi się skierować jej nos w stronę lotniska. Miałam nadzieję, że dolecę. Jednocześnie rozglądałam się za odpowiednimi miejscami do lądowania - jakieś pole, nad którym przelecieliśmy, prosty odcinek dwupasmówki, który też minęliśmy. Nad oceanem unosiły się puchate białe chmurki, idealne tło do sielankowej sceny z filmu.

- Lea - odezwał się przez radio Grayson. Wyrecytował numer kanału używanego przez Firmę Lotniczą Hall.

Przełączyłam się na ten kanał.

- Jestem tutaj.

- Co się dzieje?

Oboje używaliśmy głosu Chucka Yeagera, jak nauczył nas jego ojciec, ale nawet przez radio słyszałam, że z trudem łapie oddech.

- Mark uderzył w drzewo. Jest nieprzytomny. Słaba sterowność. Straciliśmy kawałek śmigła, zaraz wyłączę silnik. Zadzwoń pod 911.

Samolot nagle szarpnął w dół, potem znowu w górę. Walczyłam ze sterami, żeby go uspokoić. W uszach słyszałam trzeszczenie. Zdałam sobie sprawę, że to mój własny oddech, którym uruchomiłam mikrofon. To znaczy, że oddychałam tak głośno, jakbym coś mówiła.

Wyłączyłam silnik, żeby odzyskać kontrolę nad maszyną. Teraz mogłam sterować nią jak szybowcem. Śmigło znieruchomiało. Przenigdy cisza w mojej przyczepie nie rozbrzmiewała tak złowroźnie.

- Przeleć nad nami, zanim spróbujesz lądować, ocenimy uszkodzenia - zaproponował Grayson.

- Niewykonalne - odpowiedziałam. - Nie utrzymam się tak długo w powietrzu.

- W takim razie zrezygnuj z lotniska i leć nad ocean.

- Niewykonalne. Mark utonie, zanim do niego dotrą.

Też nie umiałam pływać, ale o ile przeżyłabym wodowanie, prawdopodobnie zdołałabym się przytrzymać jakiegoś kawałka samolotu i doczekać przybycia Straży Przybrzeżnej. Mark nie miał szans.

- Ten pierdolony skur... - Głos Graysona urwał się nagle. Grayson przypomniał sobie, że to częstotliwość publiczna.

Nietrudno było odgadnąć, co ma na myśli. To rzeczywiście była wina Marka. Jednak teraz cała odpowiedzialność spadła na mnie. Przypomniałam Graysonowi:

- Najpierw inni ludzie, potem ja, potem samolot, na końcu baner.

Tym razem banera nie miałam, ale poza tym wpojona mi przez pana Halla zasada obowiązywała nadal. Nieważne, co zrobił Mark, teraz zaliczał się do kategorii „innych ludzi”, więc w miarę możliwości moim obowiązkiem było go ocalić.

Znów usłyszałam szum w słuchawkach: odetchnęłam z ulgą. Widziałam już pas lotniska i długi rząd hangarów. Kiedy jeszcze bardziej się zbliżyłam, zobaczyłam gapiów stojących wzdłuż drogi

kołowania - nie aż tylu co podczas lądowania chinooka, bo wciąż jeszcze był wczesny ranek, jednak niewątpliwie stanowiłam atrakcję dnia. Przed hangarem Firmy Lotniczej Hall stała Molly ze skrzyżowanymi ramionami, jakby jej było zimno. Alec dotykał dłonią ramienia Graysona. Grayson obiema rękami trzymał się za swój kowbojski kapelusz. Z tej odległości nie widziałam ich za dobrze, ale rozpoznałam ich po ubraniu i po miejscu, w którym stali.

Grayson przyłożył dłoń do ust i odezwał się przez radio pana Halla:

- Lea, nie masz lewego podwozia.

- Zrozumiano.

Spojrzałam na lewą stronę. Teraz widziałam, że podczas zderzenia z drzewem musiało odłamać się lewe koło pod skrzydłem. A to znaczyło, że podczas lądowania lewa część samolotu nie będzie miała na czym się oprzeć.

Należało więc jak najdłużej trzymać lewe skrzydło w górze, przynajmniej dopóki nie uda się trochę zwolnić.

Znowu usłyszałam w uszach szum. I znowu. Chciałam odsunąć mikrofon od ust, żeby nie nasłuchiwać własnego sapania, ale nie śmiałam oderwać dłoni od przyrządów. Widziałam mknącą pode mną ciemną trawę, potem jasnoszarą nawierzchnię. Znajdowałam się już nad pasem, pędziłam tuż nad nim. Teraz, kiedy po wyłączeniu silnika uszkodzone śmigło nie zakłócało już równowagi, w zasadzie mogłam lądować prawie tak samo, jakby samolot był w całości. Trzymałam się tego, musiałam się trzymać, żeby zachować spokój. Trochę poniewczasie przyszło mi do głowy, że może powinnam zacząć się modlić.

Samolot niepokojąco zawibrował, kiedy prawe koło zetknęło się z nawierzchnią.

Daleko przede mną Grayson, Alec i Molly biegli po trawie rosnącej między pasem a drogą kołowania. Powiew zdmuchnął Graysonowi kapelusz z głowy. Lepiej - pomyślałam - żeby trzyma-

li się z daleka. Tarcie metalu o asfalt może spowodować iskrzenie, może zapalić się paliwo i wtedy nastąpi wybuch.

Uniosłam nieco lewe skrzydło, żeby utrzymać jak najdłużej samolot w poziomie. A raczej próbowałam, bo steerman to stara i ciężka maszyna, więc nie na wiele się to zdało. Skrzydło wciąż opadało i dziwiło się niezmiernie, że nie ma pod sobą żadnego oparcia. Próbowano namacać grunt, lecz na próżno...

Skrzydło zgrzytnęło, wrzasnęło, zaszurało po asfalcie. Trzasnęło i odłamana jego część gwałtownie wzbiła się w powietrze.

Iskry i odłamki skrzydła przeleciały nad moją głową.

Samolot szarpnął gwałtownie w lewą stronę. Znów drzewa pędziły wprost na mnie. Wpiłam się palcami w drążek. Drzewa nadciągały i wiedziałam, że zaraz się o nie roztrzaskam. W wyobraźni odrywałam się właśnie od ziemi, w pełni panując nad maszyną, żeby przelecieć nad drzewami, a potem nad oceanem, prosto w chmury.

Jęknęłam głucho. Usłyszałam ten jęk w słuchawkach.

Byłam tak blisko drzewa, które zaraz miało mnie zabić, że po jego korze byłam w stanie stwierdzić, jaki to gatunek. Taka sama palma jak ta, która rosła przy moim oknie.

Żołądek mnie opuścił. Wszystkie atomy mojego ciała szarpnęły się gwałtownie w przód, a potem w tył.

Maszyna zatrzymała się z odgłosem tak ogłuszającym, jak żaden inny odgłos.

Nie, ten hałas to nie był szum w słuchawkach, tylko mój wrzask. Zaraz popękają mi bębunki. Wyciągnęłam rękę, żeby zerwać słuchawki.

Ciepłe dłonie dotknęły mojej głowy. Ramiona oplotły klatkę piersiową, uniosły mnie. - Lea! Otwórz oczy.

Jak przez mgłę ujrzałam Graysona. Staliśmy obok zmaltretowanego samolotu, pod drzewami na skraju pasa. Nie mogłam złapać tchu, zbyt długo wrzeszczałam.

Zdjął mi z głowy słuchawki, potem gogle. Dotknął dłońmi obu policzków i popatrzył mi w oczy. Podwójne odbicie mojej twarzy wyglądało dziwnie w jego lustrzanych okularach - wypukłe, potargane, z wielkimi oczami.

- Nic ci nie jest? - spytał.

- Czy Mark nie żyje? - wychrypiąłem pytanie.

- Żyje, żyje. Ale kawałek drzewa, które skosił, walnął go w głowę. Jego ręka też kiepsko wygląda - stwierdził Grayson, zerkając w stronę rozbitego samolotu. Maszyna zatrzymała się na drzewach, prawie jakbym tam ją specjalnie zaparkowała, tylko że ze śmigła już niewiele zostało, skrzydła były pogięte, tak samo ogon, brakowało lewego podwozia - więc samolot był przechylony w tę stronę. Alec, Molly i lotniskowy mechanik zgromadzili się wokół Marka przy przednim kokpicie.

Grayson dotknął moich włosów.

- Głowa w porządku?

- Tak - wydyszałem.

- Szyja? - Przesunął dłońmi w kierunku ramion. - Nic cię nie boli?

- Nie.

- Co z nią? - zawołała Molly.

- Wszystko w porządku! - zawołał w odpowiedzi Grayson.

- Grayson! - W głosie Aleca słychać było niepokój. - Chodź, potrzebujemy pomocy!

Grayson wskazał palcem ziemię i powiedział:

- Usiądź.

Dociskając dłońmi oba moje ramiona zmusił mnie do wykonania polecenia. Nie miałam zamiaru się opierać, opadłam bez siły na trawę.

- Nie ruszaj się.

Schylił się, żeby przejść pod złamaną gałęzią zwisającą tylko na kilku drzazgach. W następnej chwili razem z innymi zajmował się wydobywaniem Marka z wraku.

Gdzieś daleko za mną rozległo się wycie syreny. I jeszcze słyszałam stukanie stalowej linki o maszt flagowy.

* * *

Ratownicy przetrzymali mnie w ambulansie przez dłuższy czas, jakby nie mogli uwierzyć, że nic mi się nie stało. Potem pojawili się policjanci, żeby mnie przesłuchać, i dopiero wtedy moi ratownicy poszli pomóc tym, którzy zajęli się Markiem. Następnie policjanci dali mi spokój, a ratownicy wrócili. Wreszcie pomogli mi wyjść z ambulansu i przekazali do rąk własnych Graysona, który przez cały czas stał na zderzaku i mnie pilnował.

Kiedy Alec zobaczył, że jestem wolna, podszedł i wyściskał mnie pod drzewami.

- Pamiętasz, jak mój ojciec powtarzał „Musisz być lepsza ode mnie”? No, więc jesteś.

Potem jeszcze wyściskała mnie Molly, długo i mocno. I pocałowała mnie w policzek. Za szklami jej szpanerskich okularów przeciwsłonecznych widziałam rozmazany makijaż i smugi zostawione przez łzy.

- Kurwa, ale mnie wystraszyłaś - wychlipała.

Trzymała rękę na moim ramieniu, dopóki Grayson nie odprowadził mnie przez trawę na drogę kołowania. Tymczasem już ktoś zaprzął traktor do szczątków nieszczęsnego, pięknego stearmana, żeby wyciągnąć go z drzew. Jasne, należało jak najszybciej zwolnić pas, żeby inni mogli latać i żeby interes się kręcił.

Grayson nie odezwał się ani słowem przez całą drogę do przyczepy. Ja też milczałam. Z jakiegoś powodu mój umysł zatrzymał się przy tamtej chwili, kiedy lewe koło za chwilę powinno dotknąć pasa i kiedy zdałam sobie sprawę, że oszukuję samą siebie, że tego koła naprawdę nie ma. Grayson wyciągnął rękę po klucz, otworzył drzwi i wprowadził mnie do przyczepy, potem do sypialni. Posadził mnie na brzegu łóżka i stanął tuż przy mnie, pochylił się nade mną, dotykając kolanami moich kolan.

Pocałował mnie w usta.

- Naprawdę wszystko w porządku?

- Spoko. Za jakiś czas ochłonę.

Pocałował mnie w policzek, potem muskając ustami moją twarz, zbliżył wargi do mojego ucha.

- Zapomnieliśmy, że cokolwiek dzieje się na ziemi, nie ma prawa wpłynąć na to, co rozgrywa się w powietrzu - Pocałował mnie w ucho, potem odsunął się, żeby popatrzeć mi w oczy. - Kocham cię.

Odetchnęłam głęboko, nie spuszczając z niego wzroku.

- Też cię kocham.

- Chciałem ci to powiedzieć przez radio - wyznał. - Ale tego się nie robi.

- Twój ojciec za coś takiego kopnąłby cię w tyłek. Roześmiał się. Wyciągnął telefon z kieszeni.

- Zostawiam ci komórkę. Gdybyś czegoś potrzebowała, dzwoń do Molly.

- Tak. Dobrze - odpowiedziałam. Rozwaliłam samolot, ale nie zmieniało to faktu, że Molly zarzuciła mi fałsz. Może zresztą słusznie.

- Ona czeka na twój telefon - dodał Grayson. - Na razie odpoczywaj. Później zajrzę tu do ciebie.

Patrząc mi w oczy, pocałował moje ręce, a potem zniknął. Po natężeniu ujadania pitbula mogłam odgadnąć, w jakiej odległości się znajduje.

Leżałam sobie przez jakiś czas, ale tamta chwila za sterami samolotu wciąż nie dawała mi spokoju. Ubzdurałam sobie, że wszystko odbywa się zupełnie zwyczajnie, chociaż przecież Grayson powiedział mi, że nie mam lewego podwozia. Sadzałam maszynę na jednym kole i dopiero stopniowo docierało do mnie, że drugiego jednak nie ma.

Wreszcie wstałam, wzięłam prysznic i pomaszerowałam z powrotem na lotnisko. Kiedy przechodziłam obok budynku biura,

pan Simon właśnie wychodził, jak zwykle w bejsbolówce i roboczym kombinezonie - pomimo upału. Pomachał do mnie. Rano, kiedy się rozbiłam, nie było go na lotnisku. Teraz domyślałam się, że właśnie jego nieobecności zawdzięczałam podniebną przejażdżkę z Markiem: tak naprawdę wuj do niczego go nie upoważnił, ale jak wiadomo, nieobecni nie mają racji.

Nie miałam ochoty wysłuchiwać bury od pana Simona, chociaż z drugiej strony patrząc, miał prawo mnie zrugać. W końcu przecież rozbiłam jego samolot. Cóż. Ruszyłam w stronę ganku.

- Chcę uścisnąć twoją dłoń, młoda damo - oznajmił. Nie miałam szczególnej wprawy w uściskach dłoni. Ostatnim razem to było chyba wtedy, gdy pan Hall przedstawił mi Sofie. W każdym razie wyciągnęłam rękę do pana Simona. Najpierw pochwycił moją dłoń zbyt mocno, a potem tak słabo, że prawie wcale jej nie czułam. Chyba przypomniał sobie, że przybija piątkę dziewczynie. „Młoda damo”. Tak się do mnie zwrócił, było w tym nieco kpiny, chociaż zarazem okazywał szacunek i uznanie. Ta mieszanka zawsze była obecna w moim życiu pilota i wiedziałam, że tak już będzie zawsze.

Ruchem ręki zaprosił, żebym usiadła na bujanym fotelu. No, to usiadłam. On sam rozsiadł się w drugim, w tym samym fotelu stojącym po drugiej stronie drzwi, który w sobotę zajął Grayson, żeby próbować mnie namówić na podjęcie pracy u niego.

- Nieźle się spisałaś - stwierdził pan Simon. - Uratowałaś mojego siostrzeńca. - Jego spojrzenie powędrowało ku linii drzew, gdzie na kilku pniach widać było świeże, jasne blizny, miejsca, w których samolot zdarł z nich korę. - Ocaliłaś to, co zostało z mojego samolotu.

Ocaliłam własną skórę - pomyślałam.

- A ja tymczasem mam podpisane umowy i muszę się z nich wywiązać - ciągnął pan Simon. - Mark zostaje uziemiony. Jeżeli o mnie chodzi, to nieodwołalnie. Będę potrzebował pilota.

Pan Simon tak naprawdę jeszcze nie zaproponował mi pracy w charakterze pilota. Owszem, wiedziałam, że do tego zmierza. Ale wiedziałam też, że nie należy spodziewać się zbyt wiele i nie wyrywać się z tym, że coś rozumiałam, bo w ten sposób podczas negocjacji zyskałby uprzywilejowaną pozycję. Tak, sporo się nauczyłam, podsłuchując pogawędek na ganku.

Ale w sumie mało mnie to obchodziło, miałam już własne plany.

- Jakies dwa tygodnie temu, kiedy Mark jeszcze pracował dla pana, mówił mi, że jest pan skłonny mnie zatrudnić. Czy to była prawda?

Brwi pana Simona powędrowały ku górze. Pokręcił głową.

- Nie. Wtedy nie. Pierwsze słyszę. On ci to powiedział? Przytaknęłam ruchem głowy. Rzygać mi się chciało.

Ale nie pokazałam tego po sobie. Ani zaskoczenia, bo przecież nie byłam zaskoczona.

Czekałam, aż się odezwie, bujałam się w fotelu, jak gdyby nigdy nic.

Wreszcie powiedział:

- Przykro mi z tego powodu. Przepraszam za niego. Matka nie wpoila mu pewnych zasad.

Moja matka też mi nie wpoila żadnych zasad - pomyślałam - a przecież nie postępuję w ten sposób. I bujałam się dalej.

- W każdym razie teraz miejsce się zwolniło - podjął pan Simon. - I chciałbym, żebyś to ty je zajęła. Oczywiście, konieczne jest szkolenie, ale nie ulega wątpliwości, że masz wszelkie predyspozycje do tego zawodu.

- Czy wyszkoliliby mnie pan za darmo? - spytałam. Też się bujał.

- Jeżeli to warunek - owszem.

Teraz powinnam spytać o wynagrodzenie. W przeciwnym razie mógłby je obniżyć, żeby zrekompensować sobie te darmowe lekcje. Ha. Od Graysona też się czegoś nauczyłam.

Ale akurat tym razem nie było sensu dalej prowadzić tej rozgrywki.

- Dziękuję, ale mam już pracę na całe lato - odpowiedziałam. - Latam dla Firmy Lotniczej Hall.

Spojrzał w stronę hangaru firmy, więc także odwróciłam się w tamtą stronę. Na zewnątrz stał zaparkowany czerwony piper, a w naszą stronę szedł Grayson i niósł jakieś pudełka.

- Myślisz, że się utrzymają? - spytał pan Simon.

- Tak sędzę - odparłam - przynajmniej przez lato. Natomiast nie wiem, co będę robić w przyszłym roku. Może wtedy będziemy mogli podjąć tę rozmowę.

- W porządku, zgoda.

Wstaliśmy oboje. Znowu uściskał mi rękę, tym razem obiema swoimi dłońmi. Popatrzył na mnie jasnoniebieskimi oczami i powiedział:

- W każdym razie bardzo ci dziękuję.

Zszedł z ganku i skierował się ku swojemu hangarowi, na drugi koniec lotniska.

Grayson zajął jego miejsce w fotelu, po czym postawił na podłodze przyniesione pakunki: dwa pojemniki z ekologicznego kartonu z logo knajpki rodziców Molly oraz nie mniej ekologiczny kubek.

Widać było, że ma coś ważnego do powiedzenia. Tak jak wtedy, pierwszego dnia, kiedy rozmawialiśmy na tym samym ganku - czułam, że w gorącym, wilgotnym powietrzu coś wisi. Coś sporego kalibru.

Wstał i wyciągnął do mnie ramiona. Chwyciłam go za ręce, a on pociągnął mnie tak, że wstałam. Wtedy objął mnie. I trzymał w objęciach długo, długo, długo.

Z wolna rozluźniałam się, zaczęłam oddychać. Chociaż przeleżałam ze dwie godziny w łóżku, gapiąc się na sufit przyczepy, nie zdawałam sobie sprawy z napięcia w moich mięśniach. Dopiero

teraz, pierwszy raz po tym lądowaniu zmięklam, odpuściłam, zrelaksowałam się w objęciach Graysona.

On też wyluzował, mocny uścisk przerodził się w masaż ramion. W końcu odsunął mnie na długość ręki i spojrzał mi w oczy. Przynajmniej tak mi się zdawało, bo przecież oboje mieliśmy na sobie lustrzane lotnicze okulary. Co prawda nie widziałam jego oczu, ale jednak w głosie usłyszałam szczerą troskę:

- Dobrze się czujesz? - Odkasznął.

- Nic mi nie jest - odpowiedziałam. - A ty jak się czujesz?

- Teraz już dobrze. Ale chwilę to trwało. Martwiłem się o ciebie i właśnie miałem cię odwiedzić. Siadaj.

Nie chciałam, żeby traktował mnie jak kalekę, bo przecież w ostatecznym rozrachunku byłam cała i zdrowa. Ale z drugiej strony on też sporo przeszedł tego dnia, więc nie zamierzałam się z nim kłócić. Usiadłam posłusznie.

Zajął miejsce obok. Popatrzył, zmarszczył czoło. Sięgnął, chwycił mój fotel za oba podłokietniki i przyciągnął go bliżej.

- Tak jest lepiej - stwierdził. Położył dłoń na moim kolanie.

Oboje patrzyliśmy w stronę końca pasa startowego, gdzie oranżowy piper przyspieszył właśnie, przygotowując się do startu. Na pewno od tego czułam wibracje w kolanie - od silnika samolotu. Bo już mi się zdawało, że to od dotyku Graysona. Jednak kiedy maszyna oderwała się od ziemi i poszybowała w powietrze, a odgłos jej silników przerodził się w ciche, odległe brzęczenie, wibracja pozostała. Czułam ją w udzie i niewątpliwie pochodziła od zetknięcia z dłonią Graysona opartą o moje kolano. Ścisnął je, jakby chciał sprawdzić, czy w dalszym ciągu siedzę obok niego.

- Zaraz, kto pilotuje? - spytałam. - Przecież to mój samolot. Widzę, że rzeczywiście mnie wylałeś. I tak szybko znalazłeś zastępstwo?

Jęknął.

- Przestań, zupełnie mi odbiło. Proszę, wróć do pracy. Admirał cię zastąpił, ale to tylko na dziś.

- Admirał! - zawołałam. - Grayson, przecież to szaleństwo! Jak mogłeś go o to prosić? Jasne, wiem, że to świetny pilot, ale jeżeli nigdy się tego nie uczył, to już po nim. Zabije się.

Grayson znów uściskał moje kolano, tym razem był to uścisk uspokajający.

- Sam się do mnie zgłosił, żebym nie zarwał kontraktów i żebyś ty nie musiała dzisiaj latać. A on akurat karierę lotniczą od tego zaczynał, jeszcze kiedy był głupim gówniarzem. Tak właśnie powiedział.

Roześmiałam się.

- Jakbym słyszała twojego ojca.

- Właśnie dlatego się przyjaźnili. - Grayson stuknął palcem w moje kolano. - Tylko nie mów nic żonie Admirała. Taki warunek postawił. Powiedział, że dałaby mu popalić.

- Sprowadź go na ziemię. Ja polecę. I tak właśnie miałam iść do hangaru i powiedzieć, że jestem już gotowa.

- Nie - odparł Grayson. - A ja właśnie szedłem, żeby zanieść ci do przyczepy śniadanie i lunch. - Wskazał stojące na ziemi opakowania z kafejki.

- Nic mi nie jest.

- Nie.

- Chcę latać.

Zdjął dłoń z mojego kolana.

- Nie, Lea. Dziś rano rozbiłaś się podczas lądowania. Nie pozwolę ci latać tego samego dnia. Jeżeli jutro będziesz czuła się dobrze, to proszę bardzo. Jutro i w niedzielę.

- Nie rozumiesz. Muszę natychmiast wsiąść na konia, z którego spadłam.

Powiedziałam to niedbałym tonem, jakbym żartowała, ale

to wcale nie były żarty. Nie, nie bałam się. I wiedziałam, że to, co zdarzyło się tego ranka, nie stało się z mojej winy. Za to obawiałam się, że z czasem ogarnie mnie lęk - jeżeli będę czekać zbyt długo i będę miała za dużo czasu na myślenie.

- A poza tym, wstyd mi.

- Dlaczego?

- Że się tak darłam.

Zza szkła okularów wyłoniła się uniesiona brew.

- Uważasz, że należało rozbić się z większą godnością?

- Należało wykazać więcej opanowania. Uśmiechnął się.

- Kiedy ja w zeszłym roku rozbiłem się piperem, poszedłem do lasu, żeby się wyrzygać. Zresztą sama wiesz. I pozbierałem się. Ty też się pozbierasz. Naprawdę myślę, że do jutra się pozbierasz. Dałabyś radę i dzisiaj, ale jako twój pracodawca nie mogę na to pozwolić. To byłby przejaw skrajnego braku odpowiedzialności z mojej strony. Koniec dyskusji.

Przesunął dłonią po gardle.

Zmarszczyłam brwi i wykonałam ten sam ruch.

- Nadużywamy tego gestu.

- To konieczne - stwierdził. - Konieczne, bo żadne z nas nie wie, kiedy się zamknąć. - Ujął obie moje dłonie. - Wiem, zaraz mi powiesz, że to właśnie odpowiedni moment, żebym się zamknął. Ale ja muszę ci coś powiedzieć i chcę cię o coś poprosić.

- Wal.

Mogłabym już przywyknąć do tego, że Grayson snuje dalekosiężne plany, ale z drugiej strony trudno było zapomnieć, jaki zawsze był, więc dziwne mi się wydało, że z góry zaplanował sobie i wyznanie, i prośbę.

Potarł moje dłonie kciukami, zbierając się w sobie.

- O, cholera! - zawołałam. - To musi być naprawdę coś okropnego. Mów, Grayson!

Zdjęłam okulary i położyłam je na kolanach, potem wyciągnęłam rękę i zdjęłam też jego lustrzanki.

Jak zawsze zaskoczył mnie widok jego oczu, bo widywałam je nieczęsto: dziwny odcień szarości, długie i jasne rzęsy. A w dodatku zazwyczaj, kiedy je widywałam, były zmrużone. A teraz wielkie i zatroskane. Przygryzł wargę.

- No, mówże! - ponagliłam go.

- Głupio, że nie powiedziałem ci wcześniej, tylko cię szantażowałem. Muszę ci to wreszcie powiedzieć, ale nie chciałem, żebyś przez to ze mną zerwała.

- Trudno, gadaj wreszcie.

Wcale nie chciałam się dowiedzieć. Wszystko dopiero się zaczęło, a już mieliśmy się rozstać? Ale przecież w końcu i tak musiałam się dowiedzieć...

- Ojciec zostawił ci w spadku cessnę. Zachłysnęłam się.

- Co? Cessnę? - Cessna, czteromiejscowy samolot, którego pan Hall używał, dając lekcje pilotażu. Pierwsza maszyna, jaką kiedykolwiek leciałam i pilotowałam. - Dlaczego przez te dwa miesiące nikt mi nic nie powiedział?

- Mój tato w swojej nieskończonej mądrości uczynił wykonawcą testamentu Jakea. Jake już nie żył, więc testament ugrzązł w sądzie. Jestem pewien, że jeszcze tydzień czy dwa, a ktoś by się do ciebie odezwał. Może nawet by zadzwonili, ale nie masz telefonu.

Patrzyłam na niego i nie wierzyłam własnym uszom. Nie mogłam uwierzyć. Pan Hall zostawił mi w spadku swoją cessnę. Grayson poruszył się niespokojnie.

- Zrozum, nie mogło do mnie dotrzeć, z jakiej racji zostawił samolot swojej uczennicy - o ile nie byliście ze sobą bliżej, niż którekolwiek z was chciało przyznać. I to dlatego byłem... Byłem taki niemiły dla ciebie na początku tygodnia. Dopiero tamtego wieczora, kiedy siedzieliśmy w knajpce Molly i zaczęłaś mówić o lataniu,

zacząłem rozumieć. Pewnie nigdy nie zwierzałaś się mojemu ojcu i nie opowiadałaś mu takich rzeczy jak nam, ale on i tak wiedział. Dostrzegł to w tobie. A potem, kiedy ty i ja rozmawialiśmy ze sobą i... No, wiesz, nie tylko rozmawialiśmy... Wtedy pojąłem. Zrobiło mi się wstyd, że cię podejrzewałem. No i proszę, masz taaki samolot! - Rozłożył ręce, co miało symbolizować maszynę o rozpiętości skrzydeł wynoszącej jedenaście metrów i osiem metrów długości od śmigła do ogona. I grube tysiące dolarów.

Nie, nie mogłam w to uwierzyć. Nagle stałam się właścicielką cessny.

- Czy Alec też wiedział o tym od samego początku?

- Nie. To ja cały czas gadałem z prawnikami. Powiedziałem Alecowi dopiero dzisiaj rano.

- Ale w końcu i tak by się dowiedział - zauważyłam - i musiałeś sobie z tego zdawać sprawę. Jak mogłeś liczyć na to, że coś wyjdzie z twojego planu spiknięcia nas ze sobą?

Wyciągnął rękę.

- Miałem gdzieś, czy się dowie - powiedział, dotykając kciuka. - I miałem gdzieś, że ty się dowiesz. - Dotknął palca wskazującego. - I czy się wścieknie, czy nie, też mnie mało obchodziło. - Dotknął palca środkowego. - Ani czy ty się wściekniesz. - Doszedł teraz do palca serdecznego. - Obchodziło mnie tylko to, żeby utrzymać go przy życiu.

Skinęłam głową. Tyle byłam w stanie zrozumieć.

Ale dalej nie potrafiłam uwierzyć, że jestem właścicielką cessny.

- Nie mogę jej przyjąć - powiedziałam.

- Domyślałem się, że tak powiesz. Myślisz, że nie zasługujesz na tę maszynę. Ale ojciec ci ją zostawił, bo cię kochał. A miłość nie jest czymś, na co się zasługuje.

Brzmiało to, jakby czytał z kartki przygotowany tekst. Popatrzyłam na niego zdziwiona. Uśmiechnął się blado.

- Całkiem niedawno się tego nauczyłem. - Uśmiech zniknął. - Ale mam nadzieję, że to prawda. - Popatrzył w stronę hangaru Firmy Lotniczej Hall. Nie widać było stojącej wewnątrz białej cesseny, ale oboje wiedzieliśmy, że tam jest. - Pewnie mogłabyś sprzedać samolot, żyć z tych pieniędzy i płacić za studia aż do dyplomu, o ile nie będziesz zbyt rozrzutna. Tylko że wtedy nie miałabyś już samolotu, a jak cię znam, dla ciebie ważniejszy jest samolot do latania niż miejsce do mieszkania.

Zaśmiałam się. Trafił w sedno.

- Ale wiesz, niektórzy ludzie sprzedają udziały w swoich samolotach - mówił dalej. - Znam na przykład emerytowanego lekarza, który bardzo chętnie kupiłby połowę tego samolotu, bo maszyną zajmował się mój ojciec. - Usłyszałam w jego głosie nutkę dumy. - I tak mogłabyś latać, a połowę wartości samolotu miałabyś w kieszeni.

Odchyliłam się w fotelu i westchnęłam ciężko, przytłoczona tą zupełnie nową i niespodziewaną wizją posiadania samolotu.

- Nieźle.

- Wiem - mówił dalej Grayson. - To dla ciebie wszystko zmienia, właśnie dlatego głupio, że nie powiedziałem ci wcześniej. Ale gdybym powiedział, jeszcze trudniej byłoby mi ciebie zmusić, żebyś robiła to, czego chciałem. Więc jeżeli chcesz odejść, zrozumieć to i... - Zdjął kapelusz, przesunął palcami przez blond włosy i włożył z powrotem nakrycie głowy. - Prawdę mówiąc, to niezupełnie. Bo będę błagał i wił się u twoich stóp.

Zachichotałam, ale nie powiedziałam, że mu wybaczyłam. Nie tak prędko. Za jego sprawą sporo przeszłam. Owszem, mogłam zrozumieć, co nim powodowało, ale może lepiej, żeby jednak trochę się powił u moich stóp? Nie podjęłam jeszcze decyzji.

- A o co chciałeś mnie prosić?

- Och. - Jego policzki poróżowiały. Odchrząknął nerwowo. - Czy pójdziesz ze mną na imprezę końcową w szkole?

Zarechotałam tak głośno, że echo odbiło się o metalową ścianę hangaru Firmy Hall i wróciło do nas.

- Na tę sławetną imprezę!
- Tak jest! - odpowiedział, szczerząc zęby.
- W Wilmington, tak?
- Owszem. W przyszłą sobotę. Spojrzałam przez ramię na drzwi biura.
- Będę musiała wziąć wolne z pracy.
- Przecież impreza jest wieczorem, lotnisko będzie już zamknięte.

Pokiwałam z wolna głową.

- Ale... Nie mam co na siebie włożyć.
- Nieważne, w co się ubierzesz. Może być ten top od bikini, w którym latasz, a i tak wszystkie dziewczyny, które znam, szlag trafi... - Popatrzył na mnie z uśmiechem. - A faceci... Wiem, różni czepiają się ciebie, że jesteś taka piękna i że to wykorzystujesz, ale musisz pozwolić, żebym chociaż raz ja to wykorzystał.

- Cóż, jeżeli chodzi ci o to, żeby odegrać się na kolegach... i koleżankach - stwierdziłam - jak mogę odmówić? Nigdy w życiu nie byłam na takiej imprezie. W mojej szkole była już kilka tygodni temu i nawet do głowy mi nie przyszło, żeby na nią pójść.

- Już ja się postaram, żeby była udana. Zastanawiając się nad szczegółami, spytałam:

- A podjedziesz po mnie, żeby mnie zawieźć? Wiem, że to kawał drogi, tam i z powrotem, a w dodatku jeszcze muszę jakoś wrócić...

- Pewnie, że mógłbym po ciebie przyjechać - odpowiedział. - Mogłabyś przenocować w moim domu, a mama zadbałaby, żebym zachowywał się wobec ciebie przyzwoicie. Przynajmniej tak długo, dopóki będzie miała nas na oku. Ale... - uniósł palec, jakby właśnie wpadł na wspaniały pomysł. - ... mogłabyś przecież przylecieć do Wilmington swoim samolotem.

Gapiałam się na niego przez chwilę, nie rozumiejąc, o czym mówi. Dopiero po krótkiej chwili załapałam, że mówi o cessenie pana Halla. Czyli obecnie mojej cessenie.

- Ale czy mogę to zrobić? - spytałam. - Z prawnego punktu widzenia to nie jest jeszcze mój samolot.

- Zgadza się - odparł. - Jeszcze przez kilka tygodni będzie należeć do Firmy Lotniczej Hall, aż do chwili, kiedy oficjalnie ci ją przekażę. Ale masz przecież ubezpieczenie na pilotowanie samolotów firmy. To wystarczy. Możesz lecieć, dokąd tylko zechcesz.

- O, kurczę.

Wyobraziłam sobie, jak lecę do Wilmington na imprezę. Jak lecę dokądkolwiek zechcę i kiedy tylko zechcę. Oczyma duszy ujrzałam siebie wznoszącą się od samej ziemi na wysokość trzystu metrów, skąd już wszystko widać... A potem mogę skrócić w dowolną stronę. Całe wybrzeże Atlantyku, cały kraj nagle zaczął należeć do mnie.

Grayson zaśmiał się cicho.

- Wiedziałem, że uśmiechniesz się na tę myśl. Potrwało kilka minut, zanim to do ciebie dotarło, ale w końcu dotarło.

- Owszem - przyznałam. - Teraz już dotarło.

- Jeszcze jedno. Alec zaprosił na imprezę Molly, więc byłoby miło, gdybyście się pogodziły, a wtedy mogłabyś ją przywieźć.

Jak na zawołanie żółty piper przeleciał z warkotem nad trawą i zrzucił baner, który upadł i nie poruszył się - pogoda była prawie bezwietrzna.

Patrząc na oddalającą się maszynę, powiedziałam:

- Mam nadzieję, że z powodu tego wszystkiego nie będzie jakichś tarć między tobą a Alekiem.

- Och, pewnie, że będą tarcia - stwierdził Grayson. - I to jakie! Kiedy pozarliśmy się dzisiaj rano, jeszcze zanim wystartowałam z Markiem, zadzwonił do mamy i naskarżył na mnie.

- Naskarzył? - zawołałam. - Przecież on nigdy na ciebie nie skarżył. Poza tym chyba twoja mama wiedziała, że prowadzisz interes i robisz to po to, żeby nie szedł do wojska.

- O tym wiedziała - przytaknął Grayson. - Ale nie wiedziała o tobie i do czego cię zmusiłem. W sobotę, kiedy wrócimy do Wilmington, czeka mnie spotkanie z terapeutą. Oraz z wujami.

Gdyby powiedział to z goryczą w głosie, byłoby mi przykro z jego powodu, ale rzucił to tak lekkim tonem, jakby w ogóle nie miał nic przeciwko temu.

- Może to ci dobrze zrobi - rzekłam ostrożnie.

- Może. W każdym razie, cokolwiek się stanie, Alec jest moim bratem. Przeszliśmy już razem przez piekło i z powrotem. Damy radę. - Powiódł wzrokiem za samolotem Aleca, dokonującym okrążenia przed podejściem do lądowania. - Mojemu ojcu nie spodobałoby się, że jesteśmy ze sobą. Uważałby, że jestem dla ciebie za kiepski.

- Myliłby się - oświadczyłam. - A ja bym mu o tym powiedziała. Pamiętasz, wtedy, w grudniu, kiedy miałeś to twarde lądowanie... Z początku panowałeś nad maszyną, chociaż wiało jak diabli. Posadziłeś samolot i wtedy twój ojciec powiedział: „doskonale”.

Grayson uśmiechnął się.

- Ale potem, kiedy się rozbiłem, powiedział coś zupełnie innego.

Owszem, to też była prawda.

- Cóż, przez sekundę uważał, że spisałeś się doskonale. I rzeczywiście tak było. Słyszałam w jego głosie, jaki był z ciebie dumny. Tak jakbyś zdobył jakąś nagrodę albo jakby on sam zdobył coś cennego.

- Dzięki, Lea.

Grayson pochylił się najdalej, jak tylko mógł, razem z bujanym fotelem. Pocałował mnie w usta, dotykając jedną dłońią policzka i przytrzymując w ten sposób na czas pieszczoty.

Cofnął się, odetchnął głęboko i wskazał kciukiem za ramię.

- Muszę wracać do roboty.

- Wiesz co? Może pójdę z tobą - zaproponowałam. - Obiecuję, że nie będę próbowała wystartować. Może pozamiatam hangar albo, cholera, na przykład wytrzępię wreszcie tę nieszczęsną kanapę. Zajmę się czymkolwiek.

Popatrzył na mnie tak surowo, że sama wycofałam się z tej niewczesnej propozycji.

- No, już dobrze. Dobrze - powiedziałam, podnosząc ręce do góry.

Pochylił się, podniósł pudełka i kubek z knajpki rodziców Molly.

- Masz. - Ruchem głowy wskazał budynek biura. - Idź do środka, zgarnij czasopismo, tak jak zawsze. Jest nowy numer. I do domu! Odpocznij. Po pracy przyjdzie do ciebie Molly, żeby z tobą pogadać. I nie rób takiej miny. A potem ja przyjadę po ciebie i zabiorę cię na kolację, do sklepu i gdzie tam jeszcze zechcesz pojechać.

Pomyślałam, że warto by kupić jakiś ciuch na imprezę. Ale na takie zakupy lepiej zabrać Molly następnego dnia.

Rzecz jasna, o ile w ogóle będziemy się do siebie odzywać.

Próbował wetknąć mi pudełka i kubek, pewnie wydawało mu się, że jeżeli to zrobi, machinalnie je przyjmę. Kiedy nie zrobiłam tego, spytał:

- O co chodzi? Nie trawisz, kiedy ktoś tobą komenderuje? Skinęłam głowę, ale od razu zrobiło mi się lepiej, bo w końcu zrozumiał, na jakiej zasadzie działałam.

- To dlatego, że nie przywykłaś do tego, żeby mieć rodzinę i przyjaciół - oświadczył - którzy w końcu doradzają ci, co masz zrobić, i pchają nos w nie swój interes. Otóż my to robimy, bo nam zależy na drugiej osobie. Przyzwyczaj się. Właśnie dołączyłaś do naszego klubu.

Tym razem przyjął od niego podarunek, a wtedy pocałował mnie w czoło, włożył okulary i ruszył w stronę hangaru Firmy Lotniczej Hall.

Z posiłkiem pod pachą nie omieszkałam zajrzeć do biura. Zawołałam „cześć” do Leona. Odpowiedział mi okrzykiem, który doszedł gdzieś z głębi budynku. Mogłam więc spokojnie zgarnąć magazyn ze stolika w poczekalni. Zajrzałam też do pokoju wypoczynkowego i wzięłam gazetkę z ogłoszeniami o mieszkaniach, znalazłam ją na półce z broszurami dotyczącymi miejscowych atrakcji. Kiedy otworzyłam oszklone drzwi plecami - bo ręce miałam zupełnie zajęte - Grayson właśnie odwrócił się, żeby popatrzeć w moją stronę; stał już w drzwiach hangaru. Pomachał do mnie ręką. W odpowiedzi podniosłam łokieć. Grayson wszedł do środka, a ja ruszyłam w stronę mojej przyczepy.

A potem coś mnie tknęło i zatrzymałam się. Popatrzyłam na niebo nad pasem startowym i na drzewa. Słyszałam silnik jakiegoś samolotu, ale go nie widziałam.

Wyszeptałam:

- Dziękuję. Za wszystko.

A potem poszłam już w swoją stronę, klapiąc klapkami o asfalt, aż asfalt się skończył i szłam dalej przez wysoką trawę. Kiedy znalazłam się w lasku, pitbul szarpnął się jak zwykle w moją stronę. Jednak tym razem jego gardłowy warkot urwał się nagle. Stał na końcu swojego łańcucha i patrząc na mnie w milczeniu, niuchał powietrze. Wyczuł zarcie.

Zamknęłam za sobą drzwi przyczepy i oparłam się o kontuar w kuchni. Nagle poczułam, że jestem strasznie głodna. Sprawdziłam, co jest w pudełkach. Przede wszystkim pochłonięłam czekoladowego croissanta - nie był już ciepły, co jednak nie zmieniało faktu, że był to croissant czekoladowy z knajpy ojca Molly - a potem sporą część sandwicza przeznaczonego na lunch. Resztę starannie zapakowałam do lodówki na następny dzień.

Potem rozsiadłam się w zapadniętej sofie z gazetką mieszkaniową w rękach. Zamierzałam następnego dnia pożyczyć od Graysona telefon, zadzwonić do właściciela i dowiedzieć się, przez ile miesię-

cy mama zgarniała moją kasę, zamiast mu płacić. Od chwili, kiedy pan Hall pozwolił mi latać za darmo, odkładałam swoją pensję z myślą o studiach. Nie zamierzałam pochopnie roztrwonić tych pieniędzy, ale wiedziałam, że na pewno starczy mi na pokrycie niskiego czynszu za kilka miesięcy.

Tak, zaległy czynsz i ani centa więcej. Teraz mogłam wreszcie kierować własnym życiem. Mogłam wybierać, więc dokonałam wyboru: nie zamierzałam mieszkać w przyczepie ani o sekundę dłużej niż to konieczne. Chwalebna decyzja, jednak kiedy zaczęłam kartkować magazyn z ogłoszeniami, wpadłam w panikę, tak samo jak w niedzielę, kiedy Grayson oznajmił mi, że nie mam co liczyć na pracę u pana Simona. Okazało się, że najtańsze mieszkania kosztują co najmniej dwa razy więcej niż wynajęcie przyczepy, a przecież dotyczyło to tej gorszej strony miasta, prawdopodobnie dzielnic o wiele niebezpieczniejszych od kempingu. Gazety czytałam od lat, wiedziałam więc dobrze, gdzie w tym mieście się strzela i dźga nożami.

Jak należało się spodziewać, mieszkania w porządnej dzielnicy miasta były o wiele droższe. Owszem, skoro nie musiałam już utrzymywać matki, mogłam sobie pozwolić na wynajęcie czegoś w tamtej okolicy, tylko że już nie mogłabym chodzić na piechotę do pracy. Co prawda mogłabym dojeżdżać na lotnisko szkolnym autobusem, a potem liczyć, że Admirał odwiezie mnie do domu, bo zazwyczaj lądował mniej więcej wtedy, kiedy kończyłam robotę. Jednak, jak słusznie zauważył Grayson, nie chciałam być od nikogo zależna. Poza tym do końca roku szkolnego zostało mi zaledwie sześć tygodni, a potem i tak nie mogłabym korzystać z autobusu. Krótko mówiąc, nadszedł czas, żeby zrobić prawo jazdy. I kupić samochód.

Następny problem: aby wynająć mieszkanie w lepszej dzielnicy, należało wykazać się zdolnością kredytową. Tymczasem nie miałam nawet konta w banku. Miałam za to pracę. Mogłam przed-

stawić zaświadczenie o zatrudnieniu na lotnisku od trzech i pół roku, a Grayson mógł poświadczyć, że zamierza zatrudnić mnie w lecie i oczywiście zagwarantować o wiele wyższe wynagrodzenie. Albo też mogłabym wynająć mieszkanie do spółki z kimś, kto mógł przedstawić stosowne papiery. Na przykład z jakąś studentką zatrudnioną na wakacje przez rodziców Molly. Zaczęłam sobie wyobrażać tę dziewczynę. Pewnie przebywałaby w domu więcej niż ja i mówiłaby mi „cześć” po moim powrocie z pracy. I pewnie byłaby też w domu rano, bo przecież mieszkałybyśmy razem. I czasami mogłybyśmy gdzieś razem wyskoczyć. To byłaby jakaś normalna, wesoła dziewczyna bez kompleksów, jak Grayson, Alec i Molly. I miałyby telewizor.

Pozostawała tylko jedna dotkliwa luka w tej tworzonej przez moją wyobraźnię wizji przyszłego życia. Otóż o ile znałam moją matkę, należało się spodziewać, że po paru tygodniach zjawi się znowu. Przyjedzie z Savannah, bo Roger ją rzuci. Albo sama się zorientuje po jakimś czasie, że facet nie ma żadnych szans na robotę w fabryce koparek, więc uprosi kogoś, żeby ją podwiózł z powrotem do Heaven Beach. Żeby znów ze mnie wysysać gotówkę. Zajrzy do przyczepy i stwierdzi, że mnie tam nie ma.

Kiedy to sobie uświadomiłam, doznałam przez chwilę poczucia winy. To była moja matka, jedyna spokrewniona ze mną osoba, którą znałam. Ale przecież jeżeli naprawdę będzie chciała mnie znaleźć, wystarczy, że pójdzie na lotnisko. A może teraz, kiedy już nie ma mnie na głowie, znajdzie siłę, żeby zacząć sobie radzić samodzielnie? Jeżeli tak, chętnie bym ją widywała od czasu do czasu. Tylko niekoniecznie musi wiedzieć, gdzie mieszkam.

Przyczepa aż wibrowała od nowej energii. Rozejrzałam się i odniosłam wrażenie, że wewnątrz jest jaśniej niż zwykle, więcej światła słonecznego sączy się przez liście palm i dociera do środka przez małe okienka. Dopiero po sekundzie dotarło do mnie, że ta wibracja to przelatujący w górze samolot. Podskoczyłam do drzwi,

wyjrzałam - w samą porę, żeby zobaczyć Graysona w czerwonym piperze przelatującego przez plamę błękitu między szczytami drzew.

Popatrzyłam na „podwórze”, przez które za jakiś czas przejdzie Molly, a potem Grayson. Jedno z plastikowych krzeseł leżało przewrócone, odkąd Molly trafiła je zderzakiem w sobotę wieczorem. Byłam też pewna, że pudełko po margarynie nadal jest pełne petów. Moja matka się wyprowadziła, ale ja nie przestałam jeszcze tu mieszkać, więc teraz odpowiadałam za cały ten bajzel. Wzięłam mokrą szmatę, wytarłam krzesła, a improwizowaną popielniczkę wywaliłam. Przyszło mi nawet na myśl, żeby przyciąć trochę zarośla krzewiace się wokół przyczepy, używając do tego jedyne narzędzie ogrodnicze, jakie miałam do dyspozycji, czyli nożyc do blachy - ale ogarnęło mnie zniechęcenie i uznałam, że będę tam mieszkać już tak krótko, że nie warto zawracać sobie głowy.

Natomiast warto było zająć się wnętrzem przyczepy. Wróciłam więc do środka i obejrzałam sobie wszystko na świeżo - nie oczami Graysona tylko własnymi we własnym domu, nie w domu mojej matki, który przypadkiem i przy okazji zamieszkiwałam także ja. Przede wszystkim zdjęłam ze ściany nieszczęsne szkolne fotografie zastępujące nieobecny telewizor. Zdjęcia zamierzałam zachować, natomiast zdecydowanie należało pozbyć się tandetnych ramek, oddać je komuś albo wyrzucić.

Potem zaczęłam się pakować. Nie ruszałam jeszcze przyborów toaletowych czy letnich ubrań, bo zamierzałam do końca miesiąca ich używać. Opróżniłam za to wszystkie szafy, przy czym sporo rzeczy wrzuciłam do plastikowych toreb na śmieci, żeby je rozdać. Zaczęłam wkładać do takich samych worków również rzeczy, które zamierzałam zatrzymać, ale to mi przypomniało, w jaki sposób Mark i moja matka obchodzili się ze swoją własnością. Od razu zmieniłam zdanie, wyjęłam rzeczy z worków i ułożyłam z nich

stos, żeby go później później przenieść do ekologicznego kartonowego pudła - które zamierzałam wysepić od rodziców Molly.

Następnie przeszłam do pokoju mojej matki. Z początku tylko stałam w ciemnościach, w dodatku było tam strasznie gorąco, bo odkąd się wyniosła, drzwi były zamknięte, żeby zaoszczędzić na klimatyzacji. Bałam się czegokolwiek dotknąć. Ale matki nie było, a ja zamierzałam się stamtąd wynieść. Zaczęłam więc wyciągać jej ciuchy z szafy i komody. Pakowałam je do plastikowych worków, początkowo także z zamiarem rozdania ubogim. Potem jednak uświadomiłam sobie, że matka może pojawić się na lotnisku i zażądać zwrotu swojej własności, a jeżeli dowie się, że rozdałam jej rzeczy, wścieknie się nie na żarty. A więc, niech te worki czekają sobie w piwnicy na lotnisku. Będą mi o niej przypominać tylko wtedy, kiedy zdarzy mi się zanieść jakieś dokumenty do archiwum - albo schronić się tam na noc z Graysonem.

Wszystko to zajęło mnie tak bardzo, że nawet nie zdawałam sobie sprawy z upływu czasu - aż nagle usłyszałam stukanie do aluminiowych drzwi. Nie, nie przestraszyłam się i nie zabrzmiało jak strzał w ciszy, za to rozpoznałam w nim rytm ulubionej piosenki Molly

Otworzyłam jej drzwi. Molly stała niepewnie na szczycie chwiejnych schodków. Na jej twarzy dostrzegłam ulgę, że wszystko ze mną w porządku. Że mnie kocha. I złość, i że czuje się zdradzona, i że jej przykro, i że bardzo ją to wszystko zabolalo. Miałyśmy mnóstwo do przegadania i czekało nas niemało wzajemnych przeprosin.

- Nigdy nie uważałam, że robię ci jakąś łaskę. I nie było żadnej działalności charytatywnej - oświadczyła na wstępie.

- W porządku.

- I nie dlatego chciałam się z tobą przyjaźnić, że twarda z ciebie zawodniczka i że miałaś czelność odbić mi chłopaka.

- W porządku.

- Ale rozumiem, dlaczego tak ci się zdawało - ciągnęła płaczliwym tonem. - Jak do tego doszło, że obie musiałyśmy odgrywać takie harde sztuki i że nigdy nie mogłybyśmy powiedzieć sobie, jak bardzo się kochamy?

- Cśśś. - Objęłam ją ramionami i pozwoliłam, że oparła się brodą o moje ramię. - To ja dzisiaj rozbiłam samolot. A zresztą, niech ci będzie. Zajmę się tobą, bo cię strasznie kocham.

Kiedy się wyprostowała, śmiała się przez łzy.

- Ale mogę wejść?

Cofnęłam się, otwierając metalowe drzwiczki na oścież.

- Jasne, laska. Właż.

W następną sobotę, niedługo przed zamknięciem biura, przekazałam telefon oraz klucze Leonowi. Poszłam do łazienki, gdzie wymyłam porządnie ręce, żeby splukać z nich resztki zapachu paliwa, po czym starannie poprawiłam włosy i makijaż, a następnie przebrałam się w sandaalki i śliczną niebieską jak niebo sukienkę, którą znalazłyśmy z Molly w sklepie wysyłkowy m. W łazience nie było pełnowymiarowego lustra, więc stanęłam sobie na ganku, żeby przejrzeć się w oszklonych drzwiach. Z samolotami w tle wyglądałam jak modelka na rozkładówce jakiegoś magazynu - zdjęcie w stylu eleganckie ciuchy, a wokół surowy asfalt i maszyny. Kilka hangarów dalej stało paru facetów. Zagwizdali na mnie, a ja w odpowiedzi pomachałam im ręką.

Kiedy doszłam do hangaru Firmy Lotniczej Hall, samochód Molly stał już na zewnątrz. Czekala cierpliwie w wysokich obcasach i skapej różowej sukieneczce, ja tymczasem niespiesznie obeszłam cesso dookoła, przesuając dłonią po skrzydłach. Molly nie odezwała się, kiedy weszłam na drabinkę, żeby sprawdzić poziom paliwa. Za to robiła mi zdjęcia komórką i pewnie od razu wrzucała je gdzieś online.

Odmówiła natomiast stanowczo, kiedy poprosiłam ją, żeby pomogła mi wyprowadzić samolot. Że nie może, bo jest w szpilkach. Że popłami sobie sukienkę smarem. Że samolot na pewno jest za ciężki. Z miejsca udowodniłam jej, że to ostatnie twierdzenie nie

jest prawdziwe - pokazałam jej, jak samolot kołysze się do przodu i do tyłu, wystarczy pchnąć go ręką. Ale i tak już myślałam, że będę musiała poprosić o pomoc Leona czy Admirala, czy jeszcze kogoś innego, kiedy wreszcie się zgodziła. Pchnęła rozpórkę, ja tymczasem prowadziłam maszynę za przednie podwozie. Samolot znalazł się na zewnątrz. Owiewający nas wiaterek pachniał polnymi kwiatami.

Pomogłam jej wsiąść i pokazałam, jak zakłada się słuchawki. Nie protestowała, ale kiedy kołowałam do początku pasa startowego, nagle zdałam sobie sprawę, o co chodzi. Ręce jej się trzęsły.

- Boisz się? - Spytałam.

Spojrzała na mnie z ukosa. Nawet brokatowy makijaż nie był w stanie odwrócić uwagi od przerażenia widniejącego w jej wielkich niebieskich oczach.

- A jak ci się zdaje? Ale powiedziałam, że z tobą polecę, więc polecę.

- Leciałas już kiedyś samolotem?

- Nie takim małym.

- No, jasne - przytaknęłam. - Latałaś tylko do Europy i z powrotem.

- Pierwszą klasą - przyznała. - Wystarczy zasłonić okno i można udawać, że nic się nie dzieje. Pani stewardesso! - Strzeliła palcami. - Poproszę o appletini.

Westchnęłam ciężko.

- Posłuchaj. Mogłoby się wydarzyć mnóstwo różnych niedobrych rzeczy, ale ja do tego nie dopuszczę - zapewniłam. - A samolot to przyjaciel, twój i mój. Zobacz, samolot chce lecieć. - Przyspieszyłam, a kiedy nabraliśmy odpowiedniej prędkości, zdjęłam ręce z wolantu. - Zwróć uwagę, że nic nie robię, a maszyna samoistnie wznosi się w powietrze, gdy tylko osiągnie pewną prędkość. Po prostu tak jest zbudowana.

- Jasna cholera, nie puszczaj kierownicy! - Usłyszałam jej krzyk w słuchawkach.

Żeby ją uspokoić, położyłam dłonie na wolancie. Gdy leciałyśmy nad drzewami, skręciłam najłagodniej, jak tylko się dało -tak, żeby zredukować przechył do minimum. Aby zapewnić mojej pasażerce jak najwygodniejszą przejażdżkę, skierowałam samolot nad ocean, gdzie masa wody działa stabilizująco i mniejsze jest ryzyko turbulencji. Do szczęścia brakowało mi tylko jeszcze budzącego zaufanie munduru linii lotniczej.

Munduru, który przywdzieję w nie tak znów odległej przyszłości.

- Jak tu pięknie - odezwała się półgłosem. Patrzyła na ocean lśniący w promieniach schodzącego nad horyzont słońca. Kasztanowa fryzurka przyciśnięta do szyby.

- Tak - powiedziałam. - Pięknie.

Widać było, że krajobraz działa na nią kojąco, im dłużej trwał lot, tym mniej się denerwowała. Tymczasem zbliżyłyśmy się już do celu. Gdy minęłyśmy mokradła Karoliny Północnej i na horyzoncie pojawiły się wieżowce Wilmington, wspomniałam mimochodem, że będziemy lądować na lotnisku znacznie większym niż nasze, więc jest bezpieczniej, jest wieża, kontrola lotów. Zresztą z Wilmington startują regularne kursowe połączenia. Regularnie ćwiczyłam „konwojery”, czyli przyziemienia z natychmiastowym startem i lądowanie na większych lotniskach pod kierunkiem pana Halla, a w sobotę po południu nie należało się spodziewać dużego ruchu. Wszystko to nie zrobiło na Molly większego wrażenia, przyciskała czoło do szyby, wyraźnie panikowała, zaciskała świeżo wymanikiowane dłonie na siedzisku, aż palce jej pobielwały. Moim wystudiowanym głosem Chucka Yeagera poprosiłam przez radio o zgodę na lądowanie, po czym mięciutko usiadłam na pasie. Już się czułam jak pilot linii lotniczych.

Przekołowałam tam, gdzie mi kazali, w stronę terminalu. Za barierką czekała na nas grupka ludzi w wieczorowych sukienkach i smokingach, z Alekiem i Grasyonem na czele. W tej samej chwili, gdy powiedziałam Molly, że już po wszystkim, zerwała czym prę-

dziej słuchawki, odpięła pasy i wyskoczyła z samolotu, dzierżąc mocno torbę z rzeczami. Przebiegła po asfalcie i rzuciła się w objęcia Aleca.

Ja tymczasem przerobiłam w pamięci listę kontrolną, żeby wyłączyć wszystko, co trzeba, zanim zamknę samolot, po czym również wysiadłam z kokpitu. Koleś, który pełnił tu te same obowiązki, co ja w Heaven Beach i wyglądał na studenta, przytargał już kliny pod koła mojego samolotu. Zerknął na mnie i jakby go zatkało.

- O, kurczę. Takiego ładnego pilota to jeszcze nie widziałem.

- Ejże! - Grayson zbliżył się do nas. - Nie widzisz, że czekam tu w smokingu? Chcesz się przywitać, to zaczekaj na swoją kolejkę.

- Sorry, koleś! - rzucił tamten, ale nie mógł unieść rąk w przeproszającym geście, bo trzymał w nich kliny, które najpierw musiał włożyć pod koła. Przeszedł jednak potulnie na drugą stronę samolotu.

Grayson objął mnie ramionami. Poczułam zmysłowy zapach jego wody kolońskiej. Miałam ochotę się nim zaciągnąć.

- Ale facet ma rację, takiego fajnego pilota ja też nie widziałem - powiedział i przyciągnął mnie do siebie, żeby złożyć na moich ustach długi, długi pocałunek. Usłyszałam za sobą jęk zachwyty wydany na raz przez kilka dziewczyn:

- Aaach.

Grayson zaśmiał się tuż przy moich wargach. Jednak kiedy odsunął się, żeby na mnie popatrzeć, jego szare oczy spoglądały na mnie z dziwną powagą.

- Co się stało? - Spytałam szeptem. - Zrobiło ci się dziwnie, bo przyleciałam samolotem twojego taty?

- Nie - odpowiedział zaskoczony. - Wcale nie o tym myślałem. Po prostu tęskniłem za tobą. Bardzo tęskniłem. - Pocałował mnie w policzek i odwrócił się. - Muszę przywitać się z Molly.

Potem wyściskał mnie Alec i ja wyściskałam jego, udając, że to nie jest takie dziwne, chociaż wcale nie tak dawno całowałam

się z nim na poważnie. Zresztą - pomyślałam - może już niedługo to naprawdę nie będzie takie dziwne? Przytrzymał mnie dłonią za ramię i spytał półgłosem:

- Jak tam Molly? Była dzielna?

Skrzywiłam się troszeczkę i potrząsnęłam przecząco głową. Pochylił się i powiedział mi do ucha:

- Tego się obawiałem. Popracujemy nad nią oboje w lecie, może się przełamie.

Zaśmiałam się cichutko i skinęłam głową. Poszedł do niej, a ja pomyślałam sobie, że skoro zamierza w lecie oswajać Molly z lataniem, to znaczy, że planuje nadal pomagać Graysonowi w prowadzeniu firmy. Grayson na pewno z ulgą przyjął fakt, że Alekowi nie spieszy się aż tak bardzo do wojska. A w każdym razie Alec wesprze rodzinny biznes. To znaczy, że nie pokłócili się za bardzo.

Grayson znowu znalazł się blisko mnie. Objął mnie ramieniem i odwrócił się w stronę przyjaciół.

- Proszę bardzo, oto ona. Nie mówiłem? Niektórzy z was wiszą mi kasę...

Odpowiedział mu wybuch śmiechu. Podeszła do nas jakaś dziewczyna i wyciągnęła do mnie rękę na powitanie.

- Lea, miło mi ciebie poznać. Jestem Nance. Grayson przechwalał się, że idzie na imprezę z piękną pilotką. Myśleliśmy, że istniejesz tylko w jego wyobraźni. Musieliśmy cię zobaczyć, żeby uwierzyć.

- Chodźmy coś zjeść! - zawołał jakiś chłopak stojący w tyle grupki.

- Super - odpowiedział mu dziewczęcy głos, a potem nie wiadomo jak to się stało, ale wszyscy już szliśmy w stronę terminala. Molly szła ramię w ramię z Alekiem. Odwróciła się do mnie i pomachała ręką, uśmiechając się przy tym od ucha do ucha. Nigdy jeszcze nie widziałam, żeby jakiś chłopak tak ją kręcił.

Grayson wziął ode mnie torbę z rzeczami. Zaprowadził mnie za rękę do rejestracji, w której musiałam się zameldować i czekał,

oparty o słup, kiedy wypełniałam formularze. Nie mogłam się powstrzymać i kilka razy zerknęłam w jego stronę. Był taki wysoki, przystojny i tak niezwykle wyglądał w czarnym smokingu, pod muchą, a przede wszystkim bez lustrzanych okularów i bez kowbojskiego kapelusza. Nieźle wyglądał, kiedy tak się wystroił. Po budynku kręciło się sporo ludzi, wielu z nich oglądało się na niego, a potem szukali wzrokiem jego towarzyszki na szkolny bal, odnajdywali mnie i na ich twarzach pojawiał się uśmiech. Kojarzyli, że jesteśmy razem, a to sprawiało mi przyjemność.

Uporałam się z formalnościami, poszłam w jego stronę z wyciągniętą ręką. Trzymając się za ręce, wmieszaliśmy się w tłum i wędrowaliśmy przez wielki terminal z niebosiężnym sklepieniem.

- Wybacz mi tę zbiorową randkę - odezwał się.
- Daj spokój, to zabawne.
- Wiesz, chcieli przyjść, bo kończy się szkoła, nasze drogi się rozchodzą i tak dalej. Jakoś ostatnio nie byłem wobec nich za fajny, za to oni byli super fajni wobec mnie.

Otworzył drzwi prowadzące na parking i przytrzymał je, puszczając mnie przodem. Zmrużyłam oczy w słońcu.

- Teraz kolacja - oznajmił. - Potem jedziemy na szkolny bal. A potem na imprezę u mojego kumpla, który nazywa się Ish, a potem, jeżeli nie masz nic przeciwko temu, fajniejsza impreza u mojego kumpla Steve'a. - Zatrzymał się pośrodku ceglanych schodów i odwrócił się w moją stronę.
- Jedno ci obiecuję, Lea, a nawet przysięgam, że prędzej czy później, ale zostaniemy sami.

Uniósł wymownie brwi i uśmiechnął się. Końcówki jego jasnych włosów jarzyły się złoto w słońcu. Po niebie za jego głową mknął odrzutowiec, ciągnąc za sobą bezgłośnie srebrzystą smugę odcinającą się od błękitu.

Właśnie wtedy zrozumiałam. Piętno śmierci i jeszcze do tego cały ciężar biznesu, który zdecydował się prowadzić - to jeszcze długo będzie nad nim ciążyć. Ale z drugiej strony, potrafił zapo-

mnieć o tym wszystkim na tę jedną noc, na ten wieczór i na tę ważną imprezę. Przejmować się tylko tym, żeby zostać ze mną sam na sam, jak normalny facet w tym wieku. A to znaczyło, że nic mu nie będzie. Poradzi sobie z tym wszystkim.

Uśmiechnęłam się do niego ciepło i uścisnęłam jego dłoń.

- Już nie mogę się doczekać.

Temat ich szkolnej imprezy brzmiał „Up, Up, and Away!”. Jednak zamiast dekoracji rodem z komiksów o Supermanie pod sufitem rozpięto błękitny materiał, pod nim wisiały bielutkie chmurki oraz wycięte z kartonu balony, sterowce i samoloty. Również tło do pamiątkowych fotek, nawiązujące w stylistyce do lat pięćdziesiątych, przedstawiało wnętrze lotniskowego baru na Hawajach. Miałam dziwne uczucie deja vu. Wszystko to było aż zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe, zupełnie jakby tę imprezę ktoś przygotował, mając mnie na myśli. Dopiero potem Grayson wyjaśnił mi, że przewodniczącym komisji uczniowskiej przygotowującej bal był Alec. No tak, nic dziwnego.

Miałam nadzieję, że któregoś dnia w przyszłości będę sobie oglądać moje zdjęcie z Graysonem, ze starymi lotniczymi plakatami w tle i będę się śmiała, że ta szkolna impreza stanowiła zapowiedź mojej świetlanej przyszłości.

Później, kiedy ludzie zaczęli już się rozchodzić na inne, prywatne imprezy, Grayson powiedział mi szeptem, że też wkrótce się zrywamy, ale najpierw musi coś załatwić. Siadłam w pierwszym rzędzie trybun, tuż pod sylwetką boeinga 737. Skorzystałam z okazji, żeby zdjąć na chwilę szpilki, a potem z radością przyglądałam się, jak Molly i Alec tańczą ze sobą wolny kawałek. Zupełnie nie przejmując się otoczeniem, całowali się i to tak, jakby naprawdę sprawiało im to przyjemność. Kiedy Alec całował się ze mną, wyglądało to zupełnie inaczej. Uśmiechnęłam się na myśl, że Alec, kiedy był ze mną, tylko udawał. W każdym razie cieszyłam się, że między nim a Molly naprawdę zaiskrzyło.

Przyglądając się tańczącym w półmroku, wypatrzyłam Graysona. Tańczył i rozmawiał z jakąś panią, sporo starszą od niego. Ktoś powiedział mi wcześniej, że to dyrektorka ich szkoły.

- Lea! - zawołała Nance. Opadła na ławkę obok mnie, i pociągnęła za sobą swojego chłopaka, Ralpa. - Przez cały tydzień Grayson mówił tylko o tobie. Nie do wiary, że zostawił cię samą!

Pokazałam ruchem głowy parkiet. Nance zasłoniła dłonią usta. Ralph roześmiał się głośno.

- Wnioskuje z tego, że Grayson i pani dyrektor nie bardzo się przyjaźnili? - spytałam.

- No, raczej! - zawołała Nance.

- To znaczy, wiesz. Spędzili ze sobą sporo czasu w ciągu ostatnich czterech lat. O ile rozumiesz, co mam na myśli - wyjaśnił Ralph. - Co najmniej raz w miesiącu bywał u niej na dywaniku. A teraz tańczą ze sobą. Naprawdę, niezwykły widok.

Właśnie kiedy to mówił, Grayson i dyrektorka wybuchnęli serdecznym śmiechem, jak bliscy przyjaciele, jakby wszystkie wybryki Graysona wydarzyły się bardzo, bardzo dawno temu, kiedy jeszcze był dzieckiem.

- A co do dziwnych zjawisk - podjął Ralph - Nance i ja koniecznie chcieliśmy cię o coś zapytać.

Trochę mnie to zaniepokoiło.

- A o co?

Ralph rozłożył ręce, jakby nie bardzo wiedział, jak sformułować pytanie.

- Bo wiesz, po śmierci ich brata, a potem ojca, Alec raczej jakoś się trzymał, całkiem nieźle. A Grayson nie.

- Był zagubiony - wtrąciła Nance poważnym tonem.

- W depresji - dodał Ralph.

- Nieobecny - uzupełniła Nance.

- A teraz znowu jest sobą. - Ralph wyciągnął rękę w moim kierunku. - Jak tego dokonałaś? Co właściwie zrobiłaś?

Wzruszyłam ramionami.

- Czyja wiem? Słuchałam. Próbowałam zrozumieć.

Skończyła się piosenka, zaczęła się następna. Część par zeszła z parkietu, inne zaczęły tańczyć. Ralph i Nance nie zwrócili na to uwagi, patrzyli na mnie dalej, jakby czekali na ciąg dalszy opowieści, ale nie potrafiłam im powiedzieć nic więcej.

- No, dobrze - odezwała się w końcu Nance. - W takim razie nie przestawaj, bo to chyba dzięki tobie stał się jakby nowym człowiekiem.

Z ciemności wyłoniła się postać Graysona. Kiedy wynurzył się z tłumu, kolorowe światła migotały w jego falujących włosach i rozświetlały mu twarz, a potem znikły w czerni smokingu. Z uśmiechem, w którym widniała obietnica, wyciągnął do mnie rękę.

Kiedy pociągnął mnie mruknęłam do siebie:

- I ja stałam się kimś zupełnie innym.

- Siedem trzy siedem - powiedział Grayson. - Kiedyś takimi maszynami będziesz latać.

Serce zabiło mi mocniej, ścisnęłam jego dłoń, kiedy stalowy gigant pędził prosto na nas. Oderwał się od ziemi i przeleciał z ogłuszającym rykiem tuż nad naszymi głowami, przynajmniej tak nam się zdawało. Mignął białym podbrzuszem. Odwróciliśmy się oboje i patrzyliśmy na tę wspaniałą bestię, aż znikła w szarości nieba czekającego na świt. Jeszcze przez dłuższą chwilę słyszeliśmy dudnienie silników.

Po imprezie u Isha oraz jeszcze lepszej imprezie u Steve'a, Grayson przywiózł mnie w to miejsce. Przejechał przez dzielnicę przemysłową Wilmington, aż znaleźliśmy się w pobliżu lotniska, tuż przy końcu pasa startowego. I tam, u kresu nocy, w szoferce jego pickupa, wreszcie odbyło się nasze upragnione i cudowne sam na sam. Jeszcze nie mogłam powstrzymać uśmiechu na myśl o tym, co się wydarzyło.

Trzeba przyznać, że wszystko przewidział, bo potem rozsiedliśmy się na plastikowych ogrodowych krzeselkach, które przezornie załadował na skrzynię. Trzymaliśmy się za ręce pod kocem chroniącym nas od wilgotnego chłodu i patrzyliśmy na pierwsze startujące samoloty.

Odetchnął, zadowolony. Poczułam, jak zelżał uścisk jego dłoni. Widok tego samolotu brał go zupełnie tak samo jak mnie. A potem spojrzał w stronę horyzontu.

- Słońce wschodzi.

Znad drzew wyplonila się intensywnie różowa kula upstrzona fioletowymi chmurkami. Kula, a właściwie kulka, tak mała, że światło prawie się nie zmieniło, chociaż już wkrótce miał nastać oślepiająco jasny dzień.

- Oho - mruknełam. - Światło dzienne. Niedobrze. Pewnie wyglądam, jakbym się obściskowała z moim chłopakiem w jego samochodzie.

- Nie, nic podobnego... - Odwrócił się w moją stronę z uśmiechem. Popatrzył na moją wygniecioną sukienkę i na potargane włosy. - No, może trochę. - Puścił moją rękę, objął mnie ramieniem i przyciągnął do siebie. - Mam nadzieję, że długo, bardzo długo będziemy razem. Mógłbym patrzeć na ciebie bez końca.

Pocałował mnie leciutko.

Z początku trudno mi było odwzajemnić ten pocałunek, bo nieproszony uśmiech sam pojawił się na mojej twarzy. Potem jego druga ręka poruszyła się pod kocem, przesunęła się po mojej sukience. A moje ciało było już gotowe, jak pół godziny wcześniej, gotowe oddać się jemu i przyjąć wszystko, co zechce dać mi w zamian.

Po długim pocałunku odsunął się, znów odetchnął głęboko, zupełnie tak samo i z takim samym uśmiechem jak po tym, kiedy przeleciał nad nami boeing. Potem popatrzył w niebo. Nie było już szare, stało się błękitne.

- Chciałbym wiedzieć, czy Jake był tutaj po swojej imprezie na zakończenie szkoły.

- A jego dziewczyna lubiła samoloty? Zaśmiał się krótko.

- Nie.

- No cóż. Dla mnie to akurat idealne miejsce, ale większość normalnych dziewczyn po takiej imprezie woli witać wschód słońca na plaży.

- Strasznie to dziwne. - Wodził palcami po moim nagim ramieniu. - Straszny ze mnie szczęściarz i nigdy o tym nie zapomnę, przysięgam. - W połowie tego wyznania miłości jego głos nagle się zmienił. Rozproszył go odgłos silnika małego samolotu. - O, Cessna Corvalis!

- Gdzie? - zawołałam w tej samej chwili, kiedy też zobaczyłam startujący samolocik. Maszyna z tej samej fabryki co moja, ale ten model to prawdziwy mercedes wśród czteromiejscowych jednosilnikowców. Przeleciała nad nami, odgłos jej silnika był nieporównywalnie cichszy niż wycie motorów boeinga, ale i tak donośny jak na niewielki samolot. Od spodu pomalowana była w zebkę, co rozbawiło mnie, więc zaśmiałam się cicho. Dumny, mały samolocik był chyba bardzo szczęśliwy.

Znów odwróciliśmy się, żeby popatrzeć w ślad za nią.

- Ciekawe, dokąd się wybiera tak wcześnie rano - szepnął Grayson.

- Spiesz się, żeby nie stracić ani chwili - odpowiedziałam. -Bo zapowiada się piękny dzień na latanie.